

De II 4
OGÓLNEGO ZBIORU TOM 140.

BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

PISMO POŚWIĘCONE
NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1875.

SERYA V.

Grudzień.

TOM IV. — ZESZYT XII.

W A R S Z A W A.

Skład i Eksp. Głów. w Księg. GEBETHNERA i WOLFFA.

Ukończono druk dnia 29 listopada 1875 r.

T R E Ś Ć.

	stron.
I. Z siedmioletniej wojny. Opowiadanie historyczne. Przez J. I. Kraszewskiego.	315
II. O szkołach i szkolnictwie polskiem. Przez Władysława Zawadzkiego.	357
III. Obrazy ze współczesnej literatury niemieckiej. Przez Feliksa Jezierskiego	372
IV. Społeczność Warszawy w początkach naszego stulecia (1800—1830). Przez K. Wl. Wójcickiego. (Dokończenie)	385
V. Postępy wiedzy o Słowiańszczyźnie w Rosyi w latach 1860—1872. Przez J—d.	403
VI. Łukasz Górnicki (kilka szczegółów nieznanych). Przez Aleksandra Wejnerta.	422
VII. KRONIKA ZAGRANICZNA, LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA. Tyrol i Tyrolczyki: Andreas Hoffer.—Słowianie tureccy: Bośnia i Hercegowina, według Geografii Powszechniej Elizeusza Reclus.—Dzieło p. Dozon: Pieśni ludu Bułgarskiego, wydano w Wiedniu z tekstem oryginalnym.—Rozboje we Włoszech, od najdawniejszych czasów aż do dni naszych, przez Armada Dubarry.—Pornokracya, czyli kobiety nowoczesne, dzieło pośmiertne Prudona.—Psychologia ludów nowożytnych, dzieło pośmiertne Filareta Chasles.—Pieniężna piekareczka, komedyo-opera pp. Meilhao i Halevy, z muzyką Offenbacha.—Nowe powieści Georges Sand: Flamarande i Dwaj Bracia.—Poszukiwania Stanleja w Afryce Środkowej.—Dwa dzieła alegoryczne: Republika Marcina p. Rambaud, i podróż Lorda Humour do kraju Retrogradów p. Thiandiere.—Pomnik Roberta Bruce w Stirlingu.—Dykcyonarz Littrego, w jednym tomie, skrócony przez profesora Beaujeau.—Dykcyonarz starożytności greckich i rzymskich.—Zmarły rzeźbiarz Jan Carpeaux.—Posiedzenie doroczne pięciu Akademii, składających Instytut Francuzki.	431
VIII. Z dziedziny przyrodoznawstwa. „Księżyc uważany jako planeta,” dzieło Nasyntha i Carpentera.—Ostatnie rezultaty naukowe dotyczące budowy i natury towarzysza ziemi.—Budowa fotosfery słonecznej.—Obrót planet.—Planetoidy odkryte w latach 1873/4.—Komety 1874.—Świetna Kometta Coggia.—Miscellanea. Przez T. Skomorowskiego.	456
IX. PRZEGLĄD PIŚMIENICTWA KRAJOWEGO I ZAGRANICZNEGO. Pamiętnik akademii umiejętności w Krakowie, dział filologiczny i filozoficzno-historyczny. Tom drugi, Kraków 1875 r. Przez A.	470

(Dalszy ciąg na trzeciej stronie okładki).



D. II. 1.

Z SIĘDMIOLETNIEJ WOJNY.

OPOWIADANIE HISTORYCZNE.

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

Tom drugi.

VIII.

(Dokończenie).

Pan Ksawery Masłowski spał jeszcze, gdy gospodyni jego niepytając o pozwolenie weszła do pokoju.

— Na miłość Boga! pan śpisz, a pan nie wiesz nic!— zawołała.

Porwał się stolnikowicz oczy przecierając.

— Cóż się stało? kot waćpani zdechł!

— Jak można żarty w takiej chwili stroić. Na zamku się coś stało? Ja nie wiem: po całym mieście chodzą okropne wiadomości. Prusacy wczoraj cały zamek trzęśli, szukali po piwnicach, po strychach; hrabinie Brühlowej precz wyjeżdżać kazano. Mówią, że pochwycono człowieka co chciał struć króla pruskiego. Szukają jakiegoś sekretarza co z nim należał do spółki, jakoby ukrytego na zamku. Sądny dzień... a pan śpisz...

Usłyszawszy ostatnie wiadomości Masłowski, który wiedział trochę co się na zamku działo, bo się tam często jakoś podkradał ażeby czasem piękną baronównę zobaczyć, porwał się z łóżka jak oparzony i zaczął wołać aby mu do ubierania się podawano.

Pośpiesznie odział się, nie bardzo zważając co na siebie kładzie, a że zima była już bardzo ostra i mróz wielki, narzucił futerko, aby co prędzej biedz się dowiedzieć na zamek.

Z rana wprawdzie pruskie straże były pozdejmowane, stali znowu Szwajcarowie; napozór nie było nadzwyczajnej pilności około zamku: lecz dokoła spotykało się twarze i figury, ja-



kie się tu zwykle nie trafiały. Po ulicy Zamkowej i około katolickiego kościoła przechadzało się mnóstwo odartusów, których łatwo było posądzić, iż niedawno pruskie mundury pozrzucali. Nie doznał pan Ksawery żadnej przeszkody wchodząc na podwórze. We wnętrzu było spokojnie. Poszedł więc jak zwykle na wschody, ażali gdzie w korytarzu kogo znajomego lub baronówny nie spotka.

Była to godzina mszy ranniej, której królowa słuchała w małej kaplicy. Masłowski stanął tak, aby wracający dwór go nie minął. Jakoż wkrótce potem wyszła zakwiefiona królowa, a za nią hrabina Brühl i inne panie. Pepita zobaczywszy Masłowskiego zatrzymała się.

— Wiesz pan o wszystkiém?—spytała.

— Nic nie wiem, oprócz że coś się miało stać nieprzyjemnego. Na tę wieść przybiegłem.

— Simonisa szukają... cały zamek wczoraj przetrzęsiono.... Ocalić go potrzeba. Jabym na sumieniu miała jego nieszczęście, bom go wciągnęła, namówiła, skusiła. Ja go ocalić muszę! muszę!—powtórzyła baronówna z energią wielką.

Masłowski spojrzął.

— Czy mi pani ufasz?—spytał.

— Pytasz pan o to?—ruszyła ramionami.

— Jest on tu?

Pepita głową tylko odpowiedziała. Ksawery zamilkł posępnie, potarł czoło.

— W korytarzu naradzać się niepodobna—rzekł—chodźmy, jeśli pani pozwoli.

— Proszę! chodź, zmiłuj się! Myślałam o was, spodziewałam się jeszcze wczoraj.

— Ja nic nie wiedziałem.

Mówiąc tak weszli do pokoju frejliny.

Było to mieszkanie, do którego w zwykłe dni, nigdy sto-pa obca posunąć się nie mogła. Masłowski pierwszy raz przestępywał próg tych cichych pokojów, w których niewieścia dłoń z wdziękiem właściwym kobiécie rozłożyła wszystko. Nieśmiał się posunąć daleko od progu.

Pepita wskazała mu by szedł za nią. Zrzuciwszy z siebie zasłonę w której szła do kaplicy, stała przed nim w całym

blasku piękności, której smutek i znużenie dodawały uroku. Załamała ręce.

— Na miłość Bożą, radźcie!—szepnęła—lecz nie mieszajcie się wy, ażebym po raz wtóry nie miała na sumieniu ciężaru. Jego szukają, na niego czatują; chociaż go wczoraj nie znaleziono, są pewni że się tu znajduje.

— Najprzód o tém się przekonać potrzeba—rzekł Ksawery—wprawdzie około zamku kręci się mnóstwo ludzi, jakby z szubienicy oberwanych, ale ci może troskliwi są o co innego.

— W nocy go wyprowadzić trzeba—dodała Pepita.

— Najgorzej—przerwał Masłowski—nocą pewnie pilnować będą, w biały dzień najbezpieczniej.

Zamyślił się pan Ksawery.

— Bądź pani spokojną—rzekł—wyprowadzę go, znajdzie się na to jakiś środek. Lecz gdy go wyprowadzimy... cóż dalej? dokąd?....

Pepita oczy sobie zakryła.

Pomocnik jej tak już był sprawą tą zajęty, że zdawał się nawet gospodyni, dla której był z takim uwielbieniem, nie widzieć.

— Gdyby to nie było bardzo straszne—rzekł—jakiaby to było zabawne; z pod nosa Prusakom go wziąć i to w biały dzień.

— Jakże w dzień?

— Przebrać go najłatwiej, przecież na zamku znajdziemy w co.... Niechno mnie pani puści do barona Spörkena.

Ruszyła się Pepita, ale Masłowski ją wstrzymał.

— Przecież i po dachach jeśli zręczny, może doskonale dostać się na drugą stronę ulicy.

— Najłatwiejby go spostrzeżono. Co za myśl?

Masłowski z kolei najrozmaitsze podawał środki, ale jedne od drugich trudniejsze do wykonania. Wyczerpał cały swój zapas imaginacyi i stał trochę zmieszany.

— Bądź co bądź—dodał w końcu—jeżeli w tej chwili największa jest pilność, należy go przetrzymać, później mniej będą zwracać uwagi.

— Ale męczarnia tego człowieka!

Masłowski ramionami ruszył.

— Na to nie ma sposobu.

— Siedzi zamknięty w ciasnej i ciemnej kryjówce.

— Daj mi pani trochę czasu, namyślę się, coś zrobić musimy....

— Panie—składając ręce odezwało się dziewczę—zdejm mi z sumienia ten ciężar, całe moje życie wdzięczną ci będę. Myśl ta mnie dusi: jam winna.

— Trochę czasu, trochę czasu: bądź pani spokojną.

— Daję panu godzin.....

Masłowski uszy zatknął.

— Nie przyjmuję tego warunku, idę i nie wrócę aż coś wymyślę.

Wybiegłszy z pokoju baronówny, Masłowski wprost skierował się do bramy i już miał się wynknąć w ulicę, gdy z dwóch stron para ciężkich rąk uderzyła go po ramionach i uczuł się zatrzymanym. W mgnieniu oka ręce mu w tył zarzucono i pruski żołnierz zawołał: *Vorwärts!*

Napróżno Masłowski się wrywał i łajał, otoczono go i popychano. Gawiedź ta była najpewniejsza, że w młodym człowieku wzięła szukanego Simonisa. Tłum uliczny począł się natychmiast gromadzić, i z hałasem wielkim, ulicą Zamkową pchano go tak ku rynkowi. Masłowski zły był, choć zresztą nie obawiał się żadnych następstw groźnych. Uroczyście bardzo prowadzono go tak do komendanta, gdyż z każdym krokiem gromadziło się więcej ludzi. Przodem już pobiegł ktoś dać znać że Simonisa prowadzono. Wylich w rozpiętym mundurze wybiegł naprzeciw tak pożądanego gościa; spojrzął i z gniewu obie ręce podniósłszy z pięściami do góry, krzyczeńce począł.

Ci którzy wzięli Masłowskiego chcieli usprawiedliwić pomyłkę i obdartus jakiś na ucho coś bardzo żywo począł wskazując winowajcę, opowiadać Wylichowi, który się powoli uśmierzył. Wprowadzono go z rękami związanymi do izby komendanta, żołnierze się cofnęli, ale instygator pozostał. Zaczęło się badanie, na które bardzo spokojnie odpowiadał Masłowski, świadcząc się gospodynią swą i mnogimi znajomymi kto był.

— Ja wiem że ty nie jesteś Simonis—zawołał Wylich—ale sługa Brühlów, który do wszystkich intryg należał.

— Niczym sługą nie jestem—rzekł Ksawery—byłem dworzaniem ministra, a dzisiaj przez samo poszanowanie dla królowej i pozostałej rodziny mojego króla chodzę do zamku.

— Ty o wszystkim wiesz i ty mi musisz powiedzieć wszystko!—krzyknął Wylich—do więzienia! do więzienia!

Masłowski z początku się wymawiał, wspomniał o bilecie wydanym z rozkazu króla, o pochodzeniu, ale to nie pomagało nic. Wylich był zły i słuchać nie chciał, tupał nogami powtarzając do więzienia!

Szlachcicowi w końcu już się i tłumaczyć sprzykrzyło, odwrócił się milczący i dał prowadzić gdzie chciano. Izba do której go zamknięto nie dalej się znajdowała jak na odwachcie, a odwach naówczas w Brühlowskim pałacu. Była to więc doskonale znajoma panu Ksaweremu ciemna, sklepiona komnata, w której dawniej stróżę i pałacy w piecu przemieszkiwali.

Gdy go tu wepchnięto, znalazł się wśród kilkunastu ludzi pobranych za różne przewinienia, którzy tu losu swego czekali. Gawiedź była uliczna, obdarta, brudna, patrząca dziko, towarzystwo wcale nie przyjemne; lecz pan Masłowski, który nowicyat odbył w pruskiej niewoli, umiał się zgodzić z przeznaczeniem. Przyjęto go wejrzeniami nieufnemi i złośliwemi. Myślał że znajdzie może twarz jaką znajomą, lecz zrazu nie postrzegł nikogo. Pozarastałe zresztą w więzieniu brody, łachmany, sadze i brud, czyniły tych ludzi nie do poznania zmianami.

Ławy pod ścianami służyły za siedzenia; wiadro z wodą i czerpakiem do powszechnego użytku. Milczenie przymusowe panowało w izbie, przerywane tylko mruzeniem, które gdy się cokolwiek głośniejszém stawało, żołnierz stojący pod drzwiami wołał kaprala, a ten z laską wchodził i nie szukając winnego, grzmocił po plecach pierwszych z brzegu, co wpajało potrzebną solidarność gromadzie. Musieli się wszyscy wzajem pilnować aby hałasu nie było. Niektórzy palili coś naksztakt tytoniu, napełniającego izbę dymem wlokącym się pasmami do okna. Masłowski począł rozmyślać nad swym losem, gdy mężczyzna ogorzały, przygarbiony, z zawiązaną głową, w czapce naciśniętej na uszy, tak że twarzy jego prawie widać nie było, zbliżył się do niego. Stał nad nim, bo Ksawery przysiadł

był na rogu ławy, ręce w kieszenie włożył i patrzył długo. O ile twarzy z pod szmat otaczających ją widać było, zdawała się uśmiechać.

Masłowski popatrzał i nierychło poznał w nim stróża niegdyś pałacu Brühlowskiego, który był przed kilku laty wzięty z Warszawy. Zwano go Kondratem. Był to Dyogenes w swoim rodzaju: milczący, posłuszny, powolny, śmiejący się ze wszystkich, niepotrzebujący wiele, obojętny nawet na razy, i chodzący wśród najwytworniejszego dworu Brühlowskiego, w obdartym kozuchu lub płócienną odzieży, z rodzajem pogardy dla tych, którzy się na świecidełka zmagali.

Kondratem na dworze posługiwali się słudzy sług: on mył, wodę nosił, w piecu palił i robił to czego nikt się nie podjął. Lecz służba jego i swoboda pokazywania się w pałacu, kończyła się z brzaskiem. Gdy inni wstawali, Kondrat gdzieś się w dziurę zaszywał i spał. W nocy włóczył się po najpyszniejszych salonach, często z ironicznym uśmiechem brał w ręce kosztowne cacka, przyglądał się im i stawiał drwiąco na miejscu. Główną zaletą jego była nieposzlakowana wierność. W pokoju gry często znajdował walające się pieniądze, po salach balowych zgubione klejnoty: wszystko to zbierał starannie i oddawał jak najwierniej.

Jemu nad ciepły łachman, strawę, dziurę w której spał, i kieliszek wódki, nic więcej nie było potrzeba. Kondrat znał w pałacu nietylko ludzi wszystkich, ale wiedział tajemnice, stosunki, nocne wycieczki, grzechy powszednie i śmiertelne tej gromadki, która grzeszyła wiele i nie bardzo się nawet z tém kryła.

Obojętny dosyć widz patrzył, śmiał się, ramionami ruszał, a że języka ledwie urywanych wyrazów się nauczył, nie miał nawet przyjemności żółci swój wylać przed nikim, chyba przed którym z polskich paniczów, jak ich nazywał. Z Polakami dzieje się to zwykle, że doma buty mają do zbytku, ale zagranicą gdy swój język posłyszają, gotowi nawet takiego prostego chłopca uścisnąć. Tak przynajmniej dawniej bywało; Kondrat więc, jakkolwiek obdarte stróżysko, czasem się z paniczami włączał w rozmowę: Masłowskiego zaś szczególniej lubił.

Teraz z politowaniem jakimś patrzył na niego, ale zarazem twarz mu się, nawykła do szyderstwa, krzywiła ironicznie. Długo nie odzywał się nic. W końcu:

— No, a co? paniczu—rzekł—dobrze?

Ksawery spojrzał

— A ty tu dawno?

— Ja? a od rabunku. Ciąłem jednego po pysku i wsadzili, proszę panicza; a pan co?

— Ja nie zrobiłem nic, ot tak zachciało im się.

— A to wy tu nie wyżyjecie—rzekł Kondrat—ja to co innego, ale wy. U nas, z pozwoleniem, świnie lepiej karmią...

— Jużem ja próbował też w niewoli pruskiej i zgniętego chleba i żadnego.

— Długo?— spytał stróż—ja dwa dni, jak woda jest i jest się gdzie położyć, to wytrwam *przez* niezego....

— A ja też—rzekł Masłowski.

Kondrat głową pokręcił.

— To proszę panicza, na szlachcica dużo! to dużo!

Wśród tej rozmowy w obcym języku, co było Niemców słuchało ciekawie, co było Serbów z Łużyc, którzy gdzieniegdzie słowo chwyтали, uśmiechało się niby braterskim dźwiękom mowy. Ale Kondrat już dłużej nie chciał gawędzić, zamyślił się posepnie. Masłowskiemu zdawało się że go puszcza po kilku godzinach, ale nie przyszedł nikt. Rozdano chleb komisowy, posłano po wodę naostatek i jakiś polówki w kociołku dali. Szlachcic chleb swój wziął, jeść mu się nie chciało. Kondrat swój osolił dobywszy z węzełka soli i począł zajadać z wielkim apetytem.

Jedzenie gwar zwiększyło, kapral z kijem wszedł i uci-chło wszystko. Stróż, ponieważ miejsca nie było na ławie, padł na ziemię niedaleko od Masłowskiego.

Inni też jako tako podjadłszy, gdzie kto mógł, na podłodze próbowali spać, aby czas prędzej przeszedł. Gdy się uci-szyło, Kondrat pochylił się do ucha Masłowskiemu.

— Gdybym ja chciał, uciekłbym; a co mnie z tego?

— Jakim sposobem?— spytał Ksawery.

— E! bestye te nocą śpią jak zabite, a tu były w murze drzwi, które ja sam pomagałem w jedną cegłę zakładać. Jak-by podłubał trochę, dziuręby zrobić łatwo.

— Gdzie one wychodzą?—zapytał Masłowski.

— Do pustej sieni, no z sieni do ogrodu i po wszystkim...

— A straż?

— Od ogrodu ich nie ma. Ale niewarto pod zimę na mróz uciekać—dodał Kondrat—niechajno....

Ta wiadomość poruszyła mocno Ksawerego.

— Jedną noc przetrwam—rzekł w duchu—a drugiej wybiję mur.

Do wieczora nie zgłosił się nikt, nie spytał. Masłowskiemu zaczynało być bardzo nudno; przyponniawszy sobie jednak położenie Simonisa, wołał jeszcze swoje.

Noc przeszła na czuwaniu i słuchaniu chrapań i krzyków tej cizby, której niespokojne sumienie odzywało się przez sen. Kondrat przespał na podłodze jakby w najwyśmienitszej postaci. Powoli zaczął się zimowy dzień robić i w pałacu ruch się wszczął niezwykły.

— Coś te dyabły robią—rzekł stróż—albo pałac uprzętają albo go do reszty burzą.

Odedrzwi więźniowie coś pochwyciwszy z korytarza, mówili że pałac dla króla sztyftują.

W istocie tak było podobno.

Około dziesiątej od komendanta przyszedł oficerzyna i zwołał pana Masłowskiego. Uwolniono go, nie mówiąc ani dlaczego, ani z czyjej łaski. Oficer mu tylko zapowiedział ażeby sobie z Drezna się wynosił.

Z równą prawie obojętnością jak się dał zamknąć, wyszedł Masłowski wsunawszy coś w dłoń Kondratowi, który pozostał tak spokojnie, jakby mu to zupełnie było jedno. Niespokój o Simonisa, chęć widzenia baronówny, skłoniły go, ledwie nieco otrząsłszy się i obmywszy, pobiedz do zamku. Bez pozwolenia tym razem poszedł wprost do pokoju Pepity. Nie było jej tutaj i młoda służąca tylko, której narzeczonego zabrali Prusacy, siedziała płacząc u okna. Masłowski poprosił jej by pani o nim oznajmiła.

W kilka minut nadbiegła rozpromieniona Pepita.

— Podziękuj mi pan—rzekła—gdybym nie uwolniła go, siedziałbyś do końca wojny.

Masłowskiemu tego tylko było potrzeba, ażeby rękę pięknej panny pochwycić i serdecznie spojrzeć jój w oczy.

— Jakim sposobem?—spytał.

— Przez stryjenkę moją, którą Prusacy szanują—żywo odpowiedziała Pepita, obejrzała się na siedzącą sługę i dodała cicho:—Gdybym tak mogła....

Wzrok jój dopowiedział, że Simonis jeszcze na zamku pozostał.

— Kiedy wyjeżdża hrabina Brühlowa?—spytał.

— Prędko, prędko; ale nie prędzěj aż.... rozumiesz mnie pan.

Masłowski musiał się domyślcć, że szło o zabranie Simonisa.

Więzienie nietylko mu nie odebrało odwagi, ale go uczyniło zuchwalszym. Dał znak pięknej pannice, aby z nim wyszła na korytarz.

— Nie ma co zwlekać—odezwał się—król Fryderyk ma przybyć do Drezna, naówczas wszystko się stanie trudniejszym. Podejrzliwy, zgryźliwy, mieszający się do wszystkiego, kto wie do czego się może rzucić. Ja biorę na siebie, że Simonisa wyprowadzę; dajcie mi go tylko: przebiorę, uczernię go, zbrukam, zabiorę do siebie i albo oba zginiemy lub ucieczemy.

Baronówna zaprowadziła go do Spörkena, który rad był pozbyć się i odpowiedzialności i więźnia. Zgodził się na wszystko. Poszli więc razem do pustej sali i pozamykawszy drzwi, wyciągnęli Simonisa z kryjówki. Miał on tu i posłanie i jedzenie, zdaje się że nawet dodając mu odwagi, odwiedzała go hrabina Brühlowa; jednak gdy się wydobył na światło dzienne, ledwie na nogach się mógł utrzymać. Kręciło mu się w głowie, blady był jak trup.

Z sali przez cały szereg pokojów, przeszli pocichu do gabinetu, w którym Masłowski zajął się przebraniem Simonisa. Generał sam dostarczył łachmanów, sadzy komin, a inwencji Masłowskiego żywa wyobraźnia. Szklanka wina orzeźwiła drżącego. Rozpuściwszy mu włosy i obmywszy je z pudru, uczerniwszy twarz, okrywszy go łachmanami, zdawało się Masłowskiemu że dokazał arcydzieła. Simonis posłuszny jak dziecko, robił co mu kazano.

Sznur i wiązka drew na plecach, służyć miały do dopełnienia tój maskarady, która się tragicznie skończyć mogła. Spörken namówił Simonisa, aby za siermięgę wziął pugiuał i w razie gdyby go kto chciał pochwycić, bronił się nim a uciekał.

Masłowski iść miał nieco przodem, tak aby go z oczów nie tracić. Wszystko było jak najlepiej ułożoném i zdawało się niepodobieństwem ażeby Simonisa pod tą postacią poznać miano; brakło tylko jednój rzeczy: przytomności i męztwa. Szwajcar znuzony więzieniem, osłabły od nieustannego strachu, gdy miał wyjść za próg, tracił męztwo i wypraszał się do zmroku. Napróžno Masłowski starał się mu tłumaczyć, iż właśnie naówczas strażę najczujniejsze były.

Naostatek gdy już z niego sztydzić zaczynano, Simonis ruszył się nareszcie w korytarze puste. Masłowski zbiegł drugimi wschodami. Spörken ukryty w oknie, zdaleka miał mieć oko na cały przebieg tój niebezpiecznej próby.

Dziwnym trafem, w chwili właśnie, gdy Simonis z bijącym sercem wychodził w podwórzec zamkowy, rozmierzając oczyma dosyć znaczną przestrzeń, która go dzieliła od wrót, ulicy i swobody; na Kreuz-Kirche, Frauen-Kirche i w innych kościołach uderzono gwałtownie we dzwony.

Król Fryderyk w swoim starym płaszczu, na Brühlu wjeżdżał do miasta; tym razem, chcąc być zamku bliżej, nie do pałacu Moszyńskich, ale do Brühla pałacu jadąc prosto, gdzie sobie kazał wyprządzić mieszkanie.

Simonis usłyszawszy dzwony, nagle zadrżał; nogi mu zadygotały, nie wiedział co to znaczyć miało: zatrzymał się jakby zapomniiał w którą ma się kierować stronę.

Była to właśnie dla niego chwila najpomyślniejsza, bo żołnierstwo wybiegało do bram w ulicę Zamkową w nadziei, że tam króla zobaczy; w drugich wrotach został jeden żołnierz roztarguiony. Simonisowi wszakże dwoiło się w oczach, widział niebezpieczeństwo, nie pojmował tego składu pomyślnego okoliczności. Masłowski już stał w bramie i sobą napróžno zasłaniał żołnierzowi drogę, aby przekradającego się nie mógł zobaczyć. Simonis stał. Spörken, który na to patrzył za oknem, ręce łamał i kłął niezdarnego awanturnika. Tak drogi

już moment pierwszy został stracony. Dzwony były ciągle zapamiętane.

Superintendent Am Ende, który w kilka dni potem miał króla-filozofa uczeństować predyktem, do którego użył za godło *Suum cuique*, witał właśnie Fryderyka w rynku. W mieście panowała wrzawa dochodząca aż tutaj, Simonis wreszcie oprzytomniał i widząc że nikt nań nie patrzy, nikt się go nie czepia, począł iść ku bramie.

Szczęściem to było w istocie, iż nikt nie miał czasu nań spojrzeć, tak źle grał swą rolę starego stróża, przygarbionego pod wiązką drew niesioną do domu. Biegł zbyt żywo, prostował się, stawał, zdradzał niepokój i niepewność siebie.

Ale żołnierz właśnie patrzył w ulicę, a Masłowski ciągle służył za parawan, gdy naostatek Simonis szybko się z bramy w ulicę wychylił. Tu mu sił zabrakło, musiał się oprzeć o ścianę.

Masłowski odetchnął wolniej.

Wkrótce potem przebrany biędak wywłókł się po za kościół; Ksawery poszedł za nim.

Do mieszkania jego trzeba było iść przed pałacem Brühla, przed którym stał właśnie batalion piechoty i gdzie się króla spodziewano. Obawiając się aby nieprzytomny Simonis nie rzucił się na oślep, Masłowski mijając go musiał mu szepnąć:

— Za bramę, nad Elbę... i naokoło do mnie... czekam na was....

Iść razem nie było podobna, tu zresztą Simonis nie zwracał już niczyjéj uwagi i mógł się łatwo w tłum wmieszać, którego było wszędzie pełno.

Jakkolwiek lud był może przywiązany do dynastyi, dwa takie panowania jak Augusta Mocnego i Słabego, nie mogły przejść bez skutku. Na kilkuset ludzi co się rozrzutnością dworu żywili i zbogacali, miliony cierpiały pod uciskiem niesłychanym. Podatki były ogromne, a obchodzenie się z krajem surowe. Szlachta miejscowa kilka razy chciała u stóp tronu złożyć najpoddanniejsze prośby, ale Brühl ich nie dopuścił. Lękano się jéj i zastąpiono cudzoziemcami. Cały kraj oprócz tego był protestanckim i fanatycznie do reformy przywiązany, która na dworze cierpianą była, gdy katolicyzm doznawał opie-

ki czynnej i krzewił się coraz więcej. Widziano w Fryderyku, który wprawdzie przynosił wojnę, kontrybucye, kwaterunek, werbowanie przymusowe, monarchę protestanckiego i opiekuna kościoła. Część więc znaczna ludności zwracała ku niemu oczy. Król który w Berlinie nigdy prawie, oprócz obrzędów uroczystych i przymusowych, nie bywał w kościele, w Dreźnie gotów był nawet kazać słuchać cierpliwie.

Pochód przez miasto pod oknami zamku, pod oczyma królowej i jej rodziny, umieszczenie się o kilkadziesiąt kroków od rezydencji, mogło uchodzić za brawadę, i było nią zapewne w istocie, bo pałac Brühla zniszczony zupełnie, ani wygodnym, ani przyjemnym być nie mógł.

Simonis unikając kup które się tu gromadziły, wyszedł zaraz za bramę i spuścił się małą ścieżyną po pod samemi murami, która stała całkiem pustą. Gdy Elba wzbierała, rzeka niekiedy podchodziła pod stare ściany twierdzy; teraz pomiędzy niemi a rzeką była dróżka, która prowadziła na przedmieścia zamieszkałe przez rybaków. Tu Simonis już był prawie bezpiecznym. Pomimo głodu, czuł pot na czole; otarł go, sparł się o mur i stał długo, odzyskując z wolna trochę odwagi i energii. Lecz nie był to już ten sam człowiek, który się niedawno ważył na wszystko.

Przedłużona trwoga ciągłego oczekiwania wyczerpała siły i ochotę do czegokolwiekby, oprócz ocalenia życia. Myślał znowu z tęsknotą o Bernie, o siostrze, i byłby przyjął ubóstwo wieczne, byle z nad jego karku ustąpił ten miecz Damoklesa.

Szubienica, koło, rwanie końmi, ćwiertowanie, wszystko to z kolei przychodziło mu na myśl. Hrabina Brühlowa, wielkość przyszła, dostojność, bogactwo, czemże były, położone na szali obok takiego sromotnego końca. Długo stał Simonis, nim się opamiętał znowu i powłókł dalej. Rozgorączkowanie myśli, to chwilowo usunięte niebezpieczeństwo, dozwoliły mu zapomnieć iż powinien był pozostać zgarbionym włóczęgą w łachmanach. Naprzód wiązkę drew rzucił pod murem, potem trąc czoło i twarz oczyścił ją w części z sadzy i umyślnego brudu; naostatek rozprostował się i zwykłym krokiem począł iść nad Elbę.

Tu już naówczas stało kilka letnich domków i mieszkań w ogrodach zajmowanych przez zamożniejszych dworaków. Simonis zapomniał lub nie wiedział, że i wuj Ammon miał tu małą posiadłość. Przypuszczać zresztą było trudno, ażeby ją w tej porze zimowej mógł odwiedzać. Lecz są ludzie stworzeni do tego, ażeby im się nie wiodło.

Troskliwy o swój opuszczony domek, powracał właśnie stary Ammon pieszo spiesząc do miasta, usłyszawszy dzwony zwiastujące króla przybycie; gdy na drodze oko w oko, niemal go potrąciwszy, spotkał się z Simonisem. Oba stanęli osłupieli. Ammon wiedział od Wylicha o swoim kuzynie i jego zdradzie, wypierał się go z całych sił; gdy w tém dziwném przebraniu zjawił mu się przed oczyma. W pierwszej chwili zawahał się z poznaniem, Simonis też chciał niedając czasu do rozmysłu uciekać, gdy Ammon się rzucił na niego.

— Stój! ty trutniu, przechero jakiś! lajdaku! stój.—I pochwylił go za ramię.

— Czy waćpan chcesz mnie wydać?—zawołał Simonis obejrawszy się że na drodze nie było nikogo.

— Co ty tu... co ty tu śmiesz robić? jak? .—Ammonowi wyrazów nie starczyło:—ty jakiś.... mów!...

— Chcesz mnie wydać?—powtórzył Simonis—tego tylko brakło.

— Mam cię przechować? ty niepocziwy, którego się wyparłem; ty zbroju—wołał Ammon—mam dla ciebie szyć poświęcić?

— Puście mnie tylko, nie chcę więcej nic.

— Tak, idź, idź na złamanie karku; patrz—odwrócił się stary—Elba o dziesięć kroków; wiesz co masz najlepszego do zrobienia? idź, utop się; idź...

I pchnął go z całej siły; uszedł potem kroków kilka, gorączkowo począł szukać po kieszeniach, wyciągnął zieloną sakiewkę, wysypał z niej ręką drżącą co było i rzucił stojącemu Simonisowi, nieodwracając głowy, puścił się ku miastu.

Max wyczekał trochę, i kołując poszedł szukać mieszkania Masłowskiego, który nań oddawna czatować musiał: nie łatwo przyszło mu je znaleźć po dosyć długiej włóczędze.

Ksawery nie chcąc aby widziano przybywającego, wszystkich powyprawiał z domu; sam z za drzwi wyglądał w ulicę:

syknał i dał znak a Simonis wbiegł co prędkiej. Na górze czekały go suknie, spoczynek i jedzenie którego nie skosztował. Zaledwie zrzuciwszy z siebie brudną odzież, którą Maśłowski wepchnął do palącego się pieca, Simonis padł na łóżko i omdlał.

IX.

Ktoby był widział pięknego dnia zimowego powozy i dwór króla Augusta III wracające z łowów i zdążające o słońca zachodzie ku Warszawie, wspaniałe ubiory łowczych i myśliwców, piękne cugi, kosztowne futra, dwór od złota i srebra świecący, pióra nad kapeluszami, wstęgi, aksamity, dywydki bogate któremi wierzchowce pokryte były, nie domyśliłby się wcale, że panu temu dziedziczne jego kraje zajmował sąsiad, że mu całą młodzież do wojska pędził, sekwestrował dochody i w stolicy jego gospodarował jak w domu, z tą jednak różnicą, że domu się zawsze oszczędza, a cudziej stolicy jak najmniej.

Lecz dzięki geniuszowi Brühla, fałszywe pojęcia o stanie spraw politycznych Europy nie miały przystępu do ucha Augusta; wiedział on że za jego sprawę biło się siedemkroć sto tysięcy sprzymierzeńców, że lada godzina będzie mógł swobodnie powrócić polować w lasach Hubertsburgskich, i słuchać opery w Dreźnie.

Brühl nieustannie powtarzał królowi iż się niczego obawiać nie było potrzeby, w Polsce miał schronienie bezpieczne, szkody zaś poczynione w Saksonii łatwo było odzyskać przyłączeniem od Prus obszernych prowincyi. Co zaś najwięcej bawiło i radowało poczciwego króla, to że nawet raz udało mu się Fryderyka oszukać wybornie.

W czasie tego nieszczęśliwego pochwycenia wojsk saskich w obozie pod Pirną, gdy nawet ocalenia gwardyj utargować nie mógł Rutowski, przyczał się tak zręcznie Brühl, iż wszyscy niby zapomnieli o najpiękniejszych czterech pułkach Saskich stojących w Polsce. Te pułki przez Morawią, pociągnęły pochichu w pomoc Austryakom.

Król ile razy sobie tę wyborną przypomniał sztuczkę, śmiał się patrząc na Brühla i mówił:

— A co Brühl, moje cztery pułki? ha?

Brühl uśmiechał się także, a August odpowiadał mu jeszcze raz śmiechem. To pewna że nie tyle go martwiła strata całej armii, ile cieszyło wykradzenie tych czterech pułków. Równie tryumfował z tego że wywiózł z sobą Magdalenę Corregia, i Fryderykowi zostawił Battoniego, która jak dla takiego znawcy, jeszcze była arcydziełem.

Naostatek jakkolwiek Warszawy do Drezna naówczas porównywać nie było podobna, ale założono i tu zwierzyńiec do strzelania napędzonej dziczyzny, psów było dosyć do wprawy w celowanie, gdy na pole się ciągnąć nie chciało, saski pałac mieścił z biedy dwór i królowi samemu starczył, teatr zaś z niedobitków drezdeńskich i muzyką nadworną, wcale nie zły złożyć się udało.

Ile razy solo fletowe przychodziło w czasie koncertu, król zwracał się do Brühla i szeptał mu na ucho :

— On tak nie zagra!

Ten *on* oznaczał Fryderyka, który w tej chwili zapomniawszy o flecie wygrywał na Saskich grzbietach, koncert wcale nie harmonijny.

Tu z Warszawskiego punktu widzenia, cała wojna i przyszłe rozwiązanie tego dramatu nieszczęśliwego wydawały się tak jasno, tak nieochybnie tryumfalną sceną, iż król August, który z Koenigstein wyruszył był markotny, wzdychający, zamysłony, odzyskał powoli pogodę umysłu zwykłą i wszystkie obyczaje szczęśliwego człowieka.

Zachciewało mu się czasem czegoś z Drezna, ze zwierzyńców, z galeryj, ale Brühl który o sobie dla pana zapominał, umiał zawsze w zastępstwie tego co brakło, wyszukać coś co pana uspokoiło.

Jedno tylko dobrego króla martwiło, gdy mu minister, co się cały dlań poświęcił, opowiadał o poniesionych stratach, zrabowanym pałacu, popalonych zamkach, potłuczonej porcelanie, zbezczeszczonej garderobie.

Naówczas wzdychał król i nazajutrz sypał starostwami, jakie miał do rozporządzenia, ażeby choć w części te ofiary biednemu człowiekowi wynagrodzić.

Życie w Warszawie mało co było odmiennem od drezdeńskiego, tu tylko na pokojach częściej się spotykało wygolone

głowy i szable, których właściciele tak się nauczyli nisko kłaniać i w rękę całować króla J. Mości, jak gdyby byli rodowitami Sasami. Nie przeszkadzało to do rwania sejmów, ale któż może odgadnąć jedną wichrowatą czuprynę, wśród kilkuset? I tu król był obwarowany strażą z zaufanych ludzi złożoną, aby nikt mu się nie podkradł z niepotrzebnymi wiadomościami. Brühl czuwał nad tém, ażeby z pola wojny przychodzące doniesienia zredagowane były zawsze tak umiejętnie, by wszelka klęska wydawała się zwycięstwem, a najmniejszy szarmycel pomyslną wygraną, walną bitwą.

Zbierano też starannie wszystkie anegdoki o Fryderyku, które go w śmieszność podać mogły.

Brühl utrzymywał Augusta w tém przekonaniu, iż lada godzina skończy się to wszystko stłuczeniem na miazgę nieprzyjaciela. Czasem bardzo znudzony król zapytywał:

— A co?

— Wszystko jak najlepiej, N. Panie—odpowiadał minister.—Francuzi już idą, armia rossyjska już wyszła, Szwedzi w drodze, Austriacy wszędzie górą. Lada dzień katastrofa...

— Żeby go żywcem wziąć! a! żeby go żywcem wziąć!
—mówił król.

— Tego się niechybnie spodziewamy N. Panie—odpowiadał niezmiuszany Brühl—już dwa czy trzy razy o mały włos....

— O włos!—powtarzał August—ale zawsze ten włos!

Z Drezna wiadomości dochodziły nieustanne, Brühl kierował sekretną administracją hr. Loss, Globiega i Stammera, dawał instrukcje Hennikemu, ciągnął nawet pieniądze, o ile obok wyciąganych przez króla Fryderyka, dało się bocznymi drogami wydobyć; lecz z tego co przychodziło ze stolicy, robiono na użytek króla wybór troskliwy, aby o tém co niepotrzeba nie wiedział. Zrana przychodził Brühl zapytać o zdrowie i rozkazy, później wpuszczał wybranych przez siebie, podpisywano papiery, przychodziły na stół sprawy polskie, a po nich obiad wykwintny. Król rozbierał się do koszuli po tém znuzeniu, zapalał fajkę, a osoby które wpuszczano były starannie dobierane, poufale, potrzebne koniecznie lub zabawne. Niekiedy trafiał się obraz albo do nabycia lub przez

którego z panów polskich ofiarowany. Stawiano go na staludze, a król wzdychał nad galeryą od której był oddalony. Troszczył się najwięcej o Madonę Rafaela, którą się pysznił, dla której gdy ją przywieziono, tron z sali kazał usunąć, aby wielkiemu mistrzowi zrobić miejsce.—Któż wie?—mawiał—lada głupia kula austryacka może świat pozabawić arcydzieła !!

Jeżeli był teatr około czwartej lub piątej, szedł król na operę, albo na koncert, albo jechał do Mokotowa, lub na Bielany na małe łowy. Wieczorem kładziono pod pałacem zwykle zdechłego konia, do którego schodziły się psy; król do nich strzelał z altany, zawsze z tą oględnością, aby ich nie zabijać tylko ranić, boby mogło ich w końcu zabraknąć. Strzelał zaś tak wprawnie, iż zwykle mawiał do Brühla:

— Brühl, prawa łapa...

I prawa łapa była strzaskana.

Minister prawie tak doskonale strzelał jak August III, ale rozumiał to że mu gorzej zawsze wypadało celować i niekiedy chybiać.

Inne też rozrywki dwór bawiły: puszczano się kuligiem, bywały ognie sztuczne misterne, popisywali się wędrowni wirtuozowie, i opera na małą skalę przypominała Ecjuszów, Titusów, Aleksandrów drezdeńskich. Niestety, Faustyny tu nie było, a żadna jej zastąpić nie mogła. Na wspomnienie divy, król się zamyslał, nie mówił nic, oczy wlepił w ścianę; czuć było że w kontemplacyi ducha cześć oddawał jej obrazowi przytomnemu wyobraźni.

Dnia tego kalwakata która była wyruszyła ku Bielanom, szczególnym trafem już na przedmieściach Warszawy napotkała drugą.

Łatwo było poznać w tym szeregu powozów zmęczonemi pocztowemi zaprzężonych końmi, drezdeńskie ekwipaże dworu; król który w odkrytym jechał, odwrócił się do tuż towarzyszącego mu Brühla, ręką wskazał i zawołał:

— Brühl, otóż masz! a to co?

Minister właśnie poznał był żonę swoją i dwór jej.

— N. Paniel!—zawołał—żona moja... Sama nam przywozi ważne wiadomości z Drezna.

Król milczącym, wdzięcznym ukłonem pozdrowił wyglądającą panią. Uwolniony dla rozporządzenia umieszczeniem hrabinę, Brühl pojechał za nią, a król do pałacu. Dobre pół godziny upłynęło nim minister na którego niecierpliwie oczekiwano, zjawił się w pokoju króla.

Zobaczywszy go powstał August III i spojrzął mu w oczy.

Brühl jak zwykle przychodził z twarzą jasną.

— Królowa? jak się ma królowa?

— W zupełnym, w najlepszym zdrowiu. Są od N. Pani listy i od księcia kurfirsta, które żona moja chce mieć zaszczyt sama złożyć w ręce W. Kr. Mości.

— *Sehr angenehm* — szepnął król — bardzo mi będzie przyjemnie.

— Z wiadomości — dodał Brühl — ta tylko ważna, iż Fryderyk o mało nie zginął.

— A! jakim sposobem.

— Kamerdyner Glasau chciał go otruć w czekoladzie!

Król ręce podniósł do góry.

— Ale pies wypił truciznę.

Nastąpiło wątpliwe głowy rozkołysanie.

— Z tego powodu, — mówił Brühl — posądzono mnóstwo osób w Dreźnie, chciano więzić, więziono nawet. Odkryto zdradę sekretarza gabinetowego...

Słuchał z uwagą król, ale nie mówił nic.

— Szczególną niechęć zwrócił Fryderyk ku żonie mojej, czując w niej nieprzyjaciela i dlatego ona oddalić się wolała.

— Zapewne — dodał król — tak lepiej.

Jeszcze raz zapytał o królową August i przeszedł się zamysłony; zwrócił potem nagle do Brühla:

— W bażantarni? w zwierzyńcu...

— Wszystko całe, na mnie spada zemsta jego: pała i niszcza.

— Ale ja ci to nagrodzę — odparł król — zobaczysz, niech się to tylko raz skończy. Pałac trzeba żebyś sobie budował tutaj, zda się.

— Z łaski W. Kr. Mości.

— Ja ci na to dam. Są pieniądze?

— Są, N. Panie.

Zadumał się król, na tém się skończyło.

Za panią Brühlową przybył cały jój dwór. W chwili wyjazdu pomnożył się on niespodzianie rozkazem gabinetowym króla, który oprócz hrabiny skazywał na opuszczenie stolicy baronównę Nostitz, jako zbyt czynną w zamkowych intrygach. Generał Spörken ledwie się potrafił utrzymać.

Simonis ocalony i wyprawiony przodem do Wrocławia, tu się połączył z dworem Brühlowej, do którego Masłowski należał. Zmienił tylko Kawaler Max de Simonis nazwisko swe na Henryka Ammona, i pod tém zjawił się w Warszawie.

Któż odmaluje radość, zapał, szalł niemal, z jakim pan Ksawery, podrzucając czapkę do góry, powitał stolicę i dźwięk mowy, której był spragniony. Działo to nań tak, że zaraz za Wrocławiem zaczepiał wszystkich kogo spotkał i gęba mu się nie zamykała.

Wesołość ta często zbyt uczynna wyrażała się dziwnie, żartami niekiedy bolesnemi, z Simonisa, który jechał przybity, mileżący i w ogóle zmieniony bardzo.

Do powozu też w którym siedziała baronówna przypadał nieustannie, aby ją bawić, bo była smutną i zapewnić że po Saxonii płakać nie będzie miała powodu.

Masłowski, który w ostatnich czasach postradał był wiele dawniej wesołości i swobody umysłu, odzyskał je w granicach Rzeczypospolitej. Trafilo się też, że na drugi dzień w podróży spotkali na drodze pielgrzymującego z właściwym sobie stoicyzmem, pomalutku Kondrata. Skorzystał on z zamętu jaki w czasie przybycia Fryderyka panował, by się wysliznąć z więzienia.

Nie tłumaczył się jak tego dokazał, nie przyznawał czy cegłę wyjął ze ściany; dosyć że wolny, goły, mało odziany, o zebraczym chlebie, ciągnął się tak ku domowi, gdy go Masłowski poznał i na furgon wsadził. Karmiono go chętnie, bo służbie był użytecznym, a byli to jego dawni znajomi.

Jedna rzecz truła panu Ksaweremu powrót do domu, myśl o surowym ojcu o panu stolniku, w razie gdyby odkrył, dowiedział się lub domyślił że syn w niemce się zakochał; tak

było w istocie. Nie ulegało już najmniejszej wątpliwości, iż pan Masłowski głowę stracił, a było wielkie prawdopodobieństwo do tego że baronówna serce mu oddała. Hrabina Brühlowa której oczu przenikliwych ujść nie mógł stosunek tego rodzaju, i która zwykła się go była domyślać nawet tam gdzie nie był, uśmiechała się z politowaniem. Probowwała nawet parę razy, małą uczynić dywersją bałamucąc potrosze Masłowskiego; lecz wprędce postrzegła że do galanteryi tego rodzaju polak nie był wcale zdatny...

Zakochany, zbyt się oddawał pani swych myśli, ażeby mu na epizody starczyło czasu. Simonis zaś, który był w łaskach pani, od ostatnich wypadków wiele w oczach jej utracił. Litowała się nad nim, i znajdowała go zbyt mało rycerskim, nadto lękającym się dramatycznych scen i t. p. Tylko zasługa jego i poświęcenie ratowały od niełaski i zapomnienia. Simonis jechał z pewnością otrzymania posady sekretarza i dalszej świetnej krescytywy.

Najsmutniejszą ze wszystkich była baronówna, którą losy jej kraju obchodziły żywo. Przywiązana była do królowej, litowała się nad jej losem, tęskno jej było zdala, próżno dowiadywać się tylko o tem w czemby była uczestniczyć pragnęła. Przewidując klęski, chmurna, zmuszona, jechała za hrabiną, a jeżeli się kiedy uśmiechnęła Masłowskiemu, to na jedno mgnienie oka. Chmury wracały na czoło, łyż na powieki, tęsknota do serca.

Masłowski zagadywał, ona powtarzała ciągle:

— Powiedz, co się tam dzieje?

Pan Ksawery ledwie wysiadł, zaledwie się wyciągnął, gdy nadchodzący minister zobaczywszy go, zawołał doń:

— Stolnik jest w Warszawie.

Chciał pytać Masłowski gdzie go miał szukać, ale Brühl, któremu było pilno, wszedł do pokojów hrabiny. Złożywszy swe węzłki i zdawszy je służbie, pan Ksawery ani chwili się nie namyślał; trzeba mu było natychmiast pójść, paść do nóg ojcowskich: stolnikby mu nie przebaczył opóźnienia.

A serce też, mimo strachu, biło mu do tego ojca, który surowym był, zapalezywym, lecz dziecko kochał, i choć się z tem krył dla utrzymania powagi, zdradzał nieustannie.

Pan stolnik Masłowski z Chełmskiego, był jak Brühl mówił jego przyjacielem, jak on sam powiadał, sługą J. Excelencyi. Ksawery wybiegł na ulicę, rachując na Opatrzność iż mu kogoś o mieszkaniu stolnika wiedzącego dostarczy. Każdego spotkanego szlachcica przy karabeli, zdejmując czapkę zapytywał:

— Za pozwoleniem waćpana dobrodzieja, nie mógłby mi pan powiedzieć gdzie mieszka stolnik Masłowski?

Jedni odpowiadali grzecznie, grubiańsko drudzy: „Na końcu języka,“ albo: „kto go tam zna?“ Inni radzili udać się w to lub w inne miejsce na zwiady. Ksawery szedł zmordowany i już zły, gdy zobaczył dobrze znajomego Maćka fornala ojcowskiego, na małej taczce, z wielką biedą popychającego beczułkę, oczywiście pełną, bo sobie ledwie z nią mógł dać radę. Maciek miał głowę spuszczoną, zasapany był i spocony, mimo chłodu.

— Stój, Maciek! na rany Chrystusowe!—zawoła—gdzie ojciec?

Przestraszonemu apostrofą chłopcu taczka z rąk wypadła i o mało się beczułka z nięj nie stoczyła.

— O Jezu miłosierny! taż to panicz! A co pan Zdrowsiek na waszą zmówił intencyą, a jakie u nas paskudne chodziły wieści!

I począł go ścisnąć za kolana.

— Chwałaż Bogu żem cię spotkał—zawołał Ksawery—Ojciec zdrów?

— A! dzięki Bogu, jako tako.

— Cóż to wieziesz?

— Rozumie się, wino proszę panicza; trzeci dzień u nas piją—rzekł Maciek—na zabój. Coś to tam, jakaś sejmowa sprawa, wino idzie słysze na rachunek ministra. Pan stolnik, jako gospodarz, wody sobie potrosze dolewa, aby trzeźwym być, ale nie bez tego żeby też nie był pod hełmem, a co drudzy, paniczu, jak sztofny! Z daleka słyhać jak wrzeszcza.

Ksaweremu zrobiło się markotno trochę.

— A gdzież stoicie?

— Na Pocijewowie, proszę panicza: najął pan stolnik pięć pokoi. We trzech już leżą jak kłody, ci którzy mają do syta; ano co się wytrzeźwi który, to mu dolewają.

Nie pytając o więcej, poszedł pan Ksawery. Dostali się z chłopcem na podwórze w Pocięjowie, pełne sani, wozów, czeladzi, żydów, wrzawy i wszelkiego motłochu. W kącie kuglarz pokazywał sztuki z gałkami i kubkami, gawiedź mu się przypatrywała, a filuci powoli robili rewizyą po kieszeniach. Hałas w dziedzińcu i w gmachu był ogromny, trzeba było nawyknąć do niego, aby znieść. Ztąd już chór podpilój szlachty słyhać było na górze, a w oknach, choć jeszcze za dnia, już zapalone były światła. Nie potrzebował dalej przewodnika pan Ksawery: wrzawa i śpiewy go prowadziły.

Podszedłszy podedrzwi, poprawił ubrania, zdjął kapelusz, przeżegnał się, gdyż przystąpić do ojca nie mógł nigdy bez obawy, i uchyliwszy drzwi wszedł do ogromnej izby, w pośrodku której właśnie, z kielichami podniesionymi do góry, stojący przyjaciele pana stolnika, ryczeli ochryplemi głosami pieśń znaną:

To pan, to pan, to dobrodziej nasz;

A my jego sładzy:

Pijmy jako drudzy!

Jeden potężny głos basowy szczególnie się odznaczał. Posiadacz jego siedział na ławie, obie ręce do ust w trąbę złożone przystawiwszy, wył aż mu oczy na wierzch się wydobywały, a twarz karmazynem oblewała.

Zapach wina, jada, świec, butów szlacheckich z lekka dziegiem dzyngowanych, najrozmaitszych woni, chwycił za nos przybylca, który u progu zatrzymał się pokornie, kroku dalej ruszyć nie śmiejąc.

Na przedzie stał pan stolnik Masłowski, olbrzymia figura, z brzuchem potężnym, z którego pas był opadł nisko, tak nisko, iż lękać się było można, aby się na ziemię nie zsunął.

Piękny to musiał być niegdyś mężczyzna, ale życie do rozrostu niepomiernego budząc ciało, zatarło szlachetne formy pierwotne. Głowa tylko wysoko podgolona z wąsem, z podbródkami, z oczyma niebieskimi napół przysłoniętymi, miała wyraz rozpojonego Sardanapala. Znać w niej było krew bujną, starą, rycerską, a zarazem już okielznaną dworactwem i nałogami.

Jedną ręką trzymał się w bok, przy karabeli, której nigdy nie odpasywał, którą u stołu kładł przy sobie, a nocą przy poduszkach; drugą unosił *pełną*, kielich złocistym płynem nalany po brzegi. Zrazu czy nie spostrzegł czy nie poznał syna, oczy mając zasłte blachmanem; lecz nagle zadrgał mu kielich, usta otwarte ścięły się i popędził ku drzwiom.

Pan Ksawery już leżał u nóg jego, stolnik drżał cały, kielich mu padł z rąk; rzucił się gwałtownie chwytając za głowę i całując namiętnie syna. Dopiero temu uczuciu dogodziwszy, pchnął Ksawerego od siebie.

— A mówże ty bestyo jakaś, co się z tobą działo? wszak już plekli Bóg wie co, i opłakałem waszeci!

Szlachta wesóło otoczyła wnet stolnikowicza. „Vivat! vivat!”

— Dajcież pokój—przerwał stary—jeszczeby czego nie stało, żeby takich smarkaczów pić zdrowie. Niech się wytłumaczy.

— Tst! tst!—zaczęto wołać.

— Panie stolniku—przerwał podkomorzy Rożański.— Nie pozwalam! Na sucho mówić *nego! veto!* dać mu kropel nim zacznie mówić... kropel!

Obejrzano się za winem.

Maciek który miał już czas weisnąć się do izby, niósł kielich nalany rozlewając z niego po drodze. Gwałtem go w ręce wbito Ksaweremu. Ten przykleknął:

— Zdrowie rodzica dobrodzieja!—zawołał. A za nim jak hukną wszyscy:—Naszego stolnika zdrowie! Kochanego stolnika zdrowie... do stu lat!—od hałasu ci co spali w dwóch dalszych izbach, pozrywali się na nogi i chwiejącemi kroki poczęli, za ściany i drzwi chwytając się cisnąć do salki.

— Zdrowie stolnika!—wrzało, huczało, szumiało.

Rozczulony ojciec jeszcze raz uściskał syna.

— A teraz gadaj!—zawołał.—Panowie, uciszcie się! Dworzanin J. Ekscelleneyi ministra Brühla ma głos.

Ksaweremu nie zbywało na wrodzonej wymowie, lecz ile razy przy ojcu mu się z nią popisywać przychodziło, onieśmiałony jąkał się i prawił tak, że się jedno drugiego nie trzymało. Tym razem, czy wino, czy ogólny duch zgromadzenia, czy oj-cowska czułość, czy radość z powrotu namaściły mu usta.

Począł mówić dowcipnie, zamaszysto, pieprzno i słono, nie zajmując ani barwy, ani przyprawy. Ojciec stał zaniemiały ze zdumienia, szlachta się za boki trzymała. Chwilami gdy Fryderyka malował i jego obyczaje, którym się przypatrzył w obozie, do szabli się rwano i na ostrych wyrażeniach nie zbywało. Jednym słowem na słuchaczach swych i na ojcu uczynił to wrażenie, iż kiedyś mówca z niego niepospolity urośnie.

W czasie tej mowy, posiadali gdzie kto mógł, a przybysze świeżo przebudzeni z drugiej izby, zdrzémnili się znowu. Ojciec słuchał z radością i rozrzewnieniem przygód syna.

Masłowski opowiadając o nich, jedno tylko pomijał starannie: to wspomnienie baronówny.

Gdy dokończył nareszcie, szlachta wniosła zdrowie stolnikowicza, a ojciec go pocałował i kielich wychylił milcząco. Więc znowu się wszczął gwar, huk i szkło ponapełniane szło wkóło.

Pan Ksawery znalazłszy kilku dawnych przyjaciół i niemal rówieśników, cofnął się z nimi trochę na stronę, bo pytaniom nie było końca. A że się pora wieczerzy zbliżała, poczęła czeladź różnego stroju i kalibru nakrywać do ogromnego stołu. Obrus leżał już na nim od dwóch dni, pooblewany sosami i winem; poprzynoszono tylko stopy obłupanych talerzy, żelaznych nożów i wideleców, dalej chleba stopy, a naostatku poczęły wjeżdżać niewykwintne półmiski jadła, które na to było przeznaczone, aby istotne potrzeby zaspokajało.

Szły więc zrazy z cebulą, pieczenie z różną, kapusta kwaśna, ogórki, bigosy i fundamentalne jada. Kto mógł zabierał miejsce, bo tu rzeczywiście *periculum in mora*: ledwie misy dotknęły stołu, już z nich znikwały potrawy.

Ksawery głodny też, o sobie radzić musiał. Ojciec się zbliżył do niego:

— Radź o sobie—rzekł cicho—a jeżeli zmęczony jesteś i zalewać się nie chcesz, bo to też dla waści zawczesne, izdebkę na piętrecie niech ci pokażą, abyś odpoczął, choć, Bóg raczy wiedzieć, czy my tu komu dziś spać damy: niemały to kłopot sejm smarzyć...

Westchnął ocierając pot z czoła. Ksawery korzystając z pozwolenia, posiliwszy się, natychmiast zniknął. Maciek po-

szedł za nim i w izbie mu na ziemi posłano, bo o łóżku mowy być nie mogło, na sianie i łosiowej skórze. Zaczynano chórem piąć na dole, gdy Ksawery głowę do skórzaney téż poduszki zaledwie przyłożywszy, zasnął kamiennym snem, z którego by i działa pruskie może go obudzić nie potrafiły.

I spał nie marząc nawet.

X.

W kilka dni po przybyciu hrabiny i umieszczeniu jéj, życie dworu na chwilę jakby wstrząśnięte nowemi żywiołami, które do jego składu przybyły, wróciło do dawnego spokoju i zegarkowej swéj regularności.

Najjaśniejszy Pan po kilkakroć powoływał hrabinę, aby mu coś o królowéj, o dzieciach, o Dreźnie opowiedziała. Minister bywał rozmowie przytomny i wejrzeniami kierował odpowiedzi, gdyż doświadczył że się żona jego gniewem zbyt nie unosila i wygadywała niepotrzebnie. Po kilku jednak dniach, August czując się już dostatecznie zawiadomionym i uspokoiwszy sumienie, zapraszał tylko na zabawy, które jako niezbędne życiu, szły swym trybem. Dodawały im smaku wiadomości przychodzące o zwycięztwach wojsk rossyjskich, o tryumfach austriackich, o naprowadzonych siłach francuzkich i t. p.

Było więc w Warszawie tak spokojnie, tak wygodnie, tak cicho jak może być tylko w kraju, w którym wszystko od sejmów zależy, a w którym żaden sejm nie dochodzi i z chaosu zrzęcznie się korzysta.

W zarządzie polskiego kraju, Brühl też same rozwijał talenta, jakich dał dowód rządząc Saxonią; jednał sobie stronników, pilnował własnego interesu, obrachowywał ile nieład przynieść może i starał się go uwiecznić.

Zgryźliwsze umysły widziały w tém przyszłą zgubę, Rzeczpospolita już nie władała sobą; ale to co się tu działo, dla tarażniejszych widoków ministra było korzystnym: nie szło mu o nic więcej.

Nadskakującą grzecnością jednał sobie ludzi: sam starał się przerobić na szlachcica polskiego, synowi dał starostwo

warszawskie, córkę wydał za Muiszcha, spokrewnił się ze wszystkimi znacześniejszymi domami i był panem Rzeczypospolitej. Miał tu także swych Stammerów, Globigów i Hennickich.

Gdy on o tych wielkich politycznych myślał planach, hrabina starała się sobie uprzyjemnić życie, ściągając do domu swego towarzystwo i dobierając domowników i sekretarzy do smaku.

Simonis, który po niejakiem czasie przyszedł do siebie, stał na czele tej młodzieży, pod różnemi pozory przeznaczonój na odpędzanie nudów i skrócenie czasu. Pomimo najwygodniejszego urzędzenia w Warszawie, chociaż tu miała córkę i syna, hrabina czuła się nie swojaj. Tu sieć jej intryg tak łatwo i dogodnie snuć się nie mogła; tu przeciwko znienawidzonemu Fryderykowi nie przedsięwziąć nie było podobna. Nie było wreszcie ludzi, coby po wypadku Glasau'a zamkniętego na całe życie do fortecy, jego rolę na siebie przybrać się podjęli; trudno było o szpiegów nawet.

Każdą pocztę chwytała Brühlowa echiwie i po każdój smutniejszaj była, bo wiadomości pomysłnych brakło.

Simonis pisał pod dyktowaniem listy codziennie, codzienn je wysyłano drogami różnemi; lecz działanie z daleka coraz się stawało trudniejszém.

Pan stolnik Masłowski który tak rzewnie pierwszego dnia przyjął syna, drugiego dnia był już znacznie surowszym, a trzeciego odprawił go na służbę do Brühla. Ksawery nie był bardzo tém zmartwiony, gdyż mu to dozwalało zbliżyć się do baronówny.

Ta także czuła, może mocniej niż inni wygnańcy drezdeńscy, ciężar osamotnienia i tęsknotę za krajem, którego każde drgnienie w piersiach się jej odbijało. Towarzyszyla wprawdzie Brühlowej, ale jak niemy i obojętny świadek, którego myśl jest gdzieindziej. Nawet Masłowski, który nie kryjąc się ze swém przywiązaniem, ciągle był przy niej, często nie umiał i nie mógł jej rozerwać. Uśmiechała mu się smutnie, serdecznie, ale bez zycia, bez nadziei. I ona rzucała się echiwie na każdaj pocztę, która przybywała z Drezna.

Wszystko co ztamtąd szło, obchodziło biędnych wychodźców: ciężka nadzwyczaj zima, która sztyldwachów dwu królo-

wi pruskiemu na śmierć zdławiła, drożyzna chleba i t. p. Cieszono się nawet śmiercią generałów pruskich, z których jeden von Kleist zmarł w Dreźnie.

W styczniu wiadano o pobycie Fryderyka, który prawie nie opuszczając Saxonii, małe z niej tylko do Szlązka czynił wycieczki. Resztkę saskiej broni pozabierano w arsenałach, a ludzi chwymano po ulicach, gwałtem ich ciągnąc do wojska. Ze szkoły nawet uczniów starszych, Fryderyk pozaszywał w kamasze.

Wszyscy przerażeni byli tém, że na zamku i w kościele katolickim, Szwajcarów rozbrojono, zastępując ich pruskim żołnierzem. Nareszcie przyszła wieść, iż twierdze, mury i baszty pilnie zaczęto poprawiać i umacniać, a król nawet dowiedziawszy się iż słusznemu żądaniu żony jego, która 174,000 talarów miesięcznie na dwór i życie wymagała, odmówiono; bardzo przez dwa dni był pochmurny.

Przyczyniła się do tego i wiadomość, że Hasse, genialny muzyk, którego król rad był mieć w Warszawie, wyjechał do Włoch a ściągnąć się ztamąd nie dawał.

Gdy w Europie wojowniczymi ruchy wrzały całe państwa spiknięte na Fryderyka, tu król August mógł zazywać niczem, oprócz echa i odgłosów, nieprzerwanego spokoju. Całą zimę polowano wysmienicie korzystając z mrozów, co ścieły bagna, i śniegów, co zwierzętom utrudniały ucieczkę.

Z pierwszą wiosną, w kwietniu już, Fryderyk znajdował się w Czechach. Zwykłą jego zasadą było nieprzyjaciela nie czekać, ale pierwszemu nań nachodzić: tą śmiałością zyskiwał wiele. Lecz istotnie zdawała się zbliżać chwila, w której wielkie jego siły, rozdzielone, zewsząd z ziemi wyrastającemu nieprzyjacielowi podobać już dłużej nie mogły. Obok wielkich wypadków na scenie politycznej i wojskowej, drobniejsze dzieje serca, ledwie na siebie zwracały uwagę. Nie zachodziło też nic tak nowego, coby im nowy zwrot nadało. Simonis trzymał się hrabiny, wyglądając codzien bardziej znudzonym, choć z każdym dniem rosła w łaski, podarki i nadzieje.

Masłowski oczyma gonił baronównę i mówiono na dworze głośno, iż ta miłość zobopólna, małżeństwem się skończyć musi. Przeciągało się to jednak, a Simonis, pomimo wyrze-

czenia się Pepity, z nudów, czy z istotnej skłonności, ostrożnie bardzo znowu zbliżać się zaczynał do niej. Baronówna chłodem i obojętnością odpychała go od siebie nadaremnie. Szwajcar poznawszy lepiej stosunki miejscowe, domyślał się że Masłowskiemu ożenić się z nią będzie trudno; rachował i na to, że hrabina może później zobojętniawszy, dopomóż mu do panny Nostitz.

Ostrożnie więc, nie natarczywie, Max, coraz bliżej kołował przy pannie; Ksaweremu nie zdawało się to bynajmniej niebezpiecznym, milczał więc.

Byłoby się to tak ciągnęło dłużej może, gdyby hrabina nie była zazdrosną, namiętą, i gdyby nie potrzebowała własnie nieczynnością zmęczona, czemś gorętszym się odżywić. Ludzie którzy długo w ogniu żyć byli nawykli, nie znoszą chłodu i ciszy. Intryga staje się nałogiem, namiętność potrzebą.

Brühlowa raz powziąwszy podejrzenie, iż Simonis nie bez celu spogląda znowu ku baronównie, zaczęła go szpiegować, odgadła, i, nieokazując nic po sobie, zapaliła się gniewem wielkim. Dla Simonisa stała się owszem czulszą niż kiedy, aby nie odgadł co go czekało.

Jednego wiosennego poranku, na świstku papieru nakreśliła hrabina do męża żądanie, ażeby przyszedł z nią pomówić; minister pełen atencji stawiał się natychmiast.

— Co mi moja piękna pani każe?—rzekł z uśmiechem.

— Mój Brühl—odezwała się nie wstając z krzesła hrabina—mam do was prośbę, a spodziewam się że czułe jego serce jej wysłucha: raz przecie dwoje szczerze się kochających połączyć potrzeba.

— Kogo?—zapytał zdziwiony minister.

— Ten biedny polaczek Masłowski schnie z miłości dla Pepity; ona go kocha, ale chłopiec się ojca lęka i tak się to ciągnie iż się oboje zamęczą. Zresztą—dodała ciszej—może się to skończyć też nieładnie...

— Serdecznie pani dziękuję za podanie mi zreczności spełnienia dobrego uczynku. Z największą przyjemnością—dodał Brühl.—Stolnik ojciec Masłowskiego jest mój przyjaciel, służy mi wiernie; słucha, zrobi co zechce: pożenim ich...
C'est dit!

Brühlowa podziękowała skinieniem głowy, ale nakazała dyskrecyą. Drugiego czy trzeciego dnia minister zobaczywszy pana Ksawerego, przypomniał sobie obietnicę i zbliżywszy się doń, szepnął mu aby ojca nazajutrz do niego prosił. Stolnik dotąd jeszcze był w Warszawie; wyjeżdżał wprawdzie co kilka tygodni ale po polsku. Konie zaprzęgano, tłumoki znoszone, ludzie byli gotowi, zaczynały się pożegnania, podróż się opóźniała, odkładano ją do dnia następnego. Nazajutrz zrana coś przeszkodziło, po południu konie znowu wyprowadzano, ktoś nadszedł, interes był pilny i tak się zwlekło do nocy, a nocą jechać licha warto. Następował poniedziałek a w ten dzień nikt nie jeździ. We wtorek było święto, we środę rozrachowywano że do domu na termin oznaczony zdążyć nie można i wyjazd odkładał się *ad calendas grecas*. Takie wyjazdy powtarzały się kilkakrotnie, stolnikowi ciężko się już było ruszyć z Warszawy. Wyprawił dyspozycyę ekonomowi, odbierał raporta i siedział. Gdy Ksawery całując go w rękę przyszedł prosić do ministra, stolnik *cum debita reverentia* to przyjął.

— Ano będę, oczywiście będę—rzekł.—Rozpytał o godzinę i syna odprawił.

Brühl tymczasem zapomniał o wszystkiem i dopiero na sali audyencyonalnej zobaczywszy pana stolnika, przywołał na pamięć o co chodziło. Odprawiwszy więc innych klientów, ujął go pod ramię i wprowadził do gabinetu. Domyślał się pan Masłowski, że musiało iść o rzeczy polityczne i zdziwił się mocno, gdy go zagadnął minister.

— Natenraz, panie stolniku, interes prywatny zbliża mnie do waćpana; pozwolisz mi z sobą, jako swojemu przyjacielowi, mówić otwarcie.

Stolnik się skłonił bardzo nisko. Brühl ujął go za rękę:

— Kochany stolniku co myślisz z synem? Chłopak dorosły, młodzieniec któremu wszyscy sprawiedliwość oddają: ja pierwszy. Czasby go może ożenić?

Masłowski aż odskoczył.

— E! to smarkacz!—zawołał—trzydziestu lat nie ma.

— Sam czas.

— U nas nie! oho! gdzie mu tam o tém myśleć!

— No—przerwał śmiejąc się Brühl—ja się lękam że może on już dawno ma projekta.

Na twarz Masłowskiego wypłynął rumieniec.

— Z pozwoleniem JW Pana—rzekł—gdyby bez mojej wiedzy miał projekta, dostałby pięćdziesiąt bizunów i odeszłaby mu ochota.

Brühl się śmiał.

— Nie będę—rzekł—obwijał w bawełnę: waćpana syn kocha się w baronównie Nostitz. Jest to stara rodzina u nas, u dworu w łaskach, N. Pani i król są opiekunami panny, majątek piękny, wcale piękny. Osoba zacna i charakteru najszlachetniejszego: czegoż sobie więcej życzyć można, gdy i miłość jest wzajemna?

W czasie tej mowy stolnik milczał, ale powoli twarz mu się mieniła, bladła, nabiegała krwią; marszczki okrywały czoło, wargi się podnosił i ruszał, ręka zaczęła drgać. Potarł czoło milczący, nadał się i widać lękając się aby z niego nie wybuchnęło to, co zawrzało, szepnął tylko krótko i cicho:

— Pan minister pozwoli... do namysłu... zobaczymy.

Brühl nie zrozumiał iż stolnik spolitykował tylko i dodał:

— Niech się pan namyśli: partya niemoże być lepsza.

Stolnik nisko się ukłonił i prędko wyszedł. Przez salę audyencyonalną przesunął się niepatrzając na nikogo, w pałacu okręcił się szukając zaraz syna, a znalazłszy Ksawerego, powiedział mu krótko:

— Idź waćpan zemną.

Zaledwie wyszli w ulicę, aż dłużej w sobie rankoru niemogąc utrzymać stolnik, stanął i zawołał:

— Trzykroć sto tysięcy dyabłów, mosanie, to waćpan tu bez mej wiedzy w amory się wdajesz! he! Sto bizunów! com obiecał, to dotrzymam. A ten Niemiec szoldra jakiś, dlatego że ja mu syna dałem do dworu, i zem mu w jego polityce służył, będzie mi się mieszał do moich spraw domowych. Truten jakiś, a wara! a zasie! Co to ja twój chłop, sługa, żebyś ty mi syna żenił!

Kwita z przyjaźni!—krzyknął, kułak podnosząc—kwita. A to tak!

Ksawery, za mną!

I wzburzony cały stolnik poszedł na Pociejów. Ledwie w podwórzcu stanął, na ludzi zawołał:

— Pakować i zaprzęgać!

Drżący pan Ksawery szedł za nim, stolnik sapał i zrywał się: weszli do izby.

— Wart jesteś żebym ci dał sto,—zawołał.

Ksawery do nóg mu się rzucił.

— Jedno twoją winę w oczach moich łagodzi to, że na tym dworze przeklętym, baby szaleją i mężczyźni popsuci jak psy. Zaciągnęli cię; dosyć: póki ja żyję, z tego nie będzie nic, *tak mi Panie dopomóż i święta męka Twoja.*

Ksawery chciał mówić coś, ręką tylko machnął:

— Dosyć.

Pakować: jedziemy.

Chciał syn iść po rzeczy swe, pożegnać.

— Ani kroku ztąd, ludzie rzeczy zabiorą, a nie, pal je dyabli; droższa dusza od spodni: duszę trzeba salwować. Jeszcze w naszym rodzie niemieckiej krwi nie było. My szlachta. Niech się Mniszchowie, Czartoryscy, Lubomirscy, kumają z Flemingami i Brühlami, to magnaci: nam zakon tego broni. Waćpan nie znasz szlacheckiego zakonu. Z chłopką siężeń, jeśli ci do gustu; ale z niemką wara!

Nieubłagany stolnik, niepuściwszy syna na krok od siebie, tym razem gdy konie były gotowe, choć późno wyjechał z miasta. Mijając Brühlowskie mieszkanie, rzekł jakby sam do siebie:

— Kwita kochanku z przyjaźni. Ja sobie w kaszę pluć nie dam.

I jakby go paliło, stolnik poleciał do domu.

Wypadek ten ogromne we dworze uczynił wrażenie: Brühl śmiał się, ale był do żywego obrażony; Brühlowa się wściekała, baronówna (do której bilecik potrafił jakimś cudem wyprawić Ksawery, mimo dozoru ojca), zamknęła się na kilka dni w pokoju i nie pokazywała na dworze.

Cały plan osnuty przez panią Brühlową, runął.

Simonisowi jego przeniewierstwa przebaczyć nie mogła. W kilka dni potem otrzymał nie odprawę, ale inne miejsce w kancelaryi Brühla. Szwed Ferdeström zajął tegoż dnia je-

go miejsce. W tygodniu minister oświadczył Maxowi, że go przeznacza w misji jakiegś do Hamburga, dokąd nie łatwo przekraść się było można. Simonis się zawahał, dano mu trzeciego dnia małą gratyfikację i odprawę. Został nagle bez miejsca, bez nadziei, na tym pstrym koniu, na którym wedle przysłowia, jeździ łaska pańska.

Brühlowa kazała mu powiedzieć przyczynę, i oświadczyć że się już nie więcej spodziewać nie może...

EPILOG.

Choć w życiu nic się nie kończy, w książce wedle prawideł i przyjętej formy, czytelnik ma prawo wymagać jakiegoś ostatecznego rozwiązania. Musimy go więc zaspokoić o losach osób, które się w obrazie ukazywały.

Część ich znaczna do dziejów należy i o tych z historyi więcej się dowiedzieć można, niż ze skromnego naszego opowiadania. Rok następujący 1757 rozpoczął dla Saxonii szereg pamiętnych klęsk. Fryderyk z zaciętością dalszą prowadził wojnę, z różnym szczęściem, lecz z wytrwałością żelazną. Nie był on dla niego pomyślnym. W bitwie pod Kollinem, cztery owe pułki saskie, które się w Polsce przechowały, przechyliły zwycięstwo na stronę Austryaków; najpiękniejsza gwardya królewska w niej padła: zginął drogi Fryderykowi generał Schwerin, nad którego zwłokami płakał. Hrabia Nostitz i Benkendorf rzuciwszy się na Prusaków, położyli trupem najpiękniejszego żołnierza. Zieten na drugiem skrzydle otrąbiał zwycięstwo, gdy oni zadali tę klęskę.

— To moja Pułtawa—zawołał król—patrzac na pobojo-wisko.

Królowa Józefa, która już była chorą, podniosła się dźwignięta tą wiadomością; ale wkrótce potem przyszła wieść o zwycięstwie pod Rossbach i ta ją dobiła. Pobożna pani zmarła nie ustąpiwszy ze swęj stolicy, nie dożywszy wzięcia Drezna przez Austryaków, którym je zdać był zmuszony generał Schmeltau.

Fryderyk wydawszy rozkaz cofnięcia się z miasta, wpędce je zapragnął odzyskać. Oblegli Prusacy stolicę, otoczywszy ją ze wszystkimi siłami swoimi. Rozpoczęło się stra-

szliwe owo bombardowanie, które pół miasta obróciło w perzynę...

Znane są wypadki wojny siedmioletniej, w ciągu której Fryderyk zrozpaczony, nosił przygotowaną truciznę i kilka razy chciał sobie życie odebrać.

Dziwnie szczęśliwy skład okoliczności ocalił go i państwo, któremu groziła zagłada.

Fryderyk w sile wieku wyszedł na tę wojnę, w której szło o śmierć lub życie, nie jego, ale Prus świeżo powstałych; wrócił do Berlina złamanym, osiwiiałym starcem, choć napół zwycięzcą. Los w tém miał udział znaczny, ale wieley ludzie wszyscy jemu coś są winni, czasami więcej niż sobie.

Zaledwie pokój w Hubertsburgu został zawarty, August i Brühl natychmiast opuścili Warszawę, spiesząc do Saxonii, na ruiny i zgliszcza. Ministrowi ulubionemu, który łask swojego pana nie utracił do końca, wynagrodził August straty, nadaniem starostwa spizkiego po królowej i pałacu Fürstenbergów w Dreźnie, nielicząc łask innych.

Hrabina Brühlowa nie doczekała wszakże ani powrotu, ani końca wojny i zmarła 1762 roku w Warszawie. Brühl przeżył króla i do zgonu był tym wszechwładnym panem Saxonii i Polski, jakimeśmy go, mimo nieudolności jego widzieli. Słabość króla stanowiła siłę ministra...

Dnia 1 maja, po zawarciu traktatu śpiewano po kościołach Te Deum, galerya została otwartą. W sierpniu powrócił Hasse z Włoch i w operze dano *Siröe*, na dzień imienia króla w rocznicę ustanowienia orderu Orła Białego. Opera w której Fryderyk umieścił magazyn wojskowy, w mgnieniu oka odświeżona zastała. Po *Siröe* nastąpiła *Królowa Amazonek Talestris*, z muzyką i librettem napisaném przez synowę króla.

W październiku, właśnie gdy się przygotowywano do nowego widowiska „*Leucippo*“ na dzień urodzenia Augusta, król siedząc u stołu, wśród obiadu, pochylił się na krzesło i uderzony apopleksyą skonał.

Brühl przeżył go o kilka tylko tygodni, jakby ich losy z sobą były związane: zachorował natychmiast po zgonie dobroczyńcy.

Kurfurst, który się z nim obchodził dosyć łagodnie, zażądał złożenia wszystkich urzędów, zostawiono mu jednak pensją znaczną....

Katolik w Polsce, ewangelik w Dreznie, na łożu śmierci Brühl wrócił do wiary, w której się urodził. Nałożono sekwestr na majątki, który w r. 1772 został zniesiony, i prawie cały spadek przeszedł na dzieci Brühla. Oprócz innych po nim pozostałości, dłaczegobyśmy zapomnieć mieli o książce od nabożeństwa! Wyszła ona w tych czasach, gdy minister był jeszcze w najświetniejszym położeniu i gdy jej nie na pociechę w utrapieniach ale dla ludzi potrzebował, którym się pragnął okazać natchnionym, uniesionym czystą miłością Bożą. Odegrywanie tej roli religijnego człowieka należało do całości sztuki, którą z takim talentem doprowadził aż do spadnięcia ostatniej, czarnej zasłony. *Mors ultima linea rerum.*

Simonis w niełasce wpadłszy, tułał się po Warszawie, przebywał jakiś czas w Białymstoku, w Wilnie, po dworach możniejszych panów polskich, odegrywając dwuznaczne role rezydenta, sekretarza, przyjaciela, wędrownika, wedle okoliczności.

Tymczasem zdaje się, że przez jakieś tajemne kanały, porozumiewać się musiał z dworem pruskim i uzyskać zapewnienie bezkarności (okupione zapewne znaczącymi jakimś wyznaniem), gdyż zaraz po zawarciu pokoju w Hubertsburgu, zniknął z Warszawy, a wkrótce potem zapewniano, iż go w Berlinie widziano. Tu jednak, Fryderyk znacznie rozczarowany względem cudzoziemców, nie musiał go chcieć użyć do niczego, bo miejsca jawnego przynajmniej nie miał, a żył sobie jako człowiek prywatny i swobodny.

W r. 1764, Blumli także odprawiony po śmierci Brühla, lecz dosyć zamożny, dzięki przeszłości, przybył do Berlina, mając powody opuszczenia Saxonii i osiedlił się z nadzieją wstąpienia w służbę pruską. Siedział już tu pół roku bezskutecznie, gdy raz pod Lipami niespodzianie się z Simonisem spotkał.

Poznali się oba, choć oba byli bardzo znacznie zmienieni na twarzy i na humorze. Zrazu zawahał się jeden i drugi,

witać się czy nie; ale gdy Blumli podał rękę i napół się uśmiechnął, Max też ją wyciągnął.

— Co robicie w Berlinie?—począł Simonis.

Blumli niechęcąc się spowiadać, złożył swą podróż na ciekawość, na brak zajęcia, i zastrzegł się od pytań dalszych tём, że żadnego obowiązku niema, a nawet o żadnym nie myśli, zapewne po jakimś czasie wrócić chcąc do Szwajcaryi.

Simonis ubrany bardzo skromnie, dosyć podstarzały, z twarzą bladą i spokojną, gdy mu zadane pytanie Blumli nazad odesłał i zwrócił ku niemu, zrazu wahał się z odpowiedzią.

— Wyleczyłem się,—rzekł po chwili—z choroby ambicji i z chętki dobijania do sfer, które nie każdemu bywają dostępne: gotów dziś jestem na małym się ograniczyć.

— Ale cóż robisz? zostajesz w Berlinie?

— Prawdopodobnie — rzekł Simonis trochę skłopotany.

— Masz jakie zajęcie?

— Tak, jak żadnego.

Wszystko to były zagadki. Blumli nie czując w nim chęci szerszego tłumaczenia, już go chciał pożegnać, gdy Simonisowi zebrało się na odwagę; wziął go pod rękę i odezwał się:

— Chodź ze mną, do mnie.

O kilkadziesiąt kroków ztamtąd, weszli do domu, na którego dole była cukiernia. Pominąwszy ją Simonis zaprowadził przyjaciela w dziedziniec i w oficynie na prawo, której okna wychodziły na małą boczną uliczkę, zadzwonił na pierwszym piętrze: służąca przysła otworzyć.

Z drugich drzwi na chwilę pokazała się młodziuchna kobięcina, w domowym czepeczku, gosposia, nie bardzo wykwintnie ubrana, i znikła. Simonis wprowadził Blumli na przód do swojego pokoju, bardzo przyzwoitego i wygodnego, ale zarazem skromnego; potem do mieszczkańskiego saloniku, w którym widoczne były ślady kobiety. Blumli nie śmiał pytać o nic ażeby przyjacielowi nie być zbyt natrętnym, gdy Simonis rękami biorąc dłoń jego, rzekł cicho:

— Widzisz, ożeniłem się!

— Jakto? żonaty jesteś? z kim?

Simonis westchnął, głos zniżając:

— Aspirowałem—rzekł—do daleko wyższych sfer i losów, ale prawdziwe szczęście nie ściele gniazda tak wysoko.

— Miłość więc?—przerwał Blumli.

— Tak—rzekł Simonis—była to miłość, która się poczęła gdy żona moja była prawie dzieckiem. Jam trochę o niej zapomniał, ale ona mi była wierną.... No, no, i wróciwszy co było robić.... ożeniłem się.

Ostatnie wyrazy dokończył niemal ze wstydem jakimś. Blumli aż się rozśmiał.

— A! na Boga!—zawołał— toś doskonale uczynił; zazdroszczę ci, jesteś szczęśliwy: cóż więcj potrzeba?

Z zawstyżenia Simonisa domyślając się iż świetnego zapewne małżeństwa nie zrobił, Blumli nie pytał o szczegóły, gdy gospodarz wybiegł na chwilę do drugiego pokoju i poszeptawszy tam coś powrócił.

W dobry kwadrans otworzyły się drzwiczki i osóбка dziwnie podobna do owj słynnej czekoladniczki Liotarda, ale ciemno-oka i ciemno-włosa, ubrana naprędee w jedwabną sukienkę, wniosła na tace butelkę wina i ciasteczka.

Była to ta sama nieubrana gosposia, którą Blumli ujrzał wprzódy przez drzwi wpółotwarte. Simonis żonie swj przedstawił przyjaciela i ziomka. Młodziuchna jejmość usiadła przy nich zapraszając i częstując z gościnnością natrętną ludzi nie wielkiego świata, a dobrego serca. Blumli znalazł ją bardzo miłą, wesolą i wdzięczną.

Kieliszki szły szybko jedne po drugich, gosposia przyniosła jeszcze jedną butelkę, a tuż wszedł nowy gość, niewykwintnie ubrany, bo w fartuchu pod surdudem. Był to ojciec pani, cukiernik, który jako szwajcara i ziomka przychodził poznać pana Blumli. Zaczęła się tedy ożywiona rozmowa i gość dowiedział się z niej, że dawny sekretarz ministra, dawny sekretarz gabinetowy króla, dawny wielkich nadziei agent polityczny, był dziś pomocnikiem cukiernika.

Karyera jego zdawała się skończoną na zawsze, a Carlotta o żadnej innj myśleć mu nawet nie dozwalała, nasłuchawszy się o niebezpieczeństwach, na jakie mąż jej był narażony.

— Chwała Bogu!—mówiła żywo—w domu nam na niczem nie zbywa; niema czego się po świecie dobijać narażając się na skrócenie karku, a nam to do czego?

Blumli przesiadawszy parę godzin u Simonisa, z westchnieniem mieszkanie jego opuścił. Jakkolwiek skromną nader była dola kawalera Maxa, majątniejszy od niego Blumli, prawie mu jęj zazdrościł.

Panna baronówna Pepita po wywiezieniu Masłowskiego przez ojca, zamknęła się w początku i na świat pokazywać nie chciała; potem zmuszoną była na świat powrócić, ale się na nim zachowała obojętnie, dumnie i licznym swym wielbicielom ażeby jęj nie nudzili długo, dawała summaryjną, bardzo ostrą odprawę. Wkrótce też mimo wdzięku i mienia i zamożności jęj, nikt już się do nięj nie posuwał; mówiono sobie, że Pepita ma w sercu nieuleczoną jakąś miłość.

Masłowskiego młodego więcj już na dworze nie widziano. Ojciec nie poprosił nawet o uwolnienie go od obowiązków: jak go dał wprzódy Brühlowi, tak go potem samowolnie odebrał i na wsi zamknął.

Stolnik z tego powodu zerwał nawet z ministrem i jego adherentami, stając w opozycyi przeciw dworowi, któremu przebaczyć nigdy nie mógł, iż śmiał mu chcieć syna ożenić; nazywał to tyranią, *absolutem dominium* i t. p., i stał się zagorzałym republikaninem.

Pan Ksawery za karę iż śmiał rozporządzać swém sercem, nie odniósłszy się wprzódy z tém do ojca, chociaż miał zapowiedzianem z góry, iż o małżeństwie myśleć nie powinien, mianowany został ekonomem w majątku stolnika. Przychodził wprawdzie do stołu i niekiedy wzywany był do gości, ale zwykle dni spędzał w polu, stodole, przy kosarzach, młóckach i t. p. Niekiedy ojciec dla złamania buty i swawoli młokosa, jak powiadał sadzał go w smrodliwej gorzelni nakazując pilnować żyda i wypędu wódki; czasem posyłał go biédką jednokonną do Hrubieszowa, Chełma i Lublina po sprawunki. Po półroczu dopiero dano mu lichego konia wierzchowego. Ojciec jednak monitowany podobno przez duchownego, księdza dziekana Pietraszkiewicza, zliczywszy lata synowskie i obrachowawszy się sam z sumieniem, postanowił go ożenić,

aby krewkości młodzieńczej koniec położyć; chciał mu folwark Rudę wypuścić, i sam rozpatrzywszy się po sąsiedztwie wybrał mu pannę chorążankę Zerkowską, jedynaczkę, po najdłuższem życiu rodziców mająca posiadać sąsiednią wieś kapitalną Żłoby.

Jednego wieczoru, gdy Ksawery klucze od stodoły i lamusu odniósłszy, stał u progu czekając na dyspozycyą pańszczyzny, stolnik westchnąwszy, odezwał się:

— Coś chciałem mówić, waćpanu przychodziła do ożenku ochota... hm! Musiała już dyable bezżenność dokuczyć, kiedy aż niemka zasmakowała! Wchodząc w to, nie jestem tyranem żadnym—dodał stolnik—na ożenienie wreszcie, aż antycypowane, piszę się, aby jakiego zgorzenia nie było; ale sam waści wybiorę żonę.

Spodziewał się podziękowania stolnik; spojrział: Ksawery stał i milczał, wcale nie rozradowany.

— Cóż tedy waszmość na to?—spytał.

— Ja nie mam ochoty do ożenienia!—wyrwał się Ksawery.

Ojciec stanął zaperzony biorąc się w bok.

— A to tak! rozumiem! Jak ojciec sobie życzy to nie. Otóż gdy mi się podoba, ożenię waszmości, bo prawo mam i po nosie sobie grać nie daje; rozumiesz waść?

Ksawery niechęć ojca jątrzyć zamilezał.

Nastąpiło kazanie całe o posłuszeństwie, jakie dzieci są rodzicom winne, o przykazaniu Bożem: „Czcij ojca i matkę twą;” o Niemcach i Polakach, o niesforności młodzieży i t. p. Wystuchał go cierpliwie pan Ksawery, nie ważył się ani słowem odpowiedzieć; ojca w rękę pocałował i odszedł.

Stolnik był markotny, ale uparty. Nazajutrz kazał synowi jechać do Żłobów, do chorążtwa, pod pozorem zamiany pszenicy na nasienie. Dał mu list do Zerkowskiego: Ksawery pojechał. Przyjęto go tu uprzejmie. Panna była zdrowa, hoża i wychowana po domowemu, a we dworze znać było gospodarstwo niezmiernie zabiegliwe. W izbie gościnnj jejmość z córką liczyły i gatunkowały motki i talki poodbierane ze wsi, wazono len i rozdawano, wcale się gościa nie wstydząc. Sam chorąży kilka razy z kluczami chodził do lamusa.

ludziom nie wierząc. W dziedzińcu rozesłany był len, naprzeciwko pokojów często przez drzwi otwarte ujrzyć było można przychodzących z różnemi gospodarskiemi potrzebami ludzi. Chorążanka milcząca, zarumieniona przypatrywała się gościowi, matka też. Mówiono mało o rzeczach obojętnych.

Obiad na który zaproszono, choć widocznie z występem, był niezmiernie prosty: legumina, która się nie udała, składała całą paradę.

Gdy Ksawery powrócił, jeszcze ledwie z konia zszedł, gdy już w ganku nań ojciec czekał. Próbkę pszenicy przywiózł. Wieczorem stolnik spytał o pannę, jak się podobała: Ksawery zmilczał.

Poszło tedy na upartego. Ojciec co trzeci dzień do Żłobów jeździć kazał w kunkury, czasem sam towarzyszył. Sądzano pana Ksawerego przy chorążance. Młodzieniec był grzecznym, ale nie więcej. Rachując na krewkość i na świeżość panny, stolnik się omylił i był zły. Po niejakiem czasie chciał zrobić zaręczyny, Ksawery nawykły do rygoru, rzucił mu się do nóg i powiedział że nie może się żenić i nie ożeni.

Scena była okrutna: hałas, wrzawa, aż się służba pode drzwi zbiegła. Stolnik wrzeszczał, czerwieniał, bił pięścią o stół: nic nie pomogło. Długo się jednak uspokoić nie mógł. Przeklinał dzień i godzinę, gdy syna oddał na dwór niemiecki, który mu jedynaka zepsuł i zrobił z niego jakieś niezrozumiałe stworzenie, niewiedzące samo, czego chciało.

Odłożono zaręczyny *ad futura*, nieodstępując od nich. Energia ojca walczyła z mocnym postanowieniem syna. Postrzegł w końcu pan Masłowski, że w nieodrodnym dziecku jego własna krew grała. Na radę do księdza dziekana... Ten życzył zostawić to czasowi: nie było w istocie innego ratunku, bo się stolnik do ostateczności posuwać nie chciał.

Życie Ksawerego było istotną próbą wytrwałości i meztwa. Lecz wesołe jego dawniej usposobienie, swoboda umysłu, śmieszek na ustach, lekceważenie wszystkiego, zmieniły się bardzo. Pan Ksawery stał się milczącym, ponurym, zamysłonym; wreszcie blednąc, mizernieć poczynął i chorzeć. Stolnik który go jednego miał, i po swojemu kochał, nieokazując po sobie nic, zakłopotał się.

— A choćby go téż te niemieckie amory i uleczyć miały — mówił sobie w duchu — co niemożliwe, to na żaden sposób!

Cheiał go kędyś wyprawić, znaleźć pozór jakiś do rozerwania, wymyślić lekarstwo; ale ani on sam, ani ksiądz dziekan nie zdobyli się na żaden plan wykonalny.

Nastąpił wreszcie koniec wojny, wyjazd dworu z Warszawy i oddalenie się z nim panny Nostitz do Drezna. Ksawery, który pomimo nadzwyczajnej ojca pilności, potajemnie pisywał do niej i odpowiedzi różnemi odbierał drogami, wpadł w większy jeszcze smutek, gdy mu oddalenie się baronówny, nawet stosunki z nią listowne utrudniło. Stolnik się cieszył, gdy Niemcy pociągnęli do Drezna. W téjże saméj prawie chwili, u mieszkającego w bliskości podkomorzego wypadł obchód imienin uroczysty, który na sposób saski solenizowano. Szlachta się zjechała z całego sąsiedztwa na mil dziesięć; szopę wystawiono aby stół na kilkaset osób w niej umieścić: nie wiem wiele beczek wina sprowadzono umyślnie.

Stolnik, który był znanym z tego iż w podobnych okazyach, dostał kroku najteższym, począł tego dnia iść o lepszą z lubelskim mecenasem Zawistowskim, także hulaką jakich mało. Oba zdrowia wymyślali, kielichy coraz ogromniejsze, osobliwsze sposoby picia; drugiego dnia wprawdzie Zawistowski legł bez zmysłów, a stolnik nad nim pogrzebowego wypiszy tryumfował; lecz do domu wróciwszy i sam się położył.

Leczył się kwaśnemi ogórkami, kapustą, śledziem, różnemi wymysłami: nazajutrz jednak nie wstał, a we dwa dni dostał gorączki i majaczył. Posłano po fizyka do Lublina, a ten oświadczył że chyba silna bardzo natura zwycięży, bo w medycynie on środków nie widzi.

W ciągu tygodnia było ciągle gorzej i coraz gorzej, spodziewano się kryzys, ale zamiast niej przyszło osłabienie i konanie. Stolnik poczuwszy zbliżający się koniec, posłał po dziekana, spowiadał się bardzo przykładnie i umarł prawie przytomnie, synowi dawszy błogosławieństwo. O ożenieniu żadném mowy nie było. Ksawery znalazł się więc panem swéj woli i swobodnym. Pogrzeb stolnika, przy ogromnéj frekwencyi obywatelstwa, ze stypą należną pamięci tak zacnego pana, odbył się w Chełmie i kosztował na owe czasy

summę znaczną. Wdziawszy załobę stolnikowicz pozostał w domu regulując pozostałe interesa. Nie ruszył się wcale przez cały rok i sześć niedziel, poczem nabożeństwo jeszcze anniwersarz za duszę nieboszczyka odprawiwszy, do Warszawy pojechał. Dziekan, który u niego od czasu do czasu bywał, obserwował go i badał, wcale nie umiał powiedzieć coby myślał. Tymczasem podróż się przeciągnęła.

Dowiedziano się nierychło, iż z Warszawy ruszył Ksawery do Drezna. Złożyło się tak właśnie, iż tu w październiku przybył.

Króla przywróconego krajowi przyjmowano tu uroczyście, a Brühl dbał o to, aby mu na zwykłych niezbywało rozrywkach.

Ale minister sam jakkolwiek w łaskach zawsze u pana, dla którego był niezbędnym, czuł się nie tak wszechmocnym, nie tak siebie pewnym, jak wprzód.

Nie mówiliśmy w ciągu powieści o zajściach jego z hrabią Wackerbarth Salmour, niegdy przybocznym młodego kurfirsta, który Brühla nienawdził i w otwartej z nim był wojnie. W czasie siedmioletnia, gdy kurfirst mieszkał jakiś czas w Dreźnie, a Wackerbarth z nim był także; udało się nieskończenie w małych rzeczach zręcznemu Brühlowi, ściągnąć podejrzenia Fryderyka na nieprzyjaciela swojego, którego król pruski w Kistrzynie osadził. Wprędce jednak intryga się wydała, puszczone go na wolność, ale cała rodzina, przyjaciele, stronnicy Wackerbarthów, całe otoczenie księcia Ksawerego, wszystko to co stało po za dworem króla, telnęło nienawiścią przeciw Brühlowi.

Młoda żona Fryderyka Christiana, Maria Antonia Bawarska była też dla niego niebezpieczną współzawodniczką. Młodość, talenta, śmiałe chwytywanie wszystkich środków wiódących do opanowania władzy, obiecywały że wszystko pod siebie zagarnie. Godziny panowania Brühla były policzone. Maria Antonia malowała, znała się na sztuce, pisała libretta, komponowała muzykę do oper, i króla starała się zająć wszelkimi sposobami.

Kurfirst młody nie liczył się wcale, był to dobry, łagodny, spokojny człowiek, chory od dzieciństwa i niemogący chodzić o swęj sile. Matka napróžno starała się go namówić

do zrzeczenia się tronu i ustąpienia praw, ulubieńcowi jej, energiczniejszemu Ksaweremu.

Na dworze krzyżowały się więc wpływy różnych kółek, a choć Brühl zawsze panował nad królem, musiał się oglądać na przyszłość. Książę Ksawery nie krył się z nienawiścią ku niemu... August III, nie tak w latach był podeszły, jak życiem zbyt wygodnym, zbyt pieczołonym wycieńczony. Bawiono go już jak dziecię, i to zdziecinnienie codzien było wybitniejsze, stawało się śmiesznym.

Kuratela Brühla była nieuchronnie potrzebną, lecz stała się raziącą. Masłowski wpadł do stolicy wśród nagromadzonych w niej zabaw, które starego pana rozerwać usiłowano. Zaczęło się to od weneckiego skoczka Cassaty, który sześćdziesiąt sześć sztuk pokazywał na linie, przyczem była arcyzabawna psia komedia, w budzie na Nowym Rynku. Później za pirnaiską bramą nad Elbą na łące, urządzono strzelanie do ptaka, którego siedem lat mieszkańcy Drezna nie mieli. Tysiące się też ludu na nie zbiegło. W dzień orderowy d. 30 sierpnia, pierwszy raz w oczyszczonej operze grano *Sirœe*, a w Brühlowskim ogrodzie na Frydrychstacie, było orderowe strzelanie do celu i stół dla Kawalerów. Wszyscy ci panowie występowali w uroczystych szatach karmazynowych, bogato srebrem szytych. Był dla zabawy i sejm saski, było i wiele innych rozrywek.

Panu Ksaweremu jednak wcale o nie głowa nie bolała, szukał baronówny i znalazł ją nareszcie przy podstarzałej stryjence, dobrowolnie od dworu usuwającą się. Spotkanie było czułe i milejące. Stara baronowa która stręczyła *Pepicie* kogo innego, ozięble przyjęła polaka, ale sprzeciwić się nie mogła dawno postanowionemu małżeństwu.

Konieczne formalności, które je poprzedziły, zabrały tyle czasu, iż Masłowski przytomnym był jeszcze uroczystej abdykacyi generała Rutowskiego, komendanta Drezna, którego miejsce zajął Chevalier de Saxe. Z powodu tego Brühl cały dwór wspaniale przyjmował znowu w ogrodzie swoim. Gotowano się do pierwszej próby *Leucippa*, gdy tegoż dnia król od stołu już nie wstał... W parę dni potem, po ślubie cichym w kaplicy królewskiej, Masłowski z żoną wyjechał do domu.

Nie umiemy powiedzieć zaprawdę, jakie było pożycie młodej pary, ale to pewna, że potomkowie jęj choć z cudzoziemki urodzeni, mimo obawy nieboszczyka stolnika, nigdy w niczem nie dali poznać, iż obcej krwi kropla w ich żyłach płyneła.

K O N I E C.

O SZKOŁACH I SZKOLNICTWIE POLSKIEM.

Rzecz czytana w Towarzystwie pedagogiczném
lwowskiem.

PRZEZ

Władysława Zawadzkiego.

W kole umiejętności, pedagogia zajmuje ważne miejsce. Każdą umiejętność, każda nauka, czyto objaśniająca nam świat fizyczny, czy wielkie prawdy świata moralnego, skoro dąży do rozszerzenia sfer naszej wiedzy, w jakimkolwiek zakresie, do wykształcenia umysłu i utrwalenia prawdziwego na świat poglądu, jest zarówno pożyteczną i bogatą ludzkości owoc przynosi. Wszystkie umiejętności, jakiegokolwiek byłyby ich nazwy i podziały, odnoszą się ostatecznie do poznania istoty objawów wszechświata fizycznych, umysłowych i moralnych; tworzą więc ściśle z sobą splot powiązany, uzupełniają się i objaśniają wzajemnie, jako całość jednego, wszystkie zjawiska wszechświata, obejmującego systemu. Jeżeliby jednak przyszło oceniać wartość względnie tej lub owej umiejętności, albo téż całego ich szeregu, to musielibyśmy przyznać wyższość naukom pozostającym w bliższej styczności z ostatecznym celem wszelkiej umiejętności, którym jest uszlachetnienie człowieka. Z tego patrząc stanowiska, jeżeli wysoką wartość przyznamy naukom przyrodniczym, będącym niejako alfabetem wszelkiej wiedzy, czyniącym nas panami przyrody, przez wyjaśnienie jęj praw i tajemniczo dla oczu profana działających w niej potęg i przyczyn fizycznych; to o ileż wyższymi musimy uznać umiejętności, odnoszące się wprost do wysokich moralnych zadań ludzkości i jęj celów.

Do rzędu tych nauk należy pedagogia, której zadaniem jest kształcić i wychowywać człowieka, a w tém samym już określeniu wybija się jasno jęj wartość i wielka doniosłość w systemie wiedzy ludzkiej, w żywocie ludzkości.

Zakres pedagogii właściwie pojętej nie ogranicza się na samą jedynie szkołę: obejmuje ona całe wychowanie, cały jego kierunek umysłowy i moralny. Trzy żywioły składają się na wychowanie człowieka: rodzina, szkoła i doświadczenie. Człowiek uczy się i wychowuje do śmierci, a uczy się zazwyczaj w tym kierunku, w jakim go pierwotne popchnęło wychowanie, jakich prądów i usposobień zarody wszczepiło weń życia zaranie. Wszystkie późniejsze wrażenia, wszystkie w ciągu dalszego życia nabywane wiadomości krystalizują się, że tak powiem w duszy człowieka, zawsze mniej więcej na modłę owych pierwotnych, z dzieciństwa i młodości wyniesionych wyobrażeń i usposobień, a człowiek bywa zwyczajnie takim, jakim się urobił w młodości. Zadaniem pedagogii jest czuwać nad temi kierunkami i nie tylko wprowadzić młodą istotę na dobrą drogę, ale ustalić w niej do tego stopnia szlachetne usposobienia, wzmocnić do tyła zaszczerpione w młodym umyśle zamiłowanie prawdy i cnoty, ażeby wyrobić w duszy siłę charakteru, zdolną oprzeć się wszelkim pokusom, pozostać zawsze w podniosłej sferze umysłowego i moralnego piękna, na stanowisku obywatelskich cnót i obowiązku. Zadanie to spełnia pedagogia w szkole i poza szkołą. Wpływ szkoły jest tutaj bardzo wielki, i dobra szkoła wielce ułatwia zadanie wychowania, jest jego przeważną częścią, wszelako nie jest jeszcze całym wychowaniem. Wyobrażenia i wrażenia ze szkoły wyniesione, głęboko wpajają się w umysł młodzieńczy, a to tém bardziej, iż powtarzają się dzień po dzień w tym samym kierunku; sącąc kropla po kropli nieustannie zbawienną naukę lub błędne wyobrażenie. Dla tego nader wiele zależy w wychowaniu od tego, jakie mamy szkoły. Niemniej przeto wpływ pedagogiczny pozaszkolny jest równie ważnym czynnikiem wychowania. Ułatwia on lub paraliżuje wpływ szkoły bardzo silnie. Otoczenie domowe, atmosferą, którą się poza szkołą oddycha, wyobrażenia, któremi się na każdym kroku poza szkołą prześiaka, działają równie potężnie więcej, niż szkoła, i pozostawiają niestarte po sobie ślady w umyśle i charakterze. Wychowanie pozaszkolne bywa czasem szkodliwym hamulcem, czasem zbawienną tarczą. Nieraz musi dobra szkoła długo a długo walczyć z przesądami i złemi skłonnościami wyniesionymi z domowego otoczenia, z atmosfery skrzywionych wyobrażeń, zgrzsznienia i zepsucia; albo też przeciwnie, tam gdzie szkoły złe i na skrzywionój oparte zasadzie, bywało wychowanie domowe i życie kółka rodzinnego oną twierdzą, w której przechowały się prawdziwe wyobrażenia, zaszczerpiało w młodym pokoleniu zamiłowanie cnoty i obowiązku, świętość uczuć nieskazitelných.

Trzecim, czynnikiem pedagogicznym jest, jak powiedzieliśmy, doświadczenie. Pod jego wpływem wyrabiają się przekonania i charaktery, lecz tutaj pedagogiem jest już własna praca, zastępująca miejsce matki i nauczyciela. W dalszej drodze żywota człowiek sam sobie jest nauczycielem i przewodnikiem, kierując się głosem własnego uczucia i sumienia; skazówką spoczywających na dnie duszy przekonań, kroczy naprzód wpośród wiru wypadków i błędnych pokus ku ostate-

cznym celem życia, pewny siebie, z czołem podniosłym i spokojnym sumieniem, lub też zaparłszy się ideału człowieczeństwa, popada w kałużę znikczemnienia i ginie pogardzony.

Z t \acute{e} m wszystki \acute{e} m, jakikolwiek mo \acute{z} e by \acute{c} w \acute{p} ływ pomienionych czynników pedagogicznych na wychowanie społecze \acute{n} stwa, szkoła powtarzam, jest zawsze najwa $\acute{z$ niejszym czynnikiem, a w \acute{p} ływ jej przez to ju \acute{z} samo i \acute{z} jest systematycznie uorganizowanym, jednostajnym a trwa \acute{y} ym i w szerokich zakresach działaj \acute{a} cym, pozostanie zawsze najpot \acute{e} źniejszym. W długim lat przeciągu, w \acute{p} ływ ten musi odnieść konieczne skutki, a ostatecznie społecze \acute{n} stwo zawsze stanie się taki \acute{e} m, jakie b \acute{e} dzie miało szkoły. Pokolenie po pokoleniu przechodząc przez szkołę, musi w końcu przesiąknąć jej atmosferą, przejąć nawskroś czerpanemi tam wyobrażeniami i zawsze koniec b \acute{e} dzie taki, że albo złe szkoły popchną do upadku i zgubią społecze \acute{n} stwo, lub też społecze \acute{n} stwo ma jeszcze w sobie tyle zdrowego pierwiastku, i \acute{z} się podźwignie skutkiem jakichkolwiek b \acute{a} dź pomyślnych okoliczności i zreformuje szkołę, jak to się stało u nas z końcem XVIII wieku.

Spocze \acute{n} stwo zakłada szkoły, a szkoła tworzy społecze \acute{n} stwo. W \acute{p} ływ ten wzajemny wiąże się i spleta milionem nici i wyrabia we właściwym kierunku fizyognomię narodu, jego wyobrażenia i obyczaje. Czerpiący naukę w ogrodach Akadema Grek, w cieniu drzew oliwnych, pod przeslicznym lazurem południowego nieba, na wspaniał \acute{e} m m \acute{o} rzu wybrze $\acute{z$ u, przesiąkał nawskroś otaczającemi go wra $\acute{z$ eniami piękna, duch jego wznosił się swobodnie w sfery ideału; życie płynęło w ciągłym zachwyceniu, czarem piękności porwane. W taki \acute{e} m otoczeniu stworzył filozofię platońską i sztukę, która pozostanie wieczystą modlą umysłowionego piękna. W twardych bojach i na forum publicznym wykształcony Rzymianin rósł z młodu w m \acute{e} ża o żelaznym harcie duszy i wielkich cnotach obywatelskich; żył ca \acute{y} życiem praktycznym i do praktycznych dążył celów. Postanowił zosta \acute{c} panem świata i dokonał zamiaru. Nie patrzył w sfery ideału, bli $\acute{z$ sze i wa $\acute{z$ niejsze mu były sprawy wojenne i administracyjne Rzeczypospolitej; to \acute{z} w sztuce nie dorównał wzniosłemu pierwowzorowi Grecyi, ale miał wojowników, prawodawców, mówców i historyków, których czyny i dzieła pozostają równie niedoścignionym wzorem doskonałości, jak pieśń Homera i fryz Panteonu. Wychowany systematycznie w izbie szkolnej urządzon \acute{e} j według najnowszych wymagań szkolnictwa, z ogródkiem Freblowskim i symetrycznie ustawionemi ławkami, naród niemiecki, składa się z sentymentalnych filozofów i porządn \acute{y} ch rzemieślników, którzy w dan \acute{e} j chwili, jak tego świe $\acute{z$ o byliśmy świadkami, zachwiali potęgą genialną pod wielu wzgl \acute{e} dami a lekkomyślną Francyi, i omal że jej zupełnie z posad nie ruszyli.

Polska nie miała szkół dobrych. Szkół było bardzo wiele od najdawniejszych czasów, ale takich któreby odpowiadały istotnym wymaganiom zdrowego szkolnictwa, któreby były istotnie pożyteczne społecze \acute{n} stwu i prawdziwą szerzyły wiedzę takich, śmiało powiedzi \acute{e} ć

można, iż do połowy XVIII wieku, do czasu reformy Konarskiego i ustanowienia wiekopomnej „Komisyi edukacyjnej” nie mieliśmy przedtem. W najświetniejszej epoce dziejów naszych, w czasie najwyższego rozwoju oświaty, w wieku XVI, w błogostawionej złotej epoce Zygmunto-wskiej czerpali Polacy światło po większej części na uniwersy-tetach zagranicznych i oprócz jednego może Mikołaja Reja z Nagłowic nie było nikogo ze znakomitych i uczonych mężów, którzy onę epokę stwo-rzyli, coby nie odbywał studyów w Padwie, w Bononii, Rzymie, Pary-żu, onych głównych ogniskach ówczesnej umiejętności.

Szkoły w Polsce zaprowadzone zostały równocześnie z Chrześci-jaństwem, zajmowało się nimi i pielegnowało je duchowieństwo wy-kształcone na filologiczno teologicznej scholastyce średniowiecznej; ztąd poszedł pierwotny kierunek i główne cechy szkół polskich, które się mniej więcej do najpóźniejszych czasów niezmiennione zachowały. Pierwsi Benedyktyni wprowadzili szkolną oświatę do Polski. Szkoły Benedyktyńskie były najdawniejsze. Za przykładem duchowieństwa zakonnego poszło duchowieństwo świeckie i skrzętnie zajmowało się szkołami. Były tedy szkoły nie tylko już po klasztorach, ale przy kościołach katedralnych i po parafiach, a wszystkie urządzone na przyniesioną z Zachodu modłę szkół scholastycznych. Szkoły te, mianowicie zakonne i katedralne dzieliły się na dwa oddziały, czyli kur-sa; na tak zwane *trivium* i *quadrivium*. Nie były one zastosowane do istotnych potrzeb społeczeństwa, dla którego były przeznaczone, nie uwzględniały bynajmniej jego wyobrażeń i usposobień, stosunków jego życia i obyczaju. Nauka w nich udzielana miała głównie na celu potrzeby kościoła, kierunek teologiczny i wykształcenie zastępu przy-szłego duchowieństwa. W trywium uczono gramatyki, retoryki i dyalektyki; lecz nauka ta ograniczała się na wdrożeniu w umysł formuł scholastycznych raczej, niż na istocie rzeczy. O rozbudzeniu samodzielności umysłowej w szkole ówczesnej nie myślano. W qua-drivium wykładano początki arytmetyki, geometryi, astronomią i muzykę. Pod astronomią rozumiano wiadomości odnoszące się do układu kalendarza, mocno zresztą cechą astrologiczną zabarwione, a nauka muzyki była właściwie nauką śpiewu kościelnego. Podobnież w licznych szkołach parafialnych odpowiadających niejako naszym dzisiejszym szkołom, tak zwanym pospolitym, ludowym, uczono jako główne przedmioty ministrantury tudzież kantu t. j. śpiewu kościelne-go i cośkolwiek łaciny. Jak w szkołach zakonnych i katedralnych szło o przysposobienie co największej liczby przyszłych adeptów stanu duchownego, tak znowuż zadaniem szkótek parafialnych było przy-sposobienie kościołom organistów i ministrantów, i temu téż celowi odpowiadała ich organizacya. Że takie szkoły nie mogły być użytecz-nemi społeczeństwu, w téj mierze w jakiej szkoła użyteczną być po-winna; że chybiały właściwego celu i nie szerzyły należytéj oświaty: to wynika zbyt jasno samo już z siebie z tego, co się o nich powiedzia-ło. O kształceniu płci niewieściej, o szkołach żeńskich oczywiście

mowy być nie mogło. Wykształceni w *trivium i quadrivium* pod bokiem klasztorów i kościołów pra-pra-pradziadowie nasi nie chcieli mieć i nie mogli lubić mądrych pra-prababek, z zasady więc byli przeciwni temu aby się kobiety czegokolwiek uczyły, a to do tego stopnia, iż piszący już w XVI wieku a więc w epoce najwyższego rozkwitu oświaty, Andrzej z Kobyлина, w dziele wydaném w r. 1535 powiada nie owijając w bawełnę: „Mężowie, swoich przodków naśladowując tak ustawili i pilnie tego strzegą, aby białogłowy pisma się nie uczyły, ksiąg żadnych, co się tycze biegłości a wywiczenia rozumu nie czytały.“ Dzisiaj dziwném zaiste wyda się takowe wyobrażenie naszych pra-pra-pradziadów i nie bardzo na ich korzyść przemawia; jeżeli wszakże zważymy, iż pradziadowie ci czerpali sami w *trivium i quadrivium* naukę, która im w późniejszym życiu nie wiele mogła być użyteczną; jeżeli zważymy jakie ztamtąd sami wynosili pojęcie o istocie i zadaniu szkoły: toć się dziwić nie możemy, iż pożytku *takiej szkoły i takiej* nauki dla swych żon i córek nie widzieli.

Z rozszerzeniem się osadnictwa niemieckiego w XIII wieku po miastach naszych, mnożyła się też znacznie liczba szkół miejskich mających cechę przeważnie niemiecką. Napływ Niemców do Polski w onym czasie germanizował potężnie miasta, i byłyby może całą ich ludność zniemczył, gdyby w obronie narodowości nie stanęło opiekujące się szkołami duchowieństwo. Ponieważ osadnicy niemieccy sprządzali Niemców na nauczycieli szkół miejskich i parafialnych; przez co głównie germanizacja kraju szerzyć się mogła; przeto synody duchowne, jak Łęczycki w 1285 r., Kaliski w r. 1357 zabroniły wyraźnie przyjmować na posady nauczycielskie nauczycieli nieposiadających dostatecznej znajomości języka polskiego, a arcybiskupowie gnieźnieńscy jak Pełka, już w r. 1237, na 50 lat przed synodem Łęczyckim, następnie Jakób Swinka, Bogorya Skotnicki, troskliwie zajmowali się tym przedmiotem i postanowienia, dążące do uchronienia szkół od zalewu germanizacyjnego, wydawali.

Z założeniem akademii Jagiellońskiej w Krakowie, nie wiele się zmienił w ogóle wpływ szkół na oświatę powszechną, lubo okoliczność ta na stosunki szkolne w ogóle przeważnie wpłynęła. Akademia krakowska zakładała po miastach znaczniejszych liczne szkoły, zwane jej koloniami i pozostające z nią w ścisłych wzajemnych stosunkach. Kolonie akademii krakowskiej dostarczały nauczycieli szkołom pomniejszych, tak iż całe niemal szkolnictwo polskie stało się zczasem jakoby siecią téj kolonizacji akademickiej rozchodzącej się z jednego głównego kłębka *almae matris* krakowskiej. Wpływ zatem akademii na całe szkolnictwo był potężny, trzymała ona w swém ręku przez długi czas całą, rzec można kierunek oświaty szkolnej; lecz pomimo tego, szkoły ówczesne rozwijające się pod skrzydłem akademii, nie posunęły naprzód oświaty powszechnéj, nie przyniosły należytej korzyści społeczeństwu, poprostu dla tego, iż w saméjże akademii nauki pożyteczne były zaniedbane, że pochłoneńta ją była noc scholastycznego

obłądu, który rozchodząc się stąd jak chmury na wsze strony gnane, omroczył całe szkolnictwo i w czczym zanurzywszy je formalizmie, sparaliżował użyteczność szkoły.

Taki był wpływ akademii krakowskiej na rozwój szkolnictwa naszego od początków jej istnienia, przez dwa niemal stulecia, aż do czasu gdy ku końcu XVI wieku inne prądy wzięły górę i sparaliżowały jej przewagę i wpływ na szkoły i na szkolnictwo w ogóle. Z końcem XVI wieku, po długich i zaciętych walkach i sporach wydarli akademii tę przewagę Jezuici: lecz szkoły w ich ręku nie stały się ani lepsze, ani pożyteczniejsze. Przeciwnie doszedłszy do najokropniejszego upadku, stały się źródłem powszechnego obskurantyzmu. Założona z końcem XVI wieku przez Jana Zamojskiego, celem sparaliżowania wpływu szkół jezuickich na Rusi, spółzawodniczka akademii krakowskiej, akademii Zamojska nigdy nie posiadała szerokiego wpływu, nie podźwignęła szkolnictwa i w ogóle nie spełniła zadań przez wielkiego jej fundatora zamierzonych.

Odrodzenie nauk na gruncie literatury klasycznej, które w Europie wyparło ostatecznie scholastycezm a u nas w Polsce stworzyło wiek XVI i złotą epokę Zygmuntofską, z Włoch poszło i ztamtąd się po całej rozeszło Europie. W XVI wieku widzimy w całym świecie ruch niezwykły, burzliwy, nowatorski na każdym polu życia umysłowego. Jakby z długiego obudzone letargu, wyrwany z pęt scholastycznych, ujrzawszy światło, duch ludzkości goni za nim z całą potęgą i ruchliwością gorączkowego pragnienia, szuka dróg nowych, nowych kierunków wiodących ku słońcu prawdy, ku odrodzeniu społeczeństwa, szuka i znajduje nowe światy, nowe potęgi. Kopernik dyktuje prawa słońcu, obala z gruntu cały porządek dawnych wyobrażeń kosmologicznych i systemem swoim kładzie podwalinę odrodzenia wszystkich niemal fizycznych i przyrodniczych nauk. Kolumb odkrywa Amerykę a z nią nieprzebrane kopalnie nietylko złota, ale i nowych wiadomości i wyobrażeń. Guttenberg leje czcionki mające roznieść oświatę po wszystkie krańce świata i we wszystkie sfery społeczne. Marcin Luter wreszcie potęgą reformatorską myśli i słowa wstrząsa posadami najbardziej rozpowszechnionych przekonań i zażega burzę, która przechodzi w zaciętą i długotrwałą walkę na całej linii pomiędzy zwolennikami dawnych a nowych reformatorskich zdań, a kończy przeobrażeniem nietylko pojęć religijnych ale wielu najżywoźniejszych stosunków umysłowych, społecznych i politycznych.

Luter był nietylko reformatorem religijnym, ale także pierwszym owego czasu pedagogiem. Dzieła jego pedagogiczne wywarły znakomity wpływ na szkolnictwo niemieckie. W Polsce przy wielkiej, niemal zupełnej tolerancyi religijnej w XVI wieku za obu Zygmuntofs, burza reformacyjna przewiała, że tak powiem, przelotnym meteorem, zawichrzyła chwilowo umysłami, buchnęła nibyto słomianym ogniem i wnet zgasła, żadnych prawie nie zostawiając po sobie śladów, oprócz

w literaturze, narodowy pierwiastek zbyt głęboko tkwił w duszy ogółu aby się dał wypłenić sekciarskim usiłowaniam nowatorów.

Polska opierając się burzy reformacyjnej, nie tylko nie ulegała jej naciskowi, ale przeciwnie, jak to bywa w podobnych razach walk i przesilen, wnet w drugą wpadła ostateczność.

Reformacya nie wywarła żadnego wpływu na szkolnictwo w Polsce, już przez to samo iż tak krótko trwała i nie miała czasu owaćnadnąć szkół, tak, jak pomimo zaciętej walki nie powiodło się jej owaćnadnąć trwale przekonani. Różne sekty reformatorskie, a było ich w Polsce wiele i różnej nazwy w onym krótkim przeciągu czasu, zakładały wprawdzie i posiadały rozmaite własne swoje szkoły, ale były to szkoły, jak dziś mówimy, wyznaniowe, których celem było szerzenie sekciarsko reformatorskich wyobrażeń religijnych raczej, niżeli właściwa umiejętność i względy pedagogiczne szerszego znaczenia.

Oświata wszakże powszechna rozwinęła się jak wiadomo do wysokiego stopnia w Polsce w XVI wieku, tak iż Polska w owym czasie zrównała się pod względem umysłowym z resztą Europy, a w niejednej rzeczy ją przewyższyła. Mielśmy znakomitych uczonych i mężów stanu, biegłych dyplomatów, poetów, dziejopisarzy wykształconych na wzorach klassycznych, hetmanów i kanclerzy: słowem oświata w Polsce zaszczerpiona na pierwiastku klassycznym, zaświecniła wspaniale i uczyniła naród potężnym w całym tego słowa znaczeniu; lecz jak powiedzieliśmy główne żywioły tej oświaty przywożono do ojczyzny z zagranicy, z uniwersytetów Włoch i Francyi, dokąd po nią udawała się cała rzesza młodzieży zamożniejszych rodzin. W kraju szkołą kształcąca naród było życie publiczne, kancelarye i dwory magnatów i wysokich dostojników Rzeczypospolitej, gdzie młodzież szlachecka, garnąca się powszechnym zwyczajem, celem nabrania znajomości spraw publicznych i oglądy światowej żyła w atmosferze, z której wynosiła wszystkie wiadomości stanowiące rdzeń oświaty ówczesnej. Życie publiczne i dwory magnackie były tedy istną podówczas szkołą, i one to głównie podniosły tak wysoko stan jego oświaty. Na pańskim dworze wykształcił się Mikołaj Rey z Nagłowic, protoplasta naszej literatury, pierwszy pisarz po polsku piszący, co będąc żakiem szkolnym przemysłował tylko jak biegać z fuzyjką, bąki strzelać, ryby łowić lub z pociętego w kawałki żupanika kitajkowe wronom ogony przyprawiać. Podobnie jemu kształciła się większa część młodzieży ówczesnej w ten sposób na praktyce życia, a kształciła pomyślnie, jak się ze skutków okazało. Urządzenie szkół, teoria pedagogiczna w ogóle nie stanęła u nas w XVI w. na równi z powszechną oświatą społeczeństwa. Szkoły tonęły jeszcze w pomroku formuł scholastycznych, gdy umysłowość powszechna wyswobodziła się poza szkołą z pięć ją krępujących i świetnie a wszechstronnie się rozwijała. Było to w znacznej części zasługą i jedynym też trwałym śladem przostałym po reformacyi u nas, iż przeniósła naukę z pomiędzy ciasnych ścian izby szkolnej na obszerny publiczny horyzont; iż ją obrała z scholastycznego pedantyzmu, z togi do-

ktorskiej, i wyprowadziła w świat, zastosowała do pojęcia powszechności, mianowicie w dziedzinie teologicznej i religijnej; że ją spopularyzowała i spolszczyła. Nauka szkolna do najpóźniejszych u nas czasów nie troszczyła się bynajmniej o istotne potrzeby umysłowe narodu, ale zasadzała całą swą wagę na pozornej, napuszystej uczoneści, niemającej żadnego związku z istotnymi celami życia i właściwem zadaniem nauki; na gimnastyce syllogistycznej. Cała też nauka szkolna odbywała się po łacinie i na książkach łacińskich. Użycie języka polskiego zdawało się uczonym ówczesnym ubliżać ich uczoneści. Za nic w świecie nie byliby się zniżyli do wyrażenia swęj myśli w języku polskim, w powszednim języku gminu. Już przez to samo szkoła ówczesna, podobnie jak cała umiejętność i literatura, nie mogła przynieść należytej korzyści narodowi, pieczęcią niezrozumiałego dla ogółu hieroglify formy, w obcęj szacie, bo w obcym podana języku mogła być zrozumiałą i użyteczną pewnej tylko, stosunkowo szczupłej sferze społecznej, nierozlewając się szerokięm światłem na ogół narodu. Reformacja dopiero wniosła nowy kierunek, nową formę i odświeżyła umysłowość narodu żywiołem nowej potęgi. Zaniechała łaciny, zaczęła mówić po polsku. Oto jest wielka zasługa reformacyi, wielkie dzieło dokonanego przez nią u nas postępu. Reformatorowie i sekciarze, którym chodziło o to, aby pozyskać jak największą liczbę zwolenników, a zwalczać sekty przeciwne, musieli z natury rzeczy przemawiać w swych dysputach i kazaniach językiem powszechnie zrozumiałym, własnym narodowym językiem. Chodziło o cel rzeczywisty, o pomnożenie sekty swojej, o przekonanie tak największej liczby adeptów, nie o marne tryumfy doktorskie biretu. Bój reformatorski toczył się po polsku, pociągał wszystkie umysły w swój wir zapamiętały, gorączkowo ogarniał wszystkich, i mimowiednie wzwyczaiał do używania języka polskiego w mowie i piśmie; przekonał że najważniejsze zadania naukowe i teologiczne dadzą się obrabiać w ojczystym języku równie dobrze jak uprzywilejowanej łacinie, o wiele jednak żywotniej i skuteczniej. Od reformacyi datuje się tedy spolszczenie naszej literatury, która walcząc następnie jeszcze przez jakie półtorasta lat z łaciną w epoce makaronicznej, otrzęsała się z niej całkowicie i ku końcu zeszłego wieku zupełnie odniosła zwycięstwo.

Do tego stanu szkół u nas tak w wieku XVI jak przedtem i potem, przyczyniła się bardzo znacznie i ta okoliczność, iż nie było w nich zaprowadzonej jednostajnej metody nauczania, iż nikt nie baczył jak uczono i nie troszczył się o wprowadzenie jednolitego pod tym względem systemu; iż każdy nauczyciel uczył mniej więcej jak mu się podobało i z książek jakie sobie dowolnie wybrał, a wiemy częm jest w szkolnictwie brak metody, brak jednolitego systemu. Bez tego nigdy szkoła należycie rozwinąć się nie może. Józef Łukaszewicz w znakomitęm swęm dziele: *Historya szkół w Koronie i W. X. Litewskiem*, powiada o szkolach ówczesnych:

„Każda niemal szkoła miejska i każda szkoła wyższa używała innych ksiązek szkolnych, już i z téj przyczyny, że znaczna część nauczycieli cudzoziemców zaprowadzała używane w ich krajach, a zatem sobie znajome książki szkolne; a duchowieństwu było rzeczą zupełnie obojętną, z jakich ksiązek dzieci uczono, byle te książki nic przeciw wierze świętej w sobie nie zawierały.“

W wieku XVI, gdy literatura i w ogóle oświata tak bujnie u nas zakwitła, poczęto téż uprawiać teorię pedagogiczną. Posiadamy z tego czasu dzieła w tym przedmiocie tak w łacińskim jak polskim języku, jak Reinharda Lorychiusza, Erazma Glicznera, Maryckiego i innych. Zajmują się one atoli po większej części bardziej ogólnemi uwagami etyczno-moralnemi, niżeli właściwemi zasadami szkolnictwa i wymaganiami szkoły. Weźmy np. jedno z najznakomitszych ówczesnych dzieł tego rodzaju: Szymona Maryckiego *O szkołach czyli Akademiach ksiąg dwie* (De scholis seu academiis, libri duo). Skreśliwszy w pierwszych rozdziałach ogólny pogląd na szkoły w starożytności i na pożyteczność szkół dobrych, wykazuje autor w dalszym ciągu dzieła, że nieposiadające wyższej oświaty duchowieństwo, wielką szkodę przynosi krajowi, że monarchowie powinni się kształcić i dobrze wychowywać swe dzieci; że urzędnicy Rzeczypospolitej powinni być należycie wykształceni, podobnie jak i wszyscy w ogóle obywatele mają odbierać stosowne wychowanie i naukę; że żołnierz oprócz robienia bronią, także i w naukach wyzwolonych, kształcących umysł, ćwiczyć się powinien i t. d. Z powyższej treści, dającej poznać kierunek prac pedagogicznych onego wieku, widzimy, iż pedagogowie ówcześni nie zajmowali się szczegółami urządzenia szkół; bo téż, jak powiedzieliśmy powyżej, szkołą właściwą było podówczas życie publiczne, obywatelskie, a najważniejszymi i najstosowniejszemi dziełami pedagogicznymi w onym stanie rzeczy było Rejowskie: *Zwierzciadło i Żywot poczciwego człowieka* lub *Dworzanin* Łukasza Górnickiego. Na nich kształcił się naród. One zastępowały mu całą bibliotekę pedagogiczną i ogromny téż wpływ na rozwój wyobrażeń, na ugruntowanie zasad obywatelskich i moralność publiczną wywierały.

Aby sparaliżować szybko szerzącą się reformację, kardynał Hozysz sprowadził w drugiej połowie XVI wieku Jezuitów do Polski. Przybywszy do Brunsberga w Warmii w r. 1564, otworzyli w pięć lat po osiedleniu się tamże w r. 1569 pierwsze swe szkoły. W rok po przybyciu do Brunsberga powołani przez biskupa płockiego, Andrzeja Noskowskiego, zakładają w r. 1565, swe kolegium w Płocku, w r. 1569 już są w Wilnie, gdzie zakładają akademię. W r. 1571 osiedlają się w Jarosławiu i Poznaniu. Stefan Batory ujęty przez Posewina zakłada im kolegia w Płocku i Rydze w latach 1581 i 1582. W tymże roku powołuje ich do Lublina Bernard Maciejowski, a Radziwiłł „sierotka” funduje im kolegium w Nieświeżu! W następnych latach osiedlają się w Dorpacie, w Gdańsku, w Kaliszu. Przedtém jeszcze około roku 1580 przybyli do Krakowa, gdzie na wstawienie się bisku-

pa Piotra Myszkowskiego, król Stefan oddał im w posiadanie kościół św. Barbary; wreszcie w r. 1585, biskup Solikowski sprowadził ich do Lwowa.

Sprowadzenie Jezuitów do Polski pociągnęło za sobą przewrót zupełny szkolnictwa, a w dalszém następstwie i całej oświaty narodu. Jezuici gdziekolwiek przybyli, zakładali wnet szkoły swoje; walczyli zacięcie o pognebnienie dawniejszych, o piérwszeństwo nad nimi, położywszy sobie za cel główny owładnienie z czasem całej umysłowości narodu, dla pozyskania tym sposobem nieograniczonego nad nim wpływu. Naprózno akademia krakowska zacięty w obronie szkół swych stawiała przeciw nim opór i nieprzerwane staczała walki, usiłując utrzymać się przy sterze szkolnictwa. Potęga jezuickiego wpływu rosła coraz bardziej i wszystko garnęła w swą władzę.

Zakon jezuicki w Polsce w przeciągu niespełna jednego stulecia, osiągnął cel swój zupełnie; ożdzierzył władzę nad umysłami, zapanował nad nimi zupełnie. Przemownym ku temu środkiem była szkoła; system wychowania obliczony na podgarnienie pod swą władzę młodego pokolenia, a co za tém koniecznie idzie, następnie całego narodu. Wróciła tedy do szkoły scholastyka w całej pełni, z całą swą sylogistyczną akrobatyką, z teologiczną i pseudofilologiczną gmatwaniną. Trzydziestoletni wasale, przykuci do ławy szkolnej kuli Alwara, składali złą łaciną liche oracye i wiersze, i wygłaszali za patrami najpotworniejsze brednie panegiryczne.

W takich szkołach wychowane społeczeństwo musiało kłonić się do upadku, grążyć coraz bardziej w ciemności i wynikających z niej wadach. Daremnie pocziwy grunt duszy walczył z powziętymi w szkole wyobrażeniami, chwast szkolny tłumił dobre przymioty, a pogrążona w obskurantyzmie społeczność, sztywniała w przesądach i umysłowym zastoju. Surowość stała się w przekonaniu i obyczaju ówczesnym kardynalną zasadą pedagogiczną, jak tego wyborny wizerunek przedstawił Wincenty Pol w swoich: *Przygodach Benedykta Winnickiego*, tym prawdziwym klejnocie naszej poezyi, tak przedziwnie pojętym, iż potrzeba zupełnie nie zrozumieć tendencji autora, ażeby w téj misternie wyciętej sylwetce czasu i społeczeństwa, upatrzeć chęć idealizowania wad szlacheckich, jak mu to wielokrotnie zarzucano. Poeta chciał tu być tylko malarzem, a odmalował istotnie dosadny, prawdziwy obraz.

Już Władysław IV niebawem po śmierci ojca swego Zygmunta III-go, za którego przewaga Jezuitów rozszerzyła się i podniosła, przemysłiwiał nad sparaliżowaniem szkodliwego wpływu ich szkół na wychowanie powszechne i sprowadził w tym celu do Polski zakon świeżo podówczas utworzony, w celu zajmowania się początkowo wychowaniem młodzieży, czyli zakładaniem szkół pobożnych *scholae piac*, od czego poszła nazwa Pijarów. Szkoły pijarskie licznie zakładane w Polsce, współzawodniczyły wprawdzie z jezuickimi i pobudziły nawet do wprowadzenia w nich niejakich ulepszeń; w ogóle jednak początkowo przez długi przeciąg czasu nie o wiele się od nich różniły i nie o wiele od

nich były lepsze. Dopiero w połowie XVIII w., a więc w sto lat prawie po przybyciu zakonu do Polski, wiekopomnej pamięci Stanisław Konarski, położył węgielny kamień zupełnego przeobrażenia szkolnictwa w Polsce. Wielki nauk i szkół reformator, napojony duchem wyobrażeń postępowych zagranicą, a mianowicie na dworze Stanisława Leszczyńskiego króla-filozofa, uczuciem i myślą całe życie Polsce oddanego, Konarski założeniem konwiktu szlacheckiego w Warszawie i uorganizowaniem takowego na zupełnie odmiennych, jak szkoły dawniejsze, zdrowych zasadach pedagogiki i dydaktyki, stworzył epokę, od której datuje się początek odrodzenia prawdziwej oświaty w Polsce. Statut organizacyjny tego konwiktu, czyli regulamin, pozostanie wzorem, że tak powiem kodeksu pedagogicznego, lubo znajdują się w nim także postanowienia, na które dzisiejsze postępowe szkolnictwo, nie ze wszystkiemi zgodzićby się mogło. Pominąwszy jednak te mniejszej wagi usterki, będące naleciałościami tradycyi szkół dawniejszych, znajdujemy w rzeczonym regulaminie objęte to wszystko, na co pedagog chcący wychowaniem ucznia pokierować, uwagę swą zwrócić powinien. Nie zapomniano tam o niczem, pamiętano zarówno o zdrowiu ciała i duszy, jak o wychowaniu fizycznem i moralnem. Za pobudką daną przez Konarskiego, powstają wnet podobne, na tychże samych zasadach organizacyjnych oparte, konwikta przy innych kolegiach pijarskich. Nie chcąc się dać wyprzedzić swym współzawodnikom, zakładają takowe również OO. Jezuici. Duch reformy owiewać zaczyna wszystkie szkoły. W roku 1761 założył Ignacy Konarski brat Stanisława, w Opolu pierwszą w Polsce szkołę rzemieślniczą. Ruch tedy za daną szczęśliwie pobudką, ożywia się i rozprzestrzenia na całej linii narodowego szkolnictwa. Zupełny atoli przewrót, rdzenną reformę przeprowadziła dopiero Komisya edukacyjna.

Któż nie zna jej dziejów, nie ocenia błogostawionego jej wpływu na podniesienie oświaty powszechnej w Polsce? Zniesienie zakonu Jezuitów bullą papieża Klemensa XIV w roku 1773, dało pobudkę do ustanowienia komisji, której powierzono po zniesieniu zakonu osierociąki niejako ster szkolnictwa, a zarazem rewindykację pozostałego ogromnego majątku pojezuickiego, przeznaczonego odtąd na fundusz wychowania publicznego. Najświatlejsi i najznakomitsi swojego czasu mężowie weszli do składu komisji, jak książę Czartoryski generał ziem podolskich, Ignacy Potocki, Chreptowicz, Andrzej Zamoyski, Kołłątaj, Niemcewicz, Piramowicz i inni. Komisya edukacyjna rozwinęła zdumiewającą czynność i przeprowadziła reorganizację całego systemu wychowania publicznego od szkół najwyższych do najniższych. Podczas gdy Kołłątaj z ramienia komisji reformował akademię krakowską, Piramowicz z jej polecenia tworzył szkołę ludową. Wydane przez komisję: *Ustawy dla stanu akademickiego i na szkoły w krajach Rzeczypospolitej*, zawierają cały zarys tej reorganizacji i były jej podwaliną. Niepodobna nam tutaj wchodzić w szczegółowy rozbiór tego systemu i wykazywać jego zalety, jego gruntownie obmyślaną dążność

i doskonałość. Powiemy tylko, że: *Ustawy komisji edukacyjnej* pozostaną na zawsze wzorem dobrego pod względem pedagogicznym i dydaktycznym urządzenia szkół, i stworzyły w polskiem szkolnictwie epokę, od której datuje się prawdziwa u nas oświata i zaczynają się dzieje dobrej szkoły. Za główne zadanie szkoły uważała Komisya nie suche przetadowanie wiadomościami, ale rozbudzenie samodzielności umysłowej i zamiłowania do nauk, aby tym sposobem przysposobić młode pokolenia do dalszej pracy nad sobą, do wszechstronnego wykształcenia, do spotęgowania i zużytkowania wszystkich intelektualnych i moralnych sił narodu. W tym kierunku urządzone szkoły musiały stać się pożytecznemi. Był to kierunek zupełnie odmienny od dawniejszego, tóż i korzyści inne wypadły, a o ile szkoła dawniejsza była jałową i pod wielu względami szkodę raczej niżli pożytek przynosiła; o tyle nowa przez Komisję edukacyjną zreformowana, a raczej stworzona, obfity plon nosła krajowi i wytknęła szkolnictwu narodowemu tor właściwy. Ażeby ocenić chociażby tylko w najogólniejszym zarysie zasługi Komisji edukacyjnej i wartość wprowadzonego przez nią systemu szkolnego, pozwolę sobie wyreczyć się słowami jednego z najwytrawniejszych, praktycznych pedagogów dzisiejszych p. Stanisława Sobieskiego, który w przedmowie do swój: *Biblioteki pedagogicznej i dydaktycznej*, której wydawnictwa, niestety, na pierwszych zaraz zeszytach, z braku należytego ocenienia jego użyteczności i wartości, zaprzestać był zmuszony, w następujący sposób wyraża się o Komisji edukacji narodowej:

„Przez dziewiętnastoletni przeciąg swego istnienia, oddała komisya edukacji narodowej nieobliczone przysługi i postawiła wychowanie i kształcenie młodzieży na tak wysokim stopniu, na jakim wówczas w Europie w żadnym państwie nie stało. Młodzieniec kończąc szkoły Komisji edukacyjnej, nie wynosił wprawdzie z nich wielkiego zasobu wiadomości, ale co jest stokroć lepszem, wynosił zdrowy rozsądek, nieobałamucony drobiazgowościami i pedanterją; wynosił usposobienie i uzdolnienie należyte do kształcenia się dalej w jakimkolwiek życiu zawodzie.”

Komisya edukacyjna podzieliła szkoły na okręgi, zwane *wydziałami*, których ustanowiła w Koronie sześć, na Litwie cztery. Szkoły były albo *wydziałowe* o sześciu klassach, a właściwie o siedmiu, gdyż piąta klasa rozłożona była na lat dwa, albo *podwydziałowe* o czterech klassach. Oprócz zreformowania akademii krakowskiej, o której powyżej wspomnieliśmy, zreorganizowała Komisya akademię wileńską, założyła przy obu akademiach seminarya nauczycielskie; utworzyła „Towarzystwo elementarne” mające się zająć dostarczeniem dobrych książek szkolnych, zajęła się naostatek bardzo gorliwie i czynnie zaprowadzeniem i urządzeniem szkół ludowych. W tym celu poruczyła napisanie instrukcyi dla nauczycieli wiejskich ks. Grzegorzowi Piramowiczowi. Piramowicz sekretarz Komisji, najczynniejszy w jej gronie, będący można powiedziéć duszą téj instytucyi, był największym

swojego czasu pedagogiem, a to co Komisya edukacyjna, zwłaszcza dla szkoły ludowej uczyniła, w znacznej części jego pracy, jego bystremu pogładowi i mądrej inicjatywie, jego pedagogicznemu doświadczeniu, zawdzięczać należy. W dziejach szkolnictwa polskiego postać Piramowicza jaśniej w pierwszym rzędzie. Jest to mąż, którym słusznie szczeni się szkolnictwo nasze w obec swoich i obcych. Napisane przezzeń z polecenia Komisji edukacyjnej „Powinności nauczyciela, mianowicie w szkołach parafialnych i sposoby ich dopełnienia,” które słusznie za najcenniejsze z dzieł Piramowicza uważać można, jest wzorem i że tak powiem, katechizmem metody pedagogicznej, nad który nic lepiej obmyślanego, nic gruntowniejszego i trafniejszego nie posiada żadna literatura pedagogiczna.

Prace Piramowicza przeznaczone dla szkół ludowych jako to: *Elementarz dla szkół parafialnych*, *Nauka obyczajowa dla ludu*, jego mowy doroczne miewane na posiedzeniach Towarzystwa ksiąg elementarnych, zawierają takie bogactwo ważnych prawd, wskazówek i spostrzeżeń pedagogicznych i są zawsze tak trafnie do właściwego celu zastosowane, iż stawiają Piramowicza w rzędzie pierwszych pedagogów swojego czasu. Gdyby jednakże nie więcej był nie napisał, jak: *Powinności nauczyciela*, jużby tém jedném dziełem postawił był nie pożyty dla siebie pomnik w literaturze pedagogicznej. Kołtają najwłaściwszy sędzia tych rzeczy, któremu ani wysokiego znawstwa, ani genialnego poglądu odmówić nie można, tak się o niem w listach do Czackiego wyraża:

„Drugie dzieło Piramowicza, *Powinności nauczyciela*, mianowicie zaś w szkołach parafialnych jest nieoszacowane. Nietylko każdy nauczyciel parafialny, ale nawet każdy kandydat w konwiktie spობiący się na nauczyciela, powinien go tak czytać, jak czytają codzień w seminaryum medytacye, lub dla pospólstwa w niedziele ewangelię.”

Nazywają zazwyczaj w Niemczech Pestalozzego ojcem szkoły ludowej. Zważywszy jednak, iż znakomity ten pedagog-reformator, najważniejsze swe dzieło stanowiące podstawę jego systemu pedagogicznego pod tytułem: *Wie Gertrud ihre Kinder lehrt*, wydał w r. 1801, to jest w roku śmierci Piramowicza, widzimy iż tenże uprzedził o dwadzieścia lat Pestalozzego i nową epokę szkolnictwa niemieckiego, i że właściwie autorowi „*Powinności nauczyciela*” naszemu Piramowiczowi należy nazwa *twórcy szkoły ludowej*.

Czynności Komisji edukacyjnej, dokonane w krótkim okresie jój żywota, w przeciągu lat dziewiętnastu, zjednały sobie powszechne uznanie nawet naszych przeciwników, zmuszonych oddać hołd prawdzie. Po zajęciu przez Prusaków części Polski nazwanej Prusami południowemi, radca Klewitz prezydent departamentu tychże Prus południowych, tak się wyraża w raporcie swym o stanie wychowania publicznego, jaki Prusacy w Polsce zastali:

„Zastano, powiada on, przedziwne prawa rządu polskiego w urzędzeniu szkół w latach 1783 i 1790, brakowało tylko wykonania... Edu-

kacya ściagała się do oświecenia rozumu, moralności i praktycznej religii, zręczności i wzmocnienia sił ciała, do ochędostwa domowego i porządku. Nauka zmierzała do myślenia samodzielnego, do praktycznego użycia wiadomości, dyetetyki, krajowego gospodarstwa, weterynaryi. Dawano wyobrażenie miejskiego przemysłu, usiłowano nakoniec hartować ciało i do pracowitości przyzwyczaić. Edukacya dziewcząt miała za cel ukształcić je na dobre żony, matki i gospodynie."

Trudno oddać wyższą pochwałę systemowi wychowania zorganizowanemu przez Komisję edukacyjną, niż ta, którą w powyższych słowach treściwie zawarł pan prezydent departamentu. Skutki czynności Komisji edukacyjnej nie zaginęły z jej rozwiązaniem. Po utworzeniu księstwa Warszawskiego, ustanowiona Izba edukacyjna, pochwyciła nić działania chwilowo zerwaną i snuła ją dalej w tymże samym kierunku. Tradycje Komisji edukacyjnej, stały się podwaliną, na której szkolnictwo polskie dalej się rozwijało, a po części i dzisiaj jeszcze się rozwija. W księstwie Warszawskim a później pod berłem cesarza Aleksandra I, szkolnictwo pomyślnie czyniło postępy. Organizacya szkół pod kierunkiem takich mężów jak książę Adam Czartoryski, Tadeusz Czacki, doskonalila się nieprzerwanie—oświata bujnie szerzyła. Uniwersytety Warszawski i Wileński doszły do zenitu świetności. Ten drugi zwłaszcza posiadał grono professorów, złożone z uczonych, posiadających sławę europejską. Dostyc tu wspomnieć obu Śniadeckich, Grodka, Lelwela. Szkołę Krzemieniecką założył Tadeusz Czacki na podstawie planu organizacyjnego, dostarczonego mu przez Kołłątaja. Znane jest wyborne urządzenie tej szkoły, jej zasługi i wpływ, jaki na ukształcenie całego pokolenia wywarła. Nie mam przeto potrzeby mówić obszerniej o niej. Wypracowany przez Kołłątaja dla niej projekt organizacyjny, tudzież projekt urządzenia szkół ludowych i prowadzona w tym przedmiocie korespondencya Kołłątaja z Czackim, jest nieoszacowanym materiałem pedagogiczno-dydaktycznym, i w literaturze naszej szkolniczej do najznakomitszych dzieł należy.

W Wielkiem księstwie Poznańskim pod rządami pruskimi, szkolnictwo rozwijało się na wzór niemieckiego. Organizacya szkół była więcej postępową, o wiele lepszą niż w Galicyi, ale rządy tak tu, jak tam, dażyły do zupełnego zgermanizowania szkoły. W Prusiech dążność ta potęguje się coraz bardziej i jest obecnie w zenicie swoim. O wiele pomyślniej dla szkoły złożyły się rzeczy w Austryi. Od zajęcia Galicyi po rok 1848, były szkoły galicyjskie jak najgorzej zorganizowane i nie przynosiły żadnej korzyści krajowi. Gorowała w nich tendencya germanizacyjna, język wykładowy był niemiecki, metoda ściśle mechaniczna, pamięciowa. Plan dydaktyczny jak najgorszy. Wiadomości prawdziwie użytecznych, prawie żadnych, albo po szczypcie niemal niedojrzanych. Celem szkoły wedle tamtej organizacyi, było kształcenie urzędników, a nie obywateli. System ten obejmował wszystkie szkoły, całą ich organizacyę od najniższych do najwyższych. Szkół po wsiach wcale nie było, a jeśli gdzie była jaka, to nie zasługiwała na-

wet na nazwę szkoły. Szkoły nazwane *ludowemi*, wcale nie były dla ludu. Oświata podówczas była w Galicyi przemycanym towarem, szkoły go nie dostarczały. Po oświacie uciekano się do literatury, będącej w takim stanie rzeczy jedynym jej źródłem, a szkolnictwo pozbawione praktycznego gruntu, uprawiano w teorii. Trentowski napisał *Chowannę*, dzieło na wielki rozmiar zakreślone, mające obejmować cały system wychowania, z którego atoli autor ukończył i wydał w dwóch grubych tomach część pierwszą, obejmującą zasady pedagogii. Z części drugiej obejmującej dydaktykę, zostały tylko niektóre ustępy ogłoszone. Część trzecia miała zawierać dzieje szkoły, czyli jak autor nazwał, epikę. Trentowski wychowany w szkole niemieckiej, na niemieckiej wykształcony filozofii, pisząc swe dzieła filozoficzne był tego mniemania, iż tworzy nowy oryginalny system *filozofii polskiej*, podczas gdy snuł on tylko dalej wątek Szelingowsko-Heglowskiej spekulacji, pewnymi zmianami i dodatkami ubarwionej. Ztąd we wszystkich jego dziełach znajdujemy modelowanie się według pojęć i podziałów Heglowskich. Też samą cechę nosi na sobie także *Chowanna*, mianowicie w części teoretycznej położonej na czele każdego rozdziału. Część praktyczna zawiera wiele zdrowych przestróg pedagogicznych, wiele prawd i wskazówek trafnych, wypowiedzianych z właściwą Trentowskiemu porywająco-dosadną swadą, naprzemian energiczną i szumnie napuszystą. W dziele całém znać teoretyka, który wiele myślał nad zasadami pedagogii, wiele rozważał, szukając dróg prawdziwego wychowania, lecz nigdy praktycznie wychowaniem się nie trudnił. W każdym jednak razie *Chowanna*, zajmuje znakomite miejsce w historii naszej literatury pedagogicznej i pominiętą być nie może. W tym samym okresie, co Trentowski, pisali w przedmiocie pedagogicznym: Teodozy Sierociński w Warszawie, Floryan Bochwic i inni, pomiędzy którymi najznakomitszym niezaprzeczenie pedagogiem praktycznym był Ewaryst Estkowski, którego szereg pism wydany w Poznaniu dla dzieci i szkolnej młodzieży, jest prawdziwym skarbem pedagogicznej naszej literatury.

Od roku 1848 datuje się polepszenie szkół austriackich w ogóle, a z nimi razem i galicyjskich. Wszelako istotna reforma szkół w Galicyi rozpoczyna się dopiero z ustanowieniem rady szkolnej krajowej. Wykluczenie języka niemieckiego jako wykładowego, stanowi wielką erę w organizacyi szkół galicyjskich. System nauk przeobrażony zupełnie i do wymagań dydaktycznych w wielu względach trafnie zastosowany, podniósł szkoły galicyjskie na stanowisko odpowiednie ich zadaniu, lubo wiele tu jeszcze do zrobienia pozostaje; atoli reformy takie nie przeprowadzają się w jednej chwili, zwłaszcza, jeżeli na każdym niemal kroku przychodzi walczyć z różnorodnymi przeszkodami. To pewna, iż w ostatniem dziesięcioleciu szkolnictwo w Galicyi uczyniło ogromne postępy, tak na polu praktyki jak teorii. Reforma szkół wraz z zaprowadzeniem języka wykładowego polskiego, zrodziła potrzebę zaopatrzenia ich w nowe książki, odpowiednie nowemu dydak-

tycznemu kierunkowi szkoły. W dziedzinie literatury pedagogicznej obudził się ruch bardzo żywy. Księgarz Karol Wild wydał w przeciągu lat kilku całą serję dzieł szkolnych wszelakiej treści i otrzymał w tym celu subwencją od sejmu. Inni nakładcy również w tym podążają kierunku, albowiem książki szkolne w Galicyi są dziś najpopytniejsze i najliczniej się rozchodzą, co bardzo pomyślnie świadczy o wzroście i rozwoju szkół. Zawiązało się nawet we Lwowie *Towarzystwo wydawnicze książek szkolnych i naukowych*, które wprawdzie dotychczas jedną dopiero książkę wydało, lecz miejmy nadzieję, że kiedyś przecie coś więcej wyda. Pojawiają się téż dzieła specjalnie pedagogiczne, mniej-więcej odpowiednie celowi, jak *Szkolnictwo Łuczkiwicza*, *Pedagogia Seredyńskiego*, pisma Zarańskiego, wybornie przepolszczona *Pedagogika Kelnera*, z wielu dodatkami, zastosowanemi do potrzeb szkoły naszej przez Zygmunta Sawczyńskiego. *Zasady wychowania i nauki, czyli wskazówki pedagogiczne i dydaktyczne dla szkół wyższych* przez Stanisława Sobieskiego, dzieło będące owocem wytrawnej wiedzy pedagogicznej, praktycznym wzbogaconej doświadczeniem.

Naostatek nie mogę pominąć bez wzmianki przewybornie napisanego, a mało znanego i nie ocenionego dotąd należycie dziełka, profesora lwowskiej akademii technicznej D-ra Rudolfa Ginsberga, noszącego tytuł: *Mysł odpowiedniego urządzenia szkół technicznych*, w którym autor rozstrnuwa cały system organizacyi wychowania publicznego, obmyślany ze znajomością doświadczonego dydaktyka, opartą na gruntowném poznaniu systemu szkół francuzkich i niemieckich.

OBRAZY ZE WSPÓŁCZESNÉJ LITERATURY NIEMIECKIÉJ.

PRZEZ

Feliksa Jeżierskiego.

(Dokończenie).

Trudno opisać hołdy tłumy i zapał władcy, przed majestatem siedzącej na tronie bogini Romy. W jéj ruchu i gestach zdumiewają, jak w wielkiej Junonie, kształty czarowne, nadludzko niewieście. Z pod złotorzeźbnej grodowej korony spadają w czarnych pierścieniach włosy, spadają na szyję niezmiernéj białości, na pierś bijącą z pod łuski pancerza. Złocona w bisior, purpurowa draperya o zło-

tych i brylantowych spinkach, obiegłszy malowniczo jój kibić, sutemi fałdami u stóp jój się ściele. Twarz kryje maska, lecz i z pod maski biją światłem wielkie jój oczy.

Wysiadłszy, uroczycie powitała pogromcę świata i Olimpu, lecz jako matka i ochronicielka Rzymu, powitała w nim, jakby swoje nieśmiertelne dziecko.

Majestatyczna postawa bogini, uroczystość w ruchach, układzie, i kroju talii, płomień wykradający się ze źrenic, a przedewszystkiem tajemniczość, zadrażniły fantazyą. Nero już gotów „dzielić z nią zaszczyty, i świat i Olimp świeżo zdobyty.“

Wśród takich namiętnych kadzideł wiedzie boginię pod cienie gaju platanowego. Po gaju świecą biało purpurowe namioty, w których przyczajona rokosz bachancka spełnia puhar, nalany tą wroczną dłonią, która po ścieszkach różanych wabi ludzkość Rzymu na dno zagłady. Nawet w gondolach po cichém jeziorze ognistym zgiełkiem płoną bachanalie.

„Noc letnia, tknąwszy bachantów ramienia,
Pruszy na skroń ich makiem zapomnienia;
Błyszczą pochodnie, lecz miesięczne strzały
Mleczną światłością ich blask zalewały;
W powietrzu miękkość niewieścia, jedwabna.
O! to noc letnia, zdradziecko powabna,
Kiedy żar dzienny pod zachodniem echem
Zamiast przygasnąć, kryjomo się ściele
I tli i praży pokątnym oddechem...
Takie to sidła mocy i niemocy
Snuł czarnoksięski duch tój letniej nocy.“

Pod tём magiczném ciśnieniem czarów mógłże ustać ten, dla którego rokosz była jedynym, twórczym żywiołem bogów i ludzi? Po długim błąkanu się, Nero i wędrowna gwiazda, upatrzyli sobie gniazdko na ciche szeptania i poufne rozmowy. Była to ustronna altana: suto wyścielona złotogłowiem i purpurą, istne zaświciecie chłodów i tajemnicy. W około altany, poczynając od wejścia, snuły się krzewia i kwiaty wędrowne od Wschodu, dysząc podzwrotnikowym aromatem. Wnonnościom wtorowały tętnieniem, kropelki spadające z ukrytych krynic.

Urok otaczającój natury i urok obecności bogini, jak z dwóch stron nadbiegające siły, sprzysięgły się na zapaleńca, i mózg jego zmąciły do ostatka. Kiedy bogini przyjęła z rąk jego puhar, napełniony iskrzącym płynem, kiedy puhar błysnął w jój dłoni, Nero tę dłoń przycisnął do serca.

— Któż jesteś? powiedz nadludzka kobieto i odstoń oblicze.

— Można zuchwalcze, ty najpierwszy Rzymianin, i nie jesteś świadomy mnie matki twojój, bogini Romy?

— Mówisz o miłości, a jakże prędko zapomniałeś o biednej Poppei! Niewdzięczny, zapomniałeś o tej ślicznej wychuchanej lalce, o mistrzyni kędziorów i maści różanych! Wszak mówiłeś jej że kochasz, bo o czémżeście gwarzyli bez świadka przed mojem przyjsciem?

Rozmowa ożywia się coraz bardziej, zapala; bogini, doбира coraz jadownitszych żądań, dla drażnienia wietrznej, nierozważnej, okrutnej miłości.

Niepodobna tej misternej nici wysnuć w całości, zbyt bowiem przekroczylibyśmy zamierzoną granicę.

Straszne tajemnice swojego serca, a raczej śmiertelną próżnią duszy wypowiada Nero przed boginią. Jego wszechwładność, służalcze hołdy kobiet dla jego wdzięków, najskrytsze zwierzenia się ich, brak choćby jednego węzła przeszkody: oto niszczące potęgi, które odjęły mu wiarę w miłość niezachwianą.

— Ach,—mówi Nero—wierzę tylko w miłość matki; ale bogini Romo, moja luba, moja władczyni, zdejm maskę: zaklinam cię.

(Zimne pokręcenie głową było jedyną odpowiedzią).

— Bogini, zdejm maskę, ukaż najpiękniejsze twoje oblicze; zdmuchnij zaćmienie słońca z oczów twoich: proszę, błaga cię szalejący z miłości oblubieniec.

(Milczenie i uśmiech).

— Bogini, rozkazuje ci Nero.

(Znow milczenie).

— Co! opór... Neronowi?

I ze spazmatycznym porywem zdarł maskę z jej twarzy.

Zimne, do krwi przenikające było spojrzenie Agrypiny; z godnym siebie uśmiechem pogardy wyrwała się z namiętnego uścisku Nerona i znikła w gąszczu granatów.

Dziwna, niesłychana sytuacja, jaka tylko w zgnitych pierwiastkach budowy skazanej na zagładę, wywiązać się mogła; sytuacja o którą jednak nasz poeta nie złamał pióra: Nero stał chwilę w osłupieniu, chwilę rozpatrywał się w niewidzialnym orszaku furji, które wyciągały ku niemu ręce jedna przed drugą.

Puszcza się w pogoń za Agrypiną, ale jej cień jakby na urąganie, to się mignie, to znikła w gestwinie. Nero ściga nieustannie.

Tak go ogniami, skrzydłami popędza,
Krwawa, bezsenna, niewidzialna jędra—,
Mścicielka.

Jakto? on, wielkość pół-boża,
On, wielowładca od morza do morza;
Z posoką jeszcze nie ociekłą z rany,
Jadem draśnięty, śmiechem stratowany,
On ma przebaczyć, on z ust śmiertelniczki,
Hańbę i plwanie na święte policzki.

Nie... wciąż ją ściga; lecz nie był to łowiec,
 To zwierz wścieknięty, który przez manowiec,
 Przez pnie zdradzieckie, parowy i łany
 Pędzi szaleństwem własnym podszczuwany.
 Wtém, czy złudzenie? tam mgła się rozcina,
 Dłoń błysła w mroku; to dłoń Tygiellina.
 —Czy ją widziałeś?

—Widziałem,(—i dzika
 Iskra wytrysła z oczu niewolnika).

—Gdzie Agrypina, gdzie? niemy służalcze,
 Mów, ty nie widzisz, że z piekłem dziś walczę.

—Ależ obraziłbym majestat pański...

I arkadyjską woń szarą godziny...

I... idylliczne stargał odwiedziny...

Wszak dziś.. swoboda, dziś...

— Psie maurytański,

Kiedyż tajemnic rozтворzy się jama?

—Pani przeświećta... była... tam... nie sama.“

Nero dowiaduje się, że szczęśliwym zdobywcą serca Agrypiny jest Parys, tanecznik. Prowadzi więc Nerona ku dalekiej grocie, której bluszcze i złotogłowa są powiernikami skrytej, niebezpiecznej miłości. Za zbliżeniem się do groty, Maur z demoniczną ostrożnością ujmuje Nerona za rękę i ustawia go pod niedociągniętym rozтворem zasłony. Agrypina nie skąpi pieszczot, głaszcze, całuje, przytula drżącego skoczka.

Mistrzowsko zestawił tu poeta dwa bieguny psychiczne: z jednej strony zalotnicę wprawną w najwyższukanśze cieniowania intryg miłosnych, z drugiej strony trwożną, jeszcze przezroczystą duszę, uczucie na pierwszym stopniu zetknięcia się z namiętnością. W poufnej rozmowie dwojga kochanków niezrównanej siły, autor Ahaswera jest prawdziwie poetą, psychologiem. Niepodobna w sprawozdaniu uwydatnić wrażenia, jakiego się doznaje słuchając tych zbrodniczych wywnętrzeń, w których Agrypina wypowiada więcej aniżeli wulkaniczną miłość ku Parysowi; z pod uchylonej namiętnością zasłony ducha, widać tam nieskończoną głębią popędów zemsty nad Neronem, zepsutym, niedzięcznym, namiętnym do potworności. Ale główny nerw dramatyczny stanowi to, że czytelnik trzyma w swém ręku fatalny klucz sytuacji t. j. mimowolne przypuszczenie Nerona do strasznej tajemnicy.

Biędny skoczek! czyliż przyczajona postać mściciela, który przebaczać nie umie, dla którego wytępienie jest jak i wszystko inne, twórczą materią życia i użycia,—czyliż ta postać wiała na niego lodowatém technieniem grozy i śmierci? bo drżał jak pisklę gołębie pod ciśnieniem niewidomych szponów. Kiedy wreszcie wynurzył się ze swoich obaw, Agrypina odrzekła mu z uśmiechem pogardy i lekceważenia, napomykając o świeżém zająsci w altanie.

— Porzuć, mój luby, widziadła mózgowę,
 Nie mów o głupcu. To źrebię niesforne,
 Znów pod wędziłło poddało swą głowę:
 Będzie, jak nigdy nie było, pokorne.
 — Takżeś go rychło okiełznać umiała?
 — Celnie napięta nie pochybi strzała,
 Głębiej trafiła, śmiertelniej od celu:
 Skinę, to dzisiaj do stóp mi przypełźnie;
 A ty przed lalką drzysz? O! marzycielu.
 — A ty, lwa mniemasz utrzymać na kieżynie?
 A nuż się zerwie, nuż wściekle rozdaśa,
 W spazmach i wodze i wodza pokąsa?.....
 — Niechby się ważył... (drżąca Agrypina,
 Palec do ust przykładą i wyznanie,
 Straszne wyznanie szeptać mu zaczyna):
 Niechby się ważył, wtedy... mam w kołczanie
 Pocisk ostatni; ja, dziś zawiedziona,
 Ja na tron światów wyniosłam Nerona;
 Brytanik żyje... niechno lew wzbudzony,
 Raz mi poważy się wysadzić szpony;
 Skinę, to czaszkę strzaskaną ciemięzcy,
 Jutro zastąpi głowa niedołęzcy:
 Mam ja stronników, i te furyi cienie
 Tylko czekają na moje skinienie.”....

Odskoczył Nero, podobny lwu wściekłemu, który jadowitą posokę bryzga po własnej sierci—wyrzuca z piersi swoich całą posokę duszą nerońską.

„Dziś, (wyjęknął on do zbira),
 Dziś, w piekle mózgu, wymyślaj trzy śmierci,
 Zdumiewające potomność; trzy śmierci,
 Jakie wąż w twojej gorącej krainie
 Płodzi i tuczy w jadowitej ślinie:
 Śmierć niedołęzcy, śmierć tanecznikowi,
 I... jeszcze jedną... ha! śmierć Agrypinie....
 Wściekam się...”

Słuchaj, dziś oczy tygrysie
 Chciałbym utopić w pokurczonym rysie,
 Twarzy otrutej; dla zimnej igraszki,
 Po krwi, po mózgu roztrzaskaną czaszkę
 Stapałbym, ropą gadziny je broczył:
 Krwi, krwi dziś łaknę, mąk, łamania kości,
 Mąk samych trupów, jęku niewinności;
 Z ciebie chychocząc dziś krwibym utoczył;
 Ach... Tygiellinie! gdybyśmy zbłąkali
 Staj w tej chwili nad oknem otchłani,

Zepchnąłbym ciebie.

Już tyle boleści,
Tylem dziś szału i piekła się opik;
Ze gdybyś w sercu sztylet mi utopił,
To sztylet stopniałby do rękocyści.

Od tego punktu poemat nasz wchodzi na drogę najwyższej tragiczności. Plan zemsty postanowiony, wykonanie planu zlecone Tygiellinowi; Agrypina, ta ostatnia Rzymianka, jak ją nazwał mściwy syn, Agrypina ma otrzymać zaproszenie na następny wieczór do willi cezarowej nad Tybrem. Ulice, klomby, które Nero powracał z fatalnej wycieczki, stanowiły jakby rozmyślnie dobraną kanwę do wypadków w dalszym wątku snuć się mających. Było to pobojuwisko po rozpuszczeniu i zgiełku bachanaliów, gdzie pokotem bez różnicy stanów, szat, wieku i płci walały się wstrętne bryty, zwane Rzymianami. Tak! rozpusta i jej naturalny sojusznik, pijaństwo dzielą ze śmiercią ten smutny przywilej zrównania praw w obec nicestwa. Pomiedzy poległymi chwilową śmiercią był i Seneka; jęczał on boleśnie i coś szeplecił słowami szaleństwa—czcigodny stoik! zapewne to duch jego w rodowym paroksyzmie wiązał pierwsze zreby aksjomatu o „przepadaniu jednostki” wśród ogólnej zagłady wszechświata.

Mściciel przechodzi to obok śpiących, to po śpiących w letargu bydlęctwa. Jego to pastwa, odarta do szczytu z kruchych, ostatnich włókien człowieczeństwa!

Wtém stopa jakieś tam ciało potraça...
Czyje? Aktei! Tak, ale nie śpiąca;
Aktea na śmierć już ukołysana,
Ani do śpiewki nie ocknie się z rana;
Ani zatęskni, jak wczoraj, bez kresu,
Do gór ojczystych, do kwiatów Gadesu:
Już się nie ocknie. O! biédne ty dziecko!
Także to tchnienie morowe rozkoszy
Po wdziękach twoich wionęło zbójcecko?
Bądźże jej lekkim, o! prochu macoszy,
Ziemió wygnania!

Trup bachantki-dziecka przeraził Nerona i poraz drugi odskoczył on ze wstrętem; uczuł nakoniec znękanie ducha: Fatum wyraźnie poczęło już targać niemi zapuszczonemi w jego serce; sytuacja wyraźnie dopominała się o „tajemniczego.“ A tajemniczy—siedział przytulwszy się kędyś w załomie przy wschodach, i drżał od zimna poranku, szklące się jego oczy błyszczały chorobliwie. Już świtać poczęło.

— Czemuż to drżący tulisz się na wschodach, zapytał go władzca?

— Tak! drzę od zimna... Ja wygnaniec wieczny,
Chciałbym, aby ten szkarłat przedstónczny,

Łuna ta ranna, która wasze szczyty
 Ściele w pokrowiec krwawo-złotolity:
 Nie ogniem sztucznym, kuglarskim połyskiem,
 Ale pożaru buchnęła ogniskiem.
 Razbym ja przecie w tułaczéj starości,
 Zgliszczów głowniami odegrzał to ciało,
 Bo wszystkich świata płomieni zamało,
 Na wystraszenie dreszczu z moich kości.
 — Rzekł... i współmyślne ich spojżenia, w parze,
 Po siedmiogórnym przemknęły bezmiarze;
 Rzym stał w oddali na świtu rozkrzewie,
 Tonął od góry w czerwonej polewie:
 Patrzy w nią Nero... czy дума... czy wdycha?
 Nie, już zapadło: Nero się uśmiecha.

Dzieje zostawiły nam krwawy komentarz do tego uśmiechu.

Ahaswer metafizyczny typ sumienia wszystkich wieków, nie ma prawa wyprzeć się téj roli, jaką mu przeznacza nasz poeta w spełnieniu się losów Dyoniza. Świat rzymski, na odchodućm z wielkiej widowni dziejów, nie mógł właściwiej i rozumnie antycypować szatana biblijnego. Kolosalna postać starca, ruchliwa w rysach twarzy, wroście i barwie oblicza; dychawica zgrzybiałości zmieniająca się raz naraz na młodzieńczy rumieniec: są to dosadne znamiona, mocą których typ żyda tułacza mógłby precyzyjnie się pomiędzy symboliką Wschodu, a plastyką Rzymian i Hellenów.

Tak więc Ahaswer „cień w obliczu słońca” nie jest anachronizmem, jako „osoba psychologiczna.” Najpotężniejszy estetyk, jakim był Hegel, daje prawowite i bezwarunkowe ustępstwo na anachronizmy psychologiczne, a to ze względu, że dusza, że istota moralna, jest jedna i równa sobie we wszystkich epokach.

Otóż Ahaswer dotrzymuje przymierza i od téj chwili już poczyna się stanowcza „pomoc w spełnieniu się wyroków.”

Nero postanowił zlawszy Rzym w jedno „trupie ciasto, wymieścić świat nowy ze zgliszczów.”

Poemat Hamerlinga przepoławia się na pieśni trzeciej p. n. „Agrypina.” Przed tragiczną rozwiązką losów, poeta już nie opiewa, nie maluje, ale dosłownie mówiąc: rzeźbi w oczach naszych postać i duszę téj Maryi Stuart wieku rzymskiego.

Wprawdzie nie bawimy się w analogią, ale trudno nie uznać jéj tam, gdzie dwa typy historyczne przystają do siebie niemal wszystkimi punktami. Jakiéj bowiem cechy wspólnej braknąć tu może? chyba berła królewskiego. Ależ i Agrypina sięga po koronę; tragiczność równie wielka, kiedy zbir maurytański usuwa z pod jéj stopy wschodę prowadzącą do tronu. Tam wprawdzie współzawodniczką jest kobieta, tu współzawodnikiem syn; ale jabłkiem iutrygi, tu i tam jest *piek-*

ność również niebezpieczna dla Elżbiety, jak groźna dla nowego Olim-pijca. A wreszcie i strona a priori, nie przedstawia przeszkody do utożsamienia się z atomów psychicznych dwóch zupełnie podobnych kształtów.

Agrypina jest postacią posagową w naszym poemacie.

Już słońce chyliło się ku zachodowi. Cudnym był widok morza tyrrzeńskiego: po siniej jego głębinie ślizga się, buja, z fali na fale przelatując, wspaniała gondola. Żegluga dowodzi Tygiellin, którego wysłał Nero z zaproszeniem Agrypiny na ucztę. Była to najpiękniejsza gondola, jaką posiadał; bogactwem ozdób, draperyi brokatowych, klejnotów zdobiących szyję okrętu, przepychem pawilonu, przewyższała ona najwyszukańsze zachcenia fantazyi. Najwydatniej uderzało wzrok środkiem pokładu pnące się kolumnami całokole, w czepcu z brokatów tworzącym niby przyłbicę rotundy, albo kopułę eteryczną. Nad wyskokiem zrębom powiewały wstęgi różane i girlandy z wawrzynów, spadając wonnym potokiem na marmurowe główki kupidynów, bezmyślnych dzieci-bóstwek, które, osnuwszy kwiatem przedpiersień gondoli, tula go w drobnych rączkach po nad topielą. Dalej ciągną się grupy graczy, nad grupami góruje posąg Neptuna, wszechwładnego nad tym bezdennym żywiołem, który w tej chwili unosi Agrypinę do willi cesarskiej.

Przebudziła się: przychodzą kolejno niewolnice, spełniając coraz to inne usługi, aby piękna jeszcze piękniejszą się stała. Była tam i ożywcza kąpiel, i deszcz chłodu, i deszcz wonności wszystkich aromatów Wschodu, i balsamy czarodziejskie, i kość skoniowa, zbierająca kaskadę włosów, i pył mleczy, pruszający się z rąk Indyanki na włosy, i karmin, i spadające z pędzla po żyłkach skroni cętki liliowo-różowe. Potem otwiera się nowa skarbnica: wypływają bisiory, gazy, lekkie, prawie eteryczne przyodziewki, stola jedwabna i stroiki bez końca.

Teraz kolej na perły i brylanty. Wychodzi na pokład: cała osada zdumiewa się widokiem tylu wdzięków natury i sztuki. Ten hołd zdumienia rozśmieszył Agrypinę. Naraz dreszcze ją przeszły, spostrzegła Tygiellina. Lecz wąż maurytański przyczał się jeszcze na chwilę; owszem uderzył przed wdziękami tej, „którą już tu na świecie losy przeznaczają na boginią, nie ważąc się z liców zwać rosy porannej, tak aby się *zdawała* niezmiennie młodzieńczą.”

To „zdawała się“ zadrasnęło dumną zalotnicę. Odeszła więc na przedpiersień gondoli i zatopiła się w dumaniu. Plany na planach, widma na widmach rojami obległy jej duszę. „Nero?... już nie ma Nerona... Brytanik? chuchrak, jasełko bez mózgu. Tygiellin? on i cała stadnina służalców, zgnieciony; głowa jego będzie odcięta i na karm rybom wrzuconą do akwaryum. Agrypina? Agrypina wtedy okiełzna motłoch o! i nie wypuści kieżna ze swoich rąk, aż tłuszcza poczuje, że Rzym ma nakoniec męża: Agrypinę.“

Takie to pasma i pasemka wysnuwały się w tój główce, odurzónéj wiarą w potęgę wdzięku i woli kobiecój; Tygiellin, stojąc w uboczu, nie spuszczał z niéj oka ani na chwilę. O! słyszał on dotykalnie każddy szelest jéj myśli, widómém było dla oka sprzedajnéj gadziny, każde słówko, które piękna a mściwa kobiéta ryłcem fantazyi kreśliła w zatajoném wnętrzu. Tymczasem gondola zwolna prując fale, posuwała się dalej, i białe mury willi wyzierały z horyzontu. Z orszaku Agrypiny wychodzi śniada Egipcyanka, najpoufniejsza powiernica serca.

„Mądra, stateczna, jak wody przystani,
Cicha, wytrawną wnikająca głową
W hieroglify ducha swojej pani.“

Egipcyanka prosi jéj, aby otuliła bieluchne ciało od chłodu wieczornego i z temi słowy podaje Agrypinie purpurową oponę.

„Dziękuję ci, wierna moja, że właśnie w tój chwili zbliżasz się ku mnie z purpurą, bogowie sami raczyli mię podstuchać. Ach! gdybyś ty wiedziała, o czém ja niedawno marzyłam! Purpura, córeczko oazy, purpura, to wróżebny głos bogów!“

— Bodajbym tu zaraz umarła, luba moja pani, jeśli ta purpura nie lśni się na tobie po królewsku.

— Córeczko oazy! i czemużbym nie miała stanąć w purpurze? wszak niebo po błękitcie dziennym, wszak Neptun, stroi się w nią właśnie teraz o zachodzie. Dałaś purpurę; podajże mi i dyadem. Otóż odpinam ze skroni opaskę girlandową i poświęcam ją w ofierze bożyszczą nurtów, którego biust srebrny z dziobu gondoli spogląda na niebokrag, i w imię Neptuna spycha naszą kóź z fali na fale.

Co rzekła, to spełniła: popiersie Neptuna przystroja kwiatem, w okół jéj głowy pryska gwiazdami dyadem z brylantów.

„Semiramis, Semiramis,“ krzyknęła egipcyanka.

Sam Neptun srebrny, świeżo uwieńczony girlandą zdawał się tłumić wzroczek szafirowy przed majestatem korony królewskiej.

„Tak przed wiekami, w oczy Persefony władca piekielny spoglądał zalotnie zanim ją porwał.“

Tak i teraz z półcienia grzbieotu gondoli padało na Agrypinę spójrzzenie przenikliwe, złowrózbe, straszliwe, celne, jak zatrute strzały. Zdawało się, że słycać poświst gadziny. Czasem te spójrzzenia, znie-nacka, jak żądło skorpiona, wpiły się z jadem w krew ofiary; czasem pod iskrą tych spojrzeń wzrok bazyliuszka wydałby się pieszczotą. Lecz było to tylko chwilowo. Ogień piekielny nie pryskał na twarz Tygiellina, palił się on i rozpręzał w głębi.

„Twarz skryto-bójcza,—rozejrz się w tém czole,
Masz, krwi głoskami wryte symbole:
„Zagłada świata“ spali go, rozproszy'
Zimno, w przystępie żartu lub rozkoszy.“

Tak ścigał wzrokiem swoją ofiarę Tygiellin, trzymając w dłoni linę, klucz katastrofy; albowiem ta lina prowadziła na spód okrętu, i tam łączyła się z osłabionemi wiązaniami belek i podkładu okrętu. Już zachodowe słońce przybrało ową barwę szkarłatną, do której przed chwilą stosowała marzenia swoje królowa; już z ukosa rzucała snopy czerwieni; morze i niebiosa stały w płomieniach; cisza uroczysta, jaka bywa w godzinie konania, gdy między życiem a śmiercią stanie rozejm przechodni; zdaje się, że fala przysiadła w biegu, że pałac willi wraz z wybrzeżem same suną się ku łodzi z daleka. Arcywielmożne, ciche przedwieczerze; wskroś po naturze i sercach ludzi przecieka dźwięk zachwycenia, z przedpierznia gondoli odezwały się trąbki, flety, piszczałki i arfy. W takt idą wiosła, głąb rozstępuje się pod wiosłami, w oczach Agrypiny zaświtał tryumf; tymczasem śniade niewolnice, pierśią, zagłuszoną dźwiękiem muzyki, wydają okrzyk, dla niej tylko zrozumiały:

„Evoe księżna, evoe cesarzowa.“

Był to początek i koniec tryumfu. Stał się... Maur, z całym wdziękiem pomsty katowskiej, pociągnął za linę, którą tak czujnie tulił dotąd w tytanicznej dłoni.

Oto obraz jednej z trzech śmierci, które Nero na wczorajszej uczcie zlecił Tygiellinowi.

Bodaj nie patrzeć na krwawą godzinę,
Kiedy trzęsieniem ziemi w głąb rozpruta
Krajów skorupa kruszy się w perzynę;
Góry się ważą poczęte przed wiekiem,
Grody taczają z wszechwładcą, człowiekiem,
Z cudami trudu, słów, pędzla i dłuta!
Ot... w okamgnieniu, piorun jednej woli
Zgniółł wielkość świata: pęka pierś gondoli.
Lotna, przed chwilą napięknieszka z łodzi,
Właśnie, jak owo słońce zachodowe,
W ognia przepychu unoszące głowę,
Słońcu podobna w otchłanie zachodzi.
Z szarych jój żerdzi bałwany wymiotły
Wszystko, co żyło; stosy rumowiska,
W bezdeń lejące rwały się i gniotły
W okół ruiny; z krtani wód wytryska
Pył na perłową pianę rostopiony,
Grzebiąc na wieki w grobowej kąpieli,
Gody, na które, od krańców topieli
Śmierć zaprosiła podmorskie demony.

Stało się, furja spełniła swe dzieło;
Okno skłóconej toni ochłoneło,
Jak po rabunku spalonej oazy;
Płyną w beładzie: dębowe pałagi,

Żagle na masztach, filary, posągi,
Stole szkarłatne, kwiaty i obrazy.

W statku ochronnym żegluję do brzegu Tygiellin, a w ślad za nim, pasując się z falą, podążają ocaleni wioslarze, i porywają płynące łupy po rozbitej gondoli.

W chwili, kiedy na Tyrrenie śmierć wyprawia ucztę demonom podwodnym, pogromca Olimpu wyprawia ucztę demonom siedmiogórnej stolicy.

Wśród gmachu willi, w sali tryklinium, przy stole cytrowym zasiadł Nero i Spor, jego ulubiony niewolnik. Przepych nie do opisania. Na krząkach ze słoniowej kości ciągną się rzędy wezgłowiów. Na wezgłowiach zasiadły najcudniejsze dziewice i młodzież kwirycka. Sala w willi Nerona, to świat mozaiki: posadzka, to kanwa łączna utkana z kwiecia wszystkich stref ziemi okręgu; ale to kwiecie dziane z klejnotów. Olbrzymie świeczniki tworzą las fantazyjny; zamiast owoców porosły płomykami. Dokoła kadzielnice, wetknięte w złote trojnoża, dyszą falami ambry. Dalej stoły zastawione krociami potraw.

Nie bezzasadnie krytycy nazywają naszego poetę „królem plastyki“ żadna satyra rzymska nie udramatyzowała w tak żywej i tak wiarogodnej dotykalności nieustających bachanaliów, jakimi Nero postanowił sobie świat zdumiewać; bachanaliów, na których „brzydono się mureną, sarną, bażantem, jarząbkiem i synogarlicą.“ Bacho-Dyonzos „pożywa tylko samą krew żywota; tylko co najdroższe z najdroższego, najrzadsze z najrzadszego: ozorek słowicy, muszczki flaminga, łepki papugi, podkostełki wielbłąda, pawie jęczyczki, szpik strusi.“

Nietylko język i gardło się raczy; są tam łakocie i dla ucha, są cytry i flety; są dla oka pantominy i roje tancerek: duch Aktei zmartwychwstaje.

Jakiś wir życia przewionął po tłumie. On tylko sam nurza się w myślach, co chwili pyta o Tygiellina; drży jakby z zimna, i dreszcze nieustannie zalewa płomieniem falernu.

Bodaj tak, jak on tę szarą dumę zaleje falernem! Tehnął boleśnie, jakby w letarg zapada; znów pyta się o Tygiellina, coś tam wyszepnął, podobno wyrok śmierci: porwał cytę, palce rozpuścił bezmyślnie po strunach; tłum bije oklaski... rzucił cytę... kiedy do ucha wpadnie mu dźwięk trąbki, to chwali nie grajka, lecz taniec ognisty; kiedy gadytanka wirują w tańcu, to rozplywa się nad grą cytarzysty.

Już i biędny benewencyk podolać mu nie może „stracił olęj i pracę...“ nadaremnie.

Otóż wybija godzina zagadki: wchodzi Tygiellin.

— Maurze! Agrypina?..

— Ucztuje z Neptunem, jeżeli jeszcze cierpi ją w topielisku; bo to dziwne bożyszcze, wyrzuca oblubienicę ze swego łoża, skoro ją zdusi w uścisku śmiertelnym.

— Jakto?—i uściśnął dłoń Maura—więc nie żyje? zgubiona?
 — Tak sądzę, i to razem z gondolą.
 (Tygiellin prawie że płakał po gondoli).

..... O! ty, ukochana,
 Lecz najgodniejsza! ach! bo też gondola,
 Jakięj nie widział świat. Lecz taka wola,
 Taki był nakaz... Z jęj skarbów niestety,
 Cóż ocalało? ot, marne skielety,
 Które wioślarze, rozwścieczeni szalem
 Łupu, ściągali. Ależ się naśmiałem,
 Kiedy rabusie, prawie wpół umarli,
 Z falą o szczątki złożone się darli.
 Psy istne, patrzę: he, już pół załogi,
 Już wszyscy w piasku tarzają się, dyszą,
 Zieją.

— Niech wszyscy, co do nogi, wiszą,
 Równo ze świtem; słyszysz? co do nogi.
 Wydać w tęg chwili nakaz. Ziemię całą
 Znieśćby jęj trzeba; a ten rój bezczelny
 Skradł, i tak skąpy, jej posag śmiertelny.
 Ach! wszystkiej Romy skarby, krew i ciało,
 W płynnym jęj grobie złożycyby przystało.

Nero wraca do uczy. Teraz dopiero poczyna się prawdziwy
 zgiełk rozkoszy; iskra elektryczna przebiegła po krwi całego zgroma-
 dzenia: wesołość dochodzi do ostatnich granic szału. Brakło jeszcze
 jednego kroku. Już Nero dotykał ręką tajemniczego sznura, za które-
 go szarpnięciem naraz wszystkie światła miały pogasnąć i mrokiem dać
 hasło stargania ostatnich więzów.

Wtém chwila trwogi: wbiegają wylękłe niewolnice; mówić nie
 śmia, wyrazu zagadki. Jedno groźne spojrzenie rozwiązuje im usta;
 straszna uchyla się zasłona: „trup, wyrzucony przez falę pod sam
 próg pałacu, jest trupem Agrypiny.” Nero wychodzi do atrjum na
 spotkanie matki.

..... Już światła się palą,
 Kroczy—tłum za nim... Blask ucztowej sali
 Spływa do atrjum szlakami płomieni,
 Spływa i drżącym poślaca przeciągiem
 Białe kolumny, posąg za posągiem.
 Tam wiekopomni przodkowie Nerona
 Stoją w milczeniu; kamienne ich twarze
 Dumać się zdają o gnuśnym Cezarze,
 A purpurowa ściągnięta zasłona

Wabi źrenicę, kędyś, w głąb przestworu
 Do perystylu: fontanny i kwiaty
 Pruszą na okół świeżością wieczoru,
 W głębiach magicznie lśni się lilii mrowie,
 Jak nad umartym rozstawione czaty,
 Wśródtku, przed chwilą wzniesione wezgłowie.
 Patrz, w chłodzie śmierci, zapadłym na lice
 Leży napoły przymknąwszy źrenice,
 Trup Agrypiny.

O! wyroczna siło!

Wielkie zjawisko!... w cóż się obróciło?
 Spłynął rumieniec kędyś w głąb chaosu,
 W bryłę stargany, przelśniący pęk włosów;
 Drogie klejnoty, perły dyademu,
 Zdźbłom ustąpiły i zielsku wodnemu:
 Kwiaty, nie kwiaty, zaduchem tchną zgniłym,
 Rybą, słońością i podmorskim iłem.

Chwieje się Nero, pijany—nie; ten dziwny człowiek niewał chwile,---kiedy i sam wśród rozstępujących się potęg własnego ducha umiał być mocarzem. Nero nakazał, aby fale szaleństwa ustąpiły się z drogi przed sercem, i ustąpiły fale: syn powstał na chwilę z wnętrzości karta, nie na długo. Makbet nie przemówiłby uroczyściej w obliczu Banka:

..... Zawsze więc, zawsze, prześliczna rodzico;
 Ty nie proszona przybywasz na gody?
 Gdy młódź szaleje, ty, na stoku nocy
 Toczysz się nagle, niby kamień z procy.
 W trupiěj postaci, kirem śmiertelności
 Mącisz słońeczną rozkosz moich gości.
 Czego chcesz, zwiędły, kościotrupi krzaku,
 Czego, tu w gwarnym żyjących orszaku?
 Jeśli tam, dokąd zgon duchy wymiata,
 Nawołał ciebie władzka podświata,
 Po cóż przybywasz? ha, wzywasz nas, synów,
 Byśmy ci liczbę zdali z naszych czynów!
 Odejdź, tułaczko! do losów twych szali
 Aniśmy ziarnka wagi nie dodali,
 Śmierci nie winni... Nie skarż, trupie Dziwo:
 Okręt był wabnym, topieł pożądliwą;
 To klucz zagadki,—nie snuj mi na ziemie
 Cieniów stygijskich.
 Tak! byłaś piękną, dziś jeszcze po zgonie,
 Po zgonie, jesteś królową biesiady.
 Włos ten kędziorny, czarny hebanowo;
 Czoło królewskiej budowy, stworzone,
 Aby nad ziemią nieść ziemi koronę;

Usta, w siności zgonu jeszcze dumne,
Członki te wrzkomo skrojone w kolumnę,
Bogom podobne.

Umilkł i prawicą
Z biustu bladego ściąga nad martwicą
Kraj zwilgłej szaty.
„Piękne rzymianki! ty pierwsza, Poppejo
Przenajśliczniejsza, woń śmierci przygaście
Wieńcami waszych skroni, niech jaśnieją
W łez upominku królewskiej niewiaście.“

I w jednej chwili deszcz kwiatów spadł z tysiąca skroni na zwłoki umarłej; Nero bowiem tracąc matkę, w paroksyzmie artystycznym głównie obawiał się, aby uczuciu jego w tej chwili nie zadał szczyrbę spodziewany wyziew ze śmiertelnych członków matki.

Lecz ostatnie zaszczyty dla zwłok nie skończyły się na ukwieceniu, Agrypinę czekały jeszcze wyższe hołdy pogrzebowe: światłość pochodni, tak wielka, jakiej dotąd oko ludzkie nie widziało: pożar.

Tam, po nad Rzymem unosi się morze Czerwone, kłębam dymu osnute, i tam Ahaswer, wierny mrocznemu posłannictwu, wspiera Nerona „w spełnieniu się jego losów.“

Oto jest pierwsza część, na której sprawozdanie nasze zamknąć nam przychodzi.

SPOŁECZNOŚĆ WARSZAWY

W POCZĄTKACH NASZEGO STULECIA.

(1800—1830).

PRZEZ

K. Wł. Wójcickiego.

(D o k o ń c z e n i e).

V.

Pierwsze lata Królestwa Polskiego. Dalsze prace Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Sala zebrań. Wydatniejsze postacie na publicznych posiedzeniach. Nominacya Adama Mickiewicza na członka Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Wybuch niechęci przeciw temu Towarzystwu. Dwa listy Fr. Morawskiego do klasyków i romantyków. Przemowa J. U. Niemcewicza. Lista członków Towarzystwa Przyjaciół Nauk w roku 1828. Ogólna statystyka.

Tom IX Roczników Towarzystwa Przyjaciół Nauk ukazał się po czteroletniej przerwie, już po ogłoszeniu Królestwa Polskiego,

w roku 1816. Do roku 1830 ogólnego zbioru tój pulikacyi wyszło tomów XXI, wszystkie odbijane w drukarni księży Pijarów, tylko ostatni w zakładzie typograficznym Natana Glücksberga, który przyjął na siebie nakład na dalsze lata.

Oprócz naukowych rozpraw i pochwał zmarłych uczonych, znajdujemy ciekawe monografie jak ks. Szaniawskiego: „*O Rzeczypospolitej Babińskiej*,” (d. 15 stycznia 1818 r.), o której pierwszy raz usłyszeliśmy, i żywoniejsze rozprawy, nietylko obchodzące bliżej ogół, ale zwrócone wyłącznie na poprawę doli ludu wiejskiego.

Już w ostatnim roku istnienia Księstwa Warszawskiego, Towarzystwo, w dniu 30 kwietnia 1814 roku na publiczném posiedzeniu ogłosiło: że wyznacza nagrodę medalu wartości pięćdziesiąt czerwonych złotych pisarzowi, który najdokładniejszą poda instrukcyę, ułożoną w sposobie najstosowniejszym do pojęcia ludu, mającą za cel oświecić mieszkańców kraju w tém czego się strzedz, i co czynić we wszelkich względach mają, dla zapobieżenia uszkodzeniu zdrowia i życia ¹⁾).

Następnie znajdujemy w Rocznikach rozprawy: *O budowie włościańskiej do kraju naszego przystosowanej; Rozprawa względem zarazy i pomorku na bydło w kraju naszym; O sztuce lekarskiej popularnej; O ulach kłocowych.* Fryderyk hr. Skarbek podniósł głos wymowny, dopominający się „dobroczynnego zakładu dla rolników w Królestwie Polskiem.”

Widzimy nadto i myśli zwrócone na stronę ekonomiczną kraju, poruszające pytania, lub studyując przedmioty ogólniejszego znaczenia, jak:

O przyczynach upadku chowu bydła, rozprawa uwieńczona przez Towarzystwo; Badania nad czerwcem polskim; O robieniu cegły surówki; O polepszeniu sztuki garbarskiej; Monografia sosny pospolitej; O guscie w budownictwie.

Pierwszy Skarbek zwraca myśl na naglące potrzeby społeczne w dwóch rozprawach:

O poprawie moralnej winowajców w więzieniach, i O kassach zasiłku i oszczędności.

Piękny i majestatyczny był widok zaprawdę, gdy całe grono zasiadło na publiczném posiedzeniu w domu swoim w pobliżu Ś-go Krzyża, a obszerny amfiteatr, piętrzący się coraz wyżej, był wypełniony liczném zgromadzeniem płci obojęd, różnego stanu i wieku. Z bocznej komnaty, gdzie się członkowie zbierali, w oznaczonej godzinie wchodził na tę wielką salę z poważnym prezesem na czele. Krótko tu przewodniczył Staszic, po nim objął tę godność J. U. Niemcewicz.

¹⁾ Dr. Ignacy Fijałkowski odpowiedział na to zadanie w roku 1819, a rozprawa jego złotym medalem uwieńczoną została.

Pierwszy, wysoki, szczupły, rysy twarzy podłużnej, oczy posępne pod krzaczystymi brwiami, lica chude i zapadłe, czoło szerokie i wzniosłe. Przyodziany w długi surdut, postępował zwolna nie patrząc na zebrane tłumy.

Niemcewicz niższego nieco wzrostu, lepszej tuszy, szerszych ramion, miał oblicze więcej okrągłe, na którym mimo wieku, jeszcze czerstwe rumieńce gościły: oczy pełne życia, na ustach biegający łagodny uśmiech. Jakkolwiek już nad czołem głowa wyłysiała, z tyłu jej długie, gęste a siwe włosy, w kędziorach spadały mu na plecy.

Sekretarzem Towarzystwa był Łukasz Gołębiowski, mąż wielkiej pracy, bibliotekarz dawniej zbiorów w Porycku przy Tadeuszu Czackim, najszlachetniejszego charakteru i łagodnego usposobienia. Niskiego wzrostu, czerstwego oblicza, miał oczy duże i wydadne. Odwany z zapalem swemu zawodowi, gorliwie spełniał swoje obowiązki, a wolne chwile poświęcał studjom nad dziejami i starożytnościami krajowemi.

Krzęśła były ustawione w półkolistych rzędach, i każdy dla siebie miał wyłączne miejsce, które zajmował.

Grono Towarzystwa Przyjaciół Nauk znakomicie powiększyli i podparli professorowie Uniwersytetu Warszawskiego. Wszystkich łączył związek braterski, a wielu i przyjaźń serdeczna, jak Kazimierza Brodzińskiego z Gołębiowskim, Skrodzkiem i Fryderykiem Skarbkim. Było to jakby grono rodzinne, związane ogniwami szacunku i miłości wzajemnej, jak jednej myśli, tak jednych uczuć.

Z postaci i oblicza byli do siebie wielce zbliżeni Brodziński ze Skrodzkiem: obaj łagodnego charakteru, tylko śpiewak Wiesława miał więcej rozlaną słodyczy, gdy professor fizyki nosił ślady na obliczu męczącej pracy, i jakby trawiącej go powoli choroby.

Fryderyk hr. Skarbek, niższy od nich wzrostem, ruchliwy, pełen życia, na czerstwym i rumianym licu długo przechował wyraz młodości. Silnym organem, harmonijnym, dobitnym, obu swoich przyjaciół przenośił. Po słynnym deklamatorze Ludwiku Osińskim, on był pierwszym, który potężną wymową, jak dźwiękiem głosu, słuchaczy swoich porywał.

J. B. Rakowiecki autor: *Prawdy Ruskiej*, średniego wzrostu, śniadego oblicza, skromnie i jakby lekliwie na te posiedzenia publiczne wchodził, zajmując skromnie swoje krzesełko. Przeciwnieństwo z nim stanowią Jan Kruszyński wierszopis, wysoki, chudy, z dobrze już szpakowatą czupryną, i pomarszczonym obliczem. Postać ta silnie na mnie wywarła wrażenie, gdym go w dniu 6-go maja 1825 roku, usłyszał deklamującego swój przekład z rosyjskiego: *Ody Łomonosowa o Bogu*, wierszem miarowym i rymowym. Nie była to deklamacja płynna, bo czytał skandując, stosownie do zakreślonej miary, głosem nieco głuchym jak ze strudzonej piersi, ale jeszcze donośnym. Pomnę z niej początek i ostatnią strofkę.

„Ty, co próżne lejąc żale,
Sarkasz na nieba, człowiecze,
Słuchaj, co groźny w zapale
Z chmury Bóg do Hioba rzecze:
Przez grad, wichry, deszcz, płomienie,
Głosem on gromy przerywał,
Trzęsło się nieba sklepienie,
Gdy go tak na spór wyzywał.“

W zakończeniu czytał:

„Miej śmiertelny na uwadze,
Żeś ty ułomne stworzenie;
Twórca powinien mieć władzę,
Twój zaś udział jest cierpienie.
Łaskę zesze Pan, czy karę,
Zawsze dla twego to zysku;
Czyń Mu z boleści ofiarę.
Zanoś prośby bez utysku.“

Wspomniałem o wrażeniu z ujrzenia Kruszyńskiego i słuchania tej skandowanej ody, raz z powodu wyboru oryginału, a powtórę samego przekładu. Tego rodzaju miarowe i rymowe wiersze, były u nas osobliwością.

W gronie tém zasiadał zawsze Wawrzyniec Surowiecki, jeden z najznakomitszych uczonych tego okresu. Średniego wzrostu, siwy jak gołąb, pociągłymi rysami oblicza przypominał Staszica, i jego marmurowy spokój, lubo więcej na nim grało życie i czerstwość. Jego dzieła: *O upadku miast w Polsce. O rzekach i spławach*, jak *Sledzenie początku narodów słowiańskich* oraz wykład w *Szkole prawa; O statystyce Polski* w okresie Księstwa Warszawskiego, który pozostał w rękopiśmie, należą do najszacowniejszych prac i dziś nie tracących na swęj wartości ¹⁾.

Z pośród tego koła uczonych, wydatniała postać Joachima Lewela. Już od roku 1820 zaczął drukować swoje rozprawy historyczne w *Rocznikach* Towarzystwa Przyjaciół Nauk: (*Odkrycia Kartagów i Greków na Oceanie Atlantycznym*. Rzecz czytana na publiczném posiedzeniu d. 23 listopada 1820 r.). Siedział zawsze na uboczu, jakby się chciał ukryć przed spojrzeniem tysięcy oczów, które chciwie wypatrywały tego genialnego badacza.

Wielkie przeciwieństwo ze szczupłym historykiem stanowił Feliks Bentkowski, górując wzrostem i tuszą. Postać to była więcj

¹⁾ Oryginalny ten rękopism znajduje się w zbiorach ś. p. Cyprjana Walewskiego, i zasługuje ażeby został wydrukowany, w publikacyach Akademii Umiejętności w Krakowie.

na zawadyaka sejmikowego, szlachezca od roli. Czerstwy, rumiany, spojrzanie żywe i bystre, głos jakby dużych organów. Wielkiej powagi używał między uczonymi z powodu wydanéj: *Historji literatury polskiej*, i jako redaktor główny *Pamiętnika Warszawskiego*.

Staszic ostatni raz w dniu 5 maja 1825 roku zagaił publiczne posiedzenie; bliski już grobu, drżącą ręką skreślił sprawozdanie o czteroletnich pracach Towarzystwa od 1821 do 1824 roku, które po jego śmierci odczytano w kwietniu 1826 r.

Po nim godność tę objąwszy J. U. Niemcewicz, który zaraz w pierwszym zagajeniu z chlubą wspomina Józefa Franciszka Królikowskiego, ojca najznakomitszego naszego artysty dramatycznego Jana. Wiadomo że z dzieła pierwszego; *O prozodyi*, wziął zasady Mickiewicz do miarowego wiersza, owéj pieśni w Walenrodzie.

Z bijącym sercem każdy z nas młodzieży biegł na te posiedzenia publiczne, uważając je za prawdziwą ucztę godową, bo pewnym był że usłyszy nie jedną myśl nową, i wyniesie jakąś zdobycz dla swéj wiedzy.

Najpopularniejszymi postaciami dla nas, obok siwego prezesa, byli Brodziński i Skarbek, bo Skrodzkiego nie słyszałem aby co kiedy czytał, a Woronicza nie widziałem na tych zgromadzeniach.

Z jakimże natężeniem nadstawialiśmy ucha, kiedy czytał jakie rozprawy jak o *Elegji* lub o *Satyrze*, albo wiersz słabym i zcziszonym głosem Brodziński. Nie zapomnę do grobu wrażenia, gdy na posiedzeniu dnia 20 kwietnia 1826 r. czytał: *Wiersz pisany na Alpach*, a w serdecznych wyrazach określając miłość dla rodzinnéj ziemi, tę myśl nam wypowiedział:

„Niech tam mierzący rozum tych uczuć nie ceni,
Niech je prostym nałogiem, barbarzyństwem mieni;
Są rozkosze, rozumu cyrklem nie objęte,
A co przed nim dziecinne, to niemniej jest święte.“

Grzmiący oklask był podzięką ukochanemu poecie.

Jak tylko w programacie był wzmiankowany Fr. hr. Skarbek, i na niego przychodziła kolej do czytania, radość serdeczna opromieniała oblicze młodego pokolenia, i uśmiech zadowolenia na nie wybiegał, bo każdy zgóry wiedział, że autor *Pana Starosty*, przemówi do uczucia naszego słowem gorącym, które jak rosa wiosenna kwiaty, tak piersi nasze orzeźwiało.

Na wzniesioném miejscu przeznaczoném dla członków Towarzystwa, w środku zasiadał prezes, w pobliżu sekretarz, po prawej ręce zajmował zwykle miejsce Wincenty hr. Krasiński ojciec Zygmunta, w mundurze generalskim, a obok niego siedział Abraham Stern w staro-żydowskim stroju. Piękna jego twarz, z długą brodą i poważna cała postać malowniczo odbijała od barwistego munduru. W pobliżu za nimi wydatniał wysokiego wzrostu Skorochód Majewski

„Metrykant koronny,” bo tak go zwano powszechnie, w kontuszu i żupanie przy słuckim pasie, przerabianym w złote i srebrne pasma. Znany badacz *Samskrytu*, oddawna członek tego Towarzystwa, bo w dniu 30 kwietnia 1816 r., czytał na publicznym posiedzeniu rozprawę swoją: *O Samskryckim języku*.

Zaraz przy panu Metyrkancie koronnym miał swoje miejsce zacny i szlachetny Tomasz Święcki, autor opisu *Starożytnej Polski* w ówczas mecenas „*Sądu najwyższej Instancji*,” w długim surducie jak zwykle, bo po zrzuceniu kontusza i żupana, nigdy fraka nie używał. Obok niego zwracała uwagę z łagodnym uśmiechem skromna postać Józefa Lipińskiego, od wielu lat zacnego pracownika. (Był to stryj pani Katarzyny Lewockiej, i Tymoteusza Lipińskiego). Wizerunek jego podał nam A. E. Odyniec w swoim noworoczniku p. n. *Melitele*, wydanym w Warszawie na rok 1829, w którym zamieścił i jego wierszyk.

Kilkudziesięciu członków resztę wzniesienia zajmowało.

Nigdy nie zdarzało się ażeby bito oklaski któremu z członków, dopiero w nowym gmachu przez Staszka wystawionym, Niemcewiczowi, Brodzińskiemu i Skarbkowi klaskano hucznie. Pamiętam że to oburzało sędziwych wiekiem, a Święcki do mnie powiedział:

— Przecież to nie teatr, tylko poważne naukowe zgromadzenie.

Trudno przecież było zapału młodzieży powstrzymać, która go innym sposobem ujawnić nie mogła.

Posiedzenia publiczne Towarzystwa Przyjaciół Nauk odbywały się przed południem i wczesnie kończyły.

Znalazło to grono uczonych mężów wśród walki romantyków z klasykami licznych wrogów w zastępie młodych pisarzy. Z nich najpotężniejszy Maurycy Mochnacki pierwszy w ówczesnej *Gazecie Polskiej*, wystąpił z krytyką na *Roczniki Towarzystwa Przyjaciół Nauk*. Głos to był śmiały i silny. Zebrani członkowie, oburzeni takim napadem, uradzili najrozumniejszy środek. Nieodpowiadać na czynione zarzuty, gdyż część ich większa nacechowana była nieznośnością organizacyj i głównych warunków samego Towarzystwa, którego powagą zachwiało niemało Mickiewicz, rozjątrzony na Warszawę, i rzuciwszy jęj w oczy sławną swoją rozprawę: *O krytykach i recenzentach Warszawskich*. Była ona wynikiem nadsyłanych mu z tego grodu przez przyjaciół, różnych wiadomości i plotek micjskich zbieranych troskliwie, które tego genialnego poetę do najwyższego gniewu i zapamiętałości doprowadziły. Nic w niej nie uszanował, nikogo, z wyjątkiem Niemcewicza i Woronicza nie oszczędził. Był to grom straszny i najboleśniejszy dla Towarzystwa, które odpowiedziało szlachetnie Mickiewiczowi, w kilka lat później nominacją na swego członka. Owoż, dosłowne brzmienie w oryginale takowej, którą mam przed oczyma.

„*Towarzystwo Królewsko-Warszawskie Przyjaciół Nauk*. Obok wspólnego innym Towarzystwom naukowym zamiaru przykładania się

ile jest w jego mocy, do postępu nauk i umiejętności, za szczególnie usiłowania swego cel obrało pielegnowanie i doskonalenie języka polskiego, a z nim razem zachowywać pamięć rzeczy ojczystych.

„Ceniąc zaś Twoją Adamie Mickiewiczu w nauce i umiejętnościach biegłość, szczególną języka i rzeczy ojczystych znajomość, Towarzystwo nasze królewskie w nadziei, że choć miejscem oddalony, prace jego wspierać i obszernych wiadomości Twoich udzielać mu zechcesz, po odbytém naradzeniu się, postanowiło wezwać cię do grona swojego, i niniejszém stosownie do ustaw swoich, na członka korespondenta uprzejmie wzywa.

J. U. Niemcewicz.

E. Gołębiowski sekretarz Towarzystwa.

Nominacya powyższa jest najwymowniejszym dowodem przeciw owoczesnym sarkaniom młodych romantyków, że w łonie Towarzystwa Przyjaciół Nauk, wielki poeta ma przeważną liczbę niechętnych i z tego powodu do tego grona uczonych powołanym nie został.

Długo się Towarzystwo trzymało zdala od walki, która się żywo i gorąco toczyła w prasie peryodycznej; rozogniały coraz bardziej wielbicieli Mickiewicza, a gdzież ich nie miał? żarciki i dowcipy rzucały przeciwko niemu, na sutych i wystawnych obiadach u Wincentego hr. Krasieńskiego, które skwapliwie roznoszono po mieście, a wywołały okrzyk zgrozy niebaczne słowa i listy Kajetana Koźmiana członka Towarzystwa Przyjaciół Nauk, zaciętego starca, któremi uwłaczał charakterowi i zacności genialnego poety.

Zarzew tę rozdmuchał mniej ogłędnie także członek tegoż Towarzystwa, a prawdziwa przykrasa obiadów hr. Krasieńskiego, Franciszek Morawski, wydanemi w roku 1829 dwoma *Listami do klasyków i romantyków*. Nie szczędził w nich zarówno tak pierwszych jak drugich. Klasykom wyrzucał ostro ich ospałość, brak oryginalności i ślepe naśladownictwo, bez żadnej myśli samodzielnej, bo mówi:

„Czyliż to więc tak wielką zaletę stanowi,
Ukraść wiersz Horacemu, lub myśl Tacytowi;
I zyskać tę pochwałę dla swojej obrony:
Oto człowiek na dobrych wzorach zaprawiony.”

A jako czujący prawdziwą poezję, widzi jasno, że nowy jéj okres świtać zaczyna, i z gorącym zapałem przemawia:

„Czemuż, czemuż nie mają jakieś śmielsze wieszczce,
Nowy nam poezji *Eden* odkryć jeszcze;
A mędrze tyłowiecznych doświadczeń przestroga,
Nieznalazłszy go dawną, nową szukać droga?
Bracia! trzeba śmiałości! Szczęście śmiałym sprzyja,
Najpiękniejszym jest orzeł gdy się w niebo wzbija;

Jest jeszcze nowa sfera, nieznaną, daleką,
 Czeką swego zdobywcy i niepróżno czeka.
 Ach! któżby mógł mieć duszę tak srogą, zaciętą,
 Aby chciał nam wydierać tę ufność tak świętą;
 By śmiał gasić tę zorzę co nam zdala dnieje,
 I tak piękne serc naszych zabijał nadzieje.
 Ten Bóg wielki, wszechmocny, co myśl ludzką stworzył,
 Nie tak to ciasny przed nią świat marzeń roztworzył;
 By Homery, Marony, mimo wiecznej chwały,
 Już wszystko w nim i odkryć i wyczerpać miały!"

Ale obok tego, do licznego zastępu młodych romantyków, a głównie ślepych naśladowców Mickiewicza, z równą goryczą przemawia, nieszczędząc obraźliwych żarcików, chwytając ich z najsłabszej strony i dotykając samego ich mistrza.

„Tam się w wdzięczną balladę cała *Smorgoń* wpycha,
 Tu, jakiś gruby *Kaszub* po sielankach wzdycha;
 Puszy się dziki *Pińczuk* w rzewnym triolectic
 Hajdamak w epopei, a Turek w sonecie!"

Utwór ten miał na celu sprowadzenie zgody pomiędzy dwoma obozami, ale była to rzecz niemożliwa, bo klassycy uporczywie bronili starego gmachu, który się rozsypywał w ruinę, a romantycy w pragnieniu zapalnym, aby go zburzyć do szczytu, ciągle zajadłe przypuszczali; szturm i na jego gruzach zwycięzki zatknęli sztandar!

Dwaj ci członkowie głównie wywołali niechęć i na całe Towarzystwo Przyjaciół Nauk. Morawski „List do romantyków“ zamknął tym pięknym czterowierszem, stosując myśl swą i do klassyków:

„Jedna matka was swemi uwieńczy laurami,
 Żadnej lutni bezbożność, ni podłość nie plami;
 Jedne macie prawidło, bratnie kształcić plemię,
 I jeden tylko rodzaj, polską śpiewać ziemię.”

Sędziwy i powszechnie szanowany prezes J. U. Niemcewicz, na posiedzeniu publicznym, idąc za myślą Morawskiego, wystąpił ze słowem zgody i pojednania, przytaczając w końcu swęj przemówi ów czterowiersz, tak dobrze odpowiadający zacności jego charakteru. Ale daremne były jego słowa, i poraz piérwszy i ostatni zaprawdę wywołał szmer niechęci pomiędzy najliczniej zgromadzonymi romantykami i zwolennikami Mickiewicza!

Szczupłe grono z początku członków Towarzystwa Przyjaciół Nauk powiększało się zwolna, aż do otwarcia Uniwersytetu Warszawskiego, wtedy bowiem do razu zastępi kilkadziesiąciu profesorów pomnożył ich liczbę.

Leży przed nami właśnie drukowana „Lista imienna członków Towarzystwa Królewskiego Warszawskiego Przyjaciół Nauk w 1828 roku, którą sekretarz rozsyłał każdemu z tego grona. Według nięj

podamy tu w alfabetycznym porządku, wszystkich członków *czynnych* i *przybranych*, z *korrespondentów* zaś i *honorowych* wspomnimy o wybitniejszych postaciach.

Członkowie czynni.

Julian Niemcewicz prezes Towarzystwa, Adam Prażmowski prezes działu nauk, Ludwik Plater prezes działu umiejętności, Łukasz Gołębiowski sekretarz Towarzystwa, Aigner Piotr, (znakomity budowniczy, który wstawił imię swoje wzniesionemi gmachami w różnych stronach Polski, za czasów Stanisława Augusta. Z dzieł jego drukowanych najcelniejsze: „Rozprawa o *guście* w ogólności a w szczególności w architekturze.” Warszawa 1812 roku. Jako członek Towarzystwa Przyjaciół Nauk w jego Rocznikach ogłosił „Rozprawę o świątyniach u starożytnych i o słowiańskich, t. VII). Franciszek Armiński (dyrektor obserwatorium astronomicznego w Warszawie); Jan Bandtkie (Wincenty: professor Uniwersytetu Warszawskiego), Feliks Bentkowski (prof. Uniw. Warsz.), Kazimierz Brodziński, ks. Jan Bystrzycki (pijar), Józef Celiński (prof. Uniw. Warsz. i aptekarz), Aleksander Chodkiewicz hr., Juliusz Colberg (serdeczny przyjaciel Brodzińskiego, autor „Atlasu Królestwa Polskiego” i tłumacz na język niemiecki poezyi śpiewaka Wiesława), ks. Edward Czarnecki, książę Adam Czartoryski, książdz Karol Diehl (znakomity mówca, senior (superintendent) generalny zborów ewangelicko-reformowanych w Księztwie Warszawskiem a później w Królestwie Polskiem. W r. 1811 był deputowanym na sejm, mąż uczony i zasłużony w pracach obywatelskich). Ignacy Fijałkowski (doktor medycyny, prof. Uniw. Warsz.), Kajetan Garbiński (matematyk prof. Uniw. Warsz., później dyrektor szkoły przygotowawczej do instytutu politechnicznego), Antoni Gliszczyński (senator, wojewoda Królestwa, tłumacz *Ekonomii politycznej* Schloezer'a i pisarz w zakresie nauk ekonomicznych; opiekun troskliwy szkółek elementarnych). Filip Kincel (Warszawianin, doktor medycyny i chirurgii. Pisał wiele w swoim zawodzie). Adam Kitajewski (professor Uniw. Warsz.), Józef Kossakowski (tłumacz poematu Legouvé'go *Zalety Kobiét* i *Delilla: Cztery pory roku*). Ksawery Kossecki, Kajetan Koźmian, Wincenty Krasieński (generał); Jan Kruszyński, Dominik Krysiński, Jan Krzyżanowski, Kajetan Kwiatkowski; Joachim Lelewel, Samuel Bogumił Linde, Józef Lipiński, Feliks Łubieński (minister sprawiedliwości w czasach Księztwa Warszawskiego, mąż znakomity zarówno nauką, jak zasługami dla kraju). Antoni Magier, Walenty Majewski (Skorochód); Jan Mile (prof. Uniw. Warsz.). Książdz Alojzy Osiński, Ludwik Osiński, Marek Antoni Pawłowicz (prof. Uniw. W.); Benedykt Rakowiecki, Józef Sierakowski, Fryderyk Skarbek, Karol Skrodzki, Jan Śniadecki, Jędrzej Śniadecki, Stanisław Sołtyk, Tomasz Święcki, Józef Kalasanty Szaniawski (naczelnik cenzury rządowej); książdz Ksawery Szaniawski (prof. Uniw. Warsz.); Michał Szubert (założyciel i dyrektor

ogrodu Botanicznego w Warszawie); ks. Wojciech Szwejkowski (czcigodny rektor Uniw. Warsz.); Jan Tarnowski, Stanisław Węgrzecki (prezydent miasta Warszawy i autor kilku dzieł rozjaśniających okres Księstwa Warszawskiego), August Wolff (sławny lekarz i ogromną mający praktykę); Jan Woronicz (biskup krakowski a następnie prymas i arcybiskup); Michał Wyszkowski, Adam Zubelewicz. W ogóle członków *czynnych* było pięćdziesięciu siedmiu.

Nie możemy pominąć członków *przybranych*, którzy jednakże mieli czynny udział w pracach Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Oto ich lista z 1828 roku: ksiądz Edmund Andraszek (pijar, ukończony nasz profesor, znakomity filolog i wydawca pieśni Kazimierza Sarmieńskiego); Jerzy Samuel Bandtkie (bibliotekarz Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie); Felicyan Biernacki, Franciszek Brandt, Antoni Brodowski (znakomity malarz, prof. Uniw. Warsz.); ksiądz Aloizy Charini, Józef Elsner (dyrektor opery teatru narodowego, kompozytor i pisarz), Aleksander Engelke, ksiądz Jakób Falkowski (założyciel Instytutu Głuchoniemych). Dr. Bogumił Jan Frejer, Karol Glotz, Jakób Hoffman, August Jacob, Feliks Jarocki, ksiądz Kajetan Kamiński (prowincyał Pijarów); Hipolit Kownacki (bibliotekarz w Willanowie, historyk); Adryan Krzyżanowski (prof. Uniw. Warsz.); Jakób Kubicki, Karol Kurpiński (dyrektor opery, kompozytor i pisarz); Antoni Lelowski (mąż uczonej, redaktor pisma technicznego *Izys*). Wilhelm Malcz (lekarz znakomity i pisarz): Ludwik Metzel (słynny założyciel czarownego ogrodu *Zofiówki*, który uczcił Trembecki swoim poematem: uczonej inżynier i dzielny oficer); Franciszek Morawski, Stanisław Plater (niepospolity badacz dziejów krajowych, autor *małej Encyklopedyi polskiej*, Leszno 1839—1847 w dwóch tomach, *Atlasu statystycznego Polski i krajów okolicznych* wydanego w Poznaniu w pięciu wielkich arkuszach. Żołnierz z czasów Napoleona I-go wydał geografią dawniej Polski p. n.: *Geografia wschodniej części Europy, czyli opis krajów, przez wielorakie ludy zamieszkałych*. Wrocław 1825 r. To dzieło dało mu wstęp do grona Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Pisał wiele i po francuzku, a wszystkie prace w tym języku wydane wzbogacały dzieje krajowe. Był on rodzonym bratem Ludwika, znakomitego leśnika i geografa, męża wielkich zdolności, który lasy rządowe wzorowo urządził i był prawą ręką księcia Lubeckiego w jego pomysłach administracyjnych, przeprowadzając je umiejętnie w życie. Zajmował posadę sekretarza stanu w Królestwie, w końcu mianowany senatorem, kasztelanem. Z dzieł które wydał, zasługują na wspomnienie: *Rzecz o gospodarstwie leśnym* 1807 rok, *Opisanie historyczno-statystyczne Wielkiego Księstwa Poznańskiego* i wiele innych. Prezydował w dziale umiejętności Towarzystwa Przyjaciół Nauk). Marcin Roliński (doktor medycyny i prof. Uniw. Warsz.); ksiądz Franciszek Siarczyński, Ignacy Franciszek Stawiarski (uczonej i biegły prawnik, autor i tłumacz kilkunastu dzieł w tej gałęzi nauk. Wiele przekładał głośniejszych

utworów literackich tak z francuzkiego jak z niemieckiego. Należał on w czasach Księstwa Warszawskiego i pierwszego okresu lat Królestwa, do najpierwszych mecenasów i ogromną miał praktykę; Jan Stefazyusz, Abraham Stern (był nietylko znakomitym mechanikiem, ale i pisarzem w polskim i hebrajskim języku. Pomiędzy innymi zajmujący dał nam przekład z hebrajskiego z dzieła Natana Moskowicza: *Opis buntów ukraińskich* ogłoszonego w Wenecyi 1653 r.); Kantorbery Tomasz Tymowski (poeta z talentem, żołnierz z armii Księstwa Warszawskiego, którego wiersz: *Dumanie w starożytnym zamku Maurów*, całe młode pokolenie umiało na pamięć); Franciszek Wężyk (jeden znajtłośniejszych pisarzy dramatycznych, z czasów Księstwa Warszawskiego). W ogóle *przybranych* członków liczyło Towarzystwo Przyjaciół Nauk trzydziestu jeden.

Członków *Korrespondentów* liczba siedemdziesięciu dwóch, pomiędzy którymi znajdujemy pierwsze wówczas znakomitości literackie, tak krajowe jak zagraniczne. Z pierwszych wymienimy tylko Aleksandra Bronikowskiego, który powieściami z dziejów polskich po niemiecku pisanych, pozyskał chlubne imię; Czajkowskiego Pawła profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego, Dzierzkowskiego Józefa słynnego adwokata ze Lwowa, Józefa Franka profesora Uniwersytetu Wileńskiego, Józefa Gołuchowskiego profesora tegoż Uniwersytetu, Antoniego Góreckiego żołnierza-poetę z prawdziwym talentem poetycznym, Stanisława Jundzitta, Józefa Franciszka Królikowskiego profesora z Poznania, autora *Prozodyi Polskiej*, Ludwika Kropińskiego, którego imię było rozgłośne z odegranej jego tragedyi *Ludgarda*, Ignacego Przybylskiego z Krakowa, tłumacza znanego poetów starożytnych jak nowożytnych, Edwarda Raczyńskiego, Wacława Rzewuskiego, Józefa Sękowskiego orientalistę, Jana Znosko i w. i.

Pomiędzy *zagranicznymi* korespondentami znajdujemy imiona: Abrahamsona, Józefa Hammera, Wacława Hanke, Jerzego Kopitara, Józefa Mezzofantego, Albrechta Thaer'a, Księcia Piotra Wiazemskiego.

Do tego należy doliczyć dwudziestu pięciu członków *honorowych* tak z krajowców jak i obcych. W ogóle więc w roku 1828 Towarzystwo Przyjaciół Nauk liczyło 185 członków.

Fryderyk hr. Skarbek, w swoim pobieżnym *wspomnieniu* o tém Towarzystwie, podaje nam taką jego statystykę:

„Od roku 1800 do 1830 miało Towarzystwo Przyjaciół Nauk w ogóle członków 371: z których umarło w tym przeciągu czasu, osób 145, w ostatnim roku liczyło członków *czynnych* 57, *przybranych* 35, *honorowych* 35, *korrespondentów* 85. W téj liczbie było cudzoziemców powołanych na członków honorowych 35, na korespondentów 45 a mianowicie było między *honorowymi*, Francuzów 23, Niemców 8, Rossyan 3, Amerykanin jeden. Między korespondentami: Niemców 12, Rossyan 10, Francuzów 5, Auglików 4, Wło-

chów 4, Duńczyków 2, Holendrów 2, Czechów 2, Węgier jeden i jeden Szwajcar.”

VI.

Ooena prac Towarzystwa Przyjaciół Nauk.—Hugo Kołłątaj i jego zdanie. Prace historyczne.—Tytus hr. Działyński.—Przemowa J. U. Niemcewicza.—Prace o literaturze polskiej.—Pochwały zmarłych.—Pochwała Cypryana Godebskiego.—Deputacya do ułożenia stałych zasad pisowni polskiej.—Posąg Kopernika; jego odkrycie.—Działalność Towarzystwa. Zygmunt Sztebler księgarz Towarzystwa Przyjaciół Nauk.

Towarzystwo Przyjaciół Nauk jako instytucya naukowa, używając najwyższej powagi i szacunku w kraju, uważane było jako Akademia Umiejętności, od chwili, gdy w to dostojne grono, po ustanowieniu Uniwersytetu Warszawskiego, weszli jego professorowie, i wszystkie działy nauk wypełnione zostały.

Powoli, *Towarzystwo* oddalało się od pierwotnego celu jaki sobie założyło przy pierwszym zawiązku. Głównym zadaniem było chronienie od zagłady i pielęgnowanie języka ojczystego, a przytem uzupełnienie *Historji Narodu Polskiego* Naruszewicza, który ją doprowadził tylko do czasów Kazimierza Wielkiego, z opuszczeniem pierwotnych wieków.

Głęboki myśliciel Hugo Kołłątaj w roku 1803, zaraz po przeczytaniu pierwszego tomu *Rocznika Towarzystwa Przyjaciół Nauk*, zdziwiony encyklopedycznością przedmiotów, napisał do Jana Śniadeckiego:

„Lękam się ja bardzo o *Towarzystwo Warszawskie*, należałoby żeby to gorliwe zgromadzenie przepisało sobie wyraźnie, przedmioty pracy, i żeby za ich granice nie przestępowało, inaczej zbiór jego *Roczników* wyjdzie kiedyś na tandetę, w której nie można nic nowego dostać, ale tylko rzeczy wyszarzane, lub ze starzyny przerabiane.” (Hugona Kołłątaja *korrespondencya*. Kraków 1844. Tom I str. 113).

Zarzut ten był zrobiony, gdy *Towarzystwo*, pod prezydenturą Albertrandego ulegało przeważnemu jego wpływowi, o czym już i F. Skarbek powyżej wspominał; zarzut po części słuszny, ale głębiej badając, znajdujemy łatwo niemało powodów, na obronę tego zgromadzenia miłośników nauki i przeszłości rodzinnej.

Rzućmy okiem na owe czasy, na rozbitcie zupełne społeczności naszej, na małą liczbę czytelników polskich książek, na bezsilność prassy, a głównie na ówczesnych naszych uczonych.

Pierwsi członkowie wybrani z ich grona, byli rozsypani po dalekich stronach dawniej Rzeczypospolitej; nie mieliśmy w dzisiejszym znaczeniu *literatorów*, którzy ten jedyny zawód za cel życia swojego mają: każdy z nich, w pierwój pragnął kłaść zasługi na drodze obywatelskiej, w służbie krajowi, a wolne chwile od tych zajęć poświęcał pracom naukowym.

Tadeusz Czacki oddając się z zapałem badaniom przeszłości, obok tego zakładał Lyceum Krzemienieckie, Ignacy i Stanisław Potoccy, Mostowski, Staszic, Franciszek Dmochowski, byli to mężowie stanu: praca literacka była dla każdego z nich zasługą obywatelską, po służbie publicznej.

Brak skupienia, ciągłego skojarzenia sił pojedynczych stał na głównej przeszkodzie należnemu rozwojowi Towarzystwa Przyjaciół Nauk.

Po sześciu latach niespełna od jego zawiązania, wypadki ówczesne wytrąciły każdemu pióro z rąk, przy gwałtowném wstrząśnieniu do gruntu społeczności naszej po wejściu armii francuskiej do Warszawy, i ogłoszeniu Księstwa Warszawskiego.

Nowa organizacja polityczna i społeczna tego kraiku, powołała wszystkich niemal członków Towarzystwa, do publicznej służby. Nie było ani myśli, ani czasu do zajęć literackich: mozolniejsze prace spotykały każdego w kole obywatelskiem. Gdyby stały pokój, chociaż na lat kilka mógł potrwać w Księstwie, zebralibyśmy bogate niewątpliwie płody umysłowe z owego okresu; ale niemal co trzy lata burza wojenna uderzała na tę zubożoną krainę, niszcząc wszystko co troskliwie budowano zarówno na polu duchowém jak i pomyślności ekonomicznej kraju.

Wszystkie myśli ogółu zwracały się w jedną stronę, za zwyciężkim sztandarem Napoleona I, gdy ten krwią obłany padł przy nurtach Berezyny w 1812 roku, osłupienie niemogło wpłynąć korzystnie ani na prace Towarzystwa Przyjaciół Nauk, ani na rozwój literatury krajowej.

Dwa lata następne wrzała jeszcze burza, a społeczność nasza, po strasznym gromie który ją rozbił, oczekiwała przyszłej a nieznanomiej doli.

Słońce pokoju zaczęło oświecać Warszawę w roku 1814, gdy w jesieni ukazały się w jej murach dostojne zwłoki księcia Józefa Poniatowskiego co poległ pod Lipskiem „w walce Olbrzymów.“ Smutny korowód otoczony resztkami towarzyszków broni przechodził ulice miasta do kościoła Ś-go Krzyża, gdzie złożone zostały, i w tymże roku, w kamienicy na Kanoniach, prezes Towarzystwa Staszic, zdawał publiczną sprawę o przedsięwziętych pracach, co do uzupełnienia *Dziejów Narodu polskiego* Naruszewicza. Wielu członków Towarzystwa przyjęło chętnie pojedyncze panowania królów, ale nie wszyscy podobałi zadaniu. Jedni zajęci sprawą publiczną, nie mieli wolnej chwili do pracy mozolnej, potrzebującej skupienia ducha; drudzy, w troskliwości o pełność obrazu, zbierali zasoby, studyowali, ale nie zdołali skreślić nawet jego zarysu. Tak, Tytus hr. Działyński, jako członek Towarzystwa przyjąwszy na siebie panowanie Michała Korybuta, prawdziwy skarbiec wiadomości objaśniających ten okres tak w księgach jak rękopismach zgromadził, niezapłując zachodu i kosztów. Z młodzieńczym zapałem nieraz mi o tém szeroko rozpowiadał, ale

następnie, w innym kierunku rozpoczynając pracę, już do dziejów króla Michała nie wrócił.

Wywiązali się zaś z przyjętego obowiązku członkowie: przed wszystkimi na czele J. U. Niemcewicz „Dziejami panowania Zygmunta III“ w trzech tomach ¹⁾.

Książd Krajewski nadesłał rękopism panowania Jana Kazimierza, Kajetan Kwiatkowski panowanie Władysława IV ²⁾: Łukasz Gołębowski Władysława Warneńczyka i Władysława Jagiełły. Książd Czajkowski złożył w rękopiśmie obszerną rozprawę o początku Słowian i Polaków, w dwóch częściach. Samo zaś Towarzystwo przygotowało pierwszy tom *Historji Naruszewicza*, obejmujący czasy przed-Mieczysławowe, podług dwóch rękopismów, jednego wynalezionej w bibliotece Puławskiej, drugiego własności czł. Józefa Sierakowskiego i w roku 1824 w dwóch częściach wydało.

¹⁾ Dzieło to wyszło w Warszawie 1819 r. w 8-cc, w niesłychanie ozdobnej jak na owe czasy edycji, drukiem „Zawadzkiego i Węckiego uprzywielejewanych drukarzy i księgarzy dworu króla polskiego.“ Zdobia go portrety najznakomitszych postaci, występujących w tym okresie. Widzimy tu już siły artystyczne niemałe. Popiersia te są znakomicie rysowane przez Jana Piwarskiego, H. Paszkowskiego, Balińskiego, Blanka prof. Uniwersytetu Warszawskiego, i P. Czamańskiego. Młoda i piękna Zofia Chodkiewiczówna rysowała wizerunek Jana Karola Chodkiewicza, a sam J. U. Niemcewicz dał swego ołówka portret Jana Piotra Sapiehy starosty Uśnińskiego. Rytowali na stali w większej połowie nasi artyści jak Kretlow w Warszawie i M. Podoliński w Wilnie. Wszystkie te wizerunki brane są ze starych familijnych obrazów. Zygmunt III w uroczystym stroju z koroną na głowie, z berłem i jabłkiem w ręku sztychowany podług obrazu Rubensa. Portrety te są podane w następnym porządku w tomie pierwszym: Król Zygmunt III, Piotr Skarga, Stanisław Karnkowski arcybiskup gnieźnieński. Medal na cześć Jana Zamojskiego. Paweł Działyński wojewoda pomorski. W tomie drugim: Jan i Jakób Potoccy wojewodowie braclawscy, Jerzy Mniszech wojewoda sandomirski, Car Dymitr, Maryna Mniszechówna jego żona, Jan Piotr Sapieha wódz niezależny wojsk polskich. Medale i kopieiki bite wówczas. W tomie trzecim: Wielki medal Zygmunta III r. 1611, Stanisław Żółkiewski hetman i kanclerz wielki koronny, Stanisław Koniecpolski kasztelan krakowski, hetman w. koronny. W końcu są dwie tablice litografowane z podobizną podpisów znakomitych tego czasu mężów.

²⁾ Autor prace swoje sprzedał nakładcy znanemu w tym okresie Natanowi Glücksbergowi, który ją odbił w swej drukarni w Warszawie 1823 roku. Wydanie to wszakże pod żadnym względem nie da się porównać z dziełem J. U. Niemcewicza. W panowaniu Władysława IV, ryciny są litografowane ale ani pod względem ołówka, ani odbicia, nie mają zalety artystycznej. Litografia dopiero u nas rozwijać się zaczęła, wydawca użył jej dlatego, że była daleko tańsza od stalorytów.

Kwiatkowskiego dzieło, jak pierwotnie z pod pióra autora wyszło, nie ukazało się z pod prassy; rękopisma innych członków w pogotowiu leżące, pozostały na czas dalszy w Bibliotece Towarzystwa ¹⁾.

Gdy w tym kierunku cel w zupełności osiągnięty być nie mógł, Towarzystwo Przyjaciół Nauk, pragnąc rozszerzyć niezbędne wiadomości co do literatury polskiej, wezwało członków swoich do tój pracy.

¹⁾ Rękopism księdza Michała Krajewskiego, w osiemnaście lat później wydał Michał Baliński w Warszawie 1846 roku pod napisem „Dzieje panowania Jana Kazimierza, od roku 1656 do jego abdykacyi w roku 1668.“ Dwa tomy. Łukasza Gołębiowskiego wyszły rękopisma obejmujące ponowanie Władysława Jagielly, i Władysława III do 1506 roku, w Warszawie, we dwóch tomach 1846 roku: panowania zaś trzech Jagiellończyków: Kazimierza, Jana Olbrachtta i Aleksandra, ukazało się w jednym w r. 1848. Feliks Bentkowski, który zajmował się korektą dwóch pierwszych tomów w roku 1846 pisze we wstępie:

„Lubo w niektórych szczegółach co do pisowni polskiej, różnego jestem zdania od prawideł przez deputacyą b. Kr. Towarzystwa Warszawskiego Przyjaciół Nauk podanych, i przez to Towarzystwo w roku 1829 sankcyonowanych; wołałem jednak, przy dozorze druku obecnego dzieła, trzymać się ścisłych przepisów, jako podających ogół naszej pisowni narozumowanych zasadach oparty, niż popisywać się z cząstkowymi nowościami, jak to w wielu drukach dzisiaj widzieć można. Rozumujmy o pisowni, podawajmy projekta do jój udoskonalenia, ale nie występujmy w druku z dziełami, podług osobistych zapatrywań, nową pisownią upstrzonemi, dopóki głos jakowego grona, ale głos równie poważny jak zdanie *deputacyi*, do pójścia za nim nas nie zobowiąże lub nie nakłoni, aby tym czasem nas nieposądzano, iż zawsze przywiązani jesteśmy do *Liberum veto*.“

Ł. Gołębiowski jako sam we wstępie z r. 1821 pisze, plan do obszerniej swój pracy wziął z historyi angielskiej Roberta Henry; postęp co do pisania dziejów widocznie odbija; oprócz użycia najświeższych źródeł, zacznij pamięci ten pisarz, zwraca pilną uwagę na ustrój społeczny, oświatę i zwyczaj a obyczaj narodowy. W pomienionym wstępie przytacza wielce zajmujący list, jaki pisał słynny historyk rossyjski M. Karamzin do Tadeusza Czackiego dnia 4 sierpnia 1810; oto dosłowne jego brzmienie:

„Miło mi i chlubnie zostawać w porozumieniu się z mężem tak świątym, jak JW. Pan Dobr. My obadwa pracujemy nad jednym przedmiotem, dla sławy i pożytku naszej wspólnej ojczyzny, i obadwa kochamy prawdę i onotę, wszędzie gdzie ją tylko znajdujemy. Stronność właściwa gminowi, piszącemu dzieje nieprzebaczona: w jego oczach wszystkie narody, są jedną familią rodu ludzkiego. Czyliż wśród grobów i rozwalin dopuści się być cobyem złorzeczenia rodzącego się z namiętności. Lachy i Rossyianie nawzajem się niecierpieli, lecz ich dziejopisowicze mówiąc o upłynionych wiekach, nie powinni się omamić przesadami współczesnych. A zatem z szczerością serca daję rękę JW. P.D. i w myśli ściskam jego prawicę.“

Oryginał tego listu znajdował się w bibliotece Puławskiej pod nr. 1183.

Franciszek Wężyk, sławny autor tragedyi z dziejów polskich w czasach Księstwa Warszawskiego, wziął na siebie część dramatyczną, i tę w oddzielnych rozprawach opracowaną, drukował przy swoich tragediach w Krakowie wydanych. Stanisław Potocki ogłosił: *O literaturze polskiej w ogólności. Oddzielnie o wymowie, o guscie i krytyce.* *O bajce* napisał rozprawę J. U. Niemcewicz, *o Sielance* Józef Lipiński, w ostatku *Elegii i Satyrze* Kazimierz Brodziński.

Rok rocznie prawie Towarzystwo czcząc pamięć zasłużonych krajowi mężów, którzy spoczęli w grobie, poświęcało każdemu wspomnienie, które nosiło nazwę *pochwały*.

W nich jeżeli rzetelna charakterystyka zmarłego znikła i pozostały tylko ślady pracy umysłowej, albo usług oddanych w kole obywatelskiem; był to duch czasu, i Towarzystwo Przyjaciół Nauk ulegać jego potędze musiało, idąc za wzorem literatury francuzkiej, która zawsze u nas swoją przewagę zachowywała, a w niej uczone grona, w tego rodzaju *pochwałach*, miały więcej na celu wykazanie krasomówczego talentu piszącego je, niż rzeczywisty wizerunek jako człowieka, zgasłego męża, któremu poświęconą była.

Było zasadą przyjętą powszechnie, że niewolno źle mówić o zmarłym ani ukazywać jego nawet słabiej strony, czego już sam tytuł nie dozwalał; ale było także drugą zasadą, nic nie pisać o żyjącym ze szczegółów jego żywota, z wyjątkiem swobodnej ale przyzwolitej krytyki na wydane drukiem prace.

Pamiętam jakie oburzenie w młodém naszym gronie wywołał książd Franciszek Siarczyński ostrą recenzją na *Dzieje panowania Zygmunta III*, J. U. Niemcewicza, która nas doszła ze Lwowa. Dostojny ich autor lubo żywo był nią dotknięty, milczeniem tylko odpowiedział; my naszego gniewu zataić nie mogliśmy, bośmy ciężo otaczali autora *Jana z Tęczyna*.

Sama forma pochwał, i w nich pomijania charakterystyki jak i drobnych wiadomości o domowém pozyciu, pozbawiła nas drogocennych szczegółów, dających wierny wizerunek zgasłych mężów. A bylibyśmy radzi bliżej zaznajomić się z postacią każdego, słyszeć jego słowa, badać jego uczucia i myśli, które później czytamy w każdego utworach, patrzeć na człowieka za rodzinnym progiem.

Franciszek Dmochowski tłumacz *Iliady*, serdeczny przyjaciel Krasickiego, co go znał tak blisko, w pochwalę swęj usilnie się starał te drogocenne szczegóły które mu się nawijały pod pióro zacierać, ażeby nieuchybić przyjętej formie *w pochwałach*. Tym sposobem jeden z najznakomitszych pisarzy okresu Stanisława Augusta, z potężnym wpływem na społeczeństwo naszą, pozostał mało znanym jako człowiek. Dopiero w pół wieku później Julian Bartoszewicz zebrał nie mało szczegółów, malujących lepiej wydatną postać.

Nie wszystkie wszelako *pochwały* tak bezbarwne z łona Towarzystwa Przyjaciół Nauk były wyszły i takie wspomnienia które odpowiadają w zupełności wymogom dzisiejszym.

Posłuchajmy *pochwały* Cypryana Godebskiego, co poległ pod Raszynem w krwawej bitwie z Austryakami w 1809 roku, którą wypowiedział jego przyjaciel J. K. Szaniawski. W tej pochwalie znajdujemy tak pożądane szczegóły; one to ożywiają najwymowniej ostatnie chwile umierającego poety żołnierza.

Towarzystwo czując potrzebę ustalenia pisowni polskiej, wobec pojawiających się nowości przez pojedynczych pisarzy zalecanych, oddawna, bo od roku 1814 zwracało po temu pilną uwagę. W roku dopiero 1827 zabrało się energicznie, ażeby rzecz oddawna obmyśloną w życie wprowadzić. W tym celu wysadziło z grona swego *Deputacyę* do zaprojektowania stałych zasad pisowni, złożoną z księdza Szwejkowskiego rektora Uniwersytetu Warszawskiego, oraz z profesorów tegoż uniwersytetu: Feliksa Bentkowskiego, Kazimierza Brodzińskiego i Ludwika Osińskiego, do którego grona weszli członkowie Towarzystwa Jan Kruszyński znany uczony, wierszopis i pułkownik Mroziński, autor zajmującego historycznego opisu: *Obrona Saragossy*, w Pamiętniku Warszawskim.

Prace te połączone, Towarzystwo Przyjaciół Nauk wydało swoim nakładem w jednym tomie obszernym p. n. *Rozprawy i wnioski o ortografi polskiej*. (Warszawa 1830 r.).

Dzieło to stało się dla poważnych literatów kodeksem obowiązującym, co do pisowni, aż do obecnej chwili.

W przedostatnim roku swego istnienia, *Towarzystwo* jakby pamiątkę po sobie, stawia przed domem swoim posąg *Kopernika*.

Myśl wzniesienia go była powziętą jeszcze za czasów Księstwa Warszawskiego; ale czasy ówczesne burzliwe, zubożenie obywateli, nie dozwoliły myśleć zebrania odpowiednich funduszków ze składek, a tém samém i zamówienia tego pomnika. Kiedy błogi pokój a tak pożądany, dał swobodne chwile odetchnienia, zaczęto się żywo krzątać około tego dzieła.

Z dawnych składek z departamentów Księstwa Warszawskiego, zebrano tylko 1600 złp., członkowie Towarzystwa wdowiego grosza złożyli 2000 złp., tymczasem posąg dłuta Thorwaldsena, kosztował złp. 36000. I znalazł się wspaniały dawca: był nim Stanisław Staszic; ten nietylko dla Towarzystwa gmach wspaniały swoim kosztem zbudował, ale dołożył na ten cel z własnej szkatuły złp. 32400.—Był dzień dżdżysty i pochmurny, w którym miano odsonić posąg wielkiego astronoma.

„Gdy Niemcewicz (pisze Fr. hr. Skarbek) po wzniosłej przemowie dał znak odsonięcia posągu i gdy zasłona z niego spadła, w tej samej chwili, ponure dotąd niebo rozjaśniło się nagle, i silny jasny promień z pośród nagromadzonych obłoków, padł na posąg *Kopernika*, tak jakby niebo chciało razem z nami, obchodzić święto tego, który przed wiekami jego szlaki mierzył, tak jak gdyby promienném

światłem na jego postać rzuconém, chciało objawić, iż myślą i dziełem naszym na jego błogostawieństwo, zasłużyliśmy“¹⁾).

Lesław Łukaszewicz w *Rysie piśmiennictwa polskiego*, jedną epokę literatury oznacza związaniem się Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Warszawie. Myśl ta ma swoje usprawiedliwienie, kiedy spojrzymy na chwilę w której powstało.

Rok 1800 należał do tych lat smutnych i bolesnych, w których przejmował przestraszać każdego miłośnika tak języka własnego, jak drogich wspomnień przeszłości i zabytków, którym groziła zagłada. Towarzystwo Przyjaciół Nauk stało się ogniskiem do skupienia pojedynczo rozrzuconych sił duchowych w dalekich stronach. Umiało ono dobrze do nowych prac zagrzewać, dawne, zaszczytném uznaniem podnosić, i zachęcać do wykonania już rozpoczętych studyów. Pozyskanie tytułu członka Towarzystwa, było w owe czasy, największą dla każdego chlubą. Lubo Hugo Kołłątaj, jak to przywiedliśmy wyżej obawiał się o *Roczniki* Towarzystwa, zbiór ich przecież całkowity nie sprawdza przepowiedni słów wielkiego myśliciela, bo z uszanowaniem przeglądamy ten szacowny zbiór, wymownie świadczący, o zacnych jego usiłowaniach i pracach.

W sądzie o działaniach tego zgromadzenia, nie możemy iść za gorącym, nieraz potępiającém go zdaniem przez wielu z późniejszych pisarzy, którzy niezwracając uwagi na czasy w jakich żyło i działało, wyrok swój wydawało. Każdy sąd o niem bez tego poglądu, będzie niesprawiedliwy.

Bo zaprawdę, jeżeli bliżej zbadamy okres w którym istniało, cel główny, obywatelski więcej jak literacki, który sobie założyło, musimy z ręką na sercu wyznać, że dla języką ojczystego, dla literatury krajowej położyło niezapomniane zasługi, godne wdzięcznej pamięci.

Gmach zewnątrz w niczem nie zmieniony pozostał do dni naszych w pierwotnym kształcie. Na pierwszym piętrze, oprócz sali na publiczne posiedzenia mieściły się zbiory Towarzystwa, biblioteka i zabytki starożytności; na dole od strony ulicy Nowego Świata, mie-

1) „Wspomnienie o Warszawskim Towarzystwie Przyjaciół Nauk, przez Fr. hr. Skarbka członka C. K. Tow. Nauk. Krakowskiego. Kraków 1860 r.“ w 8-oe str. 31. Jestto lekka tylko i pobieżna wiadomość o tém Zgromadzeniu. Kiedy mi ją czytał Fr. hr. Skarbek, zwróciłem jego uwagę na zbyt szorstkie ramy téj pracy, i że my właśnie pragniemy od niego szczegółowego o *Towarzystwie P. N.* sprawozdania, odrzekł mi na to:

„Nakreśliłem naprędce moje wspomnienie, resztę znajdziecie w *Rocznikach* samego Towarzystwa. Nie mam teraz czasu, pracuję, jak pan wiesz, a pracuję ciągle nad mojami pamiętnikami.”

Rzeczywiście tak było, i szacowna ta praca pozostała w rękopisem.

ściła się w nim księgarnia Zygmunta Szteblera. Zmarł on licząc już dziewiąty krzyżyk wieku, bo lat 85, dnia 24 sierpnia 1875 roku.

Był to niewątpliwie najstarszy z księgarzy Warszawskich. Z początku na ulicy Święto-Jańskiej w księgarni wuja swego Szczepańskiego, którego zapamiętam w kontuszu i żupanie, rozpoczął swój zawód; po 22 latach pracy miał sposobność dokładnie obznajomić się z księgarstwem polskiem. Kilku członków Towarzystwa Przyjaciół Nauk, znając zacność i prawosć charakteru Szteblera namówiło go do założenia księgarni, którą też w gmachu nowo zbudowanym otworzył. Pomagał mu Staszic, a po nim Niemcewicz. Była to jedna z pierwszych w Warszawie księgarni, po Zawadzkiego i Węckiego, dopóki Natan Glücksberg nie otworzył swojej wraz z zakładem typograficznym.

Sztebler całe grono uczonych znał dokładnie i nie mało o każdym mógł podać szczegółów. Niskiego wzrostu, powolny w ruchach, odznaczał się szczególnie białą picią i pełnym żywego rumieńca obliczem, na którym malowała się dobroć i często wdzięczny uśmiech. Skromny i potulny, w sędziwych latach doznając coraz większej chudoby, w zapomnieniu skończył swój pracowity żywot.

Na nim też i my zamykamy nasze wspomnienia o Towarzystwie Warszawskiem Przyjaciół Nauk, oby mogło być dowodem wdzięcznej, serdecznej pamięci, dla tego zacnego grona, które zawsze kierowało myśl i prace swoje w duchu obywatelskim, na pożytek własnego kraju.

POSTĘPY WIEDZY O SŁOWIAŃSZCZYŃNIE

W ROSSYI W LATACH 1860—1872.

WEDLE SPRAWOZDANIA

Prof. Kotlarewskiego.

(„Uspěchy slavistyki na Rusi v posledni době”).

Starożytności słowiańskie, jako gałąź wiedzy wyłącznie poświęcona poznaniu, krytycznemu zgłębieniu i systematycznemu w ład ujęciu wiadomości o ludach i narodach słowiańskich, nie tak dawno po-

wstały. Z jednej strony Szafarzyk swojemi *Starożytnościami Słowiańskimi*, których metodę i zasadę wziął od naszego Surowieckiego, a ten może skorzystał z Potockiego, zakreślił jednolite granice dziejów, jakie pod tę techniczną nazwę Starożytności Słowiańskich wchodzić mają. Z drugiej strony znowu, W. A. Maciejowski swą *Historją Prawodawstw Słowiańskich* wytknął kierunki badaniom prawnym na polu ogólnie słowiańskim.

Bez uwzględnienia prac Potockiego, Surowieckiego i Szafarzyka, lubo tylko dotyczących prawdziwie Starożytnych Słowian (mniej więcej po wiek X po Chr.), już pracować nie można nad dziejami Słowian z korzyścią dla postępu nauki o nich. „Las” téż W. A. Maciejowskiego pracy, czeka jeszcze bardziej jak „las” Czackiego, umiejętnego krudunku i spożytkowania. Prof. Kotlarewski przyznał mu pierwszeństwo w badaniu słowiańskich prawodawstw. R. Hube zwraca uwagę, że praca jego brata Józefa (Wywód praw spadkowych z r. 1830) była pierwszą na tle ogólnie słowiańskiej historii. Tak jednak szeroko się rozłożyć, już chyba nikt po panu Maciejowskim nie potrafi; tak sięgnąć daleko w tym kierunku prawnym żadne Starożytności Słowiańskie na przyszłość nie zdołają, choć mogą i muszą być krytyczniejsze. Słowem, Jan Potocki, Surowiecki i Szafarzyk z jednej strony, a W. A. Maciejowski z drugiej strony są ojcami Starożytności Słowiańskich pod względem metody, skreślenia dziejów i prawa, w sposób porównawczy.

Etnografia, dalej mytologia, badania nad językiem, zabytkami piśmiennymi i literaturą (ich duchem), dzieje kościoła czyli społeczności religijnej u Słowian z historją i prawem wyczerpują zakres Starożytności Słowiańskich. Archeologia specjalnie słowiańska umiejętnie jeszcze nie istnieje; gromadzić dopiero zaczyna materiały w zbiorach prywatnych i publicznych; w naukę jeszcze nie przeszła.

W Rosyi, prócz Czech, może najwięcej na polu sławistyki ruchu się objawia. Przypatrzeć się takowemu, choćby w najwybitniejszych jego okazach, nie będzie może od rzeczy, zwłaszcza że wiedza o tém co inni zrobili, czego się dobili na pewne, nawet i w czém zblądzili: konieczną jest dla postępu samodzielnej pracy, jeśli ta czasu i sił daremnie marnować niema ¹⁾.

Zaczynając od historii, wymienimy tu najprzód pracę nieboszczyka Hilferdynga p. t. „Starożytny peryod dziejów Słowiańskich” (por. Wiestnik Jewropy 1868). Wspominamy o niej na początku wbrew chronologii, a to z następnej przyczyny. Studium to stwier-

¹⁾ Za pomoc bierzemy tu sprawozdanie Kotlarewskiego o tym ruchu w Rosyi uczynione a pomieszczone w Czasopiśmie Muzeum Królewskiego Czeskiego (z r. 1874).

dza naszą uwagę, wyżej o znaczeniu trudów Szafarzykowych wypowiedzianą. Hilferdyng bowiem staje na osiągniętym przez te trudy stanowisku, w trop Ossolińskiego, Surowieckiego i najdawniejszego jeszcze Grzegorza z Sanoka, humanisty, głosząc, że Węnedzi starożytnych źródeł są tym samym ludem co obecni Słowianie, którzy Wana-lajset przez Finnów, Wenden przez Niemców teraz jeszcze są zwani, g'woli dawniej tych imion Wend, Słowianin tożsamości.

Jeszcze szkoła przeciwna, wierząca w Gatterera baśń o Getodacyzmie Słowian, trzyma się paradoksu, który w naszej historyografii odpowiada teoryom krzewiącym się w dziejach badania starożytnych czasów, o różnoszczepowym początku Rzymu. Jeszcze istnieją i teraz etnograficzne wykłady społecznego rozwoju Słowian. Atoli takich prac już coraz mniej bywa, a gdy z pominięciem metody Szafarzyka wystąpi taki Drynow w swój rozprawie o „Zamieszkaaniu Słowian na półwyspie bałkańskim” (Moskwa 1873), krytyka przez usta profesora Kotlarewskiego już mu to poczyta za naukowy występpek.

Praca dopiero co wymieniona Hilferdynga, będąca początkiem większego dzieła, którym się trudnił autor w ostatnich chwilach swego żywota, najprzód, za wzorem Szafarzyka, roztrząsa stosunek Słowian czyli Wendów do innych plemion aryjskich, rozbiera ich przymioty i cechy etnograficzne, a wreszcie rozwija dzieje starożytnych Słowian. Jestto pierwsza próba objaśnienia dziejów słowiańskich z pomocą studyów językowo porównawczych. Godna wszelako uwagi, że w tój próbie, rozbiór źródeł starożytnych jest najlepszy, a strona filologiczna, to jest wywody etymologiczne są najsłabsze; powiedzmy mimochodem że najzawodniejsze, jeśli ich historia, literatura lub archeologia nie popierają. Całkowite dzieło w tym przedmiocie znalazło się w papierach zmarłego badacza, jak donosi pr. Kotlarewski, i ma wyjść jeżeli nie wyszło, w zbiorze prac jego ¹⁾.

Dawniejszą pracą tegoż Hilferdynga, a sięgającą w początek objętej pracą pr. Kotlarewskiego chwili czasu, bo pochodzącą z r. 1862 jest studyum „Ostatki Słowian nadbałtyckich“ (Ostatki Słowian na juźnom bieregu bałtyjskaho moria. Etnograficzeskij Sbornik, Petersburg część V). Treścią spotyka się z dziełkiem profesora Pawińskiego (Połabskie Słowianie Petersb. 1871) napisaném o tych samych ludach w języku rossyjskim. Już o niój czynił niegdyś wzmiankę Przegląd Europejski wychodzący pod redakcją J. I. Kraszewskiego w 1862 r. Nie rozszerzalibyśmy się więc nad treścią tego pisma Hilferdynga, gdyby nie dwie okoliczności, z których jedna ile pomnimy naówczas uwzględnioną nie była, druga być nie mogła.

Pierwszą w imię prawdy dziejowej wypada nam podnieść choć teraz. Druga staje na porządku dziennym w skutek pracy młodego badacza Tadeusza Wojciechowskiego, który na drodze studyów

¹⁾ Sobranie soczynienij. Petersb. 1868, dwa tomy już wyszły.

filologicznych nad nazwami wsi słowiańskich chce dojść do odbudowy dziejów jeszcze w tym zakresie, dokąd już zwykłe źródła historyczne nie sięgają.

Pierwszą okolicznością, która jeszcze teraz czyni pracę Hilferdynga o Słowianach nadelbiańskich godną wzmianki obszerniejszej, jest następujące zdanie w niej pomieszczone. Autor twierdzi że Polacy mogliby byli włączyć kaszubskie pomorze tak długo niemi władając. „Tęgo nie zrobili (mówi dalej Hilferdyng) w skutek swojego stałego lekceważenia gminu.“

Dziwnie ta uwaga brzmi w ustach autora, któremu nie mogło być tajemnicą, że z jednej strony, po utracie swej dynastyi, i mimo Unii z Koroną, Mazowsze zachowało swe *excepta* prawne; że powtóre mimo włączenia 1466, Prusy do ostatnich czasów łączności swej z b. Rpllą, rządziły się odrębnie, wszędzie akcentując swą autonomią; że po trzecie Ruś Czerwona spadkiem po Jerzym Bolesławie przyjęta, miała kanclerza (1356) osobnego, na równi z innymi księstwami, na dworze Kazimierza Wielkiego; że po czwarte W. Ks. litewskie i t. d. w taki sposób były połączone z Koroną, że na określenie tego stosunku Bartoszewicz słusznie użył wyrazu federalizm, więc wewnętrzna autonomia części, obok wspólnej za zewnątrz działalności i t. d. Znając te szczegóły, i wiedząc, że nietylko Słowianie kaszubscy nie zwoli b. Rzeczypospolitej byli tępieni przez Krzyżaków, ziemczani, ale że znów od XV wieku do języka swego wrócili wraz z odzyskaniem Prus zachodnich przez b. Rzeczpospolitą, Hilferdyng winien był podobnej uwagi nie robić. Szlachta zawinić mogła dużo, swą wyłącznością, która bądź co bądź płynęła organicznie i koniecznie z kierunku społecznego rozwoju kraju. Ale już aby ziemczenie kaszubów nie jest jej winą jako dumnych *karmazynów*.

Powtóre, godna uwagi jest praca Hilferdynga o Słowianach dlatego, że w niej znajdziemy inne objaśnienie szczegółu, który najnowszej pracy polskiej nad starożytnościami słowiańskimi (Tad. Wojciechowski „Chrobacy“ 1873 Kraków) posłużył za punkt wyjścia do odmienną teoryi. Hilferdyng wskazuje, że u Słowińców, w części u Kabatków, i Kaszubów ¹⁾ chłopci biorą nazwy od swych posiadłości i kończą je na *in, oje, eje* (éc), gdy nadto wiele jest form topograficznych nazwisk, zakończonych na *ah, oivi*, (7 przyp. bez przyimka). Z tem spostrzeżeniem należy zestawieć uwagi prof. A. Pawińskiego, w wspomnianej rozprawie (Połabskie Słowianie 1871, Petersburg) poczynione, co do słowiańskiego kształtu wsi kaszubskich. Okolista wsi budowa, już przez Meitzena, wydawcę IV tomu Script. Rer. Silesiacar., została za słowiańską uznana, na Szlązku, jako antyteza do niemieckiej formy, znaną u nas pod nazwą kolonii (linia długa, obecnie przy uwłaszczeniu bardzo częsta). Szczegół filologiczny (nazwisko) i topograficzny

¹⁾ Nazwy części kaszubskiej etnograficznej całości wzięte od stroju.

(kształt wsi) dziwnie przemawiają za pewną gromadną solidarnością mieszkańców wsi, obu cechami się odznaczających. Np. w Garden: Beterów chłopska rodzina zowie się Kretojc, Krezejc, Koczeic, Koleczkojc, stosownie do tak zwanych swych osad; czy te nazwy wsi na *ie, ojc, ejc*, nie są identyczne z polską formacją etymologiczną na *ice* (Maciejowice, Daleszowice, Mystkowice i t. d.); nie będę decydująco twierdził, ile że to należy do filologa. Warto jednak z jednej strony zwrócić uwagę na ten szczegół ludowy wyrażenia imieniem gromadności, a z drugiej, uwzględnić taki sam zwyczaj szlachty podlaskiej. Np. w dawniejziemi Bielskiej (por. pod t. t. artykuł Glogera Bibl. Warsz. 1873) znajdujemy osady szlacheckie, które między innymi do nazwy osady macierzy, dodają sobie właściwe imię swego założyciela, zakończone na *etu*. Np. osada Sikory z 1421 r., przez proces takiego pączkowania, wydała 6 osad z przydomkami takimi jak Piotrowięta, Pawłowięta, Bartłowięta, (Bartyczki), Janowięta, Tomkowięta, Wojciechowięta. Za wspólną ośnowę, tych podobnych nazw wsi rodu szlacheckiego na Podlasiu i chłopskiego na Kaszubach zdaje się służyć wspólność pochodzenia, łączność mieszkania. Forma szlachecka *eta* nazwy wsi pochodnych, wygląda na wariant *oje*, lub *ice* znaną nad Wisłą, Wartą, Odrą. W obec tych faktów z genetycznych, które powinny służyć do wyjaśnienia takich nie znanych jak np. „Raciborowice dał i darował kościołowi krakowskiemu wieczną darowizną szlachcie Raciborz dziedzic Raciborowic,” podobno niestudnie Wojciechowski (d. cyt. str. 253) oświadcza, że „forma patronymiczna przysłużyła wyłącznie urodzeniu chłopskiemu i że nie była właściwą stanowi szlacheckiemu,” oczywiście od niepaniętych czasów, bo do epoki przedhistorycznej odnosi różnicę stanów, która orzeka różnicę nazw topograficznych.

W r. 1871 wyszła praca pr. Makuszewa „O Słowianach w Albanii w średnich wiekach (1871. Warszawa).“ Przedmiot to niezmiernie ciekawy, zważywszy teorye niektórych uczonych, którzy widząc przewagę Słowian w owej epoce na półwyspie bałkańskim, (jak Fallmerajer, Borkowski, Leake) Hilferdyng dochodzi do twierdzenia że język nowo grecki wykwitł z słowiańskiego. Podobno Fallmerajer dowodził o Albańcach zwanych téż arnautami przez obcych, a szkipetarami to jest góralami przez siebie, że są słowiańskiego pochodzenia. Makuszew swą pracę rozstrzygnięciu stanowczemu téj kwestyi poświęcił. Zgadza się z Hahnem, że Albanie są spółrzędni etnograficznie Grekom i Rzymianom, a ich odwieczną sadybą jest zakątek górski zawarty między jeziorem Skadrem, Adryjatykiem, górą Pindem i zatoką Arty. Opierając się na dokumentach, dopiero z XIII wiekiem się poczynających, i w ogóle nie z osobistych na miejscu lecz z bibliotecznych książkowych śledzeń, autor dalej cytuje świadectwo Konstantyna Porfirogenety o przyjsciu Serbów w te strony, około 640 r. po Chr., bez bliższego skrytykowania tego mytu nie podania historycznego. Potem z Hahnem mówi o zaludnieniu późniejszym

tych okolic przez Bulgarów, oczywiście nie Słowian (str. 3), których jednak poniżej uważa za Słowian (str. 11). Zaznacza, że rzeka Szkumb rozdziela Albanią na dwa odłamy północnych i katolickich mieszkańców, zwanych *gegi*, oraz południowych, prawosławnych zwanych *toski*. Dwie te połowy różnią się wielce narzeczem, i nigdy całości politycznej nie tworzyły. Znaczenia tych nazw i różnic narzeczy autor nie podaje. A przy skreśleniu dziejów Albanii, najszerszym za Skanderberga, jeszcze po trzykroć zwięźle bardzo (str. 16 do 18, 45) zdaje się łączyć Bulgarów ze Słowianami, oraz ich różnić tak między sobą, granicą u miasta Lesz i góry Mirdytów, jak od Albanów (por. 151).

Z ustępu o urządzeniach wewnętrznych „gmin albańskich (rozdział 5-ty str. 116—147), który z rozdziałem 6-ym (str. 148—153) „o śladach Słowian“ właściwy temat pracy prof. Makuszewa a zaledwie $\frac{1}{3}$ całości dziełka stanowi, przytaczamy następane ciekawe szczegóły dla Słowiańszczyzny zakarpackiej: Najprzód zwraca uwagę składanie dziesięciny pszenicy (decima milei, diezina del mio) dwunastu dukatów i tyłuż miar (modios) prosa, cztery grosze (grossi) *lobrocho* z każdego domu (str. 126 i nast.).

W innych dokumentach czytamy o składaniu modium et ducatum, siocum et brochum. Professor Makuszew słusznie *lobrocho* i *brochum* łączy z sobą i wykrywa w nich opłatę „4 groszy.“ Zachodzi pytanie, czy pobór tego „obroku“ ma związek z polskimi *naroucones castrorum*, (wedle Tejnera Tom I 22) ¹⁾.

Modium odnosi się zapewne do miar pszenicy i prosa, wyżej podanych. *Sok* (siocho. sioc), i okolica zwana sokowina (et terren clamado Sochiovina) jest zagadką. Mieli też sok płacić tylko ludzie pozbawieni ziemi i domów, (ibis str. 127). Ducatum, jest zapewne polski census ducalis.

Te daniny składali „prawem i obyczajem Albańskiej ziemi“ naczelnicy gmin za swe w nich osadzenie (także obyczajami stwierdzone) przez rząd wenecki, np. do skarbu tegoż rządu. Był to warunek ogólny ²⁾. Rzekłbyś przelew ciężarów dla rządu z gminy uiszczanych na zamożnych gmin, jój naczelników rodowych, ale w formie bardzo szczupłej, gdy gmina jak i dawniej składała posługi i daniny już nie egzekutorowi podatków rządowych, ale rzecz można dzierżawcy tychże podatków.

¹⁾ Ciekawą i uczoną rozprawę w tym przedmiocie naroków, napisał F. Zieliński w Bibliotece Warszawskiej 1871 t. II, str. 214—219. Smolka w Henryku Brodatym, podał ten szczegół z Tejnera z znakiem ?.

²⁾ (Ea conditione qua erat predecessor suus, respondendo et dando pro villa sioch et broch et ducatum camerae nostre, siout respondent et solvent alia capita et proniarrii villarum, et siout per statuta et consuetudines provinciae Albaniae fieri debet). 1212 r. w Polsce tym samym trybem może Pakosław dostał korozyńską kasztelanią w tenutę t. j. w dzierżawę (Rzyszcz. C. D. I).

Ten sam autor wydał także w Warszawie ustępy ze swych prelekcji uniwersyteckich z lat 1871—1872 o Słowiańszczyźnie. Oparte szczególnie na źródłach bizantyńskich, francuzkich oraz włoskich, przynoszą ciekawe szczegóły o stosunkach carów bułgarskich z ówczesną Grecją i krzyżowcami i nieznanne jeszcze wiadomości z rękopisów o upadku Carogrodu.

W ustępie który opisuje stosunki bułgarskie w XV i XVI wieku a wydrukowany został w dzienniku Minister. oświec. (część 163, oddział 2) znajdujemy np. wyjątki z niedrukowanego rękopisu *Essortatione efficacissima alli Principi Christiani contra gli Infideli*, w których nieznanym (z XVI w.) autor charakteryzuje różne narodowości, i z tych charakterystyk bierze dowody swego twierdzenia, czemu chrześcijanie nie mogą zwyciężyć Turków, o tyle zaletami swemi ich przewyższając (ibid. str. 308).

„Kto odważniejszy (audace) od Węgra (mówi on), groźniejszy (terribile) od Niemca, bitniejszy (valoroso) od Francuza, wytrwalszy (saldo) od Hiszpana, mędrszy od Włocha, i zuchowatszy (gagliardo) od Polaka?... Dobre mamy prawa, ale złe obyczaje; dobre oręże ale złe duchy: chlubimy się z bójek między sobą dzielnie toczonych, ale niestawić czoła wrogowi zuchowato—za wstyd nie poczytujemy, i kary za to nie ściągamy na się. Turek w obozie zapomina o swych narowach, a chrześcijanin je z sobą zabiera; w obozie Turek niema zbytku, tylko broń i co do życia koniecznie potrzeba, a w wojsku chrześcijańskiem łakomstwo, cały przybór rozkosznicstwa, i większa liczba kobiet upadłych jak mężczyznu. Węgier morduje, Hiszpan rabuje, Niemiec się upija, Włoch miłośnikom się oddaje (lussuria), Francuz śpiewa i gawędzi, Anglik objada się (ingola), a Szkot pożera (devora), Polak burdy robi (oscita), Czech szaleje (stertezza): tak że cudem chyba znajdziesz żołnierza, któryby nim był nietylko z stroju.“

Professor Makuszew (str. 314) podaje téż z rękopisów z medyolańskiej biblioteki wiadomość o stanie Turcyi, którą w rodzaju raportu złożył ówczesnemu księciu Siedmiogrodu Stefanowi Batoremu 20 stycznia 1595 roku Paweł Dziurdziewicz szlachcic dubrownicki (raguzański). Między szczegółami topograficznymi i statystycznymi, spotykamy następną uwagę dla Batorego, który stał wtedy w Multanach i miał wtargnąć do Turcyi na czele 13000 kozaków, 3000 Węgrów multańskich (gente del paeze), 5000 piechoty, a jazdy 14000, w Wołoszech zaś miał 10000 Węgrów. „Donoszę o tém (o charakterze Bulgarów) dla tego W. Ks. M., abyś nietylko podbił Bulgarów, ale potrafił sobie zjednać ich serca.“ Mógł zaś tém snadniej Paweł Dziurdziewicz opisywać charakter Bulgarów, że jak sam wyznaje, bardzo ściśle i ciągle związki familijne łączą Dubrowian i Bulgarów. Kończy swój referat uwagą, że może Batory liczyć téż na Albańczyków czyli mieszkających w Bulgaryi, zdolnych 7000 wojska wystawić a sam ofiaruje się podburzyć w jego interesie Warnę, Prowato, Szumłę, a Sorkowie (Sorghy) uorganizują powstanie w Ruszczuku i Ternowie. Powo-

dzenie tém jest oczywistsze, że w ciągu lat 15 (1575—1590) stan rzeczy w Bulgaryi się zmienił zupełnie. „Turcy mają w własnym domu wroga, zrodzonego zółym postępowaniem z temi samemi nieszczęśliwemi, za sprawą których pozyskali obecnie swe posiadłości w Europie. Prócz tego Turcy stracili dawne swe męstwo, zniedołężnieli, popadli w nieład, i w ogóle wszyscy oni, a zwłaszcza spahy i janczary, są chciwi zysków.“ Professor Makuszew dodaje wiadomości z 1585 r. przysłane przez sekretarza kardynała Bologneti z Polski, odnośnie do udziału w wyprawie na Turcyę kozaków polskich, którzy są w porozumieniu z moskiewskimi (con cosacchi Moscoviti) walczącymi nad Donem z Tatarami nogajskimi, oraz mają stosunki z Czerkiesami „najdzielniejszym na północy ludem.“

Funduszu miały (16,640,000 złotych skudów) dostarczyć klasztor, wysyłające téż z wojskiem duchownych oraz misyonarzy. Atak któryby pobudził Wołochów, Mołdawian, Bulgaryą, Serbią i Rascyą, miał nastąpić od Dunaju i od Albanii oraz Grecyi. W wyprawie mieli wziąć udział Słowianie gęsto osiedli w całych Włoszech, a zwłaszcza w królestwie Neapolu i marchii Ankońskiej...

Równie ciekawe szczegóły historyczne przynoszą dwie inne rozprawy tego samego prof. Makuszewa. Jedna specjalnie dotyka Dubrownika (Izśledowania ob istoriczeskich pamiatnikach i bytospisowatielach Dubrownika. Petersburg 1867); kreśli jego dzieje, wewnątrzny ustrój, stosunki do sąsiadów, a głównie gromadzi materiały historyczne do skreślenia takowych i kończy rozbiorem prac dotychczasowych o Raguzie. Dzieło drugie (Italiańskie archiwy i chraniaszczyjasia w nich materiały dla słowiańskoi istorii. Petersburg 1870—1871) zawiera liczne wypisy z rękopisów, które znalazł autor we Florencyi, Neapolu, Palermie, Bari, Ankonie, i uznał za pożyteczne do dziejów słowiańskich. Nareszcie wypada nam wspomnieć i o krytycznym rozbiore źródeł do najdawniejszych dziejów Słowian, przez tegoż autora dokonany, p. t.: „Skazania inostrancew o bytie i nrawach Słowian z VI po X wiek” (Petersburg 1861). W piérwszej części pracy Makuszew rozbiera wiarogodność źródeł, w drugiej snuje z ich wątku opowieść ciągłą. Bądźcobądź, w jedném miejscu jest tu zestawionych dużo, nie każdemu przystępnych, wiadomości źródłowych.

Za rodzaj takiego samego zbioru wyjątków z kronik, w peryodzie czasu od IX do XIV wieku, zebranych jednakże w porządku alfabetycznym i z główném uwzględnieniem miejscowości geograficznych, które kroniki lub téż akta dyplomatyczne wspomniały, może uchodzić praca N. Barsowa p. t. „Materiały dla istoriko-geograficzeskaho słowaria Rossii“ (Wilno 1865) I. „Geograficzeskij słowar ruskoi zemli (IX—XIV str.). Autor, uczeń Śreźniewskiego, obecnie bibliotekarz Uniwersytetu Warszawskiego, uczyniwszy kilka uwag o istniejących dotąd w tym kierunku pracach, wymienia źródła po rok 1350, z których w swój pracy korzystał. Najprzód cytuje miejsce, potem wypis ze źródła zawierający je, tak obszerny, że nieraz

może zastąpić podręczny wskaźnik dla badaczy, nareszcie obecną nazwę miejscowości lub domyśli. Zwracamy przy sposobności uwagę, że w bibliotece ksiąg Czetwertyńskich, w Milanowie w Podlaskiem, znajduje się zbliżony zakresem rękopis Czarnockiego o „starych stach.“ Ponieważ spis ten opiera się na autopsyi, na osobistych badacza tego wędrowce po uderzających nazwą miejscowościach, i ku si się o ich ujęcie w pewien system, byłoby na czasie dać jego wyciągi, jeżeli nie całość do druku. Kwestya setek świeżo poruszona przez Piekosińskiego i ów spis Barsowa kronikarski mógłby wiele na tém ogłoszeniu zyskać materyału, nie mówiąc już ileby ztąd zamierzone przez Akademię Umiejętności w Krakowie dzieło o Starożytnościach Słowiańskich mogło zyskać, po sprawdzeniu hipotez przez dyplomaty. Byłoby też pożądaném, aby te Starożytności uwzględniały neoconione dla Starożytności Słowiańskich, a prawie że nietknięte źródła arabskie. Bardzo dawno, rozmaici podróżnicy arabscy, a właściwie mówiąc, uczeni arabscy z wiadomości swych ziomek kupców, podróżujących po ziemiach Słowian, zbierali autentyczne szczegóły o spóczesnym tych ziemi stanie. Niema prawie źródła po grecku lub po łacinie pisanego, któregoby setki raz tak lub inaczej niewyłożono, często bez możności skontrolowania, o ile najprawdopodobniejszemu wykład jest najkrytyczniejszym lub odwrotnie. W takim położeniu rzeczy, wiadomości arabskie stanowią grunt prawie niezawodny do dalszych studyów, albowiem nowe szczegóły dołączają, z nowego źródła, niezależnego od znanych a tak różnie już tłumaczonych. Z dawniejszych czasów Frähn (Ibn Foshlan's Berichte ueber die Russen. Peters. 1823), d'Ohsson (Les peuples du Caucase. Paryż 1828) Charmoy (Relation de Massoudy i. t. d. w Mémoires de l'Academie de S. Petersb. 1834 II 297—408), oraz Joubert (wydanie geografii Edrisiego) dostarczyli wiadomości arabskich o Słowianach, które stały się punktem wyjścia zwłaszcza dla badań Lelewela, u nas. Naruszewicz z Herbelota (Bibliothèque Orientale 1697 i 1777), Szajnocha, Bielowski, lubo wielki i słusznie nacisk kładący na te źródła, stosunkowo mało z nich korzystają. Szafarzyk niewiele też co dobył z tego wątku dla historyi, a Lelewel więcej tu robił dla geografii jak dziejów słowiańskich. Chwolson 1869, wydał nowe źródło także arabskie p. t. „Wiadomości o Chazarach, Bołgarach, Madziarach, Słowianach i Russach arabskiego pisarza X wieku Ibn Dasty.“ (por. wiadomość o téj pracy w Bibl. Warsz. 1871 II).

Obecnie w tyłu wydaniach rozrzucone te wiadomości zebrał i ułożył chronologicznie w poprawnej i objaśnionej edycji, dobry orientolog Harkawi p. t. „Opowiadania muzułmańskich pisarzy o Słowianach i Rusi do końca X wieku“ (Petersb. 1870; Skazania m. pisatielej etc). Wielkie znaczenie przyznajemy temu zwrotowi do źródeł arabskich, na niewielu przykładach już stwierdziwszy ich niezmierną użyteczność.

Kończymy dział historyczny z Kotlarewskim, wymieniając jeszcze Nadlera: „Pryczyny i pierwyje projawlenia oppozycyi katolicyzmu w Czechii, w koncie XIV i naczalje XV wieka“ (Charkow 1864); Ławroskiego P. A. „Padenie Czechii w XVII wiekie“ (Petersburg 1868); N. Popowa „Rossia i Serbia istoriczeskij oczerk russkaho pokrowitielstwa Serbii od 1806 po 1856 (Moskwa 1869 2 t.). Najsmutniejszym objawem historyografii rosyjskiej, jest dzieło pr. Duvernoya „Stanisław Znojemskij i Jan Hus“ (Moskwa 1871), w którym, jak mówi pr. Kotlarewski, autor tak dalece gonił za oryginalnością, że zapomniał najprostszych, najelementarniejszych zasad prawdy dziejowej. Pracy Fortyńskiego „Titmar Merseburskij i jeho chronika“ (Petersb. 1872) tenże recenzent przypisuje stanowisko wybitne nie tylko w słowiańskiej ale i europejskiej literaturze. Rozpatruje krytycznie historyczną wartość źródła, i etnograficzne jej wiadomości o Słowianach.

Dział literatury rozpoczniemy wskazaniem bogactw rękopiśmiennych, jakie zbierała lub posiada Rosya w zakresie słowiańskiego języka i do którego ocenienia i spisania obecnie przystępuje.

Już w roku 1830 Norow przyniósł z Palestyny zbiór rękopisów bułgarskich i serbskich, opisanych później przez Wostokowa. W 1840 prof. W. T. Grygorowicz nabył pewną ilość starosłowiańskich (cerkiewnych) oraz serbskich i bułgarskich rękopisów, między innymi ważny głągoliccki rękopis z góry Athos i urywki przekładów Cyryla Jerozolimskiego z XI wieku. Archimandryta, obecnie biskup kijowski Porfiry Uspieński, Hilferdyng, zebrali pokazną ilość rękopisów; z tych część przeszła po Hilferdyngu, do bibliotek cesarskiej w Petersburgu i kupca A. J. Chłudowa. Do pierwszej też przeszły zbiory petersburskie Berczyca.

Pomijając dawniejsze częściowe wydania tych skarbów rękopiśmiennych (Kałajdowicza, Wostokowa i. i.) pr. Kotlarewski wymienia zasługi w tej mierze przez pr. Śrezniewskiego (od 1852 r. w redagowanych przezeń „Izwestiach“ i „Uczonych Zapiskach“ 2-go wydziału akademii nauk w Petersburgu) oraz profesora Bodjańskiego położone.

Ten ostatni ogłaszał pomniki słowiańskie od 1846 w „Odczytach towarzystwa historyi i starożytności“ (Czteniach w obszczestwie i. i. s.) od 1846—1848, i od 1858 do dziś dnia wychodzących). Wszelako najważniejsze tych uczonych prace obecnie się pojawiły, a najwięcej ich dostarczył Śrezniewski. Tak Śrezniewski widząc że Szafarzyka „Pomniki głągolicckiej literatury“ nie zawierają zupełnie aparatu filologicznego, wydał w roku 1866 w Petersburgu „Drewnie głągoliczeskie pamiatniki srawnitelno z pamiatnikami cyrylicy.“ Prócz krytycznego wydania tekstu zwłaszcza drobniejszych pomników głągolicckich w zupełności, podał wydawca wypisy dokładne dzieł wikszych (jak np. 4 ewanielii), z dodatkiem objaśnień filologicznych. Prócz znanych tekstów jest pewna ilość pierwszy raz drukowanych. Nadto dołączono teksty cyrylickie zmieszane z głągolicą i to w ten

sposób, że porównano je z najdawniejszymi pomnikami Cyrylicy, gdzie tego było potrzeba. Jedne teksty wydano i głągolicą i cyrylicą; inne wiernie skopiowano z oryginałów głągolicznych. Wreszcie jako uzupełnienie rozrzuconych w kontekście wiadomości paleograficznych, filologicznych i t. p., prof. Śreżniewski dał cały (dziesiąty) zeszyt podobizn bardzo ładnych. Co do kwestyi czasu, miejsca i przyczyn powstania głągolicy, uczony ten zostawia ją nierozstrzygniętą. Dowody Hanusza, Szafarzyka, Miklosicza i innych co do większej dawności głągolicy uważa za równie dowcipne i zręczne, jak sztuczne i niewystarczające. Na pierwszym zjeździe 1869 roku w Moskwie archeologów rosyjskich, pr. Śreżniewski czytał swe uwagi w tej mierze, i na zasadzie danych paleograficznych oświadczył się z następnymi wnioskami: 1) Głągolica z Cyrylicą są z sobą spokrewnione; wzajem od siebie zawisły, czego dowodem są podobieństwa fonetyki i liczebników. 2) Najstarsze pomniki cyrylicy porównane z najdawniejszymi ich greckimi oryginałami, okazują się dawniejszemi od wieku IX, sięgają owszem do VII i VIII stulecia, więc są starożytniejsze od samego Cyryla. Pr. Grygorowicz broniący większej starożytności głągolicy w rozprawie (Zamietki o Sołunie i Korsuni) drukowanej 1872 w Odesie, wnioskuje ze śladów pasigrafii (to jest różnorodnych etnograficznych pierwiastków) w pomnikach głągolicznych, że głągolica musiała powstać w miejscu będącém jakimś *colivies gentium*, a za takowe poczytuje ziemie dawne Chazarskie, to jest Krym. Kotlarewski uważa to za dowcipną bardzo hipotezę, „ale tylko za hipotezę jak dotąd.“ Co zaś do wydania Śreżniewskiego wyraża swój żal, że zostało odbite tylko w 100 egzemplarzach, a więc skazane wbrew swej naturze i potrzebom wiedzy, na ograniczone rozejście się po rękach badaczy. Przypomina nam to kaprys Jana Potockiego, który także tylko setkami odbijał swe dzieła, z góry im przeznaczając rolę i głośność rzadkości bibliograficznych.

Drugie dzieło pr. Śreżniewskiego wyszło w 1868 r. w Petersburgu i dotyka równie ciekawej kwestyi jak starożytności cyrylicy i głągolicy, bo mieści „Starożytne pomniki słowiańskie zawierające dźwięki nosowe (tak zwane jusy), ich opis i uwagi ortograficzne i fonetyczne¹⁾. Wszystkie tak zwane starosłowiańskie (cerkiewne) zażytki piśmienne doszły nas w południowo słowiańskich lub rosyjskich redakcyach, przez co narzecze starosłowiańskie (jak uważa pr. A. K.) mniej więcej straciło swe właściwości. Chodzi więc teraz o ich ujawnienie i wykrycie (z pomocą ścisłego przeglądu porównawczego różnych tych redakcyj) uwidomionych przez nie narzeczy. Mimo odnośnych prac Wostokowa, dużo jeszcze pozostało do ustalenia i uzupełnienia w tej mierze. Jeszcze pozostało wykryć, jakie były cechy narzeczy widocznych w owych redakcyach, w przeciwieństwie do rosyjskich i serbskich, czém się różniły te narzecza między

¹⁾ Drewnie słowiańskie pamiatniki jusowaho pisma i t. d.

sobą, jaką ważność miało każde z nich dla języka piśmiennego. Pr. Śreżniewski temu brakowi zaradził, wynalazłszy kilka ważnych pomników starosłowiańskich w południowo-zachodnich redakcyach, wydał je całkowicie, dołączając wszystkie dawniejsze już wydane jusowe pomniki w całkowitości, prócz codicis Suprasliensis danego w wyjątkach, a to wszystko w ilości sztuk 33 wedle rękopisów nanowo przejranych. Tekst każdego pomnika, tak samo jak w poprzedniem dziele został wydany krytycznie z paleograficzną wiernością z aparatem zupełnym filologicznym i ortograficznym. Ostatni wynik uwag uczonego wydawcy jest ten, że pod każdym względem leksykalnym, ortograficznym, morfologicznym i t. d. pismo i język słowiańskich pomników jusowych różni się od pisma i języka zabytków, które tych znaków nosowych nie używają, a różnice te tak w tych pomnikach jusowych jak i innych rossyjskich ujawniają się mniej więcej prawidłowie. Trudno je jednakże poczytać za cechy jednego narzecza. Owszem pewne zboczenia w obrębie tych różnic, równie prawidłowe jak te ostatnie, nakazują przyjąć w zakresie języka jusowego był kilku narzeczy, a tego bytu dowody znajdujemy nietylko w rozmaitych rękopisach tegoż samego tekstu, ale także w granicach jednego i tego samego rękopisu. Kwestya tych jusów, czyli ryzymów w starosłowiańskim niezmiernie jest ciekawą i pod względem historyozoficznym, gdyż w swoim czasie była przedmiotem gorącego sporu. W ciągu takowego uczeni rossyjscy zaprzeczali bytu ryzymów nietylko, za przewodem Miklosicza, w pomnikach swój literatury ale kiedykolwiek nawet, przeczyli nawet słowiańskości ryzymów języka polskiego, i poczytywali je za objaw celtycyzmu szlachty. Dziś ta kwestya, prawie polityczna, za sprawą naukowych studyów Śreżniewskiego przychodzi do właściwego stanu, z kąd była niepowinna wychodzić nawet. Nietylko fakt dźwięków nosowych, ale i narzeczy w starosłowiańskim się ustala.

Do tej pory nieudało się jeszcze bliżej zdefiniować etnograficznie tych narzeczy; godzi się już przecie jednak domyślać, że w liczbie ich znajdują się narzecza bułgarskie i morawsko-słoweńskie. Przy sposobności tej pr. Kotlarewski oświadcza się przeciw hipotezie pr. Łamańskiego, wypowiedzianej w 1869 w artykule p. t. „Nieroztrzygnięte pytanie“ (Dniew. Min. Nar. Pr. 1869 n. 1). W tej rozprawie pr. Łamański twierdził, że język cerkiewny (starosłowiański) utworzył się sztucznie, był językiem książkowym. Pr. Kotlarewski przyznaje że takim on się stał z czasem, ale zrazu był żywym, był w uściech ludu, tak że kwestya narodowości czystego starosłowiańskiego języka śś. Cyryla i Metodego dotąd jeszcze sub lite est.

W ogóle zbiór pr. Śreżniewskiego pomników literatury jusowej opatrzonej obszernym (186 str.) wstępem objaśniającym, przedstawia bogaty materiał do stanowczego, faktycznego rozstrzygnięcia pytania, jestli cerkiewny czyli starosłowiański język starobułgarskim albo też starosłowiańskim.

Trzeci zbiór tegoż samegoż uczonego p. t. „Drewnie pamiatniki russkaho pisma i jazyka“ (Petersburg 1866) w dodatkach swych zawiera całą chrestomatę wypisów z nieznananych często pomników (w rosyjskiej recenzji). Jego zaś „Wiadomości (Swiedenia) i uwagi (zamietki) o mało lub zupełnie nieznananych pomników“ (Petersb 1867) zawierają wielce ważne teksty i objaśnienia od IX do XII w.

Pomijając wiele innych wydań cennych, poświęconych zabytkom starosłowiańskiej literatury, wspomnimy tu jeszcze o drugiej ważnej stronie obecnego ruchu literackiego w Rosyji. To jest w równej mierze z drukiem użytecznego tekstu i jego objaśnieniami, idące spisywanie bibliotek. Katalogi te często zawierają wypisy z ważniejszych rękopisów na wzór Wostokowa opisu manuskryptów ze zbioru Rumiancowa w 1842.

Dla zwięzłości podajemy suchy, spis tylko: 5 tomów katalogu rękopisów słowiańskich biblioteki synodalnej w Moskwie (1855 do 1871) dokonanego przez zmarłego (1872) już Niewostrujewa i prof. Górskiego; katalog własnych rękopisów spisany przez Undolskiego a wydany przez Wiktorowa kustosa muzeum Rumiancowa (Moskwa 1870), opis biblioteki kupca Chłudowa przez prof. A. M. Popowa (Moskwa 1872); spis niektórych rękopisów słowiańskich znajdujących się w Białogrodzie serbskim, Zagrzebiu i Wiedniu przez prof. Łamańskiego (1864 Petersburg); spis rękopisów słowiańskich bibliotek cesarskiej i Pogodyna, przez Byczkova i w. i.

Palaeografia też zaczyna zbierać materyały w formie kopii fotograficznych, jak np. biskupa Sawy 1862—1865 tomów 3 z rękopisów zbioru Rumiancowa, a 1863 ze zbiorów biblioteki synodalnej w Moskwie; archimandryta Amfiloch z różnych bibliotek (Moskwa 1869), oraz Śreźniewski w starożytnych pomnikach ruskiego języka i pisma (Petersburg 1866) i w Pomnikach głągolicznych (w t. r. i. m).

W sferze gramatyki starosłowiańskiej obecnie wydane „Studya filologiczne” i „Gramatyka języka cerkiewno-słowiańskiego (Pet. 1863) Wostokowa: podobnie jak „Badania języka przekładu starosłowiańskiego 13 słów Grzegorza z Nazyanzu” (1871 Pet.) Budiłowicza mają więcej charakter wskazówek gramatycznych i zbioru materyału, aniżeli systematycznego obrobienia całości organizmu językowego. Za to prof. Kotlarewski wysoko stawia „materyały do dyalektologii słowiańskiej (w „Uczonych zapiskach Kazanskaho Uniwers. 1869 i lat nast.) przez M. P. Piotrowskiego, oraz pracę Baudouina de Courtenay, oryginalnie po rosyjsku napisaną a drukowaną w Lipsku 1870 r., p. t.: „O drewno polskom jazykie do XIV stolietia.” Autor obecnie docent uniw. kazańskiego i doktor uniw. lipskiego i petersburskiego, zbierał jeszcze w Warszawie będąc, w myśl prof. Śreźniewskiego, jak donosi pr. Kotlarewski wyrazy polskie znajdujące się w dyplomatarjuszach Rzyszczewskiego i Muczkowskiego, a nawet Hasselbacha i Kosegartena oraz i pomieszczone w kronikach. Durich w r. 1795 pierwszy taki spis ułożył ze źródeł greckich w biblio-

theca slawica (Wiedeń t. I). Atoli, powiada prof. Kotlarewski, Durich nie opracował tego materyału, a lubo prof. Śreżniewski oddawna w swych uniwersyteckich wykładach takowego używa, dopiero jednak Baudouin w literaturze, w drukowanej rozprawie korzystał z niego. Co do pracy Kryńskiego napisanej po rossyjsku dla pozyskania stopnia naukowego w Uniwersytecie Warszawskim. „O nosowych dźwiękach w słowiańskich językach” (Warszawa 1870) prof. Kotlarewski zarzuca autorowi ograniczenie się na własnych li studyach. W „filologicznych wypisach,” które drukuje Chowański w Woroneżu, Stremmler pomieszcza „Fonetykę kaszubskiego narzecza.”

Na tle porównawczej gramatyki słowiańskiej umiejętnie rozsnuwa swe prace A. A. Potebni „W rzeczy fonetyki ruskiej” (Woroneż 1866) i „Uwagi o małoruskiem narzeczu” (Woroneż 1871); za to praca Szerclowa „Porównawcza gramatyka języków słowiańskich” (II wielkie tomy, Charków 1871—1872) sięgająca indo-europejskich w ogóle porównań, jest zdaniem prof. Kotlarewskiego, nędzną kompilacją, w której materyał zebrano na chybił trafił i zgoła go nieprzetrawiono. Ważne zarzuty co do ciemności stylu i co do wniosków robi prof. Kotlarewski prof. Duvernoy, który w 1867 r. wydał „Historyczne objawy w słowiańskiej etymologii,” i „System zasadniczych pierwiastków i form w słowiańskich narzeczach” w 1872 r.

Również ostry sąd wypadł na prace S. P. Mikuckiego z Warszawy: „Badania i uwagi (Nabludienia i zamieczania) o leto-słowiańskim języku” (Peter. 1867) i „Sposprzeżenia i wnioski (Nabl. i wywody po sr. ar. jazykoznanania) na tle filologii aryjskiej porównawczej” (Warszawa 1872). Prace te są spisami słownikarskimi nie tylko aryjskich ale i turańskich wyrazów, ułożonych w pewne grupy, wedle podobieństwa ich pierwiastków. Z takich skupień nie jedno ciekawe spostrzeżenie wynikło, wszelako materyał potemu brany jest jeszcze leksykalnie nieustalony. Poczęści do filologii a poczęści do historii należą prace zmarłego już księcia Moroszkina i prof. i b. rektora Uniwersytetu Warszawskiego P. A. Ławrowskiego. Praca Moroszkina p. t. „Spis imion własnych słowiańskich (Słowianskij imienostow ili sobranie słowiańskich licznych imien. Petersb. 1859) jest zdaniem recenzenta, najlepszą i najzupełniejszą w tym rodzaju książką na polu literatury rossyjskiej. Autor czerpał swój materyał ze wszystkich prawie możliwych źródeł i opracowań. Główną część pracy stanowi słownik imion własnych, zawierający cytaty źródeł, gdzie to imię się w źródłach znachodzi. Obszerny zaś wstęp wyłuszcza historyczną ważność przedmiotu, jego literaturę kreśli, podaje gramatyczne prawa tworzenia się imion własnych. Wreszcie kreśli żywy obraz archeologicznego znaczenia ich, to jest dobywa na jaw fakta życia społecznego ukryte w tych prostych a nic nieznaczących zjawiskach językowych, oraz zaznacza wpływ chrześcijaństwa i obcych etnograficznych żywiołów na etymologią słowiańskich tych imion. Materyał zebrany z różnych stron słowiańszczyzny, obfite dawał pole do robienia wnio-

ków, które tu i owdzie błędne, wartości zbiorowi samemu nie odbierają. Wzorem autorowi być się zdaje praca Jakobiego „O nazwach wsi czeskich i znaczeniu ich powszechno-dziejowóm.”

Dzieło prof. Ławrowskiego, który 1870 r. w Petersburgu wydał też „Słownik serbsko-rossyjski,” dotyka téj saméj obszernéj niwy filologicznój i podobnie jak pracę Moroszkina, chce ją zużytkować na korzyść historii. Wytknął sobie jednak prof. Ławrowski ciałniejsze granice; szuka bowiem pierwotnego znaczenia wyrazów, które służą u Słowian na oznaczenie związków rodzinnych (korenoje znaczenie w nazwaniach rodu u Sławian, Petersb, 1867). Praca ta co do ostatecznego celu spotyka się z wyżej cytowanymi rozprawkami p. Mikuckiego b. członka zarządu b. biblioteki głównej. Prof. Kotlarewski przychylniejsze zdania wyrzeka o rezultatach badań prof. Ławrowskiego, przyznając ich metodzie cechę iście naukową, porównawczą.

Ubóstwo prac na polu historii literatury słowiańskiej (kopalnej i bieżącej) tłumaczy prof. Kotlarewski uwagą wielce słuszną, że bez metody porównawczej, bez uwzględnienia literackich objawów polskich, czeskich, serbskich i t. d. nic i w rossyjskiej nie będzie można pożytecznego dokonać.

Pierwszą pracą w tym kierunku jest „Historja języka słowiańskiego i literatura wszech narzeczy” wydana przez Szafarzyka w Budzie 1825. Talvi kompilował potem tę pracę; K. J. Gregorowicz wydał w Kazaniu „Zarys literatury Słowian w głównych epokach,” 1842. W r. 1865 Pypin i Spasowicz puścili w świat „Przegląd historii słowiańskiej literatury” i Kotlarewski z wielkiem uznaniem o niej się wyraża (por. recenzją w sprawozdaniu z 12-go rozdawnictwa nagród uwarowskich. Petersb. 1867). Dziełem na mniejszy zakres są „Starożytne pomniki języka i pisma południowo-zachodnich Słowian” Śrezniewskiego (Petersb. 1862) będące chronologicznym przeglądem zabytków od IX do XII wieku, bądź dotąd zachowanych, bądź tylko wspomnianych w źródłach. Różnych części literatury dotyczą prace: I. S. Nekrasowa „Pachom Serb, pisarz z XV wieku” (Odesa 1871), kędy jest rys wpływu Serbii i literatury z góry Atos na Rosyją w XV i XVI wieku; I. F. Bustajewa „Zarys rossyjskiej ludowej literatury i sztuki” (Petersb. 1861); A. N. Afanasiewa „Rossyjskie ludowe podania,” A. N. Pypina „Zarys dziejowy starożytnej literatury ludowej rossyjskiej” (Petersb. 1857); ś. p. P. P. Piekarskiego „Nauka i literatura w Rosyji za Piotra” (Petersb. 1861); prof. A. N. Wesełowskiego „Słowiańskie podania o Salomonie i Kitowrasie, i zachodnie legiendy o Morolfie (Marchołcie?) i Merlinie” (Petersb. 1872). W Charkowie Potebni porównywa zwroty przenośne w prozie i poezyi podaniowój, i dochodzi na téj drodze do objaśnienia tak zwanych przez się symboli w dziele p. t. „O niektórych symbolach słowiańskiej ludowej poezyi” (1860 r.). Filologiczny wykład Królodworskiego rękopisu przez N. P. Nekrasowa dokonany, zyskał pochwałę Hattali (Oswęta 1872 r. str. 636). Wyraża też życzenie prof. Kotlarewski, by i prelekcya

Śreżniewskiego „O sędzie Libuszy,” na posiedzeniu Towarzystwa filologicznego w Petersburgu czytana, była co rychlej drukowaną. W niej Śreżniewski rozwinął myśl, że ani język, ani treść owego zabytku czeskiego nie przeszkadza przypisaniu go XIV wiekowi. A. A. Kunik zaczął drukować „O oryginalności sądu Libuszy” w „Wypisach akademii nauk.”

Na szersze pole cywilizacji staro-słowiańskiej, a raczej na gruntowniejsze pole badań nad tą cywilizacją: przechodzimy z prof. Kotlarewskim przy dziełach, które sobie za cel założyły badać pieśni, podania, obrzędy i t. d. ludowe, i z nich snuć wątek swych spostrzeżeń o dobie Słowian z pomników innych nieznanek.

Działalność w Cesarstwie na tém polu jest większa jak w Królestwie, ile że dział ten jest przedmiotem wykładów uniwersytetów, a prócz przekładu „Starożytności słowiańskich” Szafarzyka, przez prof. Bodjańskiego, które przeważnie obejmują tylko dział historyczny, głównie prace Jakóba Grimma w obrębie niemieckich starożytności a przeważnie mytologii posłużyły za genialny wzór i bodziec dla rosyjskich badaczy słowiańskich starożytności. Rej tu wiedzie F. I. Buszajew, który bądź z katedry, bądź w druku dał niezmierny popęd i nową prawie stworzył szkołę w tej sferze badań, pisząc np. dodatki do pracy Sołowiewa (Istorja Rossii). W 1861 r. zebrał Buszajew swe monografie i ogłosił razem w II tomach in 4-to p. t. „Historyczne zarysy rosyjskiej ludowej literatury i sztuki” (Istoriczeskije ocerki ruskoi narodnoi słowiesnosti i iskustwa). Tło metodologiczne jest porównawcze; materiałem nietylko dawniejsze ale spóczesne zabytki. Autor mniej zważa na ostateczne znaczenie poetyczno-mytycznych obrazów, a więcej uwzględnia historyczno-cywilizacyjną ich doniosłość. Niezmiernie ciekawe są dwie jego prace późniejsze: „Ruski bohaterski epos” (w Ruskim Wiestniku 1862, od 3 ks.) i „Porównawcze studyum nad bytem i poezią ludu” (tamże 1872 3 ks.).

Praca A. N. Afanasiewa p. t. „Poetyczne poglądy Słowian na naturę” (3 t. Moskwa 1865—69) jest „próbą, jak mówi sam autor, porównawczego zbadania słowiańskich podań i wierzeń w związku z mytycznymi podaniami pokrewnych narodowości.” W gruncie jednak rzeczy, dzieło to traktuje o naturalnych symbolach i nabożeństwie pogańskich Słowian. Z powodu niedostępności wielu rozpraw, ono jest dobrym lubo jeszcze niezupełnym ich spisem, choć brak mu historycznej krytyki; nie uwzględnia strony cywilizacyjnej swego materiału, zaniędbuje języka jako środka poznania prawdy i t. d. (Recenzja tej pracy Kotlarewskiego zawiera 10 i 13 sprawozdanie o nagrodach Uwarowych 1868 i 1872 Petersb). W tym duchu, lubo z większym zasobem wiedzy filologicznej opracował prof. A. A. Potebui rozprawy: „O mytycznym znaczeniu niektórych obrzędów i zabobonów (Moskwa 1865) „O fatum i pokrewnych istotach mytycznych” (w 2 t. Pra. Mosk. archeolok. Tow.) i „O ogniach kupałowych, (w Wiadom. Mosk. archeolok. Tow. 1 t. Moskwa 1868).

Praca pr. P. A. Ławrowskiego „O mytycznych wyobrażeniach Słowian o obłokach, i dżdżu w związku z podobnemi wyobrażeniami pokrewnych ludów“ (Petersb. 1864), łączy zalety metody porównawczej z zasobem wiedzy lingwistycznej. Wiele téż rzeczy ciekawych dla mytologii Słowian znajdujemy w pracach prof. O. F. Müllera „Próba historycznego przeglądu ruskiej literatury“ (Petersb. 1866) i „Ilija Muromiec oraz bohaterzy kijowscy, porównawczo-krytyczne badanie składu epoki ludowej ruskiej“ (Petersb. 1869).

We wszystkich tych pracach coraz bardziej uwydatnia się spostrzeżenie Maxa Müllera, że podania ludowe są objawem umysłowości pierwotnego człowieczeństwa a jedyną drogą do ich wyjaśniania jest porównanie i krytyka śledząca przemian ich historycznych społecznie ze zmianami samych objawów życia potocznego. Przy téj sposobności pr. Kotlarewski bez ogródki wyśmiewa tego rodzaju próby mytograficzne jak Kollara, Dankowskiego, Czertkowa i marzycieli oraz pseudo-badaczy dawniejszych, do których bardzo słusznie zalicza pr. Kotlarewski prace nowszych dyletantów na polu mytologii słowiańskiej to jest Bezsonowa i Kwasznina Samarowa. Pierwszy objaśnienia swe, osnute na tle teoryi filozoficznych ostatniego zwrotu Szelinga, wydrukował przy zbiorach pieśni ludowych Rybnikowa, Kirejewskiego i własnym 1872. Drugi autor, prawdziwy „zdziełca“, mówiąc po lelewelowsku „Zarysu mytologii słowiańskiej“ (Biesiada 1872 n. 4) przynajmniej mniej filozofuje.

Dział prawa słowiańskiego i badań w téj sferze dokonanych zawdzięcza byt swój (jak to słusznie zaznacza pr. Kotlarewski) autorowi „Historji prawodawstw słowiańskich“ aczkolwiek napisanej w języku polskim, ile że dzieło owo dało popęd do zajęć w tym kierunku. Nawet materyalnie niektórzy rosyjscy badacze idą za W. A. Maciejewskim. Tak prof. Leontowicz drukuje w 1868 swe „Starożytne chorwacko-dalmackie prawodawstwo“, więc pomniki prawne Winodulów (mieszkańców pobrzeży Rieki v. Fiume), Zagrzebia i Poli. Pan M. po Mazuranicza pierwszej edycji w 1843 w Zagrzebiu dokonanej statutu winodulskiego, zrobił drugą, w przekładzie polskim z łacińskiego przekładu. Prof. Leontowicz statut wydał obecnie, ale recenzent mu zarzuca błędy filologiczne. Tegoż autora (Leontowicza) jest wstęp ogólny słowiański (na wzór W. A. Mac:) do „Istorii ruskaho prawa“ (Odesa 1870 I) oraz spis źródeł i opracowań na polu historji prawodawstw słowiańskich (Dniew. Min. Nar. Pros. 1867 n. 8).

Prof. Szpilewski wchodzi w myśl pana Maciejewskiego o stosunku giermańszczyzny i słowiańszczyzny do siebie, mówiąc „O związku systemów solidarności rodzinnej za Germanów i Słowian“ (Sojuz rodstwennoj zaszczyty u drewnich German i Sławian. Kazań 1866) i o rodzinie Słowian i Germanów (Semiejnyja słatki u drewnich Słowian

Kazań 1871). Majkow autor historii języka serbskiego (Moskwa 1857) obecnie wydał ciekawą rozprawę o sądach przysięgłych u Słowian południowych, (Russkoje słowo n. 10 1861) dowodząc, że to jest instytucja rodzima Słowian. Wielkie pochwały recenzent oddaje wydaniu dokonanemu przez Siegla „Zakonnika cara Duszana“ (tom pierwszy Petersb. 1872). Prócz tekstu tych praw dobytego z najlepszych rękopisów, komentarz prawno-historyczny jest bardzo umiejętnie zdaniem prof. Kotlarewskiego zredagowany.

Nikitski w rozprawie o zasadach bytu rodzinnego u Słowian (Wiestnik Jewropy 1870) zastosowuje do starosłowiańszczyzny i ruszczyzny teorią rodu sztucznego, to jest takiego, który oprócz osób związanych jednością pochodzenia, zamykał i obcych, niekrewnych. Kotlarewski zastosowanie tej zasady uważa za rzecz nową, w literaturze rosyjskiej historycznie prawnej. W tym razie musimy wbrew referentowi zaznaczyć, że W. A. Maciejowski już dawno tę myśl rozwijał w swych dziełach polskich. Tym sposobem jak Szafarzyk mówić się zdaje całej części historycznej Starożytności Słowiańskich, tak W. A. Maciejowski rej wiedzie w części prawnej i daje hasło nawet badaczom rosyjskim, wedle słów prof. Kotlarewskiego. Za dzieło bardzo ważne poczytuje Kotlarewski prace prof. Władimirskiego-Budanowa w języku rosyjskim p. t. „Prawo niemieckie w Polsce i Litwie“ (Petersb. 1868); po dziele Daniłowicza pisanem po polsku o początku miast Słowiańskich przed wiekiem XIII, jesto zdaniem recenzenta, drugie dzieło w słowiańskiej literaturze z zakresu prawnych dziejów miast słowiańskich. Tenże recenzent cytuje o tej pracy Budanowa przychylny sąd prof. Pawińskiego, pomieszczony w 13 sprawozdaniu z nagród Uwarowskich. Zbiór rozpraw i dzieł odnoszących się do literatury rosyjskiej, prawnej, kończy Kotlarewski wzmianką o pracach prof. Pawłowa. Rozpatruje on i bada czas w którym na Rusi zjawił się przekład słowiański „Kormczěj knigi“, oznacza takowy na XI lub XII wiek, i na potwierdzenie tej hipotezy rozbiera kilka rękopismów. Rozprawa ta nosi tytuł „Pierwszy słowiańsko-ruski (nomokanon)“ (Kijów 1869). W 1874 r. prof. Kotlarewski, z którego sprawozdania tu korzystamy, wydał: „Starożytne prawa Słowian nadbaltyckich“ (Drewnosti prawa Bałtyjskich Sławian) w Pradze, część pierwszą.

Co do prac nad dziejami kościoła słowiańskiego, te skupiają się przeważnie nad kwestyą działalności apostołów Cyryla i Metodego. Kotlarewski z kolei wylicza owoc wydawnictwa Towarzystwa przyjaciół rosyjskiej literatury w Moskwie „Cyryla i Metodego książka zbiorowa (Moskwa 1868), w której zawarto odnośne prace Pogodina, biskupa Filarcta, A. W. Górskiego, Niewostrujewa, Wiktorowa i i. Prof. Grygorowicz wygotował piękne filologiczne wydanie starosłowiańskich żywotów St. Cyryla i Metodego p. t. „Starożytny Słowiań-

ski pomnik, objaśniający życie Cyryla i Metodego“ (Kazań 1862). Prof. P. A. Zawrowski daje obszerny przegląd ich działalności (Cyryl i Metody jako apostołowie prawosławni. Charków 1863), prof. Bilbaszow w 2 tomach swego „Cyryla i Metodego“ (Petersb. 1866—70) połączył wszystkie łacińskie o nich legendy. Tu też należą prace prof. Platonowa, Hilferdynga (Zbiór dzieł tom 1, Petersb. 1869) i w. i., z których najdokładniejszą jest praca prof. E. E. Gołubińskiego, niewydana i znana dotąd tylko z sprawozdania (J. Śreźniewskiego) o 12 rozdawnictwie nagród Uwarowa (Petersb. 1870, str. 227—233).

Stosunek kościoła bizantyńskiego do Bułgarii stanowi treść „Rozpraw“ prof. Grygorowicza (Odesa 1867), który posiada wiele rękopiśmiennego w tym względzie materiału. Archimandryta Leonid pomieścił wiele ciekawych rozpraw o południowo słowiańskim kościele (np. za pierwszego Justyniana) w „Sprawozdaniach Tow. hist. i star. przy Moskiewskim Uniwersytecie.“ Godną też wzmianki jest praca prof. Gołubińskiego p. t. „Krótki zarys dziejów kościoła prawosławnego w Bułgarii, Serbii i Rumunii albo Multano- Wołoszech“ (Moskwa 1871). Tenże autor obiecuje wydać opis swój podróży archeologicznej po Serbii, Bułgarii, do Carogrodu i na górę Athos.

Kotlarewski zastanawiając się nad małą ilością prac poświęconych historii kościoła, za główną tego zjawiska przyczynę uważa „brak swobodnego rozbioru, jeszcze podległego stuletnim waśniom i apriorycznym teoryom“ i kończy uwagą, że: „Prawdziwe badanie historii kościoła w słowiańszczyźnie wtedy dopiero nastąpi, gdy zamiast helenizujących i latynizujących duchownych (eklesiastów) wezmą się do niego historycy dbający przedewszystkiem o to: *ne quid falsi dicere audeant, ne quid veri non audeant.*

W zakończeniu podaje recenzent wiadomość o prof. W. Łamańskiego „Historycznej znajomości świata słowiańskiego w Europie“ (Petersb. 1871), gdzie zebrano wszystkie nieprzychylne poglądy Niemców o Słowianach. Obraz skreślony jest tak ostremi farbami, że i najospalszego do żywego zadraśnie. P. Kotlarewski pragnie, by autor podał też i zdania przychylne Słowianom takiego Herdera, Jakóba Grimma, Schmellera i i., którzy nagradzają „patologiczne“ uprzedzenie swych rodaków.

ŁUKASZ GÓRNICKI

(Kilka szczegółów w nieznanym).

PRZEZ

Aleksandra Wejnerta.

Z każdej poważnie przeprowadzonej dyskusji w przedmiotach naukowych, muszą wypływać użyteczne badania z korzyścią dla oświaty i postępu cywilizacji. Korzyści te tém stają się więcej drogocennie, jeżeli dotyczą bardzo odległej przeszłości i nie ulegają żadnemu powątpiewaniu. Temi ostatnimi pobudkami skłoniony, ogłosiłem w *Bibliotece Warszawskiej* w zeszycie marcowym r. b. od str. 420, kilka szczegółów nieznanych z życia Łukasza Górnickiego w tém przekonaniu, że praca ta przyda kilka listków do wieńca, jakimi potomość przyozdobiła zasłużenie, imię tego znakomitego pisarza z epoki Jagiellońskiej.

Głównie w tej publikacji posiłkowałem się lustracją starostwa Tykocińskiego, znajdującą się w odpisie w Archiwum Głównem Królestwa a mianowicie w księdze 64 od str. 92. Wszystkie zaś wnioski i mniemania jakie w niej czyniłem, głównie opierałem bądź na wiarogodnych dziejopisarzach naszych, bądź na szczegółach w samej lustracji znajdujących się. Tymczasem w Bibliotece Warszawskiej za lipiec r. b. p. Zygmunt Gloger sumienny badacz dziejów naszych, w *korrespondencji* do tegoż pisma od str. 139 pobudzony moją inicjatywą, nadesłał także o Górnickim kilka zajmujących szczegółów, jakie mu bliska miejscowość jego rodzinnego gniazda nastęrczyła.

Przedewszystkiem zawdzięczamy p. Glogerowi przypomnienie nam wykrycia miejsca wiecznego spoczynku tego pisarza, w kościele Tykocińskim na wyspie rzeki Narwi ¹⁾, gdzie w podziemnych grobach, obecnie dzikim chwastem porośłych, spoczywa razem z wieloma dygnitarzami obok żony i dzieci, przy stosownym napisie grobowym. Z tego to dowodu pewną datę wyczytujemy jego śmierci, która w d. 22 lipca r. 1603 nastąpiła. Z prawdziwą także przyjemnością dowiedzieliśmy się z tej korespondencji, że ziemianie z okolic Tykocina, zamierzają w tém mieście położyć Górnickiemu kamień grobowy lub wystawić mu pomnik. Mamy prawo upomnieć się u p. Glogera, aby jako bliżej bawiący Tykocina, przez pamięć na tak zasłużonego pisarza jakim był Górnicki, nie dozwolił, iżby prochy jego w tak opłakanym stanie dalej przebywały i żeby projekt tak zacny, nie pozostał na papierze

¹⁾ W *Przeglądzie Naukowym* przez H. Skimborowicza i E. Dembowskiego wydanym do r. 1848, pierwsze jest ogłoszenie o tym grobowcu z przytoczeniem napisów.

tylko spisany. To bowiem kraj cały obchodzi, i powinno zachęcić p. Glogera do wytrwania.

Nie możemy się jednak zgodzić na zarzuty, jakie poczynił nam p. Gloger w rzeczonj korrespondencji co do niektórych mniemań naszych:

1) Że położenie Górnickiego nie było do zazdrości wobec na-
głego przyjazdu Batorego do Tykocina i skargi przeciw niemu na pi-
śmie, przez włościan klucza Mazurowa zanieśonej, 2) że pobyt monar-
szy musiał go zadrażnić, zmieszać i zadziwić, 3) że Górnicki znajdo-
wał się w bolesném położeniu, bo Batory z całą surowością wystąpił
przeciw niemu.

Wszystko co p. Gloger przeciw temu przytoczył okazuje, iż nie
jest obeznany z sądami lustratorskimi a szczególnie z ich procedurą,
jaka w kraju naszym od r. 1564 do końca istnienia starostw odbywała
się. Z dziejów bowiem praw naszych wiemy, iż przy każdej lustracyi
starostw i wszelkich królewskich, delegowani do tój czynności obo-
wiązani byli zwoływać, oprócz starosty, wszystkich ofycyalistów, pod-
starościch, wójtów, sołtysów i całą gromadę, oraz wobec nich każdy
szczegółowo rodzaj i źródło dochodu spisywać, wraz ze wszystkimi
daninami i wydatkami. Przy tój czynności każdemu z gromady obec-
nemu, wolno było swoją krzywdę i skargę przedstawić ustnie i jawnie,
nietylko przeciw równym sobie włościanom lub ofycyalistom ale nawet
przeciw staroście i plebanowi. Delegowani zaś, jeżeli przekonali się
z dowodów piśmiennych lub od innych włościan, sług i ofycyalistów,
o rzeczywistości i słuszności skargi, musieli wpisywać do lustracyi
swoj wyrok w tym sporze, który zwykle z małemi wyjątkami bywał
bez żadnej apellacyi. Nie sta ale tysiące takich wyroków znajdują
się jeszcze po różnych aktach lustracyjnych, jakie się dotąd dochowa-
ły ¹⁾. Taka forma odbywania sądów lustratorskich, przetrwała z ma-
łemi odmianami aż do skasowania starostw około r. 1775. Skoro
zaś tak było, włościanie więc z królewskich mieli właściwą władzę
to jest lustratorów do zanoszenia przed niemi swych skarg i zażaleń;
od roku więc 1564 było to dla nich *forum competens*. Setki lustracyi
jakieśmy odczytali opisując starostwa szczegółowe w Encyklopedyi
Orgelbrandów, przekonały nas dotykalnie, że zawsze z korzyścią dla
włościan lustratorowie wyrokovali, i dla tego tóż we wszystkich kró-
lewskich za Rzpltej, stan włościański bez porównania był w le-
pszym bycie niż w dobrach dziedzicznych szlacheckich. Skoro więc
taka forma administracyjna i sądowa, była przyjęta od r. 1564 jako
daty odbywanych lustracyi, skoro poddani ze wsi Mazurowa w r. 1576
za tём w 12 lat potём, zamiast zanieść swoje skargi i zażalenia do
właściwej władzy, to jest do lustratorów, udali się w prost do króla,
uczynili to wbrew prawu, wbrew zwyczajom ówczesnym.

¹⁾ Porównaj *Starożytności Warszawy* Tom VI, od str. 158 i nast.

Czy więc król tak sprężysty i przezorny jakim był Batory, mógł mieć już przekonanie o prawości charakteru Górnickiego; skoro go jeszcze nie znał, bo dopiero półtrzecia miesiąca panował i pierwszy raz w życiu swoim go widział ¹⁾?

Czy właścianie Mazurowscy mając tak otwartą drogę przed lustratorami do zanieśienia skarg, woleli samochcąc wbrew prawu i zwyczajom udać się do króla?

Czy Górnicki wiedząc że właściwe forum dla włóścian w tym razie był sąd lustratorski, nie oburzył się na nich iż wbrew prawu, wbrew zwyczajom poddani królewscy postąpili, obarczając Batorego swoją skargą?

Czy sam Górnicki jako człowiek wysoko wykształcony, dworak i urzędnik Rzpłtėj, znając powagę majestatu królewskiego, nie mógł się w tém zdarzeniu oburzyć, dla samej tylko zasady utrzymywania godności osoby monarszej?

Są to pytania, na które dla wyjaśnienia ich gruntowniejszego, postarałem się wyszukać takie dowody spółczesne, któreby przekonały p. Glogera, że wszystkie jego zarzuty przeciw mnie wymierzone, muszą upaść jako bezzasadne.

Oprócz lustracyi starostwa Tykocińskiego z r. 1576 w odpisie znajdującęj się w księdze 64 od str. 92 mieści się jeszcze w Archiwum Głównem Królestwa *sam oryginal* téjże lustracyi, spółcześnie bez żadnej wątpliwości skreślony w księdze 11 od str. 112. Porównyując odpis z oryginałem przekonałem się, że w odpisie opuszczony jest całkowicie wyrok lustratorów w téj sprawie, jaki na str. 114 zaraz po mandacie Batorego z d. 18 lipca r. 1576 spisany jest w tych zupełnych słowach:

„A tak my po przeczytaniu listu Króla Jego Miłości i skarg podanych przesłuchawszy, którzy się skarżyli o roboty ciężkie na folwarku Króla Jego Miłości a to dla tego, iż folwark wielki a osiadłość mała ku zarabianiu folwarków, gdyż jęj nie mała część spustoszała, zdało by się nam (gdyżechmy to baczyli nie być szkoda skarbu Króla Imci a poddani téż na to pozwalają) aby folwark którego jest wedle pomiary włók ośm, był rozdany na czynszu osadnym między poddane zostawiwszy ze trzy włoki na folwark, coby tylko na wychowanie (utrzymanie) urzędnika i z czeladzią było. A pięć włók między poddane rozdać. Z których włók folwarkowych, gdyby były na morgi rozmierzone a między poddane rozdane, postępują poddani i chcą płacić z każdego morgu po groszy lit. sześć, a z włók swych gdyby były na osadzie postanowieni, postępują po złp. 6 i ktemu po kopie jednéj żyta albo za żyto po groszy litewskich 10, nadto po 12 wozów drew do fol-

¹⁾ Starostwo Tykocińkie było pograniczne, a żaden starosta pograniczny podług praw naszym, nie mógł się bez szczegółowego upoważnienia królewskiego, wydalać za granicę swego starostwa, bo ustawicznie musiał strzedz zamku. Co konstytucya z r. 1620 jeszcze silniej obostrzyła.

warku na każdy rok z włóki każdej przywieźć. Wszakże my (lustratorowie) tego postanowienia nie konkludując, zdanie naszą odsyłamy na uznanie skarbu Króla jego Miłości.“

Wyrok więc ten stanowczo uniewinnia Górnickiego, gdyż się okazało, że klucz Mazurowo z 4 wsiami: Mazury, Brok, Wolka i Kalinowo był zanadto obszerny w stosunku do osady, że zatem nieustająca pańszczyzna i robocizna mimo najlepszych chęci samychże włóścian nie wystarczała i przeto narażała włóścian mazurowskich na zbytnią i nadludzką pracę. Zmiana jednak téj pańszczyzny, zmiana gruntów na czynsz wypuszczanych, jako oznaczone w poprzednich lustracyach, w niczem nie mogły uleść przeobrażeniu na korzyść włóścian przez Górnickiego, bo to przechodziło jego władzę starościńską. Sami nawet nowi lustratorowie z r. 1576, chociaż w imieniu króla i Rzpltej działający, nie śmieli tego uczynić, ale jak wyrok powyższy przekonywa odesłali po decyzję do samego podskarbiego koronnego, który dopiero był władzą kompetentną w tém zdarzeniu.

Górnicki więc, skoro przyjechał po koronacyi Batory do Tykocina, nie ze względu na jego przyjazd nagły, nie ze względu na pobyt króla w tém mieście był zadrażniony i zmieszany, ale z powodu iż włóścianie podlegli jemu i mający inną władzę legalną do zanoszenia skarg, zamiast użyć jéj, wprost przybyli z użaleniami i to na piśmie do króla, do króla cudzoziemca nieznanącego ani praw naszych, ani zwyczajów, do króla zaledwie kilka miesięcy panującego w Polsce.

Z jakiego powodu włóścianie mazurowscy tak postąpili, dwie ostateczności przedstawiają się: albo spełnili to przez złośliwość, albo przez głupotę i niewiadomość do kogo się mają udać w tym razie. Wyrok sądu lustratorskiego jaki powyżej przytoczyliśmy przekonywa, że to uczynili przez niewiadomość, gdyż ani Górnicki ani lustratorowie nie byli co do tego w możności stanowić ostatecznie.

Tymczasem Batory nie znający ani Górnickiego, ani praw i zwyczajów naszych, poraz pierwszy będąc w Tykocinie, cóż sobie mógł o nim pomyśleć, o urzędniku swoim, na którego włóścianie użalają się, mogąc przed lustratorami jako właściwą władzą, bez żadnych podań piśmiennych pozyskać sprawiedliwość? Tylko to, że starosta tak mocno ich krzywdzi i uciemięża, że muszą aż do króla podawać skargę. Położenie więc w tym razie Górnickiego nie było do zazdrości, jeszcze raz to powtarzam i każdy kto wyrok lustratorski odczyta i porówna z moim artykułem poprzednim, musi mi to przyznać.

To wyrażenie niby niewłaściwe, które mi p. Gloger zarzuca, iż Batory z całą *surowością* postąpił względem Górnickiego, zastanawia mię bardzo. Czy w polskim języku nie mówi się: *surowy sędzia*, który się ściśle praw trzyma? *surowe prawo* jeżeli rząd bez względu na niektóre klasy mieszkańców, wydaje takowe? Jeżeli więc Batory okazał się surowym względem Górnickiego, to znaczy, że ściśle podług prawa

z nim postąpił, bo przesłał skargę do właściwego sądu, bez względu na zasługi dotychczasowe Górnickiego, których jeszcze nie mógł znać, bo go, powtarzamy, król pierwszy raz w życiu swoim widział.

Postawmy się teraz w położeniu samego starosty. Nagradzany kilkakrotnie przez Zygmunta Augusta, posiadając zupełne jego zaufanie, ciągnąc tyle lat swoje życie w usługach dla kraju, ulubieniec narodu, czuł całą swą godność osobistą; bo i Rzeczpospolita i monarcha dawali mu tego dowody. Ani on Batorego przez dwa miesiące panowania jeszcze nie znał, co do ducha działań jego, ani Batory jego dla tak krótkiego czasu nie mógł poznać. Już w końcu protokołu pod nazwą ówczesną *opowiadanie starosty tykocińskiego* str. 425/6 umyślnie kursywą oznaczyłem, że lustratorowie zamieścili tłumaczenie się Górnickiego z wydatków starostwa Tykocińskiego *za rozkazaniem Króla J. Mości wedle żądania pana starosty*, a więc był rozkaz oddzielny od Batorego zapewne do lustratorów, żeby Górnicki wytłumaczył się i zdał liczbę z dochodów starostwa Tykocińskiego ¹⁾ a co większa sam Górnicki żądał tego. Czy te dwie okoliczności nie malują dotykalnie, że jak król nie znając jeszcze Górnickiego, musiał podług prawa z całą surowością postąpić, bo kazał mu się tłumaczyć z dochodów, tak z drugiej strony starosta czując całą godność swą osobistą jako zasłużony obywatel i urzędnik, nie mogąc jeszcze przez dwa miesiące poznać sposobu myślenia króla, przekonany wreszcie o swęj zupełnej niewinności, musiał być zadraśniętym przez to zdarzenie. Dlatego też jawnie i legalnie przed sądem lustratorskim postąpił, składając *non tam libenter quam reverenter* przytoczone przez nas opowiadanie.

Ze to ostatnie wyjaśnienie nasze, zgadza się zupełnie z ówczesnym położeniem zajścia z włościanami mazurowskimi, dowodzi jeszcze: 1) umieszczenie ale w oryginale tego *opowiadania starosty* w samym końcu lustracji, *po bilansie ogólnym i szczegółowym z wszystkich dochodów i wydatków*, zatem jako nie dotyczące bynajmniej lustracji, tylko samego Górnickiego. 2) Wyszukany dyplom Stefana Batorego dany w Warszawie dnia 12 marca 1578 r., spisany w księdze metrycznej 118 od str. 299, w którym zawiadamia król, iż Górnicki wyrachował się w zupełności przed podskarbisem koronnym z dochodów i wydatków z starostwa Tykocińskiego, a to od dnia 1 stycznia 1576 r. do d. 31 grudnia 1577 r.; z lat dwóch i dlatego król udziela mu zupełne pokwitowanie. *Dowód ten obejmuje więc czas, kiedy włościanie mazurowscy zanieśli skargę przeciw niemu.* Ze zaś w tym dyplomie przytoczone są jeszcze i inne szczegóły dotyczące tego starosty do jego uniewinnienia i zawarte w jego *opowiadaniu starosty*, z tego powodu

¹⁾ Porównaj dyplom pokwitowania poniżej zamieszczony.

za powinność poczytujemy przytoczyć cały ten dowód w polskiem tłumaczeniu:

„Stefan z Bożej łaski Król Polski i t. d. Niniejszém wiadomo czynimy wszystkim w ogóle i w szczególe komu na tém zależy, że Urodzony Łukasz Górnicki starosta Tykociński a Nasz sekretarz, w przytomności Marcina Podgórskiego pisarza Najjaśniejszej Królowej małżonki Naszej najukochańszej, złożył rachunki ze wszystkich po szczególe i w ogóle dochodów rzezonego starostwa Tykocińskiego, z lat dwóch a mianowicie od d. 1 stycznia 1576 r., aż do dnia ostatniego miesiąca grudnia 1577 r. rozciągające się i zakończone. W których to rachunkach wedle rozporządzenia niegdyś Najjaśniejszego Henryka Króla, zamieściwszy pieniądze z rzezonego starostwa w ciągu powyższych dwóch lat po złotych 867 groszy 20 denarów 9½ rocznie do skarbu Najjaśniejszej Królowej przypadające i za powyższe dwa lata sumnę złotych 1735 gr. 11 denar 1 czyniące, należycie wykazał, dostatecznie udowodnił i sumnę tę do skarbu N. Królowej oddał i wniósł. Również kwotę jaką na przesyłkę i spławienie okrętami armat wojennych, prochu i kul z Tykocina do Malborga wyszafował. Nadto pieniądze na utrzymanie klasztoru Bernardyńskiego i na 12 żołnierzy pieszych w zamku Tykocińskim znajdujących się przez dwa lata wyż rzezone wydzielił. Wreszcie pensye i żołd dla oznaczonych osób rozdał i wypłacił, jako to: Bokowskiemu nadzorcy namiotów, Augustynowi cieśli zamkowemu, Franciszkowi Rasocha puszkarzowi zamkowemu, oraz na przekształcenie domostw tak zamkowych jako i folwarcznych. Które to powyższe wydatki podług szczegółowego wykazania w rachunkach rzezonych, czynią złotych 1735 gr. 11 denar 1, a zatem nic więcej nie przynależy z tychże rachunków od starosty do skarbu N. Królowej. Dlatego, spomnionego Łukasza Górnickiego z tychże rachunków starościńskich, z wymienionych lat dwóch uczciwie (integre) i dokładnie zrobionych kwitujemy i za godnego wiary ogłaszamy, mocą niniejszego dyplomu, który własnoręcznie podpisaliśmy. Dano w Warszawie dnia 12 marca roku Pańskiego 1578, panowania Naszego drugiego. (Podpisano) Stefan król ręką własną.”

Cała więc ta sprawa zakończyła się najgodniej i najszcześliwiej, bo król udzielając Górnickiemu powyższe pokwitowanie, przekonał się dotykalnie, że starosta Tykociński jakkolwiek oskarżony przez włościan, zupełnie niewinnionym został; Górnicki zaś wyszedł z tego sporu z całą godnością obywatela miłującego swój kraj, bo przekonał monarchę iż nagrody udzielane mu przez Zygmunta Augusta, jakie w końcu zamieszczone, były zasłużone i sprawiedliwe i że zarząd przez niego spełniany w starostwie Tykocińskim, najmniejszej plamie i uszczerbkości nie uległ przez jego osobę.

Z następnego jeszcze dyplomu Batorego płynie dowód, że król ten po surowém postąpieniu względem Górnickiego wedle ówczesnych praw, chciał okazać Rzeczypospolitój, iż jak z jednej strony zarówno jako surowy sędzia baczyć będzie nad postępowaniem urzędników, tak

z drugiej po przekonaniu się o ich prawości, umie po monarszemu hojnie i wspaniale wynagradzać. Oto dyplom nagrody dla Górnickiego, jaki znajdujemy w księdze metrycznej 118 na str. 475, we Lwowie, z dnia 10 czerwca 1578 r. wydany po łacinie.

„Stefan z Bożej Łaski Król Polski i t. d. wiadomo czynimy wszystkim w ogóle i w szczególności komu na tym zależy, iż gdy urodzony Łukasz Górnicki, starosta Nasz Tykociński, tak dotychczas toż starostwo posiadał, iż żadnego innego utrzymania z tegoż starostwa nie miał, tylko to, jakie mu ś. p. Zygmunt August przodek Nasz z dochodów rzeczzonego starostwa Tykocińskiego wyznaczyć raczył, to jest dwie roczne pensye ¹⁾, a resztę obracano na służbę i czeladź; że zaś wielkie zmiany w témże starostwie poczynione zostały, przez Naszych lustratorów wystanych do Podlasia w czasie sejmu Koronacyjnego Naszego, tak dalece, iż więcej już tychże pensyi nie będzie mógł pobierać, a nawet i tego co mu wypłacano corocznie dotąd a z czego Nasz skarb i Myśmy wieczyście go pokwitowali; dlatego zdało się Nam abyśmy jemu pewne i godne opatrzenie wyznaczili, zanim coś znamienitszego obmyślimy. Z tych powodów niniejszym przywilejem udzielamy mu, dajemy i hojnie wyznaczamy te dochody, jakie starostowie mają pobierać podług rozporządzenia Najjaśniejszego Króla Henryka z tych starostw ²⁾, gdzie nie ma żadnej jurydyki sądowej. O czém zawiadamiając wszystkich w ogóle i w szczególności, którym poruczony jest urząd pobierania dochodów ze starostw i utrzymywania rachunków a mianowicie: JW. Hieronimowi Bużeńskiemu z Bużenina obecnemu Koronnemu i w przyszłości będącym podskarbinem, jak również i innym jakimkolwiek deputatom, bądź od Nas bądź od N. Królowej najukochańszej Naszej małżonki wyznaczonym, lub wyznaczyć się mającym, rozkazujemy, aby odtąd rzeczzonego Łukasza Górnickiego starostę Tykocińskiego, nie zmuszali do zdawania rachunków, ale raczej pobierając od niego pieniądze, utrzymać go mają przy rozporządzeniu króla Henryka i dokładali w tym starań, za poprzedniemi jednak rozpatrzeniem registrów lustratorskich. W dowód czego, niniejszy mandat ręką Naszą podpisaliśmy i Naszą pieczęć do niego zawiesić rozkazaliśmy. Dano we Lwowie d. 10 czerwca roku Pańskiego 1578, panowania Naszego roku trzeciego. Podpisano Stefan Król.”

Nie możemy lepiej zakończyć dzisiejszej naszej pracy, jak ogłoszeniem po raz pierwszy z metryk dwóch nagród, przez Zygmunta Augusta Górnickiemu udzielonych. Są one także wspomniane i w dyplomie Stefana Batorego z d. 10 czerwca r. 1578 wyżej przytoczonym, dlatego, jako chlubę przynoszące tak znakomitemu pisarzowi i do biografii jego niezbędne, w tłumaczeniu ogłaszamy w osnowie następującej:

¹⁾ Poniżej przytoczamy dowody.

²⁾ Mimo troskliwych poszukiwań nie mogliśmy tego rozporządzenia wynaleźć.

I.

Roczna pensya dla Urodzonego Łukasza Górnickiego.

(ks. metr. 95 karta 511).

Zygmunt August Król Polski i. t. d. Wiadomo czynimy i. t. d., jako mając wzgląd na wierne służby Urodzonego Łukasza Górnickiego, jakie już od wielu lat Nam okazywał na pisarstwie w Kancellaryi Królewskiej, już to za kanclerstwa Wielebnego niegdyś Samuela Maciejowskiego biskupa Krakowskiego, jak również za podkanclerstwa Najprzewielebniejszego ojca w Chrystusie p. Jana Przerębskiego arcybiskupa Gnieźnieńskiego prymasa Naszej Korony a wreszcie dotąd jeszcze nie przestaje okazywać przy zawiadywaniu Naszą biblioteką, którą jemu powierzyliśmy; postanowiliśmy dać jemu i udzielić roczną pensyę w ilości sto czerwonych złotych węgierskich ¹⁾, a to z dochodu corocznie do skarbu Naszego wpływającego, tytułem stacyi Królewskiej od żydów Krakowskich i która obecnie jest wakującą przez śmierć Wielebnego Rafała Wargawskiego proboszcza Krakowskiego, a zarazem kustosza Naszego Skarbu. Jakoż niniejszym dyplomem nadając Łukaszowi Górnickiemu i udzielając też pensyą aż do śmierci, w takiej ilości rocznie do pobierania; przyrzekamy słowem Królewskiem, że i My i nasi N. N. następcy, dopóki spomniony Łukasz Górnicki żyć będzie, rzeczonęj płacy nigdy nie będziemy co do niego zmieniali, komu innemu udzielali, albo na inny jaki użytek, bądź Nasz bądź Rzeczypospolitej chociażby gwałtowny, nie będziemy obracali; ale raczej tak My, jako i następcy Nasi, dozwalamy mu używania rzeczonęj płacy, dopóki tylko przy życiu zostawać będzie. O czém zawiadamiając w ogóle i w szczególe komu na tém zależy, mianowicie zaś niewiernych Seniorów i całą gminę żydowską w Krakowie, rozkazujemy, aby rzeczoną pensyę w zupełności, w oznaczonym już czasie do wypłaty wyliczali i wypłacali temuż Łukaszowi Górnickiemu, zawiadującemu Naszą biblioteką, a to bez żadnej zgoła trudności lub zwłoki, dopóki tylko tenże żyć będzie. My zaś w przyszłości co do tego dochodu uważać będziemy, jak gdyby do Naszego skarbu był opłacony, przyjmując kwit tegoż Urodzonego Łukasza Górnickiego za gotowiznę. W dowód czego niniejszy przywilej ręką naszą podpisaliśmy. Dano w Wilnie w sam dzień Wniebowstąpienia Pańskiego (dnia 15 maja) roku Pańskiego 1561. (podpisano) Zygmunt August Król.

II.

(ks. metr. 100 karta 266.)

Zygmunt August z Bożej Łaski Król Polski i t. d. wiadomo czynimy wszystkim w ogóle i w szczególe komu na tém zależy, że przekonawszy się o wiernych usługach i nieustających pracach, Urodzonego

¹⁾ Dziś przeszło Złp. 3000, blisko Rs. 500.

Łukasza Górnickiego zarządcy Naszej biblioteki, które Nam od wielu już lat bezustannie i sumiennie spełnia, pragnąc zaś ażeby w przyszłości tenże okazywał się w usługach dla Nas, tém usilniejszym i ochotniejszym, postanowiliśmy temuż nadać i udzielić coroczną pensję 200 złotych w monecie zwykłej koronnej ¹⁾ a to z dochodów skarbu Naszego w ten sposób, jak niniejszem nadajemy i udzielamy dla Urodzonego Łukasza Górnickiego, corocznie aż do śmierci jego mającą się pobierać na Boże Narodzenie, począwszy od tegorocznego już zbliżającego się, pod warunkiem jednak, iż obowiązany jest w służbie Naszej pozostawać. O czém wiadomo czyniąc wszystkim komu na tém zależy a mianowicie JW. Stanisławowi Sobkowi z Suliciowa Kasztelanowi Sandeckiemu i Podskarbiemu Koronnemu, jak niemniej w przyszłości będącym Podskarbiem, rozkazujemy niniejszym dyplomem, iżby rzezoną pensję po 200 złotych rocznie rzezonemu Łukaszowi Górnickiemu, dopóki tylko przy życiu pozostawać będzie, na każde Boże Narodzenie począwszy od tegorocznego już zbliżającego się wyliczali i wyłəcali, bez żadnej zwłóki i trudności, oraz starali się aby w tém tak postępowano. Który to wydatek na mocy kwitów pozyskanych uważać będziemy za usprawiedliwiony. Dano w Lublinie na sejmie walnym dnia 27 miesiąca sierpnia roku Pańskiego 1566.

W podróży naszej w miesiącu wrześniu r. b. odbytej do Krakowa, przekonaliśmy się że z innego źródła bo z akt grodzkich krakowskich ogłoszono już po łacinie w r. 1872 w Dodatku do Gazety Lwowskiej rok I tom I str. 121 przywilej Zygmunta Augusta z d. 15 maja r. 1561 wyżej przytoczony, Zawdzięczamy również p. Żegocie Paulemu wiadomość o Górnickim, że w rzezoném piśmie T. I str. 173 i 174 znajdują się dwa dyplomy Zygmunta Augusta, nadające Górnickiemu w nagrodę jego prac dwie jeszcze pensye w r. 1560 d. 21 czerwca po Mikołaju Ocieskim opartą na Wojniczu, 2-gą w r. 1561 dnia 13 lutego w ilości złp. 100 z dochodów cła krakowskiego. Tym sposobem podług zebranych dotąd źródeł, Górnicki miał swój byt hojnie i szczerze przez królów polskich zapewniony, bo nie licząc dochodów znacznych z starostwa Tykocińskiego przyznanych przez Batorego, miał sobie od Zygmunta Augusta trzy pensye dożywotnie nadane. Widzimy więc że monarchowie polscy wspaniale wynagradzali uczonych.

Tym sposobem pracą dzisiejszą znacznie zaokrągliłmy żywot znaczny jednego z najslynniejszych pisarzy naszych z epoki Jagiellońskiej. Przy zebraniu zaś porozpraszanych szczegółów, jakie nam już ogłosili Trębicki, Aleksander Przedziecki i p. Gloger w Bibliotece Warszawskiej, niemniej inni autorowie po różnych pismach i dziełach, jużby spory tom powstał żywota Górnickiego. Co skupiwszy z poglądem i rozbiorem szczegółów jego prac, utworzyć już może poważne dzieło, do skreślenia i wydania którego zachęcamy najusilniej miłośników przeszłości naszej.

¹⁾ Dziś blisko Złp. 2000 czyli Rn. 300.

W razie zaś, jeżeli grób jego w Tykocinie zostanie odnowiony, czego mamy prawo spodziewać się, rzeczone dzieło stanie się najwspanialszą pamiątką uczczenia jego popiołów, o które cienie tego pisarza po trzechwiekowym zapomnieniu sprawiedliwie dopominają się. Dochód zaś z rozprzedaży tego dzieła, mógłby posłużyć na wzniesienie projektowanego pomnika.

KRONIKA ZAGRANICZNA,

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Tyrol i Tyrolczyki: Andreas Hoffer. — Słowianie tureccy: Bośnia i Hercegowina, według Geografii Powszechnej Elizeusza Reclus. — Dzieło p. Dozon: Pieśni ludu Bułgarskiego, wydane w Wiedniu z tekstem oryginalnym. — Rozboje we Włoszech, od najdawniejszych czasów aż do dni naszych, przez Armanda Dubarry. — Pornokracya, czyli kobiety nowoczesne, dzieło pośmiertne Prudona. — Psychologia ludów nowożytnych, dzieło pośmiertne Filareta Chasles. — Pieniężna piekareczka, komedyo-opera pp. Meilhac i Halevy, z muzyką Offenbacha. — Nowe powieści Georges Sand: Flamarande i Dwaj Bracia. — Poszukiwania Stauleya w Afryce Środkowej. — Dwa dzieła alegoryczne: Republika Marcina p. Rambaud, i Podróż Lorda Humour do kraju Retrogradów p. Thiaudiere. — Pomnik Roberta Bruce w Stirlingu. — Dykcyonarz Littrego, w jeduym tomie, skrócony przez professora Beaujeau. — Dykcyonarz starożytności greckich i rzymskich. — Zmarły rzeźbiarz Jan Carpeaux — Posiedzenie doroczne pięciu Akademii, składających Instytut Francuzki.

Zaczynamy kronikę naszą, po powrocie z Tyrolu. Stoją nam jeszcze w oczach te olbrzymie góry, zasiane na południowym stoku szczątkami baszt i zamczysk feudalnych; stoi nam w oczach ta droga żelazna, poprowadzona po krawędzi Brenneru, o cztery tysiące stóp po nad poziomem; jeden z najwyższych tryumfów geniuszu ludzkiego; stoi nam w myśli ten lud pracowity, uczciwy, przywiązany do odwiecznych swych tradycji, zachowujący wraz z malowniczym strojem, wiarę i obyczaj naddziadów, co go przecież wcale nie powstrzymuje w szybkim rozwoju bogactw materialnych. Nie mamy wcale zamiaru kreślić wrażeń podróży naszej, trudno nam jednak wstrzymać się od rzucenia kilku słów o tym zakątku ziemi, który wraz z zamieszkującym go ludem, przytulony do serca Alp, zachował dotąd tak wybitną indywidualność.

W ciągu kilkotygodniowego pobytu w Meranie, oplecionym wkoło wieńcami winogrodu, skąpanym w promieniach słońca nie przyćmio-

nego chmurą, mieliśmy sposobność poznać nieco Tyrol i Tyrolczyków. Na widok tego kraju, stanowiącego z ościenną mu Szwajcaryą, zupełną jedność pod względem geograficznym, na widok tego ludu, tak ściśle w porządku etnograficznym połączonego z sąsiedniemi Szwajcarami, uderzyła nas przedewszystkiem myśl, dziwnie zrazu ciemna i zagadkowa. Dlaczego, pytaliśmy sami siebie, dwa ludy tak blizkie krwią, żyjące pod wpływem jednakięj miejscowości, tak odrębnemi tory wyżybiły osobistość swoją na karcie europejskich dziejów? Dlaczego Szwajcaryą wydała Tella, tak wrogiego Habsburgom, a Tyrol Andrzeja Hoffera, gorącego ich zwolennika? Na to pytanie tak dla nas ważne, nie znaleźliśmy odpowiedzi ani w słowie ludzkim, ani też w żadnej książce. Pytaliśmy więc tych napół zwalonych baszt, sterczących na skałach jakoby sępie gniazda, i tu błysło nam światło. Rzucamy nasz domysł jako hipotezę.

Tak w Szwajcaryi jak i w Tyrolu, feudalizm ciężył zarówno ludności, tu i tam równie krwawemi rysami upamiętnił się w dziejach. Habsburgowie, zrodzeni w Szwajcaryi, gdzie istnieją dotąd liczne zamczyska, znane pod ich imieniem, ciężyli tam nad ludem jako feudalni panowie, a wasale cesarstwa. W Tyrolu inną była ich rola. Tu występują oni sami, w dostojęństwie cesarzów; zwierzchnia ich władza ma względem ludu charakter dobroczynny, pod ich tarczą, chroni się ów lud, uciśnięty jarzmem feudalizmu, w nich znajduje opiekunów i mścicieli. Szwajcarzy w imię wolności, dla zabezpieczenia własnych swobód, walczą przeciw Habsburgom; Tyrole dla zabezpieczenia swoich, tulą się pod ich skrzydła.

Miłość Tyrolczyków ku Habsburgom, objawiła się w bohaterski prawdziwie sposób, w początkach tego wieku, kiedy Napoleon po wielkiem zwyciężtwie nad Austryą, zmusił ją traktatem presburskim do ustąpienia Tyrolu, sprzymierzonej z nim Bawaryi. Iskra elektryczna przebiegła, serca wszystkie uderzyły jedném uczuciem, jedną myślą. Nienawiść ku Bawarom tkwiła tradycyjnie we krwi Tyrolów. Górale oddzieleni od świata, dłużej niżli mieszkańcy pól, zachowują pamięć doznanych krzywd i zniewag. Wypadki przepomniane w dziejach, zartarte na pergaminowych kartach starych kronik, pozostały w pamięci ludu wypisane ognistemi zgłoskami. Pamiętali Tyrolczycy, że za krwawych wojen Karolowingów, możnowładcy bawarscy pochwycili kraj ich w twarde szpony; oni to pobudowali te zamczyska, z których jeden sterczy dotąd po nad Meranem, istne widmo grobowe. To gniazdo ustali obcy przybysze, mieniące się hrabiami na Tyrolu; z tych wyżyn spadali na lud niby żarłoczne sępy, tam ostatnia z ich rodu sławna Maultasz wyprawiała wszeteczne biesiady, wołające o pomstę do nieba.

Na wiadomość o pokoju presburskim, rozpacz ogarnia Tyrolczyków. Po chwili jednak, podnoszą wzrok na okoliczne góry i nadzieja wstępuje do ich serca. Gdzież znaleźć warownię najeżoną tak groźnemi basztami, jak odwieczny ich Brenner zbudowan ręką Bożą? W tak potężnym nastroju ducha, występuje na widownię człowiek, który

miał się stać najwyższym wyrazem pragnień i dążeń ogólnych. Był nim Andrzej Hoffer.

Syn ubogiego karczmarza, prosty wieśniak tyrolski, Andrzej odznaczał się między braćmi atletyczną postawą ciała i blaskiem czarnych wyrazistych oczu. nakazującym poszanowanie. Od młodu służył w wojsku: podczas wojny z Francją bił się ponad jeziorem Garda. W dniu kiedy pokonana Austria zawarła traktat w Presburgu, powrócił do ogniska, zawiesił karabin na ścianie i jak ojciec został karczmarzem, przybrał się wtedy w strój narodowy, którego do śmierci nie opuścił. Nosił wysoki śpiczasty kapelusz, przystrojony piórem bażanta, ciemny kaftan na ponsowej kamizeli, pokrytej zielonemi szelkami, krótkie do kolan spodnie i czerwone pończochy, dopełniały malowniczego stroju. Za powrotem do domu zapuścił brodę; ta nietknięta już nigdy brzytwą, za lat kilka sięgnęła mu do pasa.

Gospoda Hoffera, o mil trzy od Meranu, na dolinie Passeyer, otoczonej górami ściągała do siebie tłumy ludu, tak z bliższych jak z dalszych okolic. Andrzej hamował zbyt liczny zapęd braci. Poczucie własnej siły czyniło go cierpliwym; czekał, pewien że uderzy godzina. Zna on całą ważność Tyrolu, wie, że od czasów niepamiętnych, droga przez Brenner była główną linią strategiczną, wiodącą z Niemiec do Włoch; wie niemniej że Austria zmuszona teraz oddać Tyrol sprzymierzeńcom Napoleona, prędzej czy później powoła wiernych Tyrolczyków, aby przeciąć drogę zwycięzcy. Hoffer, nie chcąc działać na oślep, udaje się potajemnie do arcyksięcia Jana, niegdyś wielkorządcy Tyrolu, widuje go w Styryi, pozyskuje zupełną jego ufność; czeka gotów na pierwsze hasło.

Uderzyła wreszcie godzina. Wieść o wojnie przebiega wąwozy Brenneru, porusza gwałtownie Tyrolczyków. Gospoda Hoffera staje się dla nich tém, czém było niegdyś Grütli dla towarzyszków Tella. Hoffer pośpiesza do Gratz, powraca z nominacją na głównego dowódcę sił narodowych. Wszyscy wiedzą o tajemnicy, wszyscy oprócz Bawarów, konsystujących po miastach i miasteczkach. Nie znalazł się zdrajca w Tyrolu.

W noc 10 kwietnia roku 1809, wybucha nareszcie powstanie. W wigilią dnia tego, spuszczone z prądem potoków trociny i szczapy drzewa z chorągiewkami. Okrzyk *jutro!* rozlega się po górach. Wieczorem zapalono ogniska. Lud przebiega wąwozy i krawędzie gór z płonąca głownią w ręku, żywym pędem zbiega w doliny.

Hoffer staje na czele; olbrzym przerasta głową braci. Przy nim występuje dzielny Speckbaker, przezwan „djabłem ognistym.” Kapucyn Haspinger z krzyżem w ręku, powołuje lud przeciw antychrystowi: tak zwał Napoleona.

Po pierwszym starciu, oddziały bawarskie uciekają za Brenner. Nazajutrz Hoffer w piętnaście tysięcy górali, oblega Insbruck. Tyrole walczą jak lwy; zdobywają armaty, wdzierają się do miasta. Generał Bisson zmuszony kapitulować przed chłopami.

Austria zapanowała w Tyrolu, dzięki śmiałym powstańcom. Wkrótce jed nak zmienia się postać rzeczy. Następuje klęska pod Wagram, a wnet po niej zawieszenie broni w Znaimie. Pokonana Austria przyrzeka opuścić Tyrolczyków, usunąć z pomiędzy nich oddziały regularnego wojska.

Więść ta gromem przebiega po Tyrolu; rozpacz ogarnia serca! Dzielnym Speckbaker łamie szpadę, druzgocze o skałę karabin. „Wszystko przypadło! woła z najwyższą boleścią, jakten oręż, tak zdruzgotana biędna ojczyzna moja!”

Kapucyn Haspinger chroni się do klasztoru, sterczącego na górze Klassen. Oddziały rzucają broń. Sam tylko Hoffer nie upada na duchu. Kiedy nieprzyjacieli zajęli Innsbruck i z wielką siłą drze się na Brenner, dzielny wódz góralów postanawia uczynić ostatnie wysilenie. Zwotuje rozpierzchniętych, w sercu ich rozpala zgasłą iskrę. Na czele wiernej garstki zbiega południowym stokiem Brenneru; kapucyn i Speckbaker pośpieszają w ślad za nim. Na dolinie Passyer Tyrole poprzysięgają zwyciężyć albo umrzeć. Rozstawieni w wąwozach oczekują na hasło.

Tymczasem, przednia straż marszałka Lefebre, złożona z korpusu sasko-francuzkiego, posuwa się spokojnie naprzód. Idzie bez oporu za przednią strażą korpus cały, wciska się w długi wąwóz. Nagle rozgrzmiał okrzyk: „przeciąć drogę!”

Straszliwy łoskot odpowiada na hasło. Drzewa i złomy skały, popodcinane przez Tyrolów, trzymane dotąd na linach, wałają się z góry, gniołają Sasów na miazgę. W dolinie jęki konających, na górze okrzyki radości! Ze wszystkich załomów wybiegają Tyrole, zbrojni w noże i karabiny. Szał ogarnia serca, niewiasty i dzieci pędzą śladem mężów i ojców. Okrzyk tryumfu przebiega od gór do gór! Korpus Lefebra porzuca działa i amunicję, cofa się przez Brenner do Innsbrucku. Andreas Hoffer dalejże za nim w pogoń. Po ośmiodniowych walkach, staje obozem na dolinie.

Tyrolczykom nie wytrwać długo bez ogniska; zatęsknili do żon i do dzieci, poczęli się rozchodzić. Widzi to Hoffer, rozkazuje bić w bębny.

— Bracia! — zawoła — czasze wam powracać do domostw, kiedy stopa wroga depta ojczystą ziemię naszą? Uderzmy nań dziś jeszcze. Śmierć nam albo zwycięstwo!

— Śmierć albo zwycięstwo! powtarza tysiące głosów. Andrzej Hoffer, z głową odkrytą, z mieczem podniesionym, góruje po nad tłumem.

O świcie kapucyn odprawił mszę, poczem dosiadł konia, dobywa oręż z pochwy, prowadzi prawe skrzydło do boju. Speckbaker dowodzi skrzydłem lewem. Hoffer na czele głównego oddziału, rusza prosto na Innsbruck. Ten dzień najwyższą okrył go chwałą.

— Naprzód! Bóg z nami! woła na swoich. Głos wodza budzi nieporównany zapał. Na wałach grodu walka rozpoczyna się wście-

kła. Marszałek Lefebre zniechęcony opuszcza znowu miasto. Na-
zajutrz Hoffer wchodzi w tryumfie do stolicy.

Insbruck z uniesieniem radości wita oswobodziciela. Ludność
cała tłoczy się w około niego, obwołuje go Dyktatorem Tyrolu. Hoffer
spokojny po zwycięstwie, z miłością pogląda na braci.

— Dość tych okrzyków—zawoła—módlmy się!

I zsiada z konia przed kościołem Franciszkanów, wchodzi do przy-
bytku, kłeka u grobu Maksymiliana, uderza w ziemię czołem.

Gdy ma wyjść, starszyzna miejska zastępuje mu w progu, skła-
da najgorętsze dziękczynienia. Andrzej Hoffer z całą prostotą przy-
jmuje bratnie hołdy.

— Przysięgam na brodę moją—zawoła rozrzewniony—nie ja
to ocaliłem kraj; zwycięzcą tutaj sam Bóg!

Dyktator Tyrolu, po dwakroć oswobodziciel kraju swego, po-
został czém był, prostym tyrolskim wieśniakiem. Wyroki jego wszy-
stkie nacechowane głęboką wiarą religijną. Strzegł pilnie czystości
obyczajów; zakazał wszelkich biesiad publicznych. Z czasów jego
władzy, pozostała moneta z orłem tyrolskim, drogo ceniona w kraju.

Cesarz przysłał Dyktatorowi trzy tysiące dukatów i medal za za-
sługę wojenną. W dniu imienin cesarskich, w kościele Franciszka-
nów, celebrujący kapłan zawiesił łańcuch z tymże medalionem, na
szyi dzielnego zwycięzcy. Andrzej klęcząc u stóp ołtarza, rozplakał
się rzewnie. Wszyscy obecni zapłakali z nim razem. Był to osta-
tni dzień tryumfu!

Pogromca świata, pokonany przez chłopów tyrolskich, uderzył
z całą siłą na ich kraj, od Włoch i Bawaryi. Hoffer, zmuszony opu-
ścić Insbruck, schronił się na wyżyny Brenneru. Liczył na wojsko,
oczekiwał posiłków. Napróżno! pokój podpisany w Wiedniu, zakoń-
czył długą wojnę.

Hoffer nie wierzy w pokój. „To fałsz! to być nie może!“ wo-
ła z oburzeniem. Odbiera list od arcyksięcia Jana: nie dowierza mu
jeszcze. „To pismo podrobione, jakaś piekielna matnia!“ Tyrole
zmordowani wysileniem, rozbiegają się tłumnie do domów. Hoffer
z garstką wiernych prowadzi dalej walkę.

Smutna prawda staje mu wreszcie przed oczyma. On nie ustą-
pi, lecz krwią braci szafować mu nie wolno. Zwołuje wiernych dru-
hów. „Do widzenia bracia moi, rzece spokojnie, Tyrol jeszcze nie
zginął!“

Pozostał sam: na głowę jego naznaczono okup. Odtąd ścigany jak
jeleń obławą, przepędzany od skały do skały kryje się w rozpadlinach
gór, albo w ostępach leśnych. Przedziera się wreszcie na rodzinną dolinę
l'assyer, w okolice Meranu. Tu na wierzchołku góry, wiecznym po-
krytej śniegiem, znalazł bezpieczną ustron. Kilka miesięcy przemie-
szkał w szafasie z żoną i młodym synem. Nikczemnik jeden, znęco-
ny zapłatą, wyszedł ukrycie Hoffera, naprowadził nań oddział zan-
darmów włoskich, i kompanią wojska frauczkiego.

Hoffer spał. Syn posłyszawszy chrupotanie butów po śniegu, przybiega strwożony do ojca.

— Wszystko przepadło! zawoła Hoffer; zrywa się z garści słomy, co żywo wybiega z szałasów.

— Oto jestem! zabijcie mnie, rzecze, ale przebacście moim: oni niewinni!

Nie był to już ów Tytan, gotów sam jeden rzucić się na tysiące. Umysłem zawsze krzepki, ale skurczony mrozem, złamany boleścią, poddał się bez oporu. Z głębokim spokojem wyciągnął obie ręce, pozwolił okuć je w łańcuchy. Uprowadzono go z żoną i synem do Meranu, a następnie do Botzen. Oddział składał się z dwóch tysięcy ludzi; lękano się powstania Tyrolczyków.

Baraguay d'Hilliers, dowódca sił zbrojnych w południowym Tyrolu, pamiętny jak Hoffer obchodził się łagodnie z jeńcami, kazał rozkuć go z więzów, wrócił wolność żonie i synowi. Nastąpiło ostatnie pożegnanie: Hoffer zalecał swoim ufność w Bogu.

Z Botzen przeprowadzono jeńca do Mantui. Tu sąd wojenny ogłosił niebawem wyrok śmierci. Andrzej Hoffer spokojnie wysłuchał wyroku. Nakreślił testament, polecił w nim żonie pamięć o jego duszy. Pożegnał towarzyszy z którymi walczył i zwyciężał, zalecił im ufność w przyszłe losy Tyrolu. Słowa kończące testament, ukrywają ciężki żal do Austrii.

„Żegnam cię, pisze, godny pogardy świecie! Dla uczciwego człowieka, śmierć tak małą jest rzeczą, że w chwili gdy cię opuszczam, nie znajduję nawet łzy żalu!”

W dniu 20 lutego 1810 roku, o jedenastej rano, pluton żołnierzy wprowadził z twierdzy Hoffera. Śmiałym krokiem poszedł delikwent na plac egzekucyi. W dziedzińcu spostrzega jeńców tyrolskich. Na widok wodza idącego na śmierć, klękają wszyscy z najwyższą boleścią.

— Pobłogosław nam ojczel!—wołają, zanosząc się od płaczu.

Hoffer wyciąga do nich obie ręce, kreśli znak krzyża nad ich głową.

— Bóg wielki!—rzecze—zaufajcie mu bracia moi!

Żołnierze francuzcy zapłakali rzewnie na ten widok.

Pluton zatrzymał się u Porta Ceroza. Dwunastu grenadyerów występuje naprzód, Hoffer odrzuca chustkę z twarzy, patrzy im oko w oko.

— Strzelaj dobrze!—wyrzecze do kaprała, wsuwając mu w rękę ostatni pieniądz.

Dano ognia, Hoffer upadł na ziemię. Żołnierze ponieśli zwłoki do kościoła Św. Michała, gdzie odbyło się żałobne nabożeństwo.

Według ostatniej woli skazanego, pochowano ciało w ogrodzie przyjaciela, księdza Manifesti; on to przyjął ostatnią jego spowiedź.

Taki koniec smutny epepei tyrolskiej, której Andrzej Hoffer pozostał bohaterem.

W piętnaście lat potem, w 1824, trzej Tyrolczycy, oficerowie z pułku strzelców, oburzeni na widok zwłok zasłużonego męża, pogrzebanych w ziemi obcej, umyślili wykraść je i powrócić ojczyźnie. Cicho, wśród nocy w znowie z księdzem Manifesti, wykopali trumnę, przewieźli ją do Botzen. Wieść o tém rozbiegła się po górach, serca Tyrolów gwałtownie uderzyły. Z gór okolicznych zbiegli tłumnie dawni towarzysze; przez wąwozy Brenneru i Itzelberga, przenieśli trumnę do Insbruku, złożyli ją w klasztorze. Nadszedł dzień przeznaczony na uroczystość pogrzebową. Deputacye ze wszystkich miast i wsi tyrolskich przybyły do kościoła Franciszkanów. Dwunastu starszych niosło trumnę. Na trumnie złożono kapelusz, szpadę, ordery i herb wielkiego patrioty; cesarz bowiem uczcił go klejnotem szlachectwa.

W tymto kościele zbudowano wspaniały pomnik Andrzejowi Hoffer. Rzeźbiarz tyrolski wykonał go z miejscowego marmuru. Dzielny wódz, w stroju narodowym, stoi z karabinem, jakby czuwał na straż kraju swego. Naprzeciw grobowca wzniesiono później inny pomnik: na cześć męźnych towarzyszków Hoffera, którzy zasieli kośćmi swemi głębokie wąwozy Brenneru!

Hoffer panuje nad Tyrolem, tak samo jak Wilhelm Tell panuje nad Szwajcaryą. Wielka ta postać przeszła już do legendy. Kto wie, czy za jakie lat trzysta, nie przyjdzie na myśl uczonym racjonalistom, usiłującym odrzucić wszelkie tradycye, aby zaprzeczyć mu rzeczywistego bytu, jak go dziś zaprzeczają helweckiemu Tellowi, jak go zaprzeczają naszym bogobojnym Duninom, że pominiemy innych!

Lud tyrolski tymczasem, całym bogactwem fantazyi opromienia pamięć Hoffera. Opowiada on, jak w chwili gdy przyszedł na świat bohater, widziano po nad domem grupę gwiazd, skupioną w kształcie miecza. Dom ten otoczony wieńcem drzew, położony nad rzeczką Passer rozbijającą się z hukiem o skały, celem jest bezustannych pielgrzymek; lud ogląda w nim ze czcią malowniczy ubiór Hoffera, czyta testament, skreślony jego ręką, zawieszony w ramach na ścianie.

Na fajkach wieśniaków tyrolskich, widzimy piękne oblicze wodza, z długą do pasa brodą. Obok niego czerwony orzeł tyrolski, rozwija lotne skrzydła. Niekiedy pod orłem czytamy sześciowierz, skreślony piórem miejscowego poety:

Orle! co strzeżesz Tyrolów ogniska,
 Czemu twa głowa szkarłatem połyśka?
 — Czemu pytaacie? oh! bo ją czerwieni
 Jaskrawy odbłask słonecznych promieni,
 Wino z ziemicy téj błogostawionéj,
 I z piersi wroga potok krwi stoczonéj!

Ostatnie wypadki zasłały w Słowiańszczyźnie tureckiej zwróciły na te ludy powszechną uwagę nie tylko polityków i ekonomistów, ale niemięniej historyków i etnografów. W wielkiej liczbie broszur i roz-

praw dziennikarskich, częstokroć napotykały przesadę. Łatwo to wytłumaczyć namiętnym sądem stronniczym, biorących udział w sprawie. My nie wdając się w spory, przedstawimy tu kilka rysów dotyczących Bośni i Hercegowiny, z ostatnich zeszytów wielkiej publikacji Elizeusa Reclus p. t. *Nowa Geografia powszechna*, o której rozpoczęciu wspominaliśmy niedawno. Uwagi geografa pisane przed wojną, więc mają znaczenia, niż dorywcze broszury, wywołane jej wpływem.

Mieszkańcy Alp Illiryskich są w ogólności Słowianami, mówi Reclus, z wyjątkiem żydów, Cyganów, oraz małej liczby kupców, urzędników i żołnierzy tureckich, przebywających po większych miastach Bośni. Przy granicy austriackiej w Krainie, ludność mieni się kroatką i jest nią w rzeczy samej, mało się jednak różni od sąsiadów swoich Serbów bośniackich i Raców, czyli Słowian z Rascyi, tworzących dziś Sandżak Nowibaru. Ten ostatni zakątek jest klasyczną ziemią pieśni i podań, w których lud serbski przechowuje drogocenną spuściznę narodową.

Mieszkańcy Hercegowiny, najlepiej zachowali odrębny typ i plemienną swoją charakterystykę. Pochodzą oni prawdopodobnie od migracyi Słowian nadwiślańskich, przybyłych tu w ciągu VII wieku. Równie jak sąsiedzi ich Czarnogórcy, mówią żywiej niż właściwi Serbowie; wyrażają się też w sposób odrębny. Wiele wyrazów włoskich wciśnięto się do ich języka.

Jakkolwiek Bośniacy związani między sobą pochodzeniem plemiennym, rozdziela ich przeciw religia. Rozdwojenie to głównym jest powodem ich politycznej niewoli. Na pierwszy rzut oka, zdaje się rzeczą dziwną, dlaczego Słowianie bośniaccy nie potrafili zrzucić jarzma muzułmańskiego, jak bracia ich Serbowie? Siedziby Bośniaków, dalej przeciw położone od stolicy państwa a co ważniejsza opasane wałami gór niedostępnych, stanowią bezpieczną warownię. Klimat sam wspierać powinien Bośnię przeciwko Turkom, ostrzejszy tu bowiem niż na całym półwyspie, z powodu stoków pochyłych przeważnie ku północy, i gór wstrzymujących ciepłe prądy powietrzne. A jednak mimo tak korzystnych warunków, wszystkie powstania przeciw Turkom, kończyły się na niczem. Przyczyną tego, nienawiść wzajemna muzułmanów i chrześcijan bośniackich, jak niemniej zacięta nienawiść ku sobie chrześcijan greckiego i rzymskiego wyznania.

Muzułmanie bośniaccy, wspierani przez Osmanlisów są zarówno Słowianami, jak i Bośniacy chrześcijanie, mówią także po serbsku, lubo język ich zepsuty wielką liczbą wyrazów tureckich. Są to potomkowie szlachty, zmużmanionej w końcu XV i początkach XVI wieku, dla ocalenia przywilejów feudalnych. Niektórzy pochodzą wprost od sławnych rozbójników, którzy poturczyli się aby pądrować bezkarnie po wawozach. Reszta zaś pochodzi od sług i domowników szlachty, zmuszonych gwałtem do odstępstwa. Apostazja wzmocniła władzę panów, nad nieszczęśliwym ludem. W skutek nienawiści kastowej i religijnej, przeszli oni wkrótce fanatyzmem samychże Ottomanów,

i narzucili na chrześcijańską ludność jarzmo najtwardszej niewoli. Pokazują dotąd u bram Serajewa dziką gruszę, na której starszyzna wiszała nieszczęśliwych rajasów. Bośniacy muzułmanie, tak bejowie jak spahisy, tworzą najwsteczniejszy żywioł w całym państwie. Nieraz już, a mianowicie w roku 1851, sami Ottomanie zmuszeni byli wystąpić zbrojnie przeciw swym barbarzyńskim współwyznawcom, na pożytek poddanych chrześcijańskich. Miasto Serajewo, oddane pod wyłączną opiekę sułtanka matki, używało nadzwyczajnych przywilejów. To miasto tworzyło jakoby państwo w państwie, nienawistniejsze chrześcijanom niżeli sama Porta.

Do dziś dnia, muzułmanie bośniaccy zajmują rozległe posiadłości ziemskie. Ziemia podzielona tu na *spahiliki*, przechodzące dziedzicznie, jednak nie na prawie starszeństwa, ale raczej na prawie wyhoru. Rodzina wybiera z pomiędzy siebie, albo najstarszego wiekiem, lub też najdzielniejszego w razie wojny. Chłopi chrześcijanie pracują dla muzułmańskich panów, już nie jako poddani przywiązani do gleby, lecz jako najemnicy. Przeciążeni pracą uciekają od roli, a zajmują się handlem. Po większych miastach handel zarówno jak lichwa spoczywa w ręku żydów hiszpańskich, którzy zachowali tu odrębną indywidualność swoją. Mówią po hiszpańsku, i z synowską miłością wspominają dotąd kraj niegdyś zamieszkiwany.

Liczba muzułmanów w Bośni, stanowi dziś trzecią część ludności ogólnej. Żywioł mahometański pozostaje w stagnacji, gdy tymczasem ludność chrześcijańska zwiększa się z każdym rokiem.

Wszyscy Bośniacy bez różnicy sekt i religii, posiadają też same zdolności wrodzone, jak współplemienni im Serbowie. Otwarci są i gościnni, odważni w boju, pilni w pracy, oszczędni, zamiłowani w poezyi, wierni w uczuciach przyjaźni i miłości. Matżeństwo u nich w wielkim poszanowaniu, nawet muzułmanie bośniaccy odrzucają wielożeństwo pozwolone koranem; niewiasty ich używają względnej swobody, w północnej tylko Bośni kobieta chroni się pilnie oczu ludzkich; kiedy wychodzi z domu obwija się tak szczelnie w białą zasłonę, że podobniejsza do widma niż do ludzkiej postaci.

Obok wrodzonych zalet, ileż tu barbarzyństwa, ile ciemnoty, zabobonów i fanatyzmu, tak u chrześcijan jak i u mahometanów! Bezustanne wojny, tyrania z jednej, niewola z drugiej strony oddziaływały na obyczaje. Odgradzeni od świata górami i lasami, pozabawieni dróg i gościnców, Bośniacy żyli dotąd zdaleka od wszelkich wpływów cywilizacyjnych. Nie mają wcale szkół, gdzie niegdzie tylko klasztor przygarnia drobną dźwiatwę. Dodajmy do tego niesłychane nadużycie sliwowicy, a zrozumiemy smutny stan umysłowy tego ludu. Obliczono że każdy mieszkaniec Bośni, bez wyłączenia dzieci i kobiet, wypija rocznie sam na siebie sto trzydzieści litrów wódki sliwkowej.

Dziwią się niektórzy, iż w kraju tak jeszcze barbarzyńskim, istnieją miasta czynne i pełne ruchu. Ale ta okolica tak bogatą jest w produkta naturalne, że handel wewnętrzny musiał się z konieczności

rozwinąć. Lud bośniacki oddzielony od innych radzi sobie jak może; miele ziarno w wymyślonych przez siebie młynach, fabrykuje broń, wyrabia tkaniny na odzież, kuje rozmaite narzędzia żelazne: ztąd powstał niejaki ruch przemysłowy po miastach, a mianowicie w Serajewie. Miasto Banialuka połączone drogą żelazną z państwem austriackim, zamienia płody swoje z Kroacją. Tuzla wywarza sól, z obfitych źródeł, Zwornik od granicy serbskiej, służy za skład towarów dla obu krajów ościennych; Nowi-Bazar prowadzi handel z Albanią, Mostar i Trebinia sprowadzają żywność z Dalmacyi.

Ludność tych miast znaczna, stosunkowo: Serajewo liczy 50,000 mieszkańców, Banialuka 18,000, Zwornik 14000, Trawnik 12000, Nowi-bazar, Trebinia i Mostar po 9000. Nie same tylko potrzeby handlu i przemysłu, zaludniły te miasta, przyczynia się do tego wielce brak bezpieczeństwa na wsi. Oprócz sąsiedniej Albanii, i sfer podbiegunowych, niema w Europie kraju tak mało zwiedzanego, jak kraj bośniacki. Odosobnienie to zniknie dopiero, kiedy międzynarodowa kolej żelazna, od Zagrzebia do Saloniki i Konstantynopolu, zamieni ten kraj w jeden z wielkich gościńców europejskich.

Ogólna ludność Bośni i Hercegowiny, według pana Elizeusza Reclus, wynosi 1,150,000 mieszkańców. Z pomiędzy nich muzułmanów 378,000, chrześcijan wyznania greckiego 590,000, katolików 164,000, cyganów 12,300 i żydów 5,700.

Przy tym ogólnym objawie ducha wojennego w Serbii i Czarnogórze, w Bośni i Hercegowinie, zadziwia wszystkich bierne zachowanie się Bułgarów. Różni różnie tłumaczą ten stan rzeczy. Wiadomo że Bułgarya stosunkowo do Bośni i Hercegowiny, daleko więcej rozwiniętą jest co do instrukcji ludowej. Ponieważ mała tylko część Bułgarów przyjęła muzułmanizm, ztąd też i uciemnienie rajasów mniejsze tu jest niż w tamtych krajach. Niektórzy sądzą że różnice Bułgarów od Serbów i innych Słowian południowych, różnice objawiające się i w grammatycznym układzie języka, a więcej jeszcze w psychologicznym ustroju i w instyucjach, były i są wpływem żywiołu turańskiego, pierwotnych zaborców przybyłych tu z nad Donu.

Nie idzie zatem, żebyśmy chcieli wyłączać Bułgarów z rodziny ludów słowiańskich, we wszystkich objawach ich życia. Historia świadczy, że nigdy i nigdzie, zaborcy nie zmienili charakteru tubylców, wtedy nawet, kiedy jak Rzymianie Gallom, narzucili im swój język, kiedy jak Frankowie tymże Gallom, narzucili im swe nazwisko. Sama już okoliczność, że koczownicy bułgarscy przyjęli język podbitego ludu, nie jest dowodem przewagi żywiołu słowiańskiego w Mezyi?

Jakkolwiekby dotychczasowa bierność Bułgarów, témbardziej zwróciła powszechną uwagę na ich starożytne podania. Owe podania, przerabiane przez lud w pasmie wieków, tak do dziś dnia żywotne, świadczą że umysł Bułgarów nie był nigdy skryształizowany. Jakie mogą być powody stanu ich biernego, w ogólnym dziś ruchu Słowian

tureckich, zostawiamy sąd osobom więcej od nas kompetentnym. Obznajmieni jednak cokolwiek z ich literaturą, przekonani jesteśmy, że ten stan nie pochodzi bynajmniej z martwoty umysłowej. Jeden poemat bułgarski opiewa, że kiedy Turcy najechali kraj i oblegli stolicę, Reno ostatni król, podjąwszy złote skrzydła z rąk Samowili, uleciał wysoko pod obłoki z żoną i niemowlęciem. Tam czeka on pory, a skoro nad ziemią jego przeminie czarna doba, wróci do gniazda ojców. Reno czeka; śnać godzina nie uderzyła jeszcze!

Kiedy tak Bułgarzy skupiają się w milczeniu i chłodnej napozór obojętności, uczeni tymczasem kruszą kopje o autentyczność ich ludowych poematów. Walka dotąd nie rozstrzygnięta. Co do nas patrzemy na nią spokojnym okiem. Niechaj sobie jedni, pod sztandarem uczonego Ireczka, utrzymują, że te poemata nie są wyrobem ludu, że są poprostu fałszowane; niechaj drudzy widzą w nich istotny wyrób geniuszu ludowego, zasłaniając się powagą profesora Chodźki, który uważał te pieśni za godne dwuletniego wykładu w kolegium francuzkiem, i powagą Dozona, który wprzód jeszcze zbadał rzecz na miejscu, upoważniony przez francuzkie ministerjum; my nie wątpimy o autentyczności tychże pieśni, ale przedewszystkiem uderza nas w nich estetyczne piękno! Tej cechy nie zaprzecza im sam Ireczek! Gorliwy ich zbieracz Werkowicz, nie zrażony protestacjami, prowadzi dalej swoje publikacyą. Drugi tom Wedy Bułgarskiej przysłał właśnie profesorowi Chodźce, do przejżenia i poprawy francuzkiego przekładu, zamieszczonego przy tekście oryginalnym.

Świat naukowy w ogólności bardzo dziś zajęty Bułgarami. W tym roku właśnie, wyszło w Lipsku dzieło Kanitza pod tytułem: *Donau Bulgarien, und der Balkan*. W Pradze Konstanty Ireczek, wydaje obszerną historję tego ludu: *Děje narodu Bulharskejo*. Krytyczna ta praca ukaże się wkrótce i w przekładzie francuzkim. W Wiedniu nakoniec, wyszedł tylko co z druku tom pieśni bułgarskich, przekładu Augusta Dozona, wydany wraz z oryginalnym tekstem.

Pieśni te nie mają nic wspólnego z poematami zamieszczonemi w Wedzie Werkowicza. Dozon zbierał je opodal od skał Rodopu, w części kraju dotykającej granic Serbii; ztąd też mało w nich mytycznego charakteru, cechującego głównie rodopskie epopeje. Znaczny w nich dział stanowią pieśni miłosne i przygodne, rzucające żywe światło na niemniej liczne pieśni miłosne i przygodne, rzucające żywe światło na obyczaje ludu. Z pieśni zbójcekich dowiadujemy się, że śmiało *Wojewódki*, Miteza, Sirma, Bojana, prowadzą hajduków w wąwozy Starogorry; widzimy jak Penka wprzodzień wesela swego, przywdziewa męzki ubiór, chwyta miecz i karabin, dosiada konia, pośpiesza w góry, aby zdobyć upominki dla družbów i dziewcząt. Smutna tu jednak dola niewiasty. Biedna żona utyskuje pieśnią, że mąż zaprzęga ją do pług i pogania batogiem, aby dać wypoczynek znużonym wołom. W innej równie załośnej piosence, młoda żona przewidując że mąż zamierza sprzedać ją na targowisku, przedstawia mu ze zimny pieniądź

nie zastąpi mu kochającego jój serca. Dajemy w przekładzie ten małeński dramacik:

— Odkąd cię Janko wziąłem za żonę,
Wciąż wiatr przeciwny w oczy mi dmucha:
Odtąd w stajence mrą konie wrone,
Odtąd gołąbek siwy nie grucha,
Odtąd nie śpiewa słowik w gęstwinie;
Za twemi ślady, w dom bięda płynie:
Kto ciebie urzekł? powiedz mi żono!
— Jeżeli na mnie czary rzucono,
Już mi za twemi nie gościć progi!
Wóz pozłocisty uprząż mój drogi,
Do Nikopolu wieź mnie co prędzej,
Niech mnie przekupnie na targ powiodą.
Kto da dwanaście worów pieniędzy,
Otrzyma za nie Jankę twą młodą;
Zgarnijże chciwie te kupy złota,
Połóż na piersi, uciesz niém oczy!
Gdy wrócisz do dom, żali przed wrota
On zimny pieniądz żwawo podskoczy?
Alboż słodkimi przemówi słowy?
Czyż rozraduje próg twój domowy?

Niektóre pieśni bardzo zbliżone do naszych; jedna z nich o młodym Kojczu, który wbrew woli matki zaślubił piękną Pawunkę, jest jakby parafrazą znaną u nas powszechnie piosenki:

Ne hody Hryciu na wieczornicy i t. d.

W niektórych znów czuły poetyczny powiew sielanki greckiej. Przytaczamy w przekładzie pieśń pod tytułem: *Zapasy dziewczyny ze słowikiem*.

Porankiem wietrzyk powiewa świeży,
Młoda Maryka do sadu bieży;
Kwitną granaty, szumią jabłonie,
Wonna różyczka na krzaku płonie.
Siada przy krosnach dziewczyna pusta,
We wzorki rąbek wyszywa biały,
Pieśń jój wesoła płynie przez usta,
A tam w pobliżu słowiczek mały
Do krzaku róży przytulon główką,
Słucha i słucha i rzece słówko:
— „Dalej! kto kogo pieśnią pokona!
Jeśli cudniejsze piosenki twoje,
Utniesz mi dziewczę skrzydełek dwoje,
W górze po same utniesz ramiona,

I moje nóżki połamiesz obie,
 Jeśli piosenką nie sprostam tobie!
 A gdy cię zmożę, niechajże za to
 Utnę ci z główki kosę bogatą.

Śpiewają dzionek, drugi i trzeci,
 Z rosą na polu piosenka leci;
 Umilkło ptasze, śpiewa Maryka:
 Dziewcze piosenką zmożło słowika!
 Ptaszyna kornie główkę nakłoni,
 Słodkimi słowy ozwie się do niej:
 — Gdym ja w zapasach nie zrównał tobie,
 Możesz mi nóżki połamać obie;
 Lecz ocal moje skrzydełka szare!
 Mam ja w gniazdeczku pisklątek parę,
 Kto je wykarmi? kto je wychowa?

Piękna Maryka słyszy te słowa:
 — Słowiczku! rzecze litością zdjęta,
 Hoduj maleńkie twoje pisklęta,
 A gdy oboje w piórka porosną,
 Niech tu gniazdeczko uścielą wiosną;
 Niechże mnie jeden do snu kołysze,
 Drugi niech budzi w poranną ciszę.

Niekiedy spotykamy fantastyczny wybryk wesołego humoru, jak np. w *Kłótni komara z muchą*. Coś podobnego przypominamy sobie i w ludowej naszej literaturze. Ten komar i ta mucha są niewątpliwie alegoryą. Lud w satyrycznej piosence upamiętnił jakiś wypadek miejscowy:

Kto się kłóci? komar z muchą!
 Rzecz nie ujdzie tu na sucho!
 Komar w straszny wpada gniew,
 Kolnął w serce, trysła krew!
 Do Stambułu w bród pocięka
 Na gościńcu krwawa rzeka!
 Kraj szeroki krwią zalany,
 We krwi toną karawany.

Biegną muchy ztąd i ztąd,
 Powołują walny sąd;
 Czyżo pędzą na ich głos
 Całe pułki pszczół i os.
 Pobrząkują coraz groźniej;
 A szerszenie jakby woźni,
 Pyszni głośnym swym urzędem
 Od wsi do wsi lecą pędem,

Biédny ludek drżący z trwogi,
Bieży trupa ściągnąć z drogi.

Osy, pszczoły całą rzeszą,
Za komarem w pogoń spieszą;
On wykręca się jak może:
— Spuść, zawoła, deszcz, mój Boże!
Niechże w chłodnej zawierusze,
Pomartwieją skrzydła musze;
Niechże wichrem dmią niebiosy,
Na szerszenie i na osy!

Wnet lunęły deszczem chmury,
Komar uciekł het na góry;
Tam bohater jak przystało,
Pod grzyb ukrył zmokłe ciało!

Autor poprzedza zbiór pieśni obszernym wstępem, obejmującym do pięćdziesięciu stronnic; podnosi w nim wielkie znaczenie ludowej poezyi; widzi w niej najpewniejszą skazówkę do określenia charakterystyki danego ludu, a nawet do wykazania jego plemiennego rodowodu. Są tu drobne szczegóły, na które niezupełnie zgadzamy się z autorem: sądzimy np. że się myli utrzymując zbyt absolutnie, iż uczona literatura zabija w narodzie poczyną ludową; widzimy przecie jak obie te poetyczne literatury istnieją nieraz obok siebie, i w danej chwili zasilają się wzajem. Myli się niemniej autor utrzymując, że forma Distyku (dwuwiersza), właściwa tylko nowogreckiej literaturze. Nie ma jej może u Serbów i Bułgarów, ale wszystkie Krakowiaki i Kołomyjki nasze, czémże są inném jeśli nie distykami? Lud przykarpacki nie szukał ich zapewne w podnóże Olympu i Parnasu!

W ciekawy sposób pan Dozon porównywa poezyą trzech ościennych ludów: bułgarskiego, serbskiego i nowogreckiego. W serbskiej poezyi widzi najsilniej odbijający *epos*: w nowogreckiej daje przewagę żywiołowi dramatycznemu; Bułgarska poezya pośredniczy między nimi, stanowi niejako ich syntezę. Aby udowodnić założenie swoje, autor daje w przekładzie poemacik pod tytułem *Podróż umarłego*, przetłumaczoną z czterech różnych wersyi: serbskiej, bułgarskiej, albańskiej i nowogreckiej. Serbska wersya pokazuje wielkie bogactwo poetycznych przenośni, połączone z jakąś rzewną zadumą: tu aniołowie odwalają grobowy kamień; matka, siwa kukułka opłakuje umarłych synów. Wersya nowogrecka potężnie udratyzowana, albańska jaskrawo ubarwiona wschodnią fantazyą.

Pan Dozon, przebywający dziś w Albanii, pracuje nad zbadaniem poezyi miejscowego ludu, w którym dzisiejsi uczeni jak Benloew, widzą pierwotnych tubylców Grecyi, zapartych przez Helenów w głębokie wąwozy Epiru. Owocem badań Dozona jest znaczny zbiór powie-

ści i pieśni albańskich, który niezadługo wyjdzie z druku. Publikacja ta rzuci nowe światło na podniesione dziś pytanie co do rodowodu Albańczyków.

Na zakończenie dajemy w przekładzie wspomniony wyżej poemacik *Podróż umarłego*, według wersyi bułgarskiej.

Matka ma wdowa synów dziewięciu
I jedynaczkę Wekię cudną;
Daleko poszła wieść o dziewczęciu:
Takię urody napotkać trudno,
Każdy za żonę wzięsby ją rad,
Do dom, za swatem przybywa swat.

Przez dziewięć lasów, z wioski dziesiątej
Po jedynaczkę idą swatowie.

— Mamże ją wydać? matka im powie,
Mniez opustoszyć domowe kąty?

A syn Dymitry rzecze w te słowa:

— Tylu nas mieści strzecha domowa;
Póki nie zwiędnie kwiat cudnej krasy,
Niechże dziewczyna idzie za lasy.
My ją mieć będziemy pilnie na oku,
Odwiedzim siostrę choć raz do roku!

Przemogła rada starszego syna,
Za dziewięć lasów poszła dziewczyna.
Synowie żony przywiedli w progi,
Lecz niepocieszyć matki niebogi!

Wtém nagle z chmury uderzy grom,
Runął z łoskotem Dymitrów dom!
Dziwięciu braciom runął na głowę,
Przy mężach trupem padły synowe;
Została matka sama na świecie,
I kolébeczek dziewięć zostało:
W każdej kolébce śpi drobne dziecię;
Matka je buja ręką zgrzybiałą.
Co dnia żałośnie na cmentarz chodzi,
Gdzie śpią w mogiłkach synowie młodzi;
Mogiły słodkiem pokrapia winem,
Pali gromnice w wieczornéj dobie,
Lecz na Dymitra nie stanie grobie:
Łzy nie uroni nad starszym synem;
Tylko mu klątwy miota nad głową:
— Niech twarda ziemia twe kości gniece,
Boś mi daleko zaswatał dziecię!

Głos jój murawę przebił grobową!
 Dymitry nocą wyszedł z mogiły,
 Pośpiesza do dom siostrzyczki miłej;
 Kołacze w progi... Wekija rada,
 Braterską rękę do ust przykłada:
 — Miły braciszku, cóż to się stało?
 Twa ręka cuchnie smołą zgorzałą!
 — Nic to siostrzyczko, nic krasawico:
 Budowaliśmy domostwa nowe,
 W górę dźwigali kłody sosnowe;
 Nie dziw że ręka cuchnie żywicą.
 Chodź ze mną drogą za ciemny las,
 Matkę niebogę odwiedzić czas!

— Niech się braciszku spełni twa wola!

Idą, minęli szerokie pola;
 Weszli do lasu, wśród leśnej głuszy
 Pusto, na drzewie liść się nie ruszy;
 Tylko w gniazdeczku szczebiocze ptasze:
 — Tych dziwów oczy nie znają nasze,
 Zmarłym-że zimny porzucać grób?
 Czemuż-li z żywym wędruje trup?

W żyłach niewiasty ścięła się krew.

— Bracie Dymitrze! cóż to za śpiew?

— Siostró, perełko, czemu drżysz tak,
 Nie wierz piosence: kłamie ten ptak!

Wybiegli z lasu, wioska już bliska,
 Płomień tu owdzie bucha z ogniska.
 — Idź naprzód siostró, kochanie moje,
 Zostanę chwilę konia napoję.

Niewiasta naprzód dąży co siły,
 Dymitr pozostał, wszedł do mogiły;
 Ona w domowe skręca podwórko,
 Wychodzi matka. — Tyżeś to córko?
 Kto cię tu przywiódł przez Boga w niebie?
 — Brat mnie Dymitry przywiódł do ciebie;
 Miła mateńko co tobie?... mów!

A stara milczy, zbrakło jój słów;
 Oba rozwarła tylko ramiona,
 Swą jedynaczkę tuli do łona:
 Ścisła i pieści, aż z piersi dwóch,
 W uścisku żywy uleciał duch!

Armand Dubarry, który długi czas przebywał pod włoskim niebem, napisał dzieło w jednym tomie pod tytułem: *Rozboje we Wło-*

szech od najdawniejszych czasów, aż do dni naszych. Autor głęboko sięga w przeszłość, bo do epoki mitycznej, kiedy pół-bogowie porywali trzody śmiertelnym, kiedy Herkules wymierzał na ziemi sprawiedliwość. Zstępuje potem do kolébki starożytnéj Romy, w bajecznym wychowaniu wilczycy Romulusie pokazuje prototyp italskich rozbójników; zatrzymuje się chwilę przy sławnym porwaniu Sabineek, wreszcie przechodzi do zwykłych rozbójów po lasach i górach nie osłoniętych bohaterским urokiem poezji. Autor czerpie rzecz z autentycznych źródeł zapisanych po włoskich grodach. Widzimy tu z jednéj strony cały szereg okrucieństw, spełnianych w wąwozach Apeninów i górach Kalabrii przez bandy rozbójnicze; z drugiéj strony, widzimy niemniej barbarzyńskie środki, jakich używały bezsilne rządy dla wytępienia złego. Weźmy tu jeden przykład. W XVI wieku ogłoszono książęce łowy w górach. Władze czynią przygotowania, pod zbrojną strażą prowadzą wielki zapas żywności na biesiadę dla łowców. Rozbójnicy zastępują drogę żandarmom, porywają zapasy, uczują wesoło. W parę godzin wszyscy padli trupem: żywność była zatruta!

Pierwsze lata wieku obecnego, krwawemi zgłoskami wypisane są w dziejach bandytów włoskich. Król neapolitański Murat, postanowił wytępić ich do nogi. Na jego rozkaz generał Mauher ogniem i mieczem ścigał ich po wąwozach. Wkrótce jednak odwróciła się karta. Po restauracyi 1815 roku, bandyci śmiało podnieśli głowę; rząd Ferdynanda króla Obojga Sycylii patrzył przez szpary na rozboje osłonięne pozorem walki przeciwko Muratistom! Palono żywcem rodziny obwinione o liberalizm!

Ostatnia część pracy, poświęcona czasom dzisiejszym, żywsze jeszcze obudza zajęcie z powodu postrachu, jaki rzucają na podróżnych bezustanne rozboje we Włoszech. Niedawno oto czytaliśmy w Debatach skreślony wymowném piórem Johna Lemoine, obraz ohydnej spółki *Maffei*, która w tak straszny sposób ogarnęła całą Sycylią, że sądy przysięgłych nie śmieją głosić wyroku na przestępców, z obawy niechybnéj ich zemsty. Pan Dubarry przyglądał się przez kraty więzienne, hersztom tych ohydnych Maffiosów, przysłuchiwał się indagacyom; żywemi téż barwy kreśli ich postać, opisuje niezliczone ich gwałty.

Niektórzy krytycy zarzucają autorowi, że tylko w celach więzennych lub salach trybunału spojrzął oko w oko owym hersztom. Nie pozna ten lwa—mówią oni—kto jedynie widział go w żelaznéj klatce, nie zaś na puszczy w żywiole mu właściwym. My z naszej strony radzilibyśmy krytykom, aby zamiast przyganiać, zapuścili się sami w wąwozy Kalabrii, spojrzeli w oczy wolnym Maffiosom i po takiej dopięro próbie, wystąpili z zarzutem przeciw autorowi, jeśli obrazy jego niezupełnie zgodne z rzeczywistością!

Listy Prudhona, o których wspomnieliśmy w ciągu roku, świadczą już o ile głośny socyalista zaciętym był wrogiem całego rodu nie-

wieściego. Niczym jednak tamte pociski w obec tych jakie znajdujemy w świeżo wydaném dziełku, pod tytułem *Pornokracja czyli kobiety w czasach nowożytnych*. Ostatnia to praca zmarłego autora, doprowadzona zaledwie do połowy. Zobaczymy co dało do niej pobudkę.

W roku 1858 Prudon w dziele pod tytułem: *Sprawiedliwość w rewolucyi i w Kościele*, które wywołało tyle głośnych protestacyi, nakreślił obszernie społeczne stanowisko kobiety. W konkluzyi wykazał jej niższość wrodzoną, dowodząc że mężczyzna do kobiety zostaje w stosunku *trzech do dwóch*. Konkluzya ta spowodowała mnóstwo broszur, listów i artykułów dziennikarskich, pisanych po większej części przez stronę obrażoną. Autor zbierał te pociski, na każdy z nich jednym pociągiem pióra rzucał dorywczą odpowiedź, zamierzając później połączyć je razem i uporządkować. Wziął się nareszcie do téj pracy złamany już chorobą; śmierć wytrąciła mu pióro z ręki: nie zdołał jej wykończyć.

Prudon występuje tu jako nieprześlągnięty sędzia, ostrym biczem smaga wszelkie usterki niewieście. Wypowiada zaciętą wojnę romansopisarzom i dramaturgom, którzy apoteozują miłość, gdy tymczasem jedynym prawem kobiety ma być uczucie obowiązku i poświęcenie. Mieszanina to prawd i paradoksów, jak wszystkie utwory Prudona. Najsurowsi filozofowie-moralisci nie przemawiali silniej za koniecznością cnót niewieścich, z tą tylko różnicą że oni głosili zasady swoje w imię prawdy bezwzględnej; Prudon zaś przemawia w imię pożytku materialnego dwóch stron interesowanych. Zimna ta argumentacya przebrzmi jak pusty dźwięk brzęczącej miedzi, w sercu bowiem ludzkim leżą wyższe pobudki moralności.

Otrzymujemy w téj chwili inne dzieło pośmiertne odmiennego całkiem rodzaju. Mówimy tu o *Psychologii ludów nowożytnych*, przez Filareta Chasles zmarłego w roku zeszłym w Wenecyi. Autor zaskoczony nagle chorobą, na tydzień przed śmiercią pracował jeszcze nad tém dziełem. Czy je wykończył? trudno zgadnąć! Filaret Chasles nie nigdy nie wykończył. Czyto jako professor literatury zagranicznej w kolegium francuzkiem, czy też jako autor kilkudziesięciu tomów literackiej treści, rzucał zwykle uczniom i czytelnikom zbiór aforystycznych zdań, jakoby motek nici błyszczących lecz poplątanych, zostawiając im rozwikłanie. Ztąd to uczony professor, mimo niezaprzeczonej erudycyi i wyższego talentu, uchodził powszechnie za blagera.

Mało który z krytyków literackich używał tak przeważnie psychologii, jako żywiołu krytycznego. Filaret Chasles poszedł w tym względzie śladem Mickiewicza, jakkolwiek nie dorównał mu gieniuszem. Owa ta strona wykładu Chaslesa pociągała słuchaczy i sprawiała, że mu przebaczano nadużycia jakich się zbyt często dopuszczał.

Ostatnia praca, którą mamy właśnie pod ręką, okazuje wszystkie zalety i wszystkie wady profesora. Dotyka on w niej mimochodem rozmaitych przedmiotów zajmujących umysł ludzki: historyi, geografii,

filozofii, literatury, malarstwa, muzyki, słowem wszelkich sztuk i nauk; przedewszystkiem jednak zajmuje go polityka. Z bólem przykłada rękę do serca Francyi, bada przyczyny jęj niedawnych klęsk i dzisiejszego rozstroju, widzi je w braku miłości, w szarpaniu się wzajemném, w moralnym upadku jednostek.

Z okiem zwróconém zawsze na Francją, przebiega autor wszystkie kraje. Na chwilę zatrzyma się w Angli, rzuci zdanie o powieściach Dickensa i Izraelo; przechodzi znów do Niemiec, mówi o Szylkerze, o Goetem, o pani Stael. Kresli mimochodem obraz małżonanęj Karoliny Michaelis, w której widzi prawdziwy typ Germanki. Poślubiona z doktorem Boehmer, zawiera potem związki z Fryderykiem Schleglem, wreszcie bierze za męża filozofa Schelinga! Wszystko zrywa, mąci i burzy, z jednych związków przechodzi wnet do drugich, istnie jak duch niemiecki przyczynający się od medycyny do literatury, od literatury do filozofii, zamiłowany w hipotezach, gotów zniszczyć co sam zbudował, chciwy odmiany i nowości w urzeczywistnieniu swych ideałów.

Najobszerniejszy dział w ostatniej pracy, poświęca Chasles literaturze współczesnej we Francyi, a mianowicie powieściopisarstwu, najgłówniejszemu z psychicznych objawów téj epoki. Powołuje na sąd trzech zmarłych a tak przeważnie wpływowych pisarzy, Suego, Balzaka i Dumasa. Dlaczego pyta, żaden z tych potężnych koryfeuszów, nie stworzył szkoły któraby go przetrwała? Zobaczmy jak odpowiada na tak ważne pytanie.

Eugeniusz Sue nie stworzył szkoły, bo nie miłość, ale raczej nienawiść była bodźcem dla jego wyobraźni. Pokazywał świat w fałszywém, potworném nawet świetle; poplątał sumienia, zmącił pojęcia prawdy.

Balzak nie wydał szkoły, bo nie znał serc ludzkich do gruntu. Malował je przez pryzmat ułożonych przez siebie formułek filozoficznych. Pracował on w dzień biały, w pokoju o zamkniętych okiennicach, przy blasku sztucznych światel. Ta sztuczność odbija w każdym jego utworze.

Aleksander Dumas, przechodzący tamtych twórczym duchem, nie wydał także szkoły, bo skrzydła fantazyi unosiły go w świat daleki od rzeczywistego życia. Porywał za sobą czytelników, kołysał ich w tym wymarzonem świecie, rozpoił ich wyobraźnię odurzającym narkotykiem, rozbudził w nich tę gorączkową chciwość wrażeń, cechującą dzisiejsze społeczeństwo; słowem, nie domyślając się nawet miary złego, stworzył drogę tym licznym powieściopisarzom dziennikarskim, którzy obrazem niestworzonych zbrodni i szkarad, usiłują podniecać zużyty smak czytelników, na wzór owych Rzymian, co przy ucztach pocierali talerz cuchnącą assafetydą.

Filaret Chasles daje wyborne rady powieściopisarzom dzisiejszym. Niechajże przestaną patrzeć na świat przez czarnoksiężką latornię własnych marzeń, a usiłują wniknąć głęboko w pobudki ludz-

kich czynów. Wielki nasz psycholog określił to niegdyś w krótkich słowach: „Miěj serce i patrz w serce!”

„Anglicy—mówi Chasles—dobrą drogę wytknęli w powieści. Walterskot w powieściach historycznych uszanował dzieje narodu swego, potrafił też na skały i krajobrazy swěj ojczystej ziemi, ściągając uwagę ucywilizowanego świata. Dickens dziecko ludu, wyprowadzał na scenę postacie z któremi się żył, które gorąco ukochał, pełne żywotności i siły. Autor nie radzi powieściopisarzom francuzkim naśladować ślepo Anglików, zaleca im tylko, aby na wzór pisarzy angielskich, założyli sobie jako cel, zbadać do gruntu lud, aby wniknęli duchem w te głębokie warstwy społeczne, gdzie człowiek samodzielnie wyrabia się i odradza, gdzie żyje pełnym życiem. „Zapomnijmy—mówi on—o książkach tysiące razy przerabianych; bądźmy nareszcie sobą, poznajmy czém są drudzy. Wyciśnijmy na utworach naszych osobiste piętno; tym sposobem odrodzimy literaturę!”

Krytycy francuzcy podjęli te wyrazy; widzą w nich jakoby testament profesora, zasługujący na powszechną uwagę.

W paryzkim teatrze rozmaitości pojawiła się nowa komedyo-opera w trzech aktach *La boulangère à des écus* (pieniężna piekareczka). Muzykę skomponował Offenbach, libretto ułożyli panowie Meilhac i Halevy; za treść posłużyła im stara piosenka, zrodzona od dwóch wieków na bruku paryzkim, o bogatej piekareczce, strojnėj zawsze w brylanty i złotogłów, którą wygalowani słudzy nosili w lektyce od domu do domu, kiedy wierna zawodowi swemu, opatrywała w chleb liczną klientellę. Ale serca nie kupić za złoto! bogata piekareczka kocha bez wzajemności młodego perukarczyka, pięknego jak Apollo; ten zaś obojętném okiem patrzy na jēj dukaty, gdyż uboga Antosia trzyma go od roku w swych siódlach. Ów perukarczyk daje się wciągnąć do zamachu na księcia Orleanu, ówczesnego regenta Francyi. Złapany na gorącym uczynku, byłby przypłacił głową, gdyby nie czynne wdanie się dwóch zakochanych kobiet, których łzy i błagania, skruszyły serce czułem na wdzięki rejentowi.

Ale nie o treść sztuki nam tu idzie, ani też o melodye Offenbacha. Sztuczka to jakich tysiące; może na chwilę zabawić oko i ucho, z żadnego przecież względu nie zasługuje na szczegółowy rozbiór. Jeżeli mówimy o niěj, to dlatego, że dała powód do gorącej protestacyi poważnego krytyka, który tą właśnie protestacyą dowiódł, że godnie podjął pióro po Juliuszu Janin.

Autorowie sztuki należą do tēj szkoły realistów, która wzięła sobie za cel ośmieszyć każdy szlachetny popęd; wyszydzić wszystko co technie wstrętnym dla niěj idealizmem. Wierni zasadzie swojėj wypowiedzieli ją śmiało przez usta perukarczyka.

— Co cię skłoniło do tak szalonego kroku?—pyta zakochana piekareczka.

— Albo ja wiem?—odpowie zagadniony—są chwile kiedy człowiek gotów zrobić głupstwo! ot tak sobie dla fantazyi. Ludzie zowią to entuzjazmem!

— Krytyk Caraguel, silnie zachwycił autorów za słowo.

„Nie ważmy się szydzić z zapału! woła on z najwyższem oburzeniem, nie ważmy się obracać w śmieszność szczytnych popędów duszy ludzkiej! Dość już dzienników podjęło to nikczemne zadanie. Teatr niech się nie mięsza do téj sprawy! Cóżby w nas pozostało wielkiego i szlachetnego, gdyby interes osobisty miał się stać jedynym bodźcem czynów naszych; gdybyśmy dla uniknienia nazwy szaleńców i głupców, nie znali innego prawa w postępowaniu, jedno zimną rachubę? Dzielny d'Assas w Clostercamp, Joanna d'Arc na stosie, byli za zapaleńcami! Uszanuj owe szczytne szaleństwa, których pojąć nie możesz nędzny perukarczyku! Spełniłeś niedorzeczność, ale wara ci bluźnić przeciw entuzjazmowi! ciesz się raczej żeś uszedł stryczka jak na to zasłużyłeś!“

Meilhac i Halevy wściekają się z gniewu, dotknięci do żywego. Uczuli znać że twardy pocisk rzucony w twarz perukarczyka nie do niego był wymierzony! Szkoła ich silnie już zachwiana w posadach, dzięki poważnym pisarzom, którzy nie lękają się wystąpić śmiało przeciw prądom nihilistycznym!

Wyszły z druku dwie nowe powieści Georges Sand: *Flamarande* i *Dwaj Bracia*, dosyć obojętnie przyjęte przez publiczność francuską. Przedmiotem pierwszej miłość, syn niewyczerpany temat autorki, miłość w mniemaniu jęj niewinna, bo w duchu tylko rozrywająca świętość małżeńskich związków. W zamku Flamarande, najeżonym w błanki i baszty, mieszka piękna hrabina Rolanda z przyjaciółką, pod argusowem oknem starego sługi, który w niebytności hrabiego, czuwa nad powierzonym mu skarbem. Mimo tak pilnej straży, dzięki zręcznej przyjaciółce i tajemnym przejściom podziemnym, Rolanda znudzona samotnością, przyjmuje częste odwiedziny sąsiada. Dwie płomieniste dusze pojmują się nawzajem. Platoniczna ich miłość trwa lata całe, przestaje być wrzeszczającą tajemnicą dla domowników i sąsiadów, dla podejrzliwego nawet hrabiego. Byłoby zapewne przyszło do katastrofy, gdyby nie śmierć małzonka. W zwyczajnym trybie rzeczy, śmierć ta powinna rozciąć gordyjski węzeł i utatwić związek zakochanych. Autorka inaczej rzecz pojmuje. Bohaterka jęj, uwolniona z ciężkiego jarzma, czuje potrzebę rehabilitacyi; dla ocalenia czci własnej, wyrzeka się szczęścia, co więcój, skłania ukochanego do zaślubienia wiernęj przyjaciółki.

Druga powieść: *Dwaj bracia*, jest dopełnieniem pierwszej. Ci dwaj bracia to synowie Rolandy. Podejrzliwy hrabia wyrwał starszego z objęć macierzyńskich, wysłał go potajemnie w góry Auvernii, ogłosiwszy śmierć jego przed światem. Tajemnica znana tylko starszemu studze. Młodzian chowa się przy ognisku pocziwych kmieci, wy-

rasta krzepko i zdrowo, pojmując w małżeństwo córkę swych opiekunów. Kiedy nareszcie stary sługa, przekonany o niewinności pani swojej, tknięty niewczesnym wyrzutem, wynajduje młodzieńca, ten szczęśliwy ze stanu swego, zrzeka się praw rodowych, oddaje młodszemu bratu całe mienie, pozostaje przy pługu i roli. Autorka pokazuje dwóch braci obok siebie, w kilku zarysach kreśli tak fizyczny jak psychologiczny ich obraz, uwydatnia zupełną sprzeczność. O ile wychowanek miasta słaby, nerwowy, chorobliwy, o tyle wychowanek gór krzepki, szlachetny, gotów do poświęcenia. Druga powieść nierównie wyższą myślą od pierwszej, styl obudwóch pełen życia i barwy, jak we wszystkich utworach Georges Sand.

Henryk Stanley, następca Liwingstona w poszukiwaniu źródeł Nilu, prowadzi rzecz na sposób amerykański, z całą energią, szafując życiem jednostek, nadstawiając śmiało własną pierś, byleby cel został osiągnięty. Raport jego nadesłany świeżo do Anglii w raz z mapą, jest dziś przedmiotem żywych rozpraw w Towarzystwach Jeograficznych, tak w Londynie jak i w Paryżu. Z mapy tej pokazuje się, że jezioro Wiktorya-Nyanza, do którego dotarł śmiały podróżnik, jest raczej morzem wewnętrznym, długość jego bowiem wynosi 230 mil angielskich, szerokość 180. Stanley zaraz po wyprawieniu rapportu miał rozpocząć żeglugę po tém morzu, małym parowcem sprowadzonym z Anglii.

„Dziwne powieści pisze on, krążą o krajach ponadbrzeżnych, co mnie tém bardziej zaciekawia. Jedni rozповідаją cuda o ziemi zamieszkałej przez kartów, inni znów prawią niestworzone rzeczy o olbrzymach i o psach niestychanej wielkości. Nie uwierzę tym bajkom, dopóki nie ujrzę ich na własne oczy, co też nastąpi niezadługo.“

Tryumf amerykańskiego eksploratora, drogo już opłacony. W ciągu trzech miesięcy, jak pokazuje rapport, z trzechset ludzi, z którymi rozpoczął wyprawę, stracił z górą stu czterdziestu, jużto w utarczkach z tubylcami, już na rozmaite choroby, spowodowane klimatem. Nowo-Yorski Herold, główny promotor ekspedycji dostarczy zapewne nowych ochotników, do prowadzenia wielkiego dzieła.

Powiał w tej chwili na Paryż jakiś prąd allegoryczny, pojawiły się razem dwie książki, odmienne treścią i formą, lecz zbliżone pomysłem. Pierwsza z nich przez Ludwika Rimbaud nosi tytuł: *La République de Martin*. Ów Marcin, potomek Platona po kądzieli, zakłada w jakimś zakątku Francji, rzeczpospolitą idealną, ale w sprzeczności z utopistą greckim, nie pozwala aby państwo pochłonęło jednostkę. Rzeczpospolita jego ma charakter federacyjny, każdemu tu wolno działać i myśleć na swój sposób, każdy ma prawo wykrzyknąć gdy zechce: *Niech żyje Republika!* kobiety wygnane z owęj społeczeństwa, jak nigdyś pocię przez Platona, aby nie burzyć spokoju obywatelom. Każdy ma swoje zajęcie: jeden trudni się botaniką, drugi ogrodnictwem, trze-

ci łowi ryby na wędkę. Wszyscy rozprawiają szeroko o literaturze, o sztukach pięknych, o filozofii, szczególnie zaś o polityce; potracają tysiące przedmiotów, nikt jednakże nie działa: w doskonałym stanie społecznym, potrzeba działania ustaje. Mnóstwo tu paradoksalnych alluzyj.

Dowcipniejsza jeszcze książka p. Thiandiere, *Podróż Lorda Humour do kraju Retrogradów*, a szczególnie na wyspę *Servat-Abus*. Tubylcami tej wyspy, zgrabne czworonożne zwierzątka, z wysmukłą mordką i delikatnym węchem, kłótlive, krzykliwe, niesforne, w tém zgodne tylko z sobą, że wszystkie nie chodzą naprzód, ale w kierunku wstecznym nakształt raków. W innych rzeczach zupełny rozbrat. Jedne uprawiają na grządkach kwiat lilii, drugie hodują w gnieździe orła, inne pyszną się swym kogutem, inne wreszcie pielęgnują drzewo o dwóch konarach. Lord Humour, istny Guliwer zabłąkany wśród tych zwierzątek, patrzy na wszystko z podziwieniem, i rzuca złośliwe sarkazmy.

Ogólny popęd do stawiania pomników wielkim mężom, oddziałał i na Szkotów. Postanowili oni zbudować narodowy pomnik Robertowi Bruce'mu, pogromcy króla Edwarda, Bruce'mu, który na długo wyswobodził Szkocję od najazdów angielskich, i zapewnił jój byt niepodległy pod następcami swymi Stuartami. Pomnik ten stanie na wyżynach Stirlingu, panujących po nad równiną, gdzie stoczyła się walna bitwa, stanowcza w dziejach Szkocyi. Komitet pod prezydencją hrabiego Mar, zajmuje się zbieraniem składek. Zakupiono już miejsce. Rzeźbiarz George Cruichshank, ma wykonać posąg szkockiego bohatera: Poeci powołani będą zapewne do konkursu. Wielka postać Brucego, drgająca życiem w pieśni Walterskotta, wystąpi znów na widownię w nowym dramacie albo rapsodzie poetycznym. Sądzymy że komitet szkocki, nie położy poetom tak twardych warunków, jakimi komitet amerykański skrzępował przyszłych apologistów Washingtona, nie pozwalając im przypominać zatargów rzeczypospolitej z dawną metropolią!

Anglicy nie lękają się bynajmniej tych szkockich manifestacji: sam minister wojny, z urzędu swego bierze w nię czynny udział, pozwolił bowiem stawiać pomnik na wałach fortecy Stirlingskiej. Trojskiwość Szkotów o zachowanie drogich im pamiątek, dowodzi tylko, że szkocki naród przyjąwszy nazwę polityczną Anglików, domaga się przecież uznania własnej udzielnosci historycznej. Cecha to charakterystyczna epoki naszej, podczas gdy jedni, w imię tak zwanego postępu, chcieliby obalić wszelkie tradycye, drudzy tém żarliwiej wydobywają z głębokiej przeszłości, świadectwa indywidualizmu swego.

Wielki Dykcyonarz Littrego z upoważnieniem autora, wyszedł u Hachetta w nowém wydaniu, zredukowany do mniejszych rozmiarów przez profesora Beaujeau. Celem tego skrócenia było uczynić go dostępnym dla ogółu, a szczególnie dla szkół w zastępstwie przyjętego

dotąd słownika Noela. W tém skróconém wydaniu dykcyonarz mieści się w jednym tomie o 1300 stronicach. Pozostały w nim rodowody wyrazów, stare przenośnie, przysłowia i przypowieści, słowem cała historyczna strona języka, stanowiąca główne bogactwo wielkiej czterotomowej pracy, pierwszy raz bowiem obrobiona z taką ścisłą dokładnością.

Publikacyi téj przyklasnęli szczerze przeciwnicy pozytywnej szkoły Littrego, radzi że taż sama ręka, która podaje truciznę młodemu pokoleniu, podaje mu także antidot przeciw szkodliwym jój działaniom. „Historja wyrazów, mówi jeden z nich, p. Derome jest powrotem do tradycyi. Pan Littré, który w filozofii i ekonomii społecznej, wygłasza opinie radykalne i pozytywistyczne, przyczynia się znakomicie do podkopania przesądów jakimi szkoła filozoficzna XVIII wieku przywaliła przeszłość narodową. Reakcyja literacka, historyczna i religijna podniesiona przed sześćdziesięciu laty przeciw nihilizmowi i lekkomyślności encyklopedystów, znajduje dziś w p. Littrém niespodziewanego sprzymierzeńca. Potęga prawdy tak jest wielką, że nażytek jój pracują nieraz najzagorzalsi jój przeciwnicy!”

Wyszedł z druku czwarty zeszyt: *Dykcyonarza starożytności greckich i rzymskich*. Przepyszna ta publikacyja Hachetta, ozdobiona drzeworytami, prowadzona pod kierunkiem najznakomitszych archeologów dzisiejszych, zasługuje na szczegółowe sprawozdanie. Zostawiając je na później, powiemy dziś tylko, że pod wyrazem astronomia znaleźliśmy ciekawy artykuł z podpisem Th. H. Martin. Uczony ten przypomina, że Kopernik i Galileusz mieli w starożytnej Grecyi poprzedników, jak oni pomówionych o bezbożność. Teoryja Ptolomeusza i jego szkoły uważaną była w owym czasie za bluźnierstwo przeciw bogini Ziemi, jako naznaczająca jój podrzędne stanowisko!

Francya straciła w tych czasach głośnego rzeźbiarza Jana Carpeaux; imię jego nie przebrzmi w Paryżu. przypominać je będzie ów sławny *Taniec* na frontonie Wielkiej opery. *Taniec* ten wywołał przed laty kilku gwałtowną protestacyją tak pism jak publiczności. Paryż rozdzielił się na dwa obozy: była to powtórzona walka klasyków z romantykami. Rzeźba więcj niż inne sztuki zachowała tu piętno greckiego pochodzenia, trudno jój było zerwać z klasyczną tradycyją: powracała do niej bezustanku. Zerwał tę tradycyję Flamandczyk Carpeaux współrodak i zwolennik Rubensa. W pojęciu jego główném zadaniem sztuki było ożywić martwy kamień, przedstawić życie w ruchu; piękność formy stawiał na drugim planie. Francuzi, nieodrodnii synowie Ateńczyków, dla których piękno wszyskciem, nie mogli zrozumieć tych zbyt r.alnych baletniczek rozpląsanych na frontonie opery; protestowali téż gorąco w imię znieważonego ideału. Inni znów krzyknęli *veto* w imię obrażonej moralności. „Niechajby, mówiono, ów *Taniec* zachowany był w muzeum, jeśli na to zasługuje, godziż się wysta-

wiać go na placu publicznym, którego nikomu pominąć niepodobna? Walka skończyła się na niczym: Taniec figuruje tryumfalnie na gmachu opery, ale tak wysoko, że szczegóły giną dla oka; rysują się tylko ogólne linie grupy rażące smak dysharmonią.

Carpeaux umarł w czterdziestym dziewiątym roku, w chwili najsilniej rozbudzonej twórczości artystycznej. Gdyby umiał być idealizować to życie co tak potężnie tryskało z pod jego dłuta, byłby zapewne pierwszym rzeźbiarzem swego czasu. Ostatnim z wielkich jego utworów, jest kolosalna grupa zdobiąca wodotrysk po za ogrodem Luksemburskim. Grupa ta przedstawia cztery części świata, w postaci czterech kobiet podtrzymujących kulę ziemską.

Instytut Francuzki odbył doroczne posiedzenie, pięciu połączonych Akademii. Jak zwykle rozpoczęło je słowo współczucia dla członków zmarłych w przeciągu roku: do tych należy nieodżałowany nasz Eichhof.

Rozdawano następnie nagrody, Największą z nich fundacyi cesarza Napoleona III, w ilości 20,000 franków otrzymał Paweł Bert professor Sorbony, za naukową pracę: *o wpływie powietrza na fenomena życia*. To dzieło według słów sprawodawcy, stawia uczonego profesora w rzędzie najpierwszych fizyologów tej epoki, którzy odkryciami swemi posunęli naprzód naukę.

Nagrodę Woleya za prace lingwistyczne, wraz z medalem złotym, otrzymał marynarz, p. Aymonier, za Dykcyonarz języka francuzko-kambodzkiego, drukowany w Saïgon w roku 1874. Słownik ten ważny szczególnie dla kolonistów francuzkich w Kochinchinie.

Członkowie pięciu Akademii, przemawiali kolejno. Marmier, który w licznych podróżach przebiegł wielką część kuli ziemskiej, pokazuje *Dom* u rozmaitych ludów, przemieniający się w miarę potrzeb miejscowych, lub stopnia cywilizacyi, z ciemnej pieczary, albo wydrążonego pnia, w budowlę mniej więcej okazałą. Mówca, kończy obrazem małej osady nowożytnych Lakustów południowej Ameryki, na jeziorze Marakaïbo zwanój Wenezuelą, z powodu że jak królowa Adryatyku zbudowana cała na palach. Tę osadę założyli Indyanie, gorliwi wyznawcy wiary katolickiej. Pobudowali oni domki na jeziorze, nie z obawy drapieżnych zwierząt, ale z powodu olbrzymich komarów, które legą się na nadbrzeżnych moczarach, ale uciekają z pełnej wody. Wpływ religii ukagodził umysł tych Indyau, przeistoczył do gruntu ich charakter. Marmier widział ich na własne oczy, podziwia ich zgodę i jedność. Wielki to przykład, dla racjonalnych ekonomistów Ameryki północnej, którzy zalecają wytepienie czerwonoskórców, i nieludzką teorię swoją w imię filantropii wprowadzają w praktykę!

Po Marmierze, Zeller członek Akademii nauk moralnych i politycznych, dawny rektor uniwersytetu Strasburskiego, odczytał dramatyczny obraz zapasów Grzegorza VII-go z cesarzem Henrykiem IV tym.

Jest to ustęp z trzeciego tomu dzieła o Germanii. O dwóch drukowanych już tomach téj znakomitej pracy, wspominaliśmy w swoim czasie,

Zakończył posiedzenie komendant Mouchez z Akademii Nauk, wysłany w roku zeszłym, przez tęż Akademią na daleką a pustą wyspę St. Paul, dla obserwacyi nad przejściem planety Wenus przez tarczę słońca. Dzielnym marynarz, z niepospolitą wymową skreślił obraz téj nowożytnéj odyssey, przedsięwziętej w imię nauki, i doprowadzonej szczęśliwie do końca, pomimo sprzysiężonych żywiołów.

W chwili gdy to piszemy, Akademia francuzka zabiera się do uroczystego rozdania nagród konkursowym laureatom. W przyszłej kronice zdamy sprawę z dzieł uwieńczonych.

Z DZIEDZINY PRZYRODOZNAWSTWA

I.

„Księżyc uważany jako planeta,“ dzieło Nasmytha i Carpentera.—Ostatnio rezultaty naukowe dotyczące budowy i natury towarzysza Ziemi.—Budowa fotosfery słonecznej.—Obrót planet.—Planetoidy odkryte w latach 1873/4.—Nowa klasyfikacya komet, przez Proctora.—Komety r. 1874.—Świetna kometta Coggia.—Miscellanea.

Od wieków Księżyc zajmuje uwagę uczonych astronomów, a pomimo to bardzo nie wiele wiemy o nim z matematyczną pewnością, jakkolwiek towarzysz planety naszej jest najbliższym Ziemi. Wiele kwestyj, odnoszących się do jego fizycznój budowy, pozostaje dotąd nierozwiązanych, i jak tyleż tajemnic natury budzi ciekawość uczonych.

Zanim jednak rzucimy dorywczy szkic rezultatów, do jakich doprowadziły ostatnie prace uczonych nad Księżycem, nie możemy nie powiedzieć słówka o najświeższej publikacyi, tego ciała niebieskiego dotyczącej. Mówimy tu o dziele pp. Nasmyth i Carpenter, które w roku zeszłym wyszło na widok publiczny, a noszącém tytuł: „Księżyc uważany jako planeta, świat i satelita,“ ¹⁾ z 24 illustrowanemi tablicami, oraz licznemi drzeworytami.

Illustracye tego dzieła są bardzo znakomite. Takiéj dokładności rysunku, nie posiadało dotąd żadne dzieło. Nasmyth bowiem, niezadowolony z rysunków, które gromadził przez wiele lat, wielokrotnie je sprawdzał i poprawiał. Dokonywał tego w ten sposób, iż budował modele pewnych części powierzchni księżycowój, które będąc wystawione na działanie silnego światła, świecącego na nie pochyło,

¹⁾ „The Moon considered as a Planet, a World, and a Satellite.“ By James Nasmyth C. E., and James Carpenter, F. R. A. S. With 24 illustrative plates of lunar objects, phenomena, and scenery, and numerous woodcuts. London 1874.

tworzą ciągle zmieniające się skutki światła i cienia, obserwowane przez teleskop. Modele te następnie fotografował i takim sposobem utworzył najdokładniejsze fotografie zjawisk księżycowych, jakie kiedykolwiek były wydane.

Mówiąc o Księżycu, zaznaczyć musimy przedewszystkiém główne punkta, w których selenologia różni się od geologii, czyli raczej główne skutki, których doświadczył na sobie Księżyc w czasie przeszłym, a które różnią się od skutków, jakich doznała Ziemia. Pomiędzy niemi pierwsze miejsce zajmuje ta okoliczność, iż na Księżycu znać wyraźne ślady wulkanicznego działania, w rozmiarach, przechodzących wszelkie nasze pojęcie o tej kwestyi. Świadczą o tém kratery, mające kilkanaście mil średnicy, a jeżeli płaszczyzny otoczone wysokimi ścianami uważać będziemy za kratery, wtedy średnice tych kraterów dochodzą do 70 mil geograficznych. Przymiędzy działanie wulkaniczne nie ogranicza się do pewnych punktów, nie jest rozrzucone tu i owdzie, ale obejmuje ogromne przestrzenie na całej powierzchni naszego satelity.

Po tych dowodach wulkanicznego działania, dostarczanych przez kratery i wysokie płaszczyzny otoczone ścianami, z kolei idą jasne pasy, które ciągle niepokoiły obserwatorów. Te ostatnie, jak widać, w rozmaity sposób oświetlają powierzchnię Księżyca, rozchodząc się w postaci promieni z wielu kraterów na całe setki mil. O nich to w dziele pp. Nasmyth i Carpenter ¹⁾ powiedziano:

„Są liczne przykłady tych jasnych systemów pasów na widzialnej półkuli Księżyca ²⁾: najbardziej widoczne z tych kraterów są Tycho, Kopernik, Kepler, Arystarch, Menelaus i Proklus. W ogóle te kratery ogniskowe mają wały i wnętrza, odznaczające się tym samym szczególnym, jasnym, czyli w wysokim stopniu odbijającym promienie światła materiałem, wykazującym, zwłaszcza w czasie pełni, ten sam zadziwiający blask; wśród innych warunków oświetlenia, nie są tak uderzające. W czasie pełni, albo w miarę zbliżania się tej fazy Księżyca, pasy te zdają się przebiegać płaszczyzny, góry, kratery i wszelkie nierówności, idąc bez względu na wszelkie przeszkody, jakie przypadkowo znajdują się na ich urodze. Najbardziej uderzający jasny system pasów wychodzi z wielkiego krateru, noszącego nazwę Tycho. Pasy, które mogą być łatwo odróżnione w tej grupie, obejmują przeszło dwadzieścia mil, podczas gdy niektóre z nich mogą być śledzone na przestrzeni przeszło 120 mil od swego centralnego punktu. Te, które znajdują się około krateru Kopernika, jakkolwiek mniej godne uwagi pod względem rozciągłości, niż wychodzące z krateru Tycho, pomimo to pod wielu względami zasługują na staranne badanie; są tak liczne, iż niepodobna określić ich liczby, i wszelkie usiłowanie rozróżnienia ich rozkładu jest bezowocne.“

¹⁾ Op. cit., pag. 133.

²⁾ Jak wiadomo, tylko jedna połowa tego satelity jest stale zwróconą ku Ziemi.

Ostatnie wyjątkowe zjawiska, o których wspomnieć tu wypada, stanowi ta okoliczność, iż towarzyszy naszej planety, jak utrzymują niektórzy, nie ma wcale atmosfery: ani chmur, ani mgieł nie widziano nigdy na Księżycu, a w czasie zakrywania gwiazd i planet przez to ciało niebieskie nie było takich skutków, jakieby koniecznie miały miejsce, gdyby jakakolwiek atmosfera, podobna do naszej atmosfery ziemskiej, istniała na towarzyszu naszej planety. Tego zdania przynajmniej są pp. Nasmyth i Carpenter. Zobaczymy niżej, co sądzą o tem inni.

Jakkolwiek większą część tekstu w mowie będącego dzieła stanowi wykład zjawisk astronomicznych, jest tam jednak i znakomity rozbiór topografii Księżyca.

W rozdziale III szczególna uwaga zwrócona jest na obserwacye, dążące do wykazania, że surowiec żelazny, a nawet żużel i lava, wydzielają się w czasie oziębiania. „Ogólna zasada zjawiska w mowie będącego jest ta: Że substancye topliwe są (z małemi wyjątkami) gatunkowo cięższe w stanie stopionym, niż w stanie stałym, czyli innemi słowy, że stopiona materya zajmuje mniej przestrzeni, aniżeli ta sama materya, kiedy przejdzie ze stanu płynnego w stan stały. Wynika ztąd jasny wniosek, że takie substancye ściągają się w czasie przejścia w stan płynny, oraz rozszerzają się wtedy, kiedy przechodzą w stan stały. Właśnie to rozszerzanie się w czasie przechodzenia w stan stały zasługuje na uwagę.

„Woda, jak wiadomo, zwiększa swoją objętość w czasie oziębiania się, aż dosięgnie temperatury 39° Fahrenheita ¹⁾, poczem, przy dal szym niżaniu się temperatury, gęstość jej zaczyna się zmniejszać, czyli innemi słowy, jej objętość rozszerza się, i ztąd pochodzi dobrze znany fakt, że lód, jako gatunkowo lżejszy, pływa po wodzie, oraz inny fakt, że rury napełnione wodą pękają w czasie mrozu. To działanie wody jest wagi nadzwyczajnej w wielkiem gospodarstwie przyrody, i przyjmują je jako dziwny wyjątek od ogólnego prawa substancyj zwiększających gęstość swoją (t. j. ściągających się) w miarę niżania się temperatury. Wszakże woda wcale nie jest wyjątkową substancją, o której tak sądzono. Jestto fakt bardzo dobrze znany fabrykantom żelaza, że kiedy massa surowca w stanie stałym zostanie włożona do naczynia napełnionego płynnem żelazem tego samego gatunku, to pływa stale po jego powierzchni, do tego stopnia, że kiedy przez umyślne popchnięcie upadnie na dno, bezzwłocznie występuje na powierzchnię płynu, jak tylko przyczyna, która spowodowała popchnięcie, przestanie działać ²⁾.”

A dalej powiadają autorowie ¹⁾: „To zwiększenie objętości, jakie towarzyszy przejściu w stan stały materyi stopionej, dostarcza klucza do rozwiązania zagadki działania wulkanicznego; i teorye takie, które zależą od działania gazów, par, albo wody, nie dadzą się zastosować

¹⁾ $39^{\circ} F. = \frac{(39 - 32) \cdot 5}{9}$ czyli $3\frac{1}{2}^{\circ} R.$

²⁾ Op. cit., pag. 20.

w żaden sposób do Księżyca, gdzie, jak się zdaje, nie ma wcale gazów, par albo wody.”

Przy objaśnianiu przyczyny podnoszenia się, oraz jego skutków, pp. Nasmyth i Carpenter przyjmują ciśnienie w kierunku stycznym. „Kiedy stopione podścielisko, powiadają, wystąpiło poza swoje granice, wyrzuciło zbyt dużą materię i wytworzyło zjawiska wulkaniczne, musiał, po przywróceniu stanu stałego, nastąpić normalny proces ściągania się w miarę zniżania się temperatury, i ustępowanie od zewnętrznej skorupy. Zastanówmy się obecnie, jaki byłby tego rezultat. Widocznie zewnętrzna powłoka czyli skorupa stałaby się stosunkowo za gruba, aby pozostawać wszędzie w ścisłym zetknięciu z materią pod nią leżącą. Następstwo zbyt grubej, stałej skorupy, mającej stosować się do ściągniętego ciała, znajdującego się poniżej, jest takie, że zewnętrzna warstwa materii stałej staje się pogiętą i połamaną w na przemian idące fałdy i poniżenia.”

Wyjątki powyższe dają pojęcie o poglądzie autorów na ogólne zjawiska, towarzyszące oziębianiu się skorupy. Niema atmosfery, skorupa, w miarę oziębiania się, rozszerza się i pęka; przez te szczeliny płyn, znajdujący się wewnątrz, bywa wyrzucany, a w końcu ciśnienie styczne dokonywa reszty.

Zaznaczwszy pojawienie się tej książki, która w każdym razie należy do najznakomitszych dzieł, tego rodzaju kwestye rozbiegających, zajmijmy się nieco bliżej Księżycem, przedstawiając w ogólnych zarysach ostatnie rezultaty, tego ciała niebieskiego dotyczące.

Nie zostało dokładnie wyświetlonym, czy powierzchnia Księżyca podlega zmianom tak wielkim, któreby były dostrzegalne dla mieszkańców Ziemi. Przed kilkoma laty jedna okolica Księżyca, prawdziwie charakterystyczna, wyglądem swoim obudziła powtórnie tę kwestyę, porzuconą od pewnego czasu. Okolice ta nosi nazwę Platon i leży na półkuli północnej, niedaleko południka przechodzącego przez środek tarczy księżycowej. Jest to wyżyna kołowa, szeroka na 97 kilometrów; dokoła niej wznosi się wał wysoki na 1200 metrów, przerwany na czterech punktach różnych przez obeliski piramidalne, które nad nim wznoszą się jeszcze na jakie 1000 metrów, dochodząc takim sposobem swojemi wierzchołkami do wysokości przeszło 2000 metrów nad płaszczyznę otaczającą. Podobna budowa ogólna daje początek szczególnemu następstwu pasów ciemnych i jasnych, specjalnemu systemowi świetnych bródz, które splatają się i biegną przez okolice stosunkowo ciemniejsze.

Właśnie te pasy, w rozmaity sposób oświetlone, w ciągu czasu od r. 1869 do 1871 ulegały bardzo wybitnym zmianom. Niektórzy utrzymywali, że aby sobie zdać z nich sprawę, nie dosyć jest uciekać się do różnego sposobu, w jaki Słońce oświeca rozmaite okolice księży-

1) Op. cit., pag. 27.

cowe, ale potrzeba wyprowadzać je ze zmian rzeczywistych i dostrzegalnych, jakie mają miejsce na powierzchni Księżyca. Na nieszczęście fakta zaobserwowane nie mogły przekonać nawet najbardziej stanowczych uczonych, i ci, aby powziąć postanowienie stałe, oczekują nowych faktów, któreby dostarczyły podstawy i pewności matematycznej.

W roku 1874 inna okolica księżycowa zwróciła na chwilę uwagę astronomów. Chodzi tu o mały krater, noszący nazwę Linneusz. Jest to biała plama, znajdująca się na tarczy Księżyca niedaleko od Platona. Jój wygląd oraz wielkość jój wymiarów nie zawsze są jednakowe. Linneusz czasami jest wyraźny, a jego kontur i kształt ogólny, dające się porównać niejako do płytkiego półmiska, uderzają odrazu w oczy; wtedy zdaje się, jak gdyby był otoczony obłokiem, i podczas gdy sąsiadujące z nim małe kratery widać jak najwyraźniej, w Linneuszu nie można odróżnić nic innego nad plamę mglistą i niewyraźną. Czy biała plama, z której powstaje Linneusz, znajduje się w stanie ciągłych zmian? Huggins, który ją obserwował w r. 1867 za pomocą refraktora o otworze 20 centymetrów i lunety powiększającej średnicę 500 razy, a w r. 1873 innym refraktorem (38 centym.) i lunetą nierównie potężniejszą, przekonany jest, że różne wyglądy Linneusza zależą jedynie od różnych sposobów, z pomocą których oświetcany bywa przez Słońce w czasie różnych faz księżycowych, i że od czasu Schrötera (1788 r.) utrzymuje się w stanie niezmiennym. Wszakże to nie wystarcza do rozwiązania w sposób przeczący kwestyi zmienności powierzchni księżycowej, która pozostaje dotąd w zawieszaniu, i do rozwiązania jój najwięcej pomogłyby mapy księżycowe nadzwyczaj dokładne. Mappa Mädlera i Beera, najszacowniejsza, jaką dziś posiada nauka, głównie w szczegółach jeszcze cokolwiek do życzenia pozostawia. Na nieszczęście karta przygotowana przez Schmidta, dyrektora obserwatorium ateńskiego, a która kosztowała autora 34 lata pracy, z powodu przeszkód czysto-finansowych, dotąd jeszcze nie została wydana. Ci, którzy ją widzieli, nadzwyczaj cenią jój dokładność. Rzeczywiście jest to fakt bardzo smutny, że tak mozolna, przez tyle lat prowadzona praca nie znajduje wydawcy!

Ale kwestye dotyczące Księżyca, jakieśmy tu już widzieli przy rozbiórce dzieła panów Nasmyth i Carpenter, nie zatrzymują się na zmienności czy też niezmienności powierzchni księżycowej, na które nauka dotąd stanowczo nie odpowiedziała. Jaka jest jego temperatura, jaka jest siła promieniowania ciepła ku Ziemi? Nie znamy bezwzględnej wartości téj temperatury; nie wiemy dobrze, czy ciepło wydzielane przez promieniowanie, oraz blask księżycowy podlegają temu samemu prawu wzrostu i zmniejszania się. Lord Rosse zakomunikował królewskiemu Towarzystwu astronomicznemu w Londynie, iż pracował nad tém zagadnieniem przy pomocy całej potęgi i dokładności środków obserwacyjnych, jakich mógł użyć. Znalazł z pomocą tych doświadczeń, że tafła szklana, przepuszczająca 80% promieni słonecznych, nie przepuszcza więcj nad 10% promieni księżycowych; że zatem następuje wielkie pochłanianie promieni słonecznych, wprzód nim te

ostatnie ulegną irradycacji na powierzchni towarzysza naszej planety. Dalej lord Rosse znalazł, że ciepło księżycowe, przepuszczone przez tafłę szklaną w czasie pełni, wyraża się ułamkiem 0.17, i przeciwnie ułamkami 0.13, 0.11, 0.10, kiedy Księżyc znajduje się w odległości kątownej od pełni na 22, 45 i 67 stopni; że kiedy ciepło księżycowe, przepuszczone przez tafłę szklaną, wzrasta w czasie zbliżania się faz księżycowych do swego maximum, to samo ciepło zmniejsza się mniej szybko niż blask podczas oddalania się Księżyca od głównych faz. Astronom angielski stara się objaśnić ten fakt przypuszczeniem, że ciepło wysłane przez Słońce na powierzchnię Księżyca ulega zupełnej irradycacji, światło zaś tylko częściowej. Co się tyczy ciepła na powierzchni Księżyca, to lord Rosse ocenia je na 10° w czasie nowiu i 81° w czasie pełni, (nie wiemy tylko na pewno, czy według termometru Fahrenheita, czy też według innego termometru liczone są te stopnie), ale cyfry te są bardzo niepewne.

Powiedzieliśmy już z okazji dzieła panów Nasmyth i Carpenter, co sądzić należy o atmosferze Księżyca. Najdokładniejsze obliczenia, dokonane na podstawie obserwacji w Greenwich, dowodzą, że promień Księżyca, otrzymany za pomocą i w czasie skrywania się gwiazd pod jego tarczą, jest o 2 sekundy łuku mniejszy, niżeli promień, otrzymany przez bezpośrednie mierzenie teleskopowe. Na to ostatnie wpływa irradycacja, mocą której oko przypisuje każdej kuli świetlnej średnicę pozorną większą, niż jest rzeczywistość. Na pierwsze oznaczenie, zależne od skrywania się gwiazd pod ciemną tarczą Księżyca, wpływać tylko może atmosfera księżycowa, jeżeli ta ostatnia istnieje.

W szeregu prac, przedstawionych królewskiemu Towarzystwu astronomicznemu londyńskiemu, Neisen dowodzi, że irradycacja księżycowa nie wystarcza do wyjaśnienia wspomnianej wyżej całej różnicy 2 sekund, że pozostaje jeszcze różnica około jednej sekundy, którą można tylko przypisać istnieniu atmosfery księżycowej. Autor bada, jakie cechy powinna mieć ta atmosfera, aby wywołać refrakcję, zdolną objaśnić zjawiska zauważone, i znajduje, że przy powierzchni Księżyca powinny mieć gęstość, której wartość wynosi 25 dziesięciotysięcznych tej, jaką nasza atmosfera ma na powierzchni ziemskiej ¹⁾.

Ale nie na tém kończy się szereg prac nad Księżycem. W licznych rozprawach swoich, dyrektor obserwatorium w Greenwich, Sir G. Airy, rozbiera różne teorie księżycowe, które postawili Clairaut, Laplace, Plana, Hansen, Delaunay, i podaje swoją własną, wychodząc w nią z wyrażen liczebnych Delaunay'a, jako liczb głównych. Ale to kwestye zbyt subtelne, nie mogące interesować czytelników „Biblioteki,“ i dla tego je obecnie pomijamy, odsyłając ciekawych do specjalnych pism ²⁾.

1) „Monthly Notices,“ 1878, XXXIV, 6—16.

2) Ob. między innemi „Monthly Notices,“ 1873, XXXIV, 1.

II.

Na tém miejscu powiemy słówko o naszej gwiazdzie centralnej, drugim z kolei ciele niebieskiem po Księżycu, ze względu na jego odległość od Ziemi.

Fotosfera słoneczna, widziana przez silny teleskop, przypomina nam powierzchnię wzburzonego morza: nierówną, ruchomą, nadzwyczaj zmienną. Nadewszystko zwraca uwagę ta okoliczność, iż pokryta jest wielką liczbą żywo świecących punktów, które występują na mniejszym jasnym tle całej tarczy słonecznej i które, z powodu swego nadzwyczajnego blasku, zdają się być niejako bezpośredniem i głównem źródłem światła i ciepła wydawanego przez Słońce. Punkta te mają wymiary bardzo rozmaite, w ogóle od 1 do 2 sekund łuku; przybierają wygląd i kształty również bardzo różne, najczęściej jednak dają w całości obraz ziarnka ryżu, i właśnie pod taką nazwą od wielu lat przedstawiane bywają we wszelkich rozprawach o Słońcu. Przed niezbyt dawnym czasem w ogóle sądzono, iż są one względem fotosfery słonecznej tém, czém są cząsteczki względem ciał.

W ciągu r. 1874 Langley, astronom amerykański, ogłosił rezultaty swoich obserwacji, które poprowadziły go do bystrzejszego zajrzenia w fotosferę Słońca i szczegółowego zbadania jęj budowy. Langley nie uciekał się w swoich obserwacjach do spektroskopu: patrzył wprost na Słońce za pomocą potężnego refraktora o otworze 33 cent., używając do pomocy innych jeszcze przyrządów. Szczególniejszą uwagę zwrócił na wspomniane wyżej *ziarna ryżu*, zamierzając badać ich liczbę i wymiary. Doszedł wszakże do rezultatów, które niezupełnie zgadzały się między sobą, i nie dały się pogodzić z błędami obserwacji, podług tego, czy były otrzymane za pomocą słabszych, czy też silniejszych narzędzi. Niebawem jednak odkrył przyczynę tego faktu, mającą swoje źródło w tém, że tak zwane *ziarna ryżu* nie są częściami składowemi fotosfery Słońca, ale że powstają same z elementów bardzo drobnych, które jednak nie mogły ujść przed silnym powiększeniem, jakiego dostarczał jego wielki teleskop.

Te części składowe *ziarn ryżu* Langley odróżnia mianem *ziarenek*; są to bardzo drobne punkciki rozrzucone po powierzchni słonecznej. Rzadko napotykają się odosobnione, częściej bywają połączone w grupy, po dwa, po trzy, po dziesięć i więcej, i wtedy dają początek *ziarnu ryżowemu*; albo też są rozmieszczone w długich szeregach, i wtedy tworzą te jasne rozgałęzienia nitkowate, łatwo dostrzegalne w półcieniach plam. Jakkolwiek te ziarnka mają być własny i niezależny, posiadają jednak bardzo wyraźną dążność do łączenia się, jak gdyby istniało pomiędzy niemi wzajemne przyciąganie. Nie zdaje się jednak, aby Langley pierwszy miał je zobaczyć; O. Secchi, lubo niewyraźnie, robi przecież o nich wzmiankę w pismach swoich. Wszakże Langley pierwszy zwrócił na nie szczególną uwagę i poddał je ciągłej, systematycznej obserwacji.

Blaskiem swoim *ziarnka ryżowe* przedstawiają się jak punkta ogniste na ogólném tle fotosfery Słońca. A taka jest różnica w blasku po-

między *ziarnkami* a przestrzenią otaczającą, iż zmuszeni jesteśmy szukać w nich głównego i bezpośredniego źródła światła słonecznego.

Jedną z głównych cech fotosfery Słońca stanowi jej nadzwyczajna ruchomość i zmienność. Materya jej ulega ciągłym ruchom, a poznanie natury tych ruchów stanowi jedno z głównych zadań fizyki słonecznej. Większa część obserwacji dokonanych przez Langleya doprowadziły go do przekonania, że materya fotosfery słonecznej unoszoną bywa przez prądy, poruszające się z góry na dół. Tylko w jednym przypadku, jak powiada, zauważył ruch przeciwny.

Pomimo to Langley jest zdania, że na Słońcu muszą istnieć częste prądy poziome, wywoływane przez ruchy wprost przeciwne, i sądzi, iż typowa forma prądów słonecznych jest cykloniczną, dodając, że działanie cykloniczne w plamach nie ulega najmniejszej wątpliwości.

Obserwacje te Langley wykonał za pomocą silnych teleskopów, i wyraża życzenie, aby i inne wielkie narzędzia były zastosowane do bezpośredniego dostrzegania zjawisk słonecznych.

III.

Professor Pierce starał się wyprowadzić z hipotezy nebularnej objaśnienie rzeczywistego obrotu planet około ich osi; a rozumując specjalnie co do Jowisza i Saturna, wykazuje, że wewnętrzna część pierścienia, zrzucona z obracającego się ciała centralnego, musiała mieć mniejszą prędkość, niż część zewnętrzna, w skutek czego musiało nastąpić złamanie pierścienia. Dowodzi za pomocą analizy matematycznej ruchów cząstek, stanowiących płynny pierścień, że prędkość powstającego obrotu musiała być taka, jaka obecnie została zauważona.

Planetoidy, które między Marsem a Jowiszem krążą około Słońca w orbitach zamkniętych i mało różniących się między sobą, a których liczba z każdym rokiem wzrasta, dochodzą obecnie do 148.

W ciągu 1873 r. odkryto ich sześć, do 134 włącznie. W ciągu 1874 r. odkryte zostały planetoidy (135), (136), (137), (138) i (139).

Spis planetoid w Astronomii Lockyera doprowadzony jest do (128) Watsona ¹⁾. Planetoidy Maja, Frigga, Dike, Klimena, Dyana, Kamilla, Felicyta, odkryte dawniej, zostały następnie zagubione, i dopiero w ostatnich latach odszukane na nowo. Utrata ich nie pochodziła wszakże z niedokładnego oznaczenia ich orbity, pracy mozolnej, której oddaje się nie każdy odkrywca planetoid, i którą zazwyczaj pozostawia innym.

IV.

Niektóre fakta naukowe są nieraz dziwniejsze, niż fikcyje, będące utworem najbujniejszej imaginacji. Wyrzeczenie to, sprawdzające się we wszystkich niemal działach nauki, stosuje się szczególnie do astronomii, a przedewszystkiem do części tej nauki, która odnosi się do komet. W ciągu ostatnich kilkunastu lat dokonane zostały

¹⁾ „Elementary Lessons in Astronomy,” by J. Norman Lockyer, London 1873 pag. 329.

najbardziej zadziwiający odkrycia, dotyczące tych tajemniczych ciał niebieskich, tych „cyganów systemu słonecznego,“ jak je nazwał Radau: wykryto związki, łączące je z innymi przedmiotami, których natura dawniej uważaną była za zupełnie różną, i obecnie, jak się zdaje, otwartą jest droga do rezultatów jeszcze bardziej zadziwiających, przy pomocy których umysł ludzki zagłębia się w nieskończoność przestrzeni i czasu. Ziemia, na której żyjemy—powiada Proctor ¹⁾, autor nowej klasyfikacji komet, przedstawianej w streszczeniu czytelnikom w niniejszym sprawozdaniu—a nawet cały nasz układ słoneczny zdaje się sprowadzać do nieznanych rozmiarów w porównaniu z olbrzymimi przestrzeniami, przebieganiami przez komety. Podobnie wszystkie okresy historii, nawet te, które służą za miarę istnienia naszej planety, wydają się być sekundami w porównaniu z niezmiernymi przeciągami czasu, jakie musimy brać pod uwagę przy badaniu zjawisk komet.

Jednym z najbardziej zajmujących punktów, jakie następują świeże odkrycia, dokonane na polu poszukiwań nad temi ciałami niebieskimi, jest właśnie kwestya klasyfikacji komet. Że nie wszystkie komety mogą być odniesione do tego samego szeregu, wątpliwości najmniejszej nie ulega, czy bierzemy pod uwagę ich wielkość, czy też kształt i rozciągłość ich orbit. Ale jak w klasyfikacji zoologicznej sama tylko wielkość uważana jest za mniej ważny punkt, niż inna jaka charakterystyczna różnica budowy albo nawet różnica rozmieszczenia, tak również w klasyfikacji komet same wymiary, niewielkie miałyby znaczenie, gdybyśmy nie mieli do czynienia z inną więcej charakterystyczną różnicą. Gdybyśmy np. przypuścili, że można podzielić komety na takie, które zawierają jądro, i takie, które go nie mają, to podobna klasyfikacja byłaby bardziej zadawalniająca, niż podział komet na różne rzędy, różniące się jedynie wielkością. Otóż jedną z najciekawszych kwestyj, jaka się nam następuje w astronomii komet, jest ta, czy własności wspomniane, obecność lub brak jądra albo ogona, są rzeczywiście charakterystyczne, czy też odpowiadają tylko różnicom rozwoju? Proctor oświadcza się za tą ostatnią opinią, a za przykład bierze komety Donatego. Stopniowa utrata tych dodatków, jakimi są *ogon* i *warkocz* ²⁾, przez komety Donatego, w miarę usuwania się jój w odle-

¹⁾ Rozprawa jego, nosząca tytuł: „Classification of Comets“ by Richard Proctor B. A. Cambridge, pomieszczoną była w Nr. 53 „Popular Science Review“ za rok 1874.

²⁾ Jaśniejsza część komety nazywa się *głową* albo *warkoczem*, który niekiedy mieści w sobie jeszcze jaśniejszą część, zwaną *jądrem*. *Ogon* jest mniej jasną częścią, wypływającą, że tak powiemy, z głowy komety. Jak zauważono na różnych kometach, ogon może być długi albo krótki, prosty albo zakrzywiony, pojedynczy, podwójny, potrójny, i t. p. Kometa z 1744 r. miała sześć ogonów, kometa z r. 1823 dwa. W niektórych kometach niema wcale ogona. Tak warkocz komety, jak i jój ogon są tak przezroczyste, że najmniej świetlne gwiazdy można przez nie widzieć, jak to wielokrotnie sprawdził Ol-

głą przestrzeń, zdaje się popierać ten pogląd. Ale nierównie silniejszego dowodu, popierającego opinię, że zewnętrzny wygląd komety jest rzeczą podrzędną, dostarczyła, jak wiadomo, kometa Halleya, w czasie swego powrotu w latach 1835 i 1836: kiedy bowiem przedstawiła się astronomom na półkuli naszej, w czasie swego zbliżania się do Słońca, z pięknym warkoczem i ogonem, widziana na półkuli południowej przez Herszla i Macleara, była nietylko bez ogona, ale i bez warkocza, zbliżając się wyglądem swoim do gwiazdy drugiej wielkości. Późem powoli odzyskała warkocz i zupełnie nowy ogon, ale ten ostatni nie był jednakowy przez cały czas, w ciągu którego widzialną była kometa.

Już na podstawie tego, cośmy dotąd powiedzieli, jasną jest rzeczą, że za podstawę klasyfikacyi komet nie może służyć ich wielkość. Opinia ta potwierdzona została jeszcze mocniej przez rozbiór widmowy tak wielkich, jak i małych komet. Rzecz tedy jasna, że klasyfikacya komet musi być oparta na innej podstawie.

Proctor, w przywiedzionej wyżej rozprawie, dzieli komety na trzy klasy, stosownie do natury ich dróg.

1). Są komety, które mają drogi takie, że czasy ich obrotu odpowiadają czasom, w których planety obracają się około Słońca. Ta klasa obejmuje wszystkie komety, opisane pod nazwą familii komet Jowiszowych, oraz wszystkie komety, pozostające w podobnym stosunku do Saturna, Urana i Neptuna. Inne komety, o peryodzie cokolwiek większym, niż familia komet Neptuna, mogą być uważane za pozostające w pewnym stosunku do nieodkrytych dotąd planet, których drogi leżą poza orbitą Neptuna, a tém samym za należące do téj samej familii komet.

2). Są komety o długich peryodach obrotu, ale których ruchy dowodzą najwidoczniej, że te ciała niebieskie należą do naszego systemu słonecznego, jak np. kometa Donatego, której powrotu do Słońca można się spodziewać w ciągu lat około dwóch tysięcy.

3). Istnieją wreszcie komety, których ruchy nie wskazują drogi schodzącej się, t. j. które nie tworzą linii zamkniętej. Te bywają dwóch rodzajów: pierwsze idą po drodze ciągle oddalającej się od Słońca, i w miarę swego oddalania się, coraz bardziej równoległej drogi, po której zbliżały się do naszej gwiazdy centralnej; drugie, oddalając się od Słońca, kierując się w stronę nieba zupełnie przeciwną téj, z której przybyły. Wyrażając się terminem technicznym, powiemy, że pierwszych orbity są paraboliczne, drugich hiperboliczne. W rzeczywistości jednak możemy odrzucić drogę paraboliczną, po której komety nigdy nie idą, podobnie jak po prawdziwie kołowej drodze nigdy w rzeczywistości nie idą planety. Możemy na pewno przyjąć, idąc za Proctorem, że wszelka kometa, która zdaje się iść po drodze parabolicznej, w rzeczywistości biegnie jużto po nadzwyczaj wydłużonej drodze owalnej (eliptycznej),

bers. Zaznaczając te fakta, pomijamy inne dawno znane, gdyż można je znaleźć we wszystkich podręcznikach astronomicznych.

a tym sposobem należy do klasy drugiej, już po drodze, usuwającej ją na zawsze w przestrzeń zewnętrzną *przybliżenie* w kierunku, z którego przybyła. Droga komety mogłaby jedynie, zdaniem Proctora, przybrać kształt paraboliczny chyba jakimś cudownym sposobem; a nawet gdyby jaka kometa zbliżała się do Słońca po takiej drodze, najmniejsza z zakłócających się, na jakie kometa byłaby wystawioną, wystarczaby do zmienienia jej drogi na formę albo eliptyczną, albo też na hiperboliczną.

Rozwijając dalej rzecz tę, Proctor w rozumowaniu swoim, którego tu powtarzać nie będziemy, dochodzi do kwestyi, czy możemy twierdzić, że są komety, które od najdawniejszych czasów, t. j. od początku systemu słonecznego, należały do niego, czy okresy ich były krótkie, czy też długie, podczas gdy inne komety przechodziły z innych systemów. Takim sposobem usiłowanie klasyfikowania komet prowadzi Proctora w tym przypadku do kwestyi pochodzenia czyli początku.

Rozbierając szczegółowo teorię Schiaparellego, którą, jako powszechnie znaną, pomijamy na tém miejscu, Proctor przechodzi do wniosku, że nie zyskujemy nic pod względem objaśnienia kwestyi, dotyczących komet, przez przyjęcie hipotezy Schiaparellego. Przyjmować, że materya kometowa błąka się po przestrzeni międzygwiazdowej, dopóki przyciągający wpływ Słońca nie pociągnie jej ku systemowi słonecznemu, jest to, jak powiada Proctor, objaśnić jedną trudność przez inną jeszcze większą, jest to objaśnić *obscurum per obscurius*; co większa, nie mamy nic na poparcie tego przypuszczenia. Przypuszczać z drugiej strony, że komety *przebiegły* przestrzeni międzygwiazdowej, przybywając do nas ze sfery działania innego słońca, jest to odsuwać trudność o jeden tylko stopień dalej. Wiemy, że komety przechodzą z obrębu działania naszego Słońca, aby zwiedzić jakie inne słońce, po podróży międzygwiazdowej nadzwyczaj długiego trwania; a przypuszczać, że komety, czy to o hiperbolicznej, czy też o eliptycznej orbicie, przybyły do nas pierwotnie ze sfery działania innego słońca, jest to tylko przypuszczać, iż to zdarzyło się tym kometom przed milionami lat, co jak wiemy zdarza się innym kometom w epoce obecnej, a wcale nie objaśnić natury komet albo ich początku. Wiele komet, powiada Proctor, które opuszczają nasz system dla zwiedzenia (?) innych systemów, nie miały początku w naszym systemie i nie możemy, ciągnie dalej, przyjąć za możliwe, a nawet za prawdopodobne, aby niektóre z pomiędzy komet, opuszczających nasze własne Słońce, miały początek w sferze działania naszej gwiazdy centralnej.

Tak więc Proctor dochodzi ostatecznie do wniosku, że czy przyjmujemy z Schiaparellim i innymi teorię, iż komety i systemy meteorów mogą być pociągnięte w zakres działania Słońca, czy też uważać będziemy podobny wypadek za bardzo rzadki, w każdym razie znajdujemy, że początku komet trzeba szukać w systemach słonecznych, czyli że możemy powiedzieć, iż komety w odległym peryodzie swego istnienia należały do systemu słonecznego. System nie miał już sposobności, że tak powiemy, pożyczania komet od innych systemów, t. j. od in-

nych słońc, podobnie jak te ostatnie nie potrzebowały pożyczać komet od niego i pomiędzy sobą.

Takim sposobem Proctor decyduje, że komety mogą być podzielone na takie, które należą do naszego systemu słonecznego od najdawniejszego okresu swojej historii; na takie, które zwiedzają go, przychodząc z zewnątrz i przechodzą do innych słońc; oraz na klasę pośrednią, składającą się z tych, które przybywszy doń z zewnątrz skutkiem pewnych perturbacyj czyli zaburzeń, zmuszone są do stałego przebywania w zakresie wpływu tego systemu. Możemy również zaznaczyć, że jak są komety należące obecnie do naszego systemu słonecznego, które początkowo należały do innych systemów słonecznych, tak prawdopodobnie wiele komet, które należały pierwotnie do naszego systemu słonecznego, już to towarzyszy obecnie innym słońcom, już błąka się po otchłaniach oddzielających gwiazdy, przechodząc od słońca do słońca.

Tak więc Proctor wykazuje, że komety od najdawniejszych czasów wchodziły w skład naszego systemu słonecznego; że niektóre komety mogły być wyparte z systemu, oddalone od Słońca, oraz że inne, te mianowicie, które zdają się być przywiązane do orbit olbrzymich planet, mogły być wyparte z zakresu działania z tych planet, będących w swoim pierwotnym stanie, t. j. w stanie słońc. Ruchy członków familij komet Jowisza, Saturna, Urana i Neptuna zgadzają się prócz tego, zdaniem Proctora, nierównie lepiej z tą teorią, niż z teorią Schiaparelliego.

Po tym ogólnym szkicu klasyfikacji komet, przechodzimy do zanotowania rezultatów roku zeszłego. W historii komet rok 1874 pozostanie sławnym z powodu świetnej komety, która w ostatnich dniach czerwca zwróciła na siebie uwagę powszechną. Zaczniemy jednak od dwóch innych, które pojawieniem się swoim poprzedziły wielką kometa Coggia.

Kometa I. Odkrytą została w konstellacji Lisa, w nocy z 20 na 21 lutego, przez profesora Winnecke w Strasburgu. Miała kształt tarczy i świeciła światłem bladym, rozlanym; później okazała ku środkowi punkt nadzwyczaj jasny, dający się porównać pod względem blasku do gwiazdy dziewiątej wielkości. Po 9 marca szybko oddalała się od Słońca i Ziemi, stając się coraz mniej jasną. Zastępowała głównie na uwagę jedynie z powodu swojej małej odległości przysłonecznej.

Kometa II. Odkryta również przez Winnecke'go w nocy z 11 na 12 kwietnia, była piękną i jasną; miała wygląd krążka kołowego, ku środkowi dosyć świetnego, na brzegach bladego. Przeszła przez punkt przysłoneczny 14 marca, czyli przed swoim odkryciem. W ciągu miesięcy kwietnia i maja była obserwowana w Strasburgu, w Wiedniu, w Medyolanie, Neapolu, Hamburgu, Poli i Lipsku; w czerwcu straciła wiele na blasku i z trudnością mogła być widziana. Schmidt widział ją ostatni raz w Atenach w dniu 13 czerwca.

Kometa III. Jest to właśnie wspomniana na początku świetna kometa Coggia. Odkrył ją astronom Coggia w Marsylii, w wieczór 17

kwietnia w Giraffe, konstellacyi północnej, którą otaczają Kassyoepa, Cefeusz, Mała i Wielka Niedźwiedzica. W miesiącach kwietniu, maju i czerwcu ruch jęj był bardzo powolny; przebiegła na niebie, oddalając się od bieguna, i w kierunku ku równikowi, krótki szlak o długości kilku pozornych średnic księżycowych. W miesiącu lipcu poruszyła się jeszcze cokolwiek, zatrzymawszy się czas jakiś w tém samym wielkiem kole sklepienia niebieskiego, przechodzącém przez biegun, i szybko zaczęła się zbliżać do równika. W tym swoim biegu przeszła obok Wielkiej Niedźwiedzicy i przez konstellacye Bliźniat, Raka, Psa Małego przebyła równik, przesuwając się w półkulę południową.

Z początku kometa Coggia przedstawiała się jako tarcza o konturach czystych i wyraźnych; składała się z dwóch wybitnych części, jednej środkowej świecącej (jądro), drugiej rozlanęj, bladęj (warkocz). W ostatnich dniach maja warkocz przestał być symetrycznym względem jądra, i zaczął rozszerzać się w kierunku przeciwnym od Słońca, tworząc tam mglisty ślad (ogon), coraz słabszy, w miarę odległości od jądra, ginał w świetle nieba, z którym się zlewał. Powoli ten ogon rozchodził się na coraz większą odległość od jądra; pod koniec czerwca miał już około trzech stopni, t. j. około 6 razy wziętą średnicę pozorną Księżyca; w początkach lipca dochodził do 7 stopni, a około połowy tegoż miesiąca, kiedy kometa w skutek swego szybkiego ruchu przestała być widzialną dla mieszkańców półkuli północnej Ziemi, jęj długi i świetny ogon miał przeszło trzydzieści stopni.

Kometa Coggia tak blaskiem swoim, jak i zjawiskami zauważonemi przy pomocy silnych teleskopów w jądrze i warkoczu, przypomina wielką kometę Donati'ego z roku 1859. Dokonywano nad nią obserwacyj spektroskopowych, ale nie zdaje się, przynajmniej o ile sądzić można z tego co dotąd ogłoszono, aby te obserwacye miały poprowadzić do jakich nowych rezultatów.

Kometa IV. Odkryta została 25 lipca w wieczór, przez astronoma Borelly z obserwatorium marsylijskiego. Była słabo świecąca, przeszła przez punkt przysłoneczny 26 sierpnia; ostatni raz widziano ją w Kiel 15 września, kiedy już jęj blask, w skutek znacznego oddalenia od Słońca i Ziemi, bardzo się zmniejszył.

Kometa V. Była bardzo słabo świecąca, trzymała się zawsze w wielkiej odległości od Słońca i Ziemi. Odkrył ją astronom Coggia w Marsylii dnia 19 sierpnia, już po przejściu jęj przez punkt przysłoneczny.

V.

Rok rocznie wzrasta liczba prac, dotyczących nauki astronomii. W memoarach rozbierają się specyalne kwestye naukowe, wykładane bývają fakta i spostrzeżenia nowe, rozbierane ze stanowiska czystęj nauki badania dawno już dokonane. Niepodobna jest zdawać sprawę z tego wszystkiego, zwłaszcza w popularnym artykule, gdzie z jednęj strony

szczupłe ramy sprawozdania, z drugiej przystępność wykładu stają temu na przeszkodzie, tém więcej, że sprawozdawca w przykrém może się znaleźć położeniu, bo jedni zarzucać mu będą zbyt specjalny wykład, inni, t. j. specjaliści, zbyt powierzchowne traktowanie rzeczy, zakrawające na błagę. Zadosyć uczynić dwom tym wymaganiom bardzo trudno.

Polemika wywołana teorią Faye'a o plamach słonecznych, ciągnęła się i w r. 1874, i kwestyę tę znajdujemy między innymi na kartach tygodnika „Comptes Rendus,” wydawanego przez Akademią nauk w Paryżu.

W tych samych „Comptes Rendus” czytelnik znajdzie rozprawy o temperaturze Słońca. Jest to kwestya, którą zajmowali się O. Secchi, Zöllner, Faye, Vicaire, Violle. Wszakże rezultaty otrzymane przez tych uczonych są bardzo niezgodne, a temperatury jakie oznaczyli, wykazują różnice wiele tysięcy stopni. Według najświeższych badań Secchiego, niższa granica tej temperatury wynosi $+ 133000^{\circ}$ C. Znakomity astronom włoski doszedł do tego oznaczenia przez porównywanie promieniowania słonecznego z promieniowaniem światła elektrycznego. Używał tego samego aparatu, jak poprzednio, t. j. termoheliometru, opisanego w dziele swoim o Słońcu. Temperaturę wytworzoną przez promieniowanie słoneczne obserwował Secchi w Rzymie, około południa, w ciągu wielu dni miesiąca lipca roku zeszłego, i znalazł, że jest $36\frac{1}{2}$ razy większa od temperatury końców węgla światła elektrycznego. Secchi i Hirn zgadzają się na to, że temperatura promieniowania słonecznego może zależeć jużto tylko od wierzchniej warstwy Słońca, już od znacznej grubości jej substancyi, podług tego, czy ta ostatnia jest ciemną, czy też przezroczystą. Hirn wnosi, że gdyby przezroczystość była doskonałą, temperatura Słońca wynosiłaby tylko kilka tysięcy stopni; ale różne zjawiska, a między innymi i obserwacye Langleya z Pittsburga o przecinaniu się prądów fotosfery, zdają się wykazywać, że powierzchnia Słońca jest ciemną, a w najlepszym razie nie jest zupełnie przezroczystą, a ta okoliczność popiera opinię O. Secchi'ego.

Sama wielkość pozorna tarczy słonecznej jest również przedmiotem rozpraw. Professor Mazzola zakomunikował królewskiej Akademii nauk w Turynie interesującą rozprawę o oznaczaniu średniej średnicy Słońca ¹⁾, oraz o licznych przyczynach będących powodem błędu w obserwowaniu średnicy, zwłaszcza o tak zwanych zjawiskach irradycyi. Rezultaty przez niego otrzymane ($15' 56'' 65$) różnią się od tych, do jakich doszli O. Secchi i Rossa. Zdaniem professora Mazzola, różnice te nie pochodzą ze zmienności w samym Słońcu, ale ze zmienności w stanie atmosfery ziemskiej, oraz z wpływu zmysłu wzroku różnych obserwatorów na bieg doświadczenia.

¹⁾ „Atti della Reale Accademia delle Scienze,” Torino, 1873. Parte VIII, pag. 589.

Piękną również rozprawę znajdujemy w dwutygodniku „Revue des deux Mondes” za pierwszą połowę października 1875 roku ¹⁾. Autor jój, R. Radau, rozbiera następujące kwestye: odległość gwiazd, ich ruch postępowy, orbity jakie opisują w tych ruchach, skład fizyczny i prawdopodobny sposób ich powstania.

Nowy atlas gwiazd stałych półkuli południowej, widzialnych gołym okiem, przygotowany został przez Behrmanna w ciągu jego długiej podróży. Przypomina on podobne atlasy, wykonane dla półkuli północnej przez Argelamera i Heisa. Z tych trzech atlasów dowiadujemy się, że na całym niebie bystre oko może, bez uciekania się do instrumentów optycznych, naliczyć 7353 gwiazdy.

Dwa katalogi gwiazd przygotowane zostały w obserwatoryach w Waszyngtonie i na przylądku Dobrej Nadziei. Pierwszy obejmuje położenia 10658 gwiazd, drugi tylko 1159 gwiazd.

Inny katalog, który zawdzięczamy Burnhamowi, obejmuje niektóre gwiazdy podwójne, co uszły oka obudwóch Herszłów, Struvego i Dawesa, a które Burnham uznał za takie, używając w obserwatoryum w Chicago wielkiego refraktora, zbudowanego przez Alvana Clarka, o którym wspomnieliśmy w sprawozdaniu poprzedzającym.

Nakoniec katalog gwiazd zmiennych ogłoszony został w Manheimie przez profesora Schönfelda, dyrektora obserwatoryum astronomicznego w tém mieście, a który, podobnie jak dyrektor obserwatoryum w Atenach, dr. Schmidt, specjalnie poświęca się obserwacyom gwiazd zmiennych.

Takie są najnowsze rezultaty, zdobyte w dziedzinie astronomii.

W następstwie przedstawimy czytelnikom treściwe sprawozdanie, dotyczące postępów, dokonanych w innych naukach.

T. Słomkowski.

PIŚMIENICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Pamiętnik akademii umiejętności w Krakowie, wydział filologiczny i filozoficzno-historyczny. Tom drugi, Kraków 1875 r.

Poczet prac, stanowiących tom drugi Pamiętników, w zupełności odpowiada tym wróżbom i życzeniom, jakie w naszym piśmie wyrze-

¹⁾ „Revue des deux Mondes”, 1 octobro 1875, art. „Les progrès de l’Astronomie stellaire, la constitution physique des Etoiles et des Nébuleuses.”

czonemi zostały z powodu rozpraw i sprawozdań ¹⁾ z roku ubiegłego. Rozpoczyna się on badaniami p. Lucyana Malinowskiego, nad „Modlitwami Waclawa, zabytkiem języka polskiego z wieku XV, odkrytym i skopiowanym przez ś. p. Aleksandra hr. Przezdzieckiego (wydał i objaśnił Lucyan Malinowski).

Nad ważnością samego odkrycia rozszerzać się nie będziemy w tém przeświadczeniu, że każdy zdrowo myślący czytelnik uważa *słowo* za najwydatniejszy rys ubiegłej cywilizacji.

Z drugiej strony zabytek tak ważny, bo poprzedzający epokę przed-piśmienniczą, wprawniejszej ręce powierzonym być nie mógł. Ograniczenie roli filologii porównawczej w programie wysokiej instytucji naukowej, ograniczenie, o którém nadmieniono w naszym piśmie, wynagrodzonym zostaje wprowadzeniem *metody* systemu porównawczego, traktowaniem zabytków mowy starożytnej w duchu filologii porównawczej i na mocy ostatniego wyrazu tej nauki. Główną zasługę p. Malinowskiego, zdaniem naszym, stanowi to, iż podnosi głos za genetycznym opracowaniem mowoznawstwa. Wszelką teorię językową, wszelką gramatykę, biorącą za podstawę i ramy mowę li współczesną, uważać należy jedynie za mniej lub więcej udatny portret, w którym duszy języka tylko *domyślać* się można. Dla nakreślenia istoty języka, tak jak dla nakreślenia prawdziwej linii, jeden punkt w przestrzeni nie wystarcza; potrzeba historii, potrzeba pokazania ruchu dźwięków i formy w czasie. W takim genetycznym obchodzeniu się z materiałem, przychodzimy do dwóch ważnych zdobyczy: 1) dajemy poważną odprawę tym tuzinkowym empirystom, którzy język nasz uważają za płód anarchii logicznej, za stek nieforemności i mamy prawo *naukowe* oświadczyć im słowami Deszkiewicza, że język słowiański utworzonym został arcylogicznie, i to dla nas a nie dla nich ²⁾.

Mowoznawstwo rozwojowe, czyli gramatyka dziejowa, śledząc za czasowym pochodem dźwięku i formy, odszukuje w nich jak najsubtelniejszą ciągłość; prowadzi przekątnie pomiędzy najsprzeczniejsemi naporóż kształtami języka.

2). Za pomocą poszukiwań dziejowych, upatrzwszy pewne kierunki, w jakich się posuwała treść języka, badacz może wytworzyć sobie prawdziwie duchową modłę, stanowiącą o tém, co się godzi lub nie godzi w rzeczach mowy.

W niniejszém tedy sprawozdaniu wskażemy przedewszystkiém na to, jak trafnie p. Malinowski używa aparatu genetycznego w rozbiorze „Modlitew Waclawa.” Najprzód zaś powiemy stów kilka o samém odkryciu i ogólnych domniemaniach p. Malinowskiego co do wieku pomnika. Na wstępie p. L. Malinowski mówi:

¹⁾ Zob. zeszyt VII, tom III Bibliot. Warsz., lipiec 1875 r. (stronnica 144 do 159).

²⁾ Deszkiewicz, rozprawy o języku polskim i jego gramatykach 1843.

„Aleksander hr. Przeczdziecki w r. 1870 (Pamiętniki akad. t. II, k. 1—2), w czasie pobytu swojego w Peszcie, gdzie robił badania historyczne i archeologiczne, zwrócił uwagę na rękopism polski przechowywany w tamecznej bibliotece uniwersyteckiej; rękopism ten znany jest w literaturze pod nazwiskiem „Modlitwy Wacława;” nieboszczyk w części sam przepisał, kopijowanie zaś pozostałych kart powierzono p. Rynnowi, oficynałowi przy węgierskiej akademii umiejętności. Prócz tego polecił sporządzić fotograficzne wizerunki 4 ch stronnic. Fotografie te hr. Przeczdziecki przesłał p. Łepkowskiemu. Na podstawie tych fotografowanych podobizn ś. p. prof. Suhecki podał wiadomość o naszym rękopiśmie, wraz z tekstem czterech stron i rozbiorem filologicznym i lingwistycznym. Professor Nehring ogłosił także urywek z psalmu 118 (od wiersza 113 Wacława), zestawiając go z tekstem psalterza floryańskiego. Opracowanie gramatyczne i wydanie całego rękopismu, za zgodą ś. p. hr. A. Przeczdzieckiego prof. Łepkowski powierzył podpisanemu (t. j. dr. Lucyanowi Malinowskiemu).”

Cały rękopism składa się z trzech części, z których każda stanowi odrębną całość i pochodzi z trzech różnych źródeł. Obejmuje on godzinki, tłumaczone z brewiarza, modlitwy o Ś. Annie, Credo, modlitwy z wierszy różnych psalmów. P. Malinowski wskazuje różnicę w tekstach psalmowych 1 i 3 części, od tekstu drugiej części. Tam (w 1 i 3-iej) mamy wierne tłumaczenie Vulgaty; język jego zbliża się do języka psalterza floryańskiego; w 2-iej zaś części psalmy są parafrazowane lub wolno tłumaczone (w części 2, przytém modlący się przemawia jako mężczyzna, w 3-iej jako kobiéta). Dla unaocznienia różnicy pan Malinowski przedstawia ustęp (str. 6, 7) z psalmu 3-go podług Vulgaty w czterech tekstach t. j. trzech polskich (floryańskim, Wacława części 3-iej i Wacława części 2-iej) i łacińskim.

I tak mamy np. wiersz psalmu w trzech charakterystycznych kształtach: „pożegnanie twoje, przeżegnanie twoje, błogostawienie twoje (*benedictio tua*).” Opierając się na cechach lingwistycznych p. Malinowski zgodnie ze zdaniem profesora ś. p. Suheckiego, odpisanie rękopismu odnosi do drugiej połowy XV wieku, psalmy zaś przytoczone w modlitwach, a szególniej 1 i 3-iej części, podług p. Malinowskiego mogą sięgać nawet XIV stulecia.

Rozbiór gramatyczny Modlitew Wacława (od str. 9—48) słusznie nazwać można mistrzowską wycieczką do dziedziny: dziejowej gramatyki polsko-słowiańskiej, prowadzoną w ruchomój formie komentarza. Najprzód idzie pisownia i fonologia, dalej nauka formy, nakoniec składnia.

Po rozbiórce następuje tekst, w końcu słownik wyrazów godniejszych uwagi pod względem formy i znaczenia, i słownik wyrazów cudziemijskich.

Podnosimy tu niektóre punkta z pomienionój wycieczki.

I. Pisownia. Zmiękczenie spółgłoski *t* przez *i*, pan Malinowski odnosi do pisowni, jakkolwiek zdaniem jego „miały one prawdopodobnie zuaczenie fonetyczne.”

W wieku XIV używanie lub opuszczenie zmiękczonego *i* (*y*), jak to widzimy z psalterza floryańskiego, ma cechę odpowiedniej owemu czasowi elementarności: piszą tam bowiem *krolyów*, piszą też bez zmiękczenia *babilonŝki*. Jednak w wyrazie *weliki* wolelibyśmy uznać więcej niż zmiękczenie. Ze forma słowiańska: *wieliki*, istniała, na to naprowadza już przez dalszą indukcją forma ludowa *wielemożny* (obok *wielmożny*); 2-e przestarzało-ludowe *wieliczki* (także *wieluczki*) i nazwa solnej Wieliczki.

II. Fonologia. Z poważnego stanowiska podjętą została przez p. Malinowskiego teoria samogłosek i przeprowadzona z głębokimi wywodami. Do tego obok metody genetycznej przyłożyło się jeszcze ogarnięcie pod widok ogólny, już nie języka, ale *wszeczmowy* narodu (np. narzeczy szlązkich).

Skupienie narzeczowych członków daje tę samą całość organiczną natury języka ze strony przestrzeni, jaką ze strony czasu daje gramatyka historyczna. Co więcej, rozbiór wyrazów i form ze strony narzeczowej, zastępuje poniekąd i dopełnia badania dziejowo-gramatyczne. Albowiem dyalekt jest nieraz przechowawcą form dawniejszych. (Wobec dzisiejszej mowy piśmienną i język ludu jest prawdziwem narzeczem). I tak obok grupy *to* i *ro* (dotkniętej u naszego badacza § 15, str. 16) w wyrazie np. *bronieć*, mamy ludową formę *ubraniać*.

Co do wahania się pomiędzy *e* i *i* (*ohwalimy* i t. p.¹⁾ nasuwa się nam na myśl zasada *ciągłości* głoskowej. Jak pomiędzy *o* i *u* (*ó*), tak pomiędzy *e* i *é* jest pewien ciąg fonetyczny. I dlatego to nie tylko w narzeczach polskich, ruskich, ale i w łacińskim obok *sibi*, *tibi* spotykamy formę *tibe*, *sibe*. Warro mówi, że pomiędzy temi dwiema samogłoskami była trzecia środkująca.

Podobnie ma się rzecz i z samogłoskami *o* i *ó*, gdzie i dotąd uważamy pewne wahanie się. Zbytecznym jest dowodzić, że owa dwoistość fonetyczna nieraz zużytkowaną zostaje logicznie. I tak w pochodnych od wyrazu *głowa*, znaczenia polaryzują się przez *o ó* (*główny*, *głównia*, *główny*) Bardzo ważne wskazówki zawiera § 52 „O ściganiu samogłosek” i znikaniu (§ 53). Jest to postać gramatyczna prowadząca do lekceważonej u nas kwestyi iloczasu. Albowiem w ludowym *czarnisz* (ściągniętym z *czarniejszy*) wyraźnie przedłuża się *i*. Co do wyrazu *ufać*, który p. Malinowski zestawia ze staro-słowiańskim *upowali*, wyznajemy że wszelkie poszlaki prowadzą nas tu raczej do niemieckiego *hoffen*.

Zastępywanie nosowej samogłoski *ę* przez *a* lub *an* w modlitwach Wacława, wyjaśnia się po części formą ludową (*bandzie*, *banda* = *będzie*, *będą*).

Z powodu dotkniętego (§ 76) zestawienia spółgłoski bez zmiękczenia (wszyscy *święte* boży, *odpęd* zamiast *odpędź*), zwracamy uwagę na zabytki organizacyi słowiańskiej w ludowych formach *idy-że*, *chody-że*, (zamiast *idź*, *chodź*), *rucac* (zam. *rzucac*), *ruchac* (*ruszac*).

¹⁾ Stronnica 14, § 42, 43.

Co do wyrazu Wacławowskiego *słza* (*lza*), hipotezę p. Malinowskiego (że tu pierwsza spółgłoska *s* może być przyczynkiem), popieramy stanowczo, z uwagi na wyraz *zolza*.

Od stronicy 29—42 mamy podaną morfologią Modlitewnika. I tu na tle komentarza znajdujemy mnóstwo wiadomości wyjaśniających współczesne kształty gramatyczne, jako owoce naturalnego rozwoju i odsuwających raz na zawsze ową cudowną machinę trafu, którą w mowoznawstwie nazywano nieforemnością.

Co do tematu imiesłowowego (§ 84), z powodu zatracania słowiańskiej formacji krótkiej (*daw* = *dawszy*) nie bez znaczenia zdają się nam formacje, niewątpliwie imiesłowowe dotąd zachowane: *laskawy*, *urodziviy* i t. p. Wprawdzie p. Malinowski formę *złostiviy* odnosi do przymiotników (§ 86), co się daje upośrednić przez *zlostliviy*, jednakże formy *ucziviy*, *živiy*, wydatnie prowadzą do źródła słownego.

W stopniowaniu przymiotnika (§ 87), p. Malinowski przystawkę początkową *naj* (starożytnie, Wacławowskie, a dotąd jeszcze ludowe *na*) nazywa partykułą. Czy nie będzie to prosty przyimek, modalizujący przymiotniki, na wzór innych przyimków: *prze*, *nad*, (naksztalt modalizmu słownego). Dowodzi tego przytoczony tu (§ 87 w końcu) najdawniejszy prawdopodobnie superlat: *nablogoslaviono mnie rzeką (najbłogosławieńszym mię nazwą)* ¹⁾. Jest to więc niewątpliwie przyimek *na*, tylko jotowany, jak to dziać się zwykło w naszym języku w podobnych razach (*naprzód* = *najprzód*, *najsamprzód*). Dział o deklinacji opracowanym został na skalę obszerną.

Co do podwójnego tematu: *imię* i *imion*, (u Wacława mamy: *blagosławcie imieniu jego*; w inném zaś miejscu mamy *imionowi twemu*), nie zbytecznym będzie zwrócić uwagę na dzisiejsze temata: *ziele* i *ziolo ziółko*. Do nauki o formie przypadku 7-go liczby pojedynczej, gdzie p. Malinowski mówi o rzeczownikach męzkich, dodajemy i formę rodzaju nijakiego w *oce*, zachowaną jeszcze w psalmach rymowych XVI w.

Rozbiór gramatyczny zamyka nauka o składni Modlitew Wacława. Pod składnią zgody p. Malinowski wspomina o Wacławowskiem wyrażeniu *na ty dni* i zestawia z niem wyraz *tydzień*. Skład wyrazu nie ulega żadnej wątpliwości. Idzie jednak o to, w jaki sposób te dwa członki zrosły się w jeden wyraz. Czy *tydzień* nie będzie to raczej *ten dzień*.

Wprawdzie braknie tu nam dowodu dziejowo-gramatycznego na to, czy istniała forma zaimka wskazującego *ty* (*ten*), podług analogii *z* (*jen*), *który* (*któren*), *każdy* (*każden*). Ale zastępujemy ten brak pośredniego ogniwa następującymi faktami: obok formy *tydzień* spotykamy formę *tendzień*; ale co ważniejsza, 2-gi przypadek *tygo-dnia*, (na wzór ludowego *tygo*, *naszygo*) i to wyraźnie naprowadza na przypadek 1-szy, inaczej nie byłyby to pierwiastek odmienny.

Pozostaje zapytanie o wieku pomnika. P. M., jak nadmieniliśmy, odnosi kopią, zgodnie z ś. p. prof. Sucheckim, do drugiej połowy XV wieku, sam zaś oryginał, z którego dokonano kopią, a szczególnie

¹⁾ W bułgarskim *po-lesno* (latwiej), *po-łoszo* (gorszy).

psalmy części pierwszej i trzeciej, może sięgać wieku XIV. Jeżeli psalterz floryański sięga końca XIV wieku, jeżeli nie jest kopią dawniejszego tekstu, w takim razie nastęrczają się pewne wątpliwości, przemawiające za odniesieniem modlitew do epoki późniejszej. Nie będziemy się tu posługiwali faktami luźnymi; jak jedna jaskółka nie przynosi wiosny, tak raz jeden spotkana forma jeszcze nie upoważnia do stanowczego sądu, zwłaszcza, że bliskie siebie okresy nie odróżniają się dosyć wybitnie w pisowni. Ale nie możemy tu przemilczeć o zjawiskach, ponawiających się w wielu miejscach. Otóż w postawionych obok siebie tekstach Symbolu wiary psalmów (floryańskim i waclawowskim części 3-iej) przedstawiają się oczom następujące szczegóły typowe.

We floryańskim spotykamy częściej zaimek względny: *ize*—od słowa posiłkowego *bydłęcy* (jakkolwiek spotykamy ją, chociaż nie w imiesłowiu, i w biblii Szarospatackiej: „Synowie ludzcy bydłą =są).“ Spotykamy przyimek *ot* (późniejszy *od*) w kształcie pierwotnym, tak oddzielnie, jak i w złożeniu: *otejmi, otewróć ote dnia*. Spotykamy rzeczowniki przymiotowe w formie prostszej: *człowieczstwo, wielmostwo*. Abstrakcyjne na *ota* są częstsze aniżeli u Wacława (*lichota, jednota*); częstszą jest forma *inam*; tu należą także formy: *wiekugi, kieta*. Uderzająco starożytnemu jest: *kako*, w obec waclawowskiego: *jako*. Następnie mamy w psalt. flor. tryb rozkazujący, osobę drugą, przy *vocativie*; który to zwrot przypomina składnią najdawniejszego prawdopodobnie tekstu chrześcijańsko-polskiego, modlitwę Pańską. I tak „święci twoje (*vocativ*), weselcie się,“ „napełniona bądźcie usta twoja.“ Trzecia osoba liczby podwójnej w słowie jest znamieniem odległej starożytności „pomdlele jesta oczy moje,“ „otewróci oczy moi bysta nie widziały ¹⁾.“

„Dobrze“ jako przysłówek w stopniu wyższym, jest także cechą znaczącą. Tu jeszcze wspomnimy starosłowiańskie „w czrewiech“ (we wnętrzach) „opłecienie (wcielenie)“ i t. p. Ale prawdziwą rzadkością w psalt. flor. jest aoryst: *abych*, sięgający nierównie dalej, aniżeli w modlitwie Wacława.

Oto kilka rysów, nieco osłabiających wiarę w taką starożytność zabytku, o jakiej napomyka p. Malinowski. Zresztą i sam p. Malinowski nie orzeka stanowczo, aby psalterz modlitwy Wacława odnosił się do wieku XIV.

Praca niniejsza może służyć za wzorową skazówkę, jak podobnego rodzaju odkrycia traktować należy. Ze szczerem uznaniem pracy, witamy w niej pierwsze zręby dziejowej grammatyki języka krajowego, a na budowę czekamy z utęsknieniem.

W dalszym ciągu Pamiętnika spotykamy ważną pracę p. Augusta Bielowskiego p. t. „Szymon Szymonowicz.“ Zasłużony badacz we wstępie mówi o współczesnych i nowszych biografach Szymonowicza; dalej umieszcza zbiór listów, pisanych przez Szymonowicza. i do niego.

¹⁾ W modlitwach Wacława ta forma jest bardzo rzadką.

Po listach następują mniej znane, lub zupełnie nieznane poezye Szymonowicza; dalej żywot poety, skreślony przez p. Bielowskiego, rzucający wielkie światło tak na główną postać jak i na jej otoczenie społeczne, dziejowe i literackie, opatrzony cytatami źródłowemi, a mianowicie, z akt metryki koronnej. W końcu pisma p. Bielowskiego umieszczone są dodatki do żywota, zawierające akt, którym Szymon Szymonowicz wyniesionym został w stan szlachty, z nadaniem herbu Kościeszka i przydomka Bendońskiego, mianowany poetą królewskim przez Zygmunta III; testament Jana Zamoyskiego rozporządzający, iżby Szymonowicz miał pieczę nad synem jego Tomaszem, był kierownikiem jego nauk i dozorcą i t. d.

Co do życiorysu p. Bielowski dowodzi, iż Starowolski w swym piśmie „Hekatonstas“ mylną podaje wiadomość o podróży Szymonowicza do Włoch. Wiadomo, iż ten sam błąd powtarza i bezimienny życiopisarz lwowski.

Koryfeusze nauki, których imię urokiem swoim zwabić miało Szymonowicza do Włoch, nie wszyscy żyli w roku, do którego mniemaną podróż odnosi Starowolski. Tak np. Muret umarł w r. 1585; tymczasem dzieło Starowolskiego wydane we Frankfurcie wskazuje rok 1625. W drugim wydaniu (z r. 1627 w Wenecyi) sam Starowolski mówi, że Szymonowicz po otrzymaniu laureatu, wkrótce udał się do Belgii i Francji (in Belgium et Galliam, a w jego wydaniu frankfurckim było: in Italiam). W piśmie p. Bielowskiego znajdujemy biografią bezimiennego lwowianina (dotąd nigdzie nie ogłoszoną) przytoczoną w całości (str. 106, 7, 8).

Z listów szczególniej ważności są: do Jana Zamoyskiego, w nich bowiem poeta występuje jako żarliwy współdziałacz w sprawie zawiązującej się akademii Zamoyskiej i Stanisława Reszki, pisane z Neapolu, a zachęcające Szymonowicza do zwiedzenia Włoch. Znaczącym także jest list Izaaka Kazaubona, jednej z pierwszych znakomości filologicznych w owym wieku.

Z poezyi niedrukowanych dotąd, lub nie objętych w dotychczasowych zbiorach, prawdziwie pięknymi są: *Funus Sigismundi Solikowski*; *Manes Barbarae de Tarnow* (żony Zamoyskiego) i wiersz także łaciński, do Jakóba Sobieskiego; z polskich zaś: do Wacława Zamoyskiego, *Himn o sędzie ostatecznym* (przekład z „*dies irae, dies illa*) i *Treu ś. Magdaleny*.

Tak więc, dzięki niezmordowanym poszukiwaniom p. Bielowskiego, mamy podniesioną do możliwej a utentyczności historią życia Szymonowicza, który dorównywając w polocie pierwowzorom swoim, górował nad nimi skromnością; rzadko bowiem Szymonowicz śpiewa o sobie samym.

Trzecią część Pamiętnika stanowi zakończenie „*Rysu dziejów kościoła katolickiego w Szwecyi*“, skreślonych przez członka zwyczajnego Akademii, Maurycego hr. Dzieduszyckiego.

Rys, w niniejszym tomie, obejmuje czasy Eryka XIV, Jana III i ich następców i sięga aż do czasów obecnych. Na tło tego obrazu trzech ostatnich stuleci, pełnego wstrząśnień politycznych i społeczno-religijnych niemal najcharakterystyczniej pochwyconym został wizerunek królowej Katarzyny, kobiety wysokiego rozumu i serca. Również dosadnymi barwami autor odmalował nam księcia Sudermanii obok Zygmunta; odstaniając w ostatnim pewne ogólne cechy, dotąd niedość powszechnie uznawane. Nie zdaje nam się, aby przypadł do smaku wszystkim sąd autora o wojowniku, któremu „zaciasno i zaduszno było w ojczyźnie“ chociaż ten sąd w zupełności podzielamy. Protestowalibyśmy może przeciw zdaniu autora o Tegnerze, gdyby nie ujął nas po części, przyznając mu z całą bezstronnością tytuł najcelniejszego wieszczka Skandynawii.

A.

Listy z Czech przez Adolfa Smorzewskiego. Nakład redakcyi Gazety Polskiej, (Warszawa 1873, w 12-ce str. 299).

Rok druki ubiega jak listy te drukowane w odcinku *Gazety Polskiej*, wyszły w oddzielnej odbitce. Żadne z pism czasowych nie podniosło rzeczywistej ich wartości, nie zajęło się zwróceniem uwagi na treść nauczającą, z której wiele rzeczy powinno u nas znaleźć zastosowanie na pożytek ogółu. Autor obywatel ziemski Królestwa Polskiego, kilka lat przemieszcziwał w Pradze Czeskiej, robiąc częste wycieczki w różne okolice, badając i studyując na każdym polu, rozwój tak umysłowy jak i ekonomiczny narodu, który wśród najnieprzychylniejszych okoliczności, potrafił dobry byt i pomyślność sobie zapewnić, rachując jedynie na własne siły, i niemi się tylko wspomagając w twardej walce z upartym losem.

Dzieło powyższe tém więcej powinno zwracać naszą uwagę, że mówi właśnie o pobratymczém pokoleniu słowiańskiem, któremu wiele zawdzięczamy.

Pierwsi apostołowie którzy nam przynieśli światło religii Chrystusa, byli rodowici Czesi: najpierwszym męczennikiem jest *Święty Wojciech*, twórca pieśni *Boga-Rodzica* starożytnego hymnu religijnego, który przez kilka wieków, przed każdą bitwą, rycerstwo polskie śpiewało, pokładając w nim ufność zwycięstwa. Pierwszy bohater Czechii *Zyżko*, walczył pod chorągwią Władysława Jagiełły w bitwie pod Grundwaldem 1410 r. przeciwko zakonowi Krzyżaków; od Czechów wzięliśmy w sposobie wojowania, sławne *tabory*: to ich wynalazek, któryśmy przez trzy niemal wieki tak szczęśliwie zastosowywali. Słynęli też Czesi jako umiejętni wojownicy, zkaąd przysłowie z XV stulecia w naszej mowie pozostało: „*Co Polak, to pan, co Czech to hetman.*“ Był czas za ostatnich Jagiellonów, że mowa i ubiór czeski stał się mo-

dnym w Polsce, a uczciwość i rzetelność Czechów zachowała się u nas w narodowém także przystawiu.

Los nieprzyjazny zdziałał, żeśmy zapomnieli o tém pobratymstwie. Pół wieku mija, jak się rozpoczęło to ocknienie, zniemczonego do gruntu narodu czeskiego, a jak zadziwiające już widzimy tego skutki. Pod względem oświaty ludowej, daleko nas prześcignęli; z pasterzy owiec, z warstwy najuboższej wyszli znakomici mężowie, którzy inné Czechii z zapomnienia na jaw wydobyli. Odkrycie *rekopismu Króloworskiego* szerokie echo w całej Europie znalazło: to téż Niemcy, zaprzysięgli wrogowie Słowiańszczyzny, nietylko zaprzeczali autentyczności tak drogocennego pomnika starożytnéj poezji czeskiéj, ale dotąd jeszcze, gdy rzecz ostatecznie już osądzoną została, wznoszą swoje głosy zaprzeczenia.

W tym okresie, zamiast śledzić pilnie rozwój pobratymczego plemienia tak na polu umysłowém jak ekonomiczném, i uczyć się, aby z pożytkiem coby się dało u siebie zastosować: unikaliśmy starannie zbliżenia się, rzadko który z licznych wędrowców naszych o ten kraj zawadził, czasem obejrzał Pragę, ale spieszył z zapalem do Paryża, Włoch lub Anglii, dla częzj jedynie chluby, że się tam było.

Szkody ztąd nie mało ponieśliśmy, i dotąd jeszcze z obojętności naszej niewyleczeni, pracę o której mamy mówić, jakby na zapomnienie wskazali. Autor w roku bieżącym w wspomnionéj *Gazecie*, rozpoczął nową *Seryę* Listów z Czech; my zatrzymamy uwagę naszych czytelników nad pierwszym ich zbiorem, tém bardziej, że żadne z pism czasowych odpowiedniego sprawozdania o tém dziele nie podało, z wyjątkiem *Gazety Polskiej*, która tylko pobieżną wzmiankę uczyniła, jako o wydawnictwie własnym nakładem redakcyi podjętém.

Autor podzielił swoją pracę na VII rozdziałów czyli *Listów*. W *pierwszym* kreśli krótki zarys dziejów, od pierwotnych wieków; w *drugim* daje nam zarys geograficzny, rzuca spojrzenie na ustrój społeczny Czech, nie pomija i rozwoju rolnictwa, jak i stanu ludu wiejskiego, który w roku 1848 doczekał się zniesienia poddaństwa, a uwłaszczenie przeprowadzone zostało w sejmie. Wspomina o wydawnictwach; *Maticy przemysłowéj*, która ma za cel rozpowszechnienie takich książek fachowych dla rękodzielników i przemysłowców, jak i *Maticy rolniczéj* założonéj w roku 1870 przez dr. *F. Szymaczka*, co już w drugim roku swego istnienia z 15,000 podniosła publikacje swe do 20,000 egzemplarzy, bo tu każdy rolnik kupuje i czyta. Wylicza następnie szczegółowo wszystkie *Spółki i Jednoty*, które ożywiają ludność we wszelkich kierunkach pracy społecznej.

„*Jednoty i Spółki* (pisze autor) w tysiącnych celach utworzone, spełniły w Czechach myśl badaczy dziejowych, gdyż wiążąc pojedyncze rodziny, wytworzyły wszędzie siłę oporu i assimilacyi, pochłaniającą łatwo pojedynczych Niemców, a nawet mniejsze gromadki, i stawiając mur nieprzełomny większemu napływowi. W jednotach i spółkach czeskich znalazł duch poświęcenia, właściwy Słowianom, i sta-

wiający ich obok łącińskiego szczepu, to praktyczne zastosowanie, jakiego każda siła potrzebuje by wydać pożyteczne owoce. Towarzystwość wrodzona naszemu plemieniu, mile dopomogła powiązaniu się szybkim rozlicznym sieci, których ogniwa odpowiadają potrzebom i warunkom każdej miejscowości, a złączone duchem słowiańskiego braterstwa, stanowią ogólną, wszystkich obchodzącą całość, której rozwój i dopełnienie wszędzie radośnie są witane. Większe Spółki i Jednoty mają swe dzienniki, o każdym ruchu szczegółowo powiadamiające, a najznakomitsze pisma krajowe, jak: *Pokrok*, *Posel z Pragi*, i *Narodne Listy* witają radośnie i podnoszą znaczenia najdrobniejszej spółki nowo się tworzącej. Dziś duch ten przeniknął do najmniejszych wiosek.“

I widzimy postęp materyalny ze zdrowych zasad wysnuty, a jest wielki i ogólny. Byt całej ludności polepszył się niesłychanie: bo stowarzyszenia powyższe, po najodleglejszych wioskach i osadach fabrycznych dostarczają wszystkim zarówno zajęciom pomocy w kredycie, oświacie i związkach społecznych, aby nikt osamotnionym i bezbronny nie został. Teraz ruch ten się rozlewa na Morawy, którym Czechy bratnią podały pomoc.

Nie możemy szczegółowo iść list za listem, których swobodna forma, przerzuca się z przedmiotu na przedmiot, ale streścimy ważniejsze objawy życia społecznego Czech, jakie nam autor przedstawia.

Oprócz kredytu hipotecznego, istnieje tu kredyt osobisty, którego głównym regulatorem jest *Bank przemysłowo-rolniczy (Zywnościński bank)*, a pośrednikami, setki kass zasiłkowych, *založnemi* zwanych. Najwięcej godny uwagi i pouczającym jest układ i sposób działania tych kass, które zdołały urzeczywistnić kredyt prawdziwie osobisty, oparty na uczciwości i pracy, a przeto moralizujący. Za taki go też sami Czesi uważają, i w ustawach kass zasiłkowych wymieniają go z chlubą, jako największą zaletę tych instytucji wytworzonych ożywiającym duchem obywatelskim. Każda okolica i każde miasteczko w Czechach, ma swoją kasę zasiłkową, której członkowie znajdują się, widują na zebraniach i w życiu prywatnym, ostrzegają nawzajem zapobiegając nierozważnemu użyciu kredytu, doradzają mniej obeznanym: czujni na to co się w okolicy nich dzieje. Wzrost zamożności pojedynczego członka cieszy wszystkich, upadek zatrważa: zapobiegają więc temu, wdając się w interesa, wczesną radę lub poparciem w chwili stanowczej. Ten bratni związek tworzy nową silną spójnię, w obec niemieckiego zawsze groźnego współzawodnictwa.

Wszystkie zakłady kredytowe, świeżego doznają powodzenia, gdyż trzeźwo są obliczone bez urojeń gry giełdowej i odpowiadają potrzebom miejscowym. Kassy zasiłkowe „*Založne*“ jako pośrednie obywatelskie instytucje, są ogniwami łączącymi kapitał z pracą. Obrót wszystkich tego rodzaju kass, wynosi czterysta milionów reńskich czyli miliard sześćkroć sto tysięcy złp. Oszczędność jest ogólną w Cze-

chach zaletą; nabytą wśród strasznych przejść krajowych, dziś podniesioną do obowiązku obywatelskiego.

Powiązane w spółkach tych życie rodzin, umocniło w Czechach liczny żywot miejski, i wciągnęło w przyjazne z nim stosunki okolicznych rolników. Zbratanie takie nie mało siły dodaje.

List IV autor poświęca ruchowi literackiemu. Znanym on jest u nas: głównie z dzieła Edmunda Chojeckiego „Czechia i Czechowie.“ Nowszy jednakże rozwój a w pomienioném dziele nie dotknięty jest nie mało zajmującym. Po słynnym historyku Czech Palackim, idzie w jego ślady *Tomek*. Olbrzymich rozmiarów topograficzne dzieło *dr. Karola Korzystki*, wydane zostało kosztem spółek czeskich. W niém autor przeprowadza każdy strumień od źródła do ujścia, zaznaczając często na jego przebiegu spady, których znajomość, przy jednocześnie wiadomój wzniosłości mniejszych nawet górnych płaszczyzn (*plateaux*) da nową ogólną podniętę, do przedsięwzięć mających na celu użycie wody jako motora, a zarazem do obszernych irygacyi, które w Czechach wielkiego są znaczenia. I inne części dzieła *dr. Korzystki* szczegółowo obrobione dają wskazówki praktyczne. Wydanie jest szczególnie ozdobne; publikacje naukowe, w języku krajowym bez pomocy niemieckiego ministerjum, wymownie świadczą o nieustannym duchu poświęcenia, łączącym usiłowanie badaczy przyrody z poetycznemi, podniosłemi celami tych, co w ideały stałą wiargę przechowali.

Autor temi słowy zakończy swój ustęp poświęcony zarysowi literatury czeskiej.

„Koło literackie, które śpiewem i opowieścią wielkich czynów zbudziło naród czeski do samopoznania, nie zrzekło się kierunku i stoi ciągle na czele: wzięło tylko stopniowo w zakres swego działania nauki, dające środki do osiągnięcia idealnych celów, którym chrystyanizm najwyższy dał wyraz i formy najgodniejsze człowieczeństwa.”

Dalsze listy, obejmujące większą połowę dzieła, autor poświęcił swym wycieczkom w różne okolice Czech dla poznania lepiej kraju, stanu rolnictwa i przemysłu. Wszędzie zwraca pilną uwagę na przedmioty wydatniejsze, jak w wielkich własnościach, czuwanie troskliwe nad utrzymaniem lasów w stanie *zwartym*, a tam gdzie już je siekiera wytepiła, sianie nie już lasów ale pod miastami gaików, które tak ożywiają świat Boży. Zwiedza zakłady *pilźnieńskie*, a szczególniej browar obywatelski w Pilźnie, wyrabiający rocznie do miliona wiader piwa stawnego nietylko w całych Czechach, ale i w Wiedniu poszukiwanego, opłacający także rok rocznie podatku około miliona złr.; gospodarstwo i zakłady przemysłowe księcia Szwarceberga w górach *Szuma-wy*, zaznajamia nas szczegółowo z ustawą głównych wszystkich kass zasiłkowych, które dziś dają Czechom siłę potężną do wielkich przemysłowych przedsięwzięć, skupiają w sobie najdrobniejsze oszczędności, zapewniając im korzystne i bezpieczne pomieszczenie. Z temi opisami łączy autor ciekawe wspomnienia dziejowe, przywiązane do ruin, miej-

scowości i rodów czeskich. Wszystkie te ustępy czytają się z niemałym zajęciem.

Jak energią, oszczędnością, poświęceniem, stawiają Czesi zwycięski opór germanizmowi, tak na polu przemysłowym jak w utrzymaniu swęj narodowości, mamy godny uwagi przykład z miasta *Budziejowic*, u stóp gór *Szumawy*, którym zakończył p. Smorczewski swoje dzieło. Miasto pomienione zamieszkane jest głównie przez Niemców, którzy tu się wnieśli po wojnie trzydziestoletniej. Wioski okoliczne zamieszkujeją czescy chłopci, niedawno zbudzeni do życia narodowego.

W mieście rezyduje biskup *Jan Waleryan Irsik*, gorliwy kapłan i świątły patriota czeski. Szkółki po gminach były ze słowiańskim już wykładem, ale gimnazyum miejskie czysto niemieckie, psuło podjętą pracę. Biskup prócz swęj pensyi, nie rozporządza funduszami duchowieństwa, tém mniej na cele naukowe przeznaczonemi, bo te od wiedeńskiego ministryum zależą. Mieszczanie Budziejowic nieprzyjaźni byli słowiańskiemu kierunkowi. Nagle w roku 1868 biskup Irsik ogłasza list pasterski, naznaczający dzień poświęcenia placu, który nabył pod gimnazyum czeskie w samém mieście, i uroczystego założenia fundamentów. Goręciami słowy powołał duchowieństwo i włościan na tę wielką uroczystość: wiara go nie zawiodła. Lud wiejski zbudzony wymownym listem pasterskim, podniecony zarazem śmiałością myśli, żeby wśród niechętnego miasta postawić sobie szkołę wyższą, po swojemu wziął się do czynnej pomocy dziełu rokującemu na przyszłość błogie owoce. Siedemset chłopskich wozów zaprzęzonych w silne konie wjechało do miasta. Wozy napełnione były cegłą, wapnem, piaskiem, głazami, budulcem i uwieńczone zielenią i kwiatami. Przy nich w około postępowali chłopci w narodowych strojach, śpiewając i wesoło z biczów potrzaskując. Miasto do razu zalane było przez czeskich chłopów, składających biskupowi w jednym dniu niemal cały materyał, na duży gmach gimnazyalny, i ochocących się potem wesoło, po wszystkich miejskich zajazdach. I wyższa szkoła narodowa powstała w pośród zadziwionej gawiedzi niemieckiej, jednym z serca wypowiedzianém słowem zacnego biskupa!

Na wydatniejsze tylko strony téj szacownej a pouczającej pracy autora, zwracaliśmy uwagę, które nam wymownie pokazują, co naród jest w stanie dokazać, gdy szczerze zaufawszy własnym siłom, z dobrą wolą statecznie a rozumnie potrafi je rozwijać na każdym polu działalności społecznej.

„Trzydzieści lat temu (pisze w nowych listach z Czech p. Smorczewski) język niemiecki władał zupełnie w Czechach. Wykładowy już w szkołach elementarnych, prowadził myśl oszołomionego dziecka, przez labirynt form rozwlekłych, do urzędowej kancelaryjnej wiedzy, gdzie *koncept-praktykanty*, *auskultanty* i *oficyaly* otrzymywali, pod postacią żółto-czarnych listewek i wstążeczek świadectwo wysokości zasługi. Liche były płace, wytarte mundury biurokracyi; ale pycha wielka; fascykuły i biura przeliczne, pióra w ruchu; kałamarze nie wysycha-

jące, krok był przeto wielki. W biurach téż tonęła literalnie i szła na liche postugi, cała prawie inteligencya czeska.

„W oddzielném, dumnym osamotnieniu żyli potomkowie stariej czeskiej szlachty, jako téż nowsi téjże klasy przybysze, nagradzani dobrami królewskimi za wojskowe lub dyplomatyczne usługi, oddane wiedeńskim ministrom. Mieszczanin mizdrzył się udając niemca, wieśniak zahukany uważał wszystkich niemców za panów swych, a ich mowę za coś wyższego, wiodącego do światła i zaszczytów. Lichwa niszczyła kraj cały, który nie mógł wydotać opłacie podatków, wywołanych wojnami napoleońskimi, a uwiecznionych złym zarządkiem finansów austrijackich.“

Po tak jaskrawym obrazie niedoli czeskiej, autor stawia pytanie, co rozbudziło ten naród do zmartwychwstania, i stawienia silnego oporu przeciw gniotącej niemczyźnie, co zachęciło do ukochania swój mowy ojczystej, i pracy na każdym polu duchowém i społeczném, ażeby zostać znowu Czechami. I widzimy że rozbudziła Czechów z tyluwiewkowego letargu, pieśń ludowa i sam lud.

W roku 1817 Wacław Hanka przypadkiem odkrywa sławny *rekopism krółodworski*, pieśń *Zaboj*a z czasów przedchrześcijańskich, przypominająca dzielność bohaterską i potęgę oręża czeskiego, wstrząsa do głębi cały naród, duch rzeźwiejszy powiał i Kolar swą pieśnią *Córka sławy* (Slavy Dcera) zabrzmiał pierwszy. Warstwa oświecenisza, duchowo się podnosić zaczęła, ale na mieszczan i lud wiejski trzeba było właściwszjéj podniety. I autor stawia nam godny uwagi obrazek.

Jest na Podrzeczu w Pradze Czeskiej przedmieście pod Wyszehradem nad samą Mołdawą. które zamieszkują *Podskalaki*, ród stary flisaków, trudniący się sptawem drzewa z lesistej Szumawy i zaopatrujący nim swoją stolicę. Ojcowie i naczelnicy rodzin zamieszkują stare, silne, murowane dworce, których dół zalewa nieraz wezbrana rzeka, nie mogąc jednak uszkodzić wyższego piętra, co panuje nad wzburzonymi falami. W podsieniach tych dworców, lub bramach rozległych nadbrzeżnych składów drzewa, można widzieć krzepkie postacie starych Podskalaków.

Przed laty, lud po pracy schodził się do karczemu i piwiarni otaczających targowe place, i tam na sposób niemiecki obsiadał oddzielne stoliki, gwarząc zcicha o swój biędzie, ucisku i kłopotach. Wysłużeni rezerwiści, zuchy co byli w Wenedygo i Italii, wodzili rej w piwiarniach, a dobrawszy się, śpiewali niemieckie przechwałki i bezeceństwa, podkurzając szkaradnym drejkenigem przygnębionym współrodakom, przechadzali się zuchwale między stolikami, depcząc po nogach niesmiałych parobczaków i zaglądnając czelnie w oczy zawstydzonym dziewczętom. Niemiecka piosnka, dowcipy koszarowe, walc z przysiadami, lub zawijaniem, fajka w zębach, cechowały bywalców, zjadaczy serc niewieścich.

W jednéj takiéj zniemczatěj piwiarni ludowej stojącej na Porzeczku w Pradze, którój gospodarzem był Wurmbrand, zasiadło ośmiu

Podskalaków. Krzepkie ich postacie zjednały im uszanowanie panów urlopników, którzy nie śmiejąc ich zaczepiać, wynieśli się powoli. Wtedy Podskalaki zawiedli piękny chórally śpiew, na który rozgłośny gwar ucichł odrazu, a wszyscy zdumieni posłyszeli z zachwyceniem pieśń czeską:

Hej Slowane, jeszcze nasze
Słowańska rzecz żyje,
Pokud nasze wierne srdce
Pro nasz naród bije.
Żyje, żyje duch slovanski,
Bude żyt na wieki,
Hrom a peklo! marne wasze
Proti nam sou wzteki.

Tak brzmiała pierwsza strofka, druga przemawiała za rodzinnym językiem, ostatnia zapaliła wszystkich, gdy usłyszano te słowa:

„Niechaj się nad nami groźna burza wzniesie, skała pęka, dąb się łamie, ziemia aż się trzęsie; my stoimy stale, pewnie, a niech tego czarna ziemia pochłonie, kto odstąpi nas zdraźnie.“

Okrzyk *slava!* zabrzmiał po raz pierwszy w ziemi czeskiej; porwani uniesieniem wieśniacy, zbliżyli się do podskalaków i podali dłoń bratnią. I to był pierwszy połysk, który następnie rozlał się na cały kraj, dał swobodny polot pieśni czeskiej, i zawiązania licznych biesiad, czyli zgromadzeń czeskich, które dzielnie się przyłożyły do rozbudzenia narodowego życia. Pierwszymi jednak tej idei, przez pieśń apostołami byli dzielni Podskalaki, którzy nie tylko w samej Pradze, ale i w dalszych okolicach wyprawy w tym celu robili. Podniętę do tych wędrówek dawał im sędziwy ksiądz Krolmus, a dopomagał przedsięwzięciu urzędnik Peszka dotąd żyjący, który mnóstwem dobitnych śpiewek własnego utworu, podtrzymywał ducha w Podskalakach.

Tak połączeni siłami, gdy inteligencya pracowała nad językiem własnym i historią, lud pracą a pieśnią, z dniem każdym zdobywał sobie szersze pole działalności, i tarczę przeciw naciskowi Niemców.

Dzięki zacnemu autorowi, za tę pracę; zachęci ona nie jednego z naszych rodaków do bliższego poznania tak pobratymczego nam narodu, godnego ze wszech miar szacunku. Czesi zwracają pilną uwagę na literaturę polską, tłumaczą chętnie liczne utwory pisarzy naszych i wiele arcydzieł we wzorowych przekładach posiadają. Należałoby i nam bliżej poznajamiać się z ich piśmiennictwem. *Biblioteka Warszawska* dała do tego początek, drukując obszernie ustępy z dziejów Czechii Franciszka Palackiego, podług oryginału czeskiego, w tłumaczeniu Franciszka Matejki, zawczasie dla literatury naszej zgasłego, a rodzimego brata genialnego malarza *Jana*.
K. Wł. W.

Akta grodzkie i ziemskie z czasów Rzeczypospolitej Polskiej
i t. d. Tom V, we Lwowie 1875 r.

Ważnej tój publikacji zostającej obecnie pod sterem uczonego i zasłużonego profesora Liskego, wyszedł w roku bieżącym tom piąty, obejmujący dyplomatów 160, z których najwcześniejszy jest z 1330 roku, najpóźniejszy z 1469 r. Dyplomatów z wieku XIV jest 22, wszystkie inne pochodzą z wieku XV.

Nie potrzebuję się rozszerzać nad ważnością tój publikacji i starannością wydania, od czasu jak kierunek jego wziął na siebie dr. Liske. Pod tym względem jedno jest zdanie wszystkich uprawiających niwę dziejową. Nie zamierzam też podać czytelnikom plonu, jaki zawarte w niniejszym tomie Akt ziemskich i grodzkich dokumenta dla nauki dziejów przynoszą; chcę jedynie, oddawszy hołd należny uczonemu wydawcy, zwrócić jego uwagę za pośrednictwem Biblioteki Warszawskiej, na niektóre usterki, jakie przy odczytaniu niniejszego tomu dyplomatarjusza dostrzedz mi się zdarzyło, aby z méj strony przyczynić się wedle możliwości, do udoskonalenia tak ważnej a w początkach swych dopiero będącej publikacji.

Nad każdym z drukowanych dokumentów znajduje się zatytułowanie czyli nagłówek po polsku, obejmujący miejsce wystawienia aktu, jego datę według kalendarza cywilnego i treść krótko zebraną. Nagłówki te razem zestawione stanowią umieszczony na końcu spis rzeczy. Z porównania nagłówek z osnową dokumentów okazało się, że treść dokumentu nie zawsze wyrozumianą a przynajmniej nie zawsze dokładnie podaną została, co mniej obeznanym ze średniowiecznymi dokumentami obaćmucić może. Ulegając powadze uczonego wydawnictwa naciągac będąc wyrażenia w dokumentach napotykanne do znaczenia jakie do nich wydawnictwo w nagłówkach przywiązywać się zdaje, a tak wydanie dyplomatarjusza nie stanie się czémby być winno, szkołą przyszłych dziejznawców.

Wymienię usterki pod tym względem dostrzeżone. Dokument XLVI, str. 61, we Lwowie dnia 4 stycznia 1430 r., ma treść podaną w ten sposób:

„Jan Cielątko starosta Łańcucki poświadcza, że Piotr Odrowąż (i inni) złożyli kaucyą iż tenże Cielątko wraz z żoną swą Anną, stawiają się we Lwowie w dniu Św. Wojciecha i w Sanoku w dniu Św. Jana, aby tutaj załatwić sprawę zwaną macierzyzny.“

Z osnowy dokumentu okazuje się, że Cielątko nic w nim nie poświadcza, ale obowiązuje się do wynagrodzenia swoim poręczycielom wszelkich szkód na jakieby narażeni zostali, skutkiem niespełnienia przez Cielątko i jego żonę Annę, przyjętych zobowiązań względem stawiennictwa w sądach i zeznania potrzebnych aktów.

Dokument L, str. 65 ma obejmować wedle nagłówka, zastaw dóbr za pożyczone 300 grzywien.

Tymczasem w dokumencie nie ma mowy ani o zastawie ani o pożyczce. Król nic nie pożyczył od uzyskującego nadanie Jana z Koniecpola, przywodzi tylko jako jeden z powodów nadania, że poręczył Koniecpolskiemu (intercessimus) za Dobkiem z Sienna dłużnikiem pierwszego.

Intercessio, nie jest pożyczką; porównaj ten wyraz na str. 29, 78, 129, 198, 199.

Dokument LVII, str. 73, w Sandomierzu 17 lutego 1434 roku. Według nagłówka, Władysław Jagiełło nadaje Ormianom lwowskim prawo robienia testamentów bez żadnych przeszkód.

Z osnowy okazuje się, że Jagiełło aktem powyższym nic Ormianom nie nadał, utrzymał ich tylko przy służącej im zdawna wolności robienia testamentu i polecił wójtowi ich Iwanowi, aby nie dozwalał nikomu czynić przeszkód w wykonaniu testamentów.

Dokumentem LXXVII str. 97, w Krakowie 25 lutego 1440 r. Władysław Warneńczyk poświadcza, według nagłówka, iż dłużny jest miastu Lwowa 905 grzywien, 21 skotów, i nakazuje aby dług ten *powoli* spłacono z dochodów ceł opłacanych między Krakowem a Lwowem.

Według osnowy dokumentu dług nie miał być płacony ani *powoli* ani *prędko*, ale na ten cel rajcy lwowscy mieli pobierać połowę otrzymanywanego z cła dochodu.

Dokumentem CXX str. 157, papież w Rzymie 15 lipca 1447 r. nie nakazał, jak powiedziano w nagłówku, przeprowadzić niezwłocznie w wykonanie testament Piotra Czansera, ale polecił wyznaczonym biskupom rozsądzić tak apelacją założoną do Rzymu przez rajców miasta Lwowa od zagrożenia arcybiskupiej kłątwy, jak i sprawę o ważności samego testamentu.

Treść dokumentu CXXIV str. 163, jest w nagłówku zupełnie błędnie podaną. Dokument obejmuje, nie jak powiedziano w nagłówku, przeprowadzenie działu między dwiema siostrami spółwłaścicielkami wsi Hussakowice, ale poświadcza rozgraniczenie dóbr Hussakowice własnością dwóch siostr będących, od dziedzin obcych. Jest to granicznik, a nie akt działu. Powodem omyłki stało się niezrozumienie wyrażeń użytych w dokumencie, które jako przedmiot zapozwu w sprawie toczącej się z powództwa siostr spółwłaścicielek, podają: *limitacio distinctor divisio graniciarum*, czemu odpowiada też opis czynności podkomorzego, *distincimus, divisimus et limitavimus ex omnibus metis circumquaque protensis*. Układający nagłówek mniemał zapewne, że wyrażenia *divisio, divisimus* odnoszą się do podziału dóbr. Że tak nie jest poucza dokument CXLIX str. 196, gdzie opisując wioskę oddaną w zastaw, użyto wyrażeń: *ita late, longe et circumferencialiter prout in suis metis, limitibus et graniciebus est distincta, divisa et limitata*. *Divisio*, w takim zestawieniu wyrażeń, jest użyte dla większej dosadności synonimem, rozgraniczenie znaczy oddzielenie dóbr od dóbr sąsiednich, a nie dział dóbr pomiędzy spółwłaścicielami.

W nagłówku dokumentu CXXXII str. 172 powiedziano, że król pozwala zapisać 50 grzywnien. Z osnowy aktu okazuje się że król zatwierdza zapis już uczyniony.

Nagłówek wielce ciekawego dla historycznego prawnodawcy dokumentu CXLVI str. 191 podaje zbyt treściwie osnowę tego aktu, jako re-kognicje pożyczki. Pojmuję, że liczne zastrzeżenia aktu w nagłówku wyłuszczyć się nie dały, należało wszakże nadmienić o istnieniu zastrzeżeń.

Takie niedokładności dostrzegłem w spisie rzeczy. Z innych spisów poprzedzających ten ostatni, zwrócił moją uwagę spis wyrazów nie łacińskich, znajdujących się w dokumentach łacińskich w tomie tym drukowanych.

Odstępuje od zdania szanownego wydawcy w tém, że niektóre zamieszczone w spisie wyrazy uważam za proste nomenklatury czyli nazwy poszczególnych miejscowości; które gdy istnieje osobny indeks nazw miejscowych, w tym indeksie raczej niż w spisie wyrazów nie łacińskich pomieszczone być były winny. Tu należą np. *arram dictum* lymiszcze, Bradlisca *alias iuger*. Bradlisko, nie jest tłumaczeniem wyrazu *iuger*, który nigdy tak się nie wykladał po polsku, ale jest nazwą kawałka gruntu, o którym w tém miejscu uczyniona została wzmianka.

Wyrazy w spisie objęte użyte są po większej części w dokumentach dla objaśnienia wyrazów łacińskich i dlatego poprzedzane bywają słowami, *vulgariter dictum* lub *alias*. Wydawca słusznie zrobił zamieszczając w spisie obok wyrazu polskiego i wyraz łaciński. W ten tylko sposób istotne znaczenie wyrazu polskiego da się niekiedy ustalić, gdy ówczesna łacina czasem jest dla nas zrozumialszą niż ówczesna polszczyzna. Lecz przy niektórych wyrazach odpowiednie im łacińskie w spisie pominięte zostały. Tu należą *prosectoratus*, *profecti*, po pol. obermaństwo, obermany; *astremilates*, po pol. obszary, *attinentia* po pol. przysiołki. Natrafiają się też w tekstach wyrazy w spisie opuszczone np. *gerade*, po łacinie *paraphernalia et supellectilia* str. 118. Przy niektórych słowach brak objaśnień pozostawia w wątpliwości co rzeczywiście oznaczać mają, np. *vodka*. (Ten wyraz zdaje się oznaczać małą strugę, nie mającą osobnej nazwy). Wreszcie pozwałam sobie zrobić przypuszczenie, że w wyrazie *szrodnimi (lan)*, zamiast *m* czytać należy *w*. Oznacza to zapewne *lan śród niwy*.

Mniemamy że byłoby pożądanem, aby indeksa dyplomatarjusza nie tylko podawały wykaz osób i miejscowości, nie tylko objaśniały wyrazy nie łacińskie w tekstach łacińskich znachodzące się, ale aby i wyrazy łacińskie średnim wiekom właściwe, lub na oznaczenie miejscowych stosunków użyte, o ile są mniej znane, zebrane i objaśnione były. W całym tomie niniejszym, jeden tylko, ile dostrzegłem, wyraz łaciński, zasłużył sobie na objaśnienie, lecz za to dwukrotne, ze strony wydawcy. Jest to wyraz *pueri*, co do którego wydawca czyni uwagę, że oznaczał w języku ówczesnym dzieci bez różnicy płci. Uwaga zupełnie słuszna, ale wydawca zwiększyłby swoje prawo do naszej wdzięcz-

ności, gdydy mniej skąpą ręką uwag nam swoich udzielał. Jak wielka zachodzi tego potrzeba, na dowód stawiamy wyraz *fratres uterini* zachodzące się w tomie niniejszym na str. 53 i 207. Wyrażenie to, jak wyjaśniono w Bibliotece Warszawskiej rok 1851 t. III, str. 228 na podstawie Ducange'a i naszych dyplomatów, oznaczało w średnich wiekach braci rodzonych. Nazywano ich tęp mianem szczególnie wówczas, gdy obok nich byli bracia przyrodni, synowie tegoż ojca, lecz z innej matki. Takie znaczenie wyrażenia *frater uterinus* mało jednak jest znane, skoro uczony autor dzieła o Prawie polskiem w XIII wieku, tłumaczy je przez braci przyrodnych, (str. 85). Cóż dopiero mówić o błędach jakich się dopuścił tłumacz kodeksu dyplomatycznego Wielickiego, który czasami, np. w ustępie dyplomatu ostatniego z r. 1765 str. 167, od *Officium succamerariale* aż do *officiose debeat*, okazał w przekładzie swoim zupełne niezrozumienie przedmiotu. Do zapobieżenia takim usterkom przyczyniłoby się wydanie niniejszego dyplomatarjusza, gdyby uczony wydawca hojniej swoich objaśnień udzielał. Inaczéj zdarzyć się może, że będzie dyplomatarjusz, ale nie będzie tych, którzyby akta w nim zawarte zrozumieć byli w stanie. F. Z.

Schiern Ueber den Ursprung der Sage von den goldgrabenden Ameisen, przekład z Rozpraw Towarzystwa Naukowego Duńskiego. Lipsk i Kopenhaga 1873. (str. 53).

Herodot, tak zwany Humboldt swojego czasu, opisując ludy północno-indyjskie, powiada między innymi rzeczami że, „inni Indowie sąsiadują z miastem Kaspatyros i krainą Paktyka, mieszkają na północ od innych Indów i prowadzą życie takie jak Baktrowie. Są tęp najwaleczniejsi ze wszystkich i właśnie ci sami, których po złoto posyłają. W owéj bowiem okolicy znajduje się piaszczysta pustynia, a w piaskach jéj są mrówki, co do wielkości mniejsze od psów, ale większe od lisów; kilka ich jest na dworze króla perskiego ztamtąd złowionych. Mrówki te gnieźdząc się pod ziemią wygrzebują piasek, tak samo jak greckie i są do nich podobne z kształtu. Ale w piasku wygrzebanym znajduje się złoto. Po ten piasek posyłają Indów na pustynię, którzy zabierają z sobą po trzy wielbłądy: dwóch samców puszczają luźno po obu stronach, a na samicę idącą środkiem, sami wsiadają, a wyszukają takiéj właśnie, która ma źrebięta, lecz te zostawiają w domu. Wielbłądzice ich nie ustępują w szybkości koniom, a mogą większe ciężary dźwigać.

„Jadąc w owe okolice, mają Indowie przy sobie worki skórzane i jak tylko je piaskiem napełnią, z największym pośpiechem uciekają do domu. Bo według opowiadania Persów, mrówki gonią za nimi jak

tylko ich zwąchają, a biegną z taką szybkością, jak żadne inne stworzenie, tak iż gdyby Indowie nie zdołali uciec, nie udałoby się żadnemu cofnąć się bez walki. Samców wielbłądów, jak mówią, dla tego nie dosiadają, że nie biegają, tak zwinnie jak samice i prędko ustają; wielbłądźce zaś, tęskniąc za dziećmi, rączo się unoszą. Takim sposobem wedle opowiadań Persów, Indowie najwięcej złota dostają; kopią je i we własnym kraju, ale daleko mniej“ (III 102—105).

Podanie to powtarza się u bardzo wielu pisarzy starożytnych greckich i rzymskich, a niektórzy modyfikują je lub dopełniają według swoich wiadomości. I tak Pliniusz powiada że lud, który od mrówek złoto odbiera, nazywa się Dardowie (Dardae); Eljan wie że granicę okolicy złotonośnych tych owadów stanowi rzeka Komyplinos; Strabo powtarza historyjkę o mrówkach, lecz nie wierzy aby była prawdziwą i dodaje że kopią one ziemię w zimie, co i Pliniusz podaje; Megastenes (u Strabona) zawiadamia nas iż Indowie, robiąc wyprawę po złoto mrówek, biorą z sobą mięso i rozrzucają je w różnych miejscach, aby tém odwrócić uwagę tych olbrzymich owadów; Nearch, który z *poruczenia* Aleksandra Macedońskiego zbadał bieg rzeki Indów, zapewnia że widział skóry tych mrówek i że były podobne do skór pantery; wreszcie tenże Pliniusz twierdzi że w świątyni Herkulesa w Erytrach przechowywano jako osobliwość parę rogów mrówki indyjskiej.

W średnich wiekach, tak skłonnych do wierzenia we wszelką cudowność, powtarzano i rozszerzano bajeczkę powyższą; wymienimy tu tylko obszerne dzieło Alberta Wielkiego „O zwierzętach“, tak słynne w wiekach średnich i ów głośny list Prezbitera Jana, opisujący cuda mniemanego państwa chrześcijańskiego w Azji. Pisarze arabscy także nie pominęli tej legendy, a Turcy wierzyli w nią jeszcze w XVI wieku.

W czasach nowożytnych łamano sobie głowę nad wyjaśnieniem tego dziwoląga: przypuszczano że albo starożytni pomylili się biorąc mrówkę za inne jakie zwierzę, np. hijenę, lisa, świszczka i t. p.; domyślano się że mówili o mrówce przez jakieś językowe nieporozumienie, przez upatrywanie podobieństwa składu mrówki do jakiegoś zwierzęcia i t. d. Nikt jednak stanowczego objaśnienia nie podał, nie wyłączając nawet Karola Rittera i Aleksandra Humboldta. Duńczyk rodem, głośny w swoim czasie geograf francuzki Malte-Brun nasunął nieśmiałe przypuszczenie: czyby nie należało domyślać się że mrówkami nazwano jakieś plemie ludzkie? Ale słowa jego wyrzeczone r. 1819 nie trafiły nikomu do przekonania.

Tymczasem jak wiadomo, obeznawano się w Europie z piśmiennictwem sanskryckim. Znany indolog Wilson dostrzegł ustęp Mahabharaty, świadczący że i starożytni Indowie mieli podanie o złotonośnych mrówkach; pomiędzy innemi daninami, które królowi Juddhisztirze władcy indyjscy składają; poemat ten wymienia i złoto w ogromnych bryłach, wykopywane przez mrówki; zwane „pipilaka.“ Wykryto także: iż Herodotowe Kaspatyra, mylnie zamiast Kaspapyros czytane, jest to indyjskie *Kasjapapura*, czyli miasto Kasjapy, postaci mitycznej,

znanéj dobrze w podaniach Kaszmiru; jakoż i sam Kaszmir brzmi właściwie *Kasjapamira* i znaczy morze Kasjapy. Że Paktyka Herodota znajduje się w nazwie *Pakhtun*, którą wschodni Afganowie siebie mianują? Nie ulega więc wątpliwości że to z dzisiejszego Kaszmiru robiono owe wycieczki po złoto. Że zaś prawie przez cały ciąg dziejów Tybet był celem napadów Kaszmirskich, przypuszczać należy że i te wyprawy z Kaszmiru po złoto nie gdzieindziej jak do sąsiednich okolic Tybetu się odbywały. Stwierdza to nazwa Dardów, przez Pliniusza wymieniona: znają ją pisma sanskryckie w formie Darada, znają téż dzieje jako plemię zbojeckie, osiadłe w górach Dardistanu, najeżdżające w bieżącym jeszcze stuleciu Mały Tybet. Wyżej wymieniona zaś rzeka Kampylinos jest prawdopodobnie dzisiejszą Singh-gi-Khambą jednym z dopływów górnego Indu.

Właśnie w tych miejscowościach odkryto niedawno kopalnie złota: niema więc wątpliwości że to tutaj wzięły początek podania starożytnych.

Wiadomo że do niedawnego czasu Tybet był ziemią prawie nieznaną, szczególnie te jego części, które w złoto obfitują, zaledwie przed kilku laty zbadano bliżej. Autor pisemka, które streszczamy, wyjął z czasopism angielskich opis wyprawy w owe okolice; nie możemy poimnając podania tu kilku wyjątków, bo to rzecz u nas zgoła nieznaną a zajmująca z dwóch względów: naprzód jako świadcząca o postępach cywilizacji europejskiej w Indyach, gdy już dziś rodowici Indowie z poruczenia Anglików podróżują w celach naukowych; powtóre jako malująca sposoby dostawania się w okolice prawie niedostępne.

„Ponieważ dla Europejczyków wyprawa taka byłaby zgoła niemożliwą (opowiada sprawozdawca angielski), rząd indyjski umyślił użyć do tego uczonych Indów, tak zwanych pandytów i wezwał kilku ich do assistowania przy trygonometrycznym pomiarze Indyi, a gdy dokładnie obznajmili się z używaniem narzędzi i z największemi gwiazdami, roku 1865 poruczył dwom z nich odbycie niebezpiecznej wyprawy w nieznane krainy Tybetu. Wyjeżdżając zabrali oprócz kilku większych sekstantów, głęboko w kufrach podróżnych zachowanych, kilka sekstantów kieszonkowych, także kompas, chronometry i hipsometry do wody wrzucęj; żywe srebro zachowali w orzechu kokosowym i w muszlach zalepionych woskiem. Wydawali siebie za mieszkańców Bisahiru, okolicy górzystej w Indyach, której ludność kupiecka, nakształt wędrownych kramarzy lub Sabaudczyków handlując, odwieczny miała przywilej krążenia po wschodnim Tybecie bez narażenia się na przeszkazanie. Później zaś, dla dostania się do Lhassy, stolicy Dalaj-Lamy, zręczniejszy pandyto przebrał się za krajowca średniotybetańskiego (Ladaki), przystroił się w warkocz tybetański i chociaż był gorliwym czcicielem Brahmy, bardzo wprawnie posługiwał się kołem modlitewnym i różańcem, rzeczami nieodstępnie towarzyszącemi budhystom; lecz spręty te nieco inaczej sobie urządził. Koło modlitewne czyli maszyna do modlenia się, jak wiadomo, składa się z miedzianego walca; lekko okręca-

jącego się na osi i zawierającego zwój papierowy z wieczną modlitwą, budhyską „Om mani padme hum;“ każdy obrót tego cylindra uważa się za mówienie téj modlitwy. Otóż w walcu tym pandyta umieścił paski papierowe na robienie notat, licząc na to że urzędnicy celni nigdy koła modlitewnego nie rewidują; służyła mu ta maszyna także do odpędzania ciekawych, bo jak tylko tacy się zbliżali, zabierał się do kręcenia jéj, udając głęboko zatopionego w pobożne rozmyślenia. I różnicę pandyty niezupełnie był zwyczajny, bo zawierał nie 108 paciorków, jak prawo budhyskie wymaga, lecz 100, podzielonych na dziesiątki i służył mu za wcale dogodną miarę w podróży; roztropny Indyjanin nosił go w rękawie i co sto kroków posuwał jeden paciorek, tak iż nawet dłuższe przestrzenie mógł tym sposobem notować.“

Takie same wyprawy powtarzali ciż podróżnicy w latach 1867 i 1868 i odkryli wiele zgoła nieznanych miejscowości, wymierzili wysokość zwiedzanych okolic i mnóstwo innych dostrzeżeń naukowych poczynili, a co nas obecnie najbardziej zajmuje, natrafili w r. 1867 na kopalnie złota. Na północno-wschodnich stokach gór Himalajskich, na południo-wschód od prowincyi Ladak, w okręgu zwanym Nari-Chor-sum, na płaskowzgórzach nawyższych w świecie, bo przeszło 16,000 stóp nad morzem wzniesionych, rozciągają się niezmierzone przestrzenie bezładne, obfitujące w złoty piasek, dość nie głęboko pod ziemią leżący. Zbiega się tam mnóstwo krajowców, kopią i wypłukują złoto, zakładając gdzieś obozy i coś do wiosek podobnego. Klimat, z powodu niezmiernie wzniesionego położenia, jest tam nadzwyczaj ostry; aby się schronić od wiatrów i śnieżnych zamieci, górnicy kopią doły kilka stóp głębokie i tam mieszkają; otóż wyjaśnienie słów Herodota o mrówkach, że „pod ziemią się gnieźdzą.“ Zdaniem autora bowiem, owe złotonosne owady są nie czem innym, jak do dziś dnia żyjącym i tak samo jak dawniej złota szukającym ludem wschodniego Tybetu. Z opisu pandytów i innych podróżników okazuje się iż wyglądające bajecznie podania starożytnych wyjaśniają się zupełnie naturalnie. Kopacze złota ubierają się w skóry zwierzęce, aby od wielkiego chłodu się zabezpieczyć, gdyż kopią zwykle w zimie, bo ściśnięta mrozem ziemia zabezpiecza szczyty od zapadnienia; wyglądają jak Eskimowie lub Samojezy w swych skórach do góry włosem odwróconych, któremi nietylko cały tułów, nogi i ręce ale i głowę i twarz przykrywają; tak przystrojeni mają pozór zupełnych zwierząt, tém bardziej że niektórzy, okrywając się skórami wołów (tak zwanych jaków), zostawiają rogi przy skórze i takową wkładają tak iż mają miętę istot rogatych. Wszystko to rzuca światło na powieści starożytnych o ogromnych, kosmatych a rogatych mrówkach. Co do szybkości i waleczności ich, oraz co do rzucania mięsa dla odwrócenia ich uwagi od napastników, to zdaje się p. Schiernowi że starożytni zmieszali tu powieści o ludziach z podaniami o ich obrońcach psach. Istotnie w czasach obecnych mieszkańcy Tybetu wschodniego chowają mnóstwo psów ogromnego wzrostu i bardzo zażartych, które włóczą się stadami i nie-

raz ludzi napastują; być więc może że i owe skóry mrówek podaniowych były skórami brytanów, które zapewne z taką samą wściekłością napały dawnych poszukiwaczy cudzego złota, z jaką dziś obcych przesładują.

„Powieść więc cała nie wydaje się przeto już nam cudowną, powiada kończąc swą rozprawę prof. Kopenhazki. Bo owe złoto grzebiące mrówki, nie oznaczały pierwotnie ani zwierząt, ani prawdziwych mrówek, jak sądziła naiwność starożytnych, ani jakichś innych większych istot, któremi niby miano je mieszać z powodu iż jak one grzebać i wyglądać mogły, jak mniemało tylu głośnych uczonych aż po dni nasze; byli to ludzie z krwi i kości: kopacze tybetańscy, którzy tak samo w dalekiej sraróżności żyli i wyglądali, jak dziś żyją i wyglądają.“

J. K.

Czytania Religijno-Moralne dla młodych osób, przez Feliksę Eger, autorkę Katechizmu dogmatyczno-historycznego. Warszawa. (Nakładem autorki). W drukarni Instytutu Warszawskiego Głuchoniemych i ociemniałych. 1875. (W 12-ce str. 165).

„Dziś jako w czasach walki pojęć i wyobrażeń (pisze autorka we wstępie swoim), więcej niż kiedykolwiek potrzeba kobięcie tarczy przeciwko złym prądom, siły i dźwigni moralnej do utrzymania się na stanowisku niewiasty dzielnej, kobiety ewangelicznej, dobrej córki, żony i matki. Siłę tę czerpać ona musi w religii, która jęj drogę tę wskazuje, oświeconą wzorem i nauką Chrystusa.“

Piękną więc i szlachetną myślą powodowana autorka, zabrała się do tęj pracy i wykonała ją odpowiednio swemu założeniu. W pięćdziesięciu jeden rozdziałach rozwija swój przedmiot idąc za słowami Zbawiciela. Językiem czystym, stylem jasnym, dodaje niemało wartości tęj książce, która w szczupłych ramach podaje zdrowe, zbawienne rady każdej kobięcie polskiej na drogę życia, dla zapewnienia szczęścia duchowego w przyszłej pielgrzymce, wśród burzy światowej.

Nigdy zapewne społeczność niewieścia nie potrzebowała więcej troskliwości jak w obecnęj dobie, gdy *złe prądy* wedle dobrego wyrażenia autorki, zachwiały ją w odwiecznych posadach, na których niezruszenie niewiasta polska stała jako wierna kapłanka domowego ogniska, jako *duśa domu* i matka młodych pokoleń.

Głęboką myśl wypowiedział *Guibert*, że: „mężczyzni stanowią prawa, a kobiety obyczaje,“ i potwierdzają je dzieje każdej społeczności. Dziś, gdy kobiety nasze zatracają w sobie nawet tradycję dawnęj niewiasty polskiej, której przeszłość historyczna tyle ma do zawdzięczenia, przypomnienie najgłówniejszego jęj żywiołu, jakim była religia, i czysta pobożność, może przynieść niemały pożytek.

Autorka mówi o swęj pracy: „że jeżeli choć jedną kobietę lekką, niezastanawiającą się, na drogę rozważnego i pełnego miłości obowiązku wprowadzić potrafi, dostatecznie wynagrodzoną zostanie,“ my spodziewamy się obfitszego z nięj plonu, zalecając to dziełko matkom i przewodniczkom młodego pokolenia. W.

„*Podarek dla grzecznych i pilnych dzieci.* Książeczka abecadłowa, przez Teofila Nowosielskiego ułożona i zawierająca początki nauki czytania, oraz świątek dziecięcy w powiastkach, bajeczkach i piosenkach. Z 60 drzeworytami w tekście. Warszawa. Nakład i druk S. Orgelbranda synów. 1876, (w 4-ce str. 128).

Pisarz to znany oddawna, współtowarzysz prac Stanisława Jachowicza, obrawszy sobie skromne pole pracy dla dziatwy drobnej, nie schodzi z niego nigdy, wzbogacając rok rocznie prawie, ubogą gałąź literatury poświęconęj dla tak licznego koła małych czytelników.

Autor od abecadła zaczynając, daje w piosenkach wyobrazenie o samogłoskach, dalej początki czytania; przechodzi następnie do rozwinięcia pojęć młodocianych, przedstawiając świat, ludzi, zwierzęta, ptaki i rośliny. Powiastki drobne, zdania, piosnki i wierszyki, dążą z myślą moralną do jednego celu. Zajmujący dla właściwych czytelników przeplata rozdział o zabawkach dzieciennych, który objaśniają ryciny. Zamykają tę pożyteczną książkę, nader ozdobnie wydaną, wspomnienia o zasłużonych mężach jak Kopernik, ksiądz Jakób Falkowski założyciel Instytutu Głucho-niemych, Kazimierz Brodziński i Stanisław Jachowicz, z wizerunkami ich w udatnych drzeworytach i starannie odbitych. Życiorysy ich są ujęte w krótkie wierszyki: pod Kopernikiem czytamy.

„Był uczony i cnotliwy,
Oparł system swój prawdziwy
Na nauce swęj głębokięj
I gruntownęj i szerokięj;
W księdze znanęj w ziemiach czeskich,
„O obrotach ciał niebieskich“
W dziele sławném w całym świecie.
Niech tam sobie niemiec plecie,
Że Kopernik nasz ojczysty,
To nie polak lecz szwab czysty!
Miejcież dzieci to w pamięci,
Jakie to są *szwabskie* chęci!“

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE,

NAUKOWE, LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

WARSZAWA.

Listopad 1875.—Wyszedł z druku „Mikołaj Kopernik” dramat w pięciu aktach, na tle dziejów osnuty. Napisał Wincenty Rapacki, artysta dramatyczny, z godłem na czele:

„Światło, ciemnota, złości rysy szpetne,
Cudnej miłości, barwy nieba jasne,
I geniuszu blaski nieśmiertelne,
To gra wieczysta w obrazie ludzkości.”

Pracę tę autor przypisał towarzyszom swoim w sztuce, jako podziękę za ich życzliwość i pracę podjętą przy wystawieniu „Wita Stwosza;” (w 12ce, str. 151. Warszawa, 1876).

— Znany pisarz Jan Jeleński otworzył w Warszawie czytelnię dzieł wyborowych nowszych naukowych i belletrystycznych, oraz czytelnię dla dzieci. Zakład ten literacki mieści się przy ulicy Nowy-Swiat Nr. 4. Równocześnie otwartem zostało Biuro dla szukających pracy, przez Stefana Kosuth'a, redaktora Przeglądu Technicznego. Rekojmnią dobrą tego Biura, które nie mała pomoc dla szukających zajęcia daje jest to, że opłatywpisowej żadna strona nie wnosi, i dopiero po dojdzie do skutku układów, pracodawca opłaci jednorazowo dwa procent i obejmujący posadę dwa procent rocznej pensyi.

— Wydawca „Wędrowca” Gracyan Unger, ogłosił prospekt, że od Nowego Roku 1876 wychodzić będzie „Dodatek” poświęcony modom, co dwa tygodnie arkusz tekstu z rycinami i kolorowana tablica mód; prenumerata na ten „Dodatek” jest oddzielna.

— *Liszt i Chopin* wspomnienia muzyczne. Pod takim napisem p. Charles Rollinat w dzienniku *Le Temps* (z r. 1874) podaje nam zajmujące szczegóły o naszym rodaku, które tu w skróceniu czytelnikom przedstawiamy.

Było to w zamku Nohant, w pobliżu tak zwanój: „Czarnój doliny.“ Gospodyn domu, pani Georges Sand, słynna zadziwiającym pisarskim talentem, lecz jeszcze więcej kochana, niż podziwiana przez znających jój dobroć serca, podejmowała wtenczas u siebie Chopina, którego macierzyńskiem pielęgowaniem wydarła prawie z rąk śmierci. Pod okiem czułych jój starań około cierpiącego artysty, powstały ostatnie utwory tego geniuszu tak pełnego czystości i piękna.

Owóz w tym roku zebrało się w zamku Nohant liczne grono artystów, liczne i dobrane jak rzadko się zdarza. Przybył tam Liszt z pewną gwiazdą paryzkiego świata, damą słynną z dowcipu i wdzięków, a noszącą wówczas imię Arabeli, które później zmieniwszy na

inne, zdobyła sobie w literaturze zaszczytne miejsce. Znalazła się tam również szczytna śpiewaczka Paulina Viardot, z małżonkiem swoim, Paulina, która do dziś zachowała wyraz idealny, niezrównaną maestrię swego talentu, znalazł się Eugeniusz Delacroix znakomity malarz-romantyk, prawdziwy poeta kolorów; sławny aktor B... i wiele innych głośnych imion w świecie artystycznym. Do tych gości doliczyć jeszcze trzeba dzieci gospodyni domu, syna i córkę, urocze istoty; toż jakiegoś siostrzeńca i siostrzenicę, a nareszcie kilku przyjaciół z sąsiedniego miasteczka zaproszonych z żonami. Wszystko to było młode, pełne zapału, a szczerze jak czyste złoto.

Takiego rodzaju towarzystwo bawiło się w zamku Nohant.

Gościnność myślała o wygodach, zostawiając każdemu zupełną swobodę. Kto też lubił polować, znalazł wszelkiego rodzaju strzelby, przybory myśliwskie i psiarnią; kto lubił rybołówstwo miał na zawołanie czółno, sieci i wędki, a do przechadzki prześliczny i rozległy ogród. Każdy robił co mu się podobało. Liszt i Chopin komponowali; Paulina Viardot uczyła się swojej roli w *Proroku*; gospodyni domu pisała romans czy dramat; inni podobnież grali, pisali, malowali. Co dzień o szóstej schodzono się na obiad, a po obiedzie bawiono się razem do drugiej lub trzeciej po północy. Nie chcę tu opisywać wszystkich improwizowanych zabaw, które nam uprzyjemniały ten pobyt; powiem tylko o muzyce, a mianowicie o dwóch rywalizujących ze sobą pianistach.

Chopin rzadko grywał, i tylko w tedy dawał się słyszeć, kiedy już był pewnym, że doskonale sztukę swą wykona.

Za nic w świecie nie byłby się odważył grać miernie; Liszt robił wręcz przeciwnie: grał zawsze czy źle, czy dobrze, ale grał.

Pewnego wieczora w maju, pomiędzy jedenastą a dwonastą o północy, całe towarzystwo nasze zebrało się do wielkiego salonu. Przez szeroko pootwierane okna świecił księżyc i dolatywał śpiew słowików, a wonny powiew przejęty zapachami róż i rezedy od chwili do chwili odświeżał powietrze. Liszt grał nokturnę Chopina i podług swego zwyczaju pstrzył ją we własne kwiateczki, mieszając trele, tremole i wszystko inne czego tam nie było. Chopin po kilkakroć dawał znaki niecierpliwości, aż nareszcie nie mogąc dłużej wytrzymać, zbliżył się do fortepianu i odczwał się do Liszta ze zwykłą swoją flegmą:

— Jeżeli mi chcesz zrobić zaszczyt i grać co mojego, to proszę cię mój drogi, graj tak, jak napisane, albo też graj inny kawałek, bo tylko Chopin ma prawo zmieniać Chopina.

— Kiedy tak, to siadaj i graj—rzekł Liszt wstając od fortepianu cokolwiek urażony.

— Najchętniej—odrzekł Chopin.

W tej chwili lampa zgasała a zgasita ją ogromna ćma, która w niej spaliła sobie skrzydła. Już wołano aby podać inną.

— Nie trzeba!—rzekł Chopin—owszem pogasić wszystkie światła, księżyc świeci tak pięknie, to dosyć. I zaczął grać... a grał przez całą godzinę. Nie podejmuję się opisywać cudów tej muzyki. Bywa przecież tyle wzruszeń których się doznaje, a mimo tego braknie słów i sił do wyrażenia ich. To tylko pamiętam, że pomilkły słowiki aby go słuchać, kwiaty jak wonną rosę piły te dźwięki płynące z nieba; całe grono słuchaczy i słuchaczek pogrążone w niemym zachwycie, nie śmiało odetchnąć—a gdy czarodziej grać przestał, w każdym oku była łza; Liszt zdawał się być najbardziej rozrzuwionym; pochwylił bowiem w objęcia Chopina i zawołał:

— Ach przyjacielu! miałeś słuszość! Święte są dzieła takiego jak ty geniuszu; dotknąć się ich, jedno jest co je sprofanować. Prawdziwy z ciebie poeta; jam tylko skoczek na linie.

— Przesadzasz!—odparł Chopin—tak ja jak ty, każdy z nas ma swój właściwy sposób grania, i w tym cała różnica. Sam wiesz najlepiej, że nikt nie potrafi tak jak ty wygrać Webera i Bethowena. Dlatego proszę cię zagraj *Adagio* Bethowena z *ut dièze minor*, ale graj na seryo, jak umiesz kiedy szczerze chcesz.

Liszt odegrał *Adagio*, wlewając w nie całą swoją duszę i potęgę woli. Natenczas w zgromadzeniu okazał się inny rodzaj wzruszenia: zalewano się łzami, niemal szlochano; atoli nie były to owe słodkie łzy rozrzuwienienia, które Chopin wycisnęła, ale łzy okrutne, o których mówi Otello. Jakoż melodya gry Liszta nie dostawała się do serca w sposób łagodny, czarujący, lecz wpadała w nie gwałtem, na przebój jak sztylet. Nie była to wdzięczna elegia, lecz krwawy dramat.

Jednak zdawało się Chopinowi, że tego wieczora na prawdę przyćmił Liszta; przed kimś pochwalił się nawet mówiąc; czy uważałeś jak go to dręczyło?! Słowa te doszły uszu Liszta; postanowił też zemścić się na nim w sposób godny dowcipnego artysty; a zemścił się w kilka dni potem.

O tej samej godzinie, to jest około północy, całe grono zebrało się w salonie. Liszt prosił Chopina aby co zagrał; ten zrazu się targował, lecz w końcu przystał. Natenczas Liszt dla dogodzenia przyjacielowi prosił o pogaszenie lamp i świec, i zapuszczenie nawet franek, aby mieć najzupełniejszą ciemność w salonie. Był to kaprys artysty, więc spełniono go najskrupulatniej; atoli w chwili gdy Chopin siadał do fortepianu, Liszt szepnął mu coś do ucha, i sam zajął jego miejsce. Chopin zaś niedomyślając się niczego, najspokojniej usiadł na tuż stojącym fotelu.

Liszt zaczął grać jeden po drugim wszystkie te kawałki jakie Chopin egzekwował owego pamiętnego wieczora, o którym wyżej mówiłem, ale grał je naśladowując, tak cudownie i styl i manierę swego współzawodnika, iż każdy byłby przysiągł, że słyszy Chopina; jakoż wszyscy pomimowolnie dali się oszukać i znowu powtórzył się ten sam rozrzuwiony entuzjazm, który gdy wezbrał najwyżej. Liszt

prędko potarł zapałkę i zapalił świece stojące na fortepianie. Naraz całe zgromadzenie stanęło w osłupieniu.

— Jakto? czy to pan grałeś?

— Grałem, jak widzicie?

— Ależ my wszyscy byliśmy pewni że to Chopin.

— Cóż ty na to?—rzekł Liszt zwracając się do swego współzawodnika.

— Mówię co i wszyscy; bo i mnie się zdawało że to Chopin.

— Przekonajże się— rzekł wirtuoz, powstając— że Liszt, kiedy chce, potrafi być Chopinem; ale czy Chopin potrafi być Lisztem?...

Był to rodzaj wyzwania do walki; ale Chopin czy nie chciał, czy nieśmiał rozumieć tych słów, dość, że Liszt miał się za zemszczonego.

Dla urozmaicenia zabawy grywano nieraz improwizowane komedye lub dramata. W zamku był ładny teatrzyk z dekoracyami i kostiumami. Zwykle układano treść sztuki i porządek scen; do aktorów zaś należało improwizować dyalog. Liszt z Chopinem tworzyli orkiestrę. Do dwóch fortepianów, ustawionych po prawej i lewej stronie sceny i zamaskowanych spuszczoną draperyą, zasiedli dwaj wirtuozzi, których było obowiązkiem uważać na ciąg sztuki i stosowne do treści dramatu improwizować przegrywki. Żebym chciał opisać, jak się z tego wywiązali, znowu musiałbym się przyznać, że tych wrażeń nie odda żadne ludzkie słowo.

Obaj ci artyści, obdarzeni nadzwyczajną pamięcią, znający na palcach wszystkie opery włoskie, niemieckie i francuzkie, chwyтали z dziwną szybkością każdy motyw, mogący odpowiadać sytuacji aktorów na scenie, i rozwijali go z takim zapałem, z taką żądzą okazania swjej wyższości, że aktorowie, którzy niemniej cudownie grali swoje role, musieli nieraz na nich wołać: „Dosyć już! dosyć! marnujecie tyle prześlicznych rzeczy!“ Po takiem przedstawieniu, gdzie się o lepsze ubiegało tyle wybornych talentów, następowała suta i wesoła wieszczerza.

Możnaby gruby tom napisać ze samych wspomnień tego lata; lecz nie chcąc nadużywać cierpliwości czytelników opowiadaniem tych szczegółów zamkowego życia, zakończę rzecz artystyczną fantazyą, jedyną w swoim rodzaju.

W głębi ogrodu był tam nasyp czy kopiec, panujący nad „czarną doliną.“ Pięknie wyłożony płytami, z marmurowym stołem pośredku, z stołkami i ławkami, miał dokoła żelazną galerję, dla ochrony często bawiących się tam dzieci od upadku w głęboki parów, będący u stóp kopca. Miejsce to znane było z tego, że echo z szczególniejszą dobitnością powtarzało trzy lub cztery razy każde wyrzuczone słowo. Dzieci często tam biegały, aby wyzywać echo do rozmowy. Otóż pewnego wieczora przyszło komuś do głowy, żeby zanieść tam fortepian i spróbować, jak echo powtarzać będzie tony muzyki romantycznej. Wszyscy przyklasnęli pomysłowi, a kilku mę-

czyżn zaraz wzięło na barki pyszny fortepian Erarda i zaniósło go na kopiec.

Noc mieliśmy czerwcową, bez księżycą, lecz wyiskrzoną gwiazdami. Powietrze było ciche, po rosie głos się rozlegał. Fortepian otworzono od strony doliny, a pierwszy Liszt energicznym uderzeniem palców wydobyl z klawiszów ten prześliczny chór strzelców z *Euryanty*, tak dobrze znany. Zatrzymywał się on za każdym prawie przestankiem, ażeby słuchać co echo odpowie. Zaraz po pierwszej pauzie nie posiadaliśmy się z zachwycenia; odkryła się nam jakaś nowa poezya, coś idealnie uroczego. Każdy frazes muzyczny był zadługi, aby pierwsze lub drugie odbicie się echa mogło go oddać zupełnie czysto; za to trzecie i czwarte, czyli echo echa, powtarzało go tak dokładnie, że ani jednej nuty nie brakło. Zachwycony tém Liszt zaczął grać nieco spieszniej—i każdy frazes stał się dla nas przedmiotem najwyższej ciekawości i gorączkowego oczekiwania.

W przedostatnim kawałku, gdzie chór *unissono* wpada w potężne *re bemol*, rozlegał się las czarnej doliny żalobnymi tonami, ostatnie zaś nuty, przechodzące tak zuchwale w *mi bemol*, ogłosiły tryumf woli człowieka nad przeszkodami natury.

Po tej przegrywce tak zastosowanej do okoliczności, Chopin zastąpił Liszta i znowu pobudził echo do śpiewu i płaczu. Właśnie układał on wtenczas swoje *Impromptu*, i po pierwszy raz zagrał kilka frazesów z szczytnego tematu na *re bemol*. Ta muzyka przejrzyła, eolska, wprawiała Chopina w stan ekstazy. Przedłużał on więcej niż Liszt tajemniczą rozmowę swoją z duchami doliny, jakby między nimi a nim zawiązało się jakieś ciche szeptańcie, przypominające wywoływanie duchów za pomocą zaklęć czarnoksiężkich. Tak dalece zapomniał on o sobie i o świecie, że gospodyni domu widziała potrzebę oderwać go od fortepianu. Chopin miał już naprawdę gorączkę.

Po nim Paulina Viardot śpiewała czułą i prostą romancę: *Nei cor più non mi sento*. Piosnka wybornie była wybrana, albowiem każdy frazes, składający się tylko z dwóch nut, mógł być całkowicie powtórzony przez echo z zadziwiającą czystością. Siostrzenica pani domu zaśpiewała piosneczkę gminną, która miała wielkie powodzenie, jakby echa miejscowe poznały w niej swoją dawną znajomą.

Już było około drugiej po północy, kiedy od strony ogrodu doszły nas głośne śmiechy, i naraz błysnął pomiędzy drzewami płomień błękitny. Przygotowano nam niespodziankę. Przyjaciele domu przygotowali ogromną srebrną wagę ponczu, która paląc się jak stos ofiarny, stanęła na marmurowym stole. Widok szlachetnego nektaru wywołał wesołe okrzyki, powtórzone przez wszystkie echa doliny—i tym czasem błękitny płomień rzucał fantastyczne blaski po drzewach i po stawie... Po ponczyku, smacznej kolacji, zagrzmiął chór na pożegnanie echa, dzielącego z nami przyjemności tej czarodziejskiej nocy. Świt zaczynał już bielić krawędzie widokregu, kiedy

pełni wzruszeń i wrażeń rozstawaliśmy się ze sobą, unosząc najmilsze i niezatarte wspomnienie.

— W Petersburgu professor I. Jversen wydał: „*Icones familiae ducalis Radziwiłłianae.*“ *Petropoli 1875*, w formie wielkiego arkusza. Na początku mieści się rodowód rodziny Radziwiłłowskiej a następnie sto sześćdziesiąt portretów Radziwiłłów: pod każdym znajduje się krótkie objaśnienie biograficzne. Są to odbicia z blach starych. Egzemplarz kosztuje rs. 25.

— We Lwowie nakładem i drukiem A. I. O. Rogosza w r. b. w *pierwszym zupełnym wydaniu* wyszło pięć tomów powieści Józefa Dzierzkowskiego w starannej edycji. Obejmują trzydzieści jeden powieści, a na czele życiorys autora wraz z jego popiersiem, który zakończony jest temi słowy:

„Wszystkie jego dzieła ożywione są duchem swojskim i gorącą miłością prawdy: są to zalety, któremi niewiele naszych powieściopisarzy w tym stopniu co Dzierzkowski, poszczycić się mogą, a które każą umieścić imię Dzierzkowskiego między pierwszymi gwiazdami, naszej powieściowej literatury.“

Zdanie może w skromniejszych słowach, poważna a sumienna krytyka powtórzy, gdyż rzeczywiście jest to pisarz tak podniosłego talentu, że obok J. I. Kraszewskiego, J. Korzeniowskiego, Chodźki, Rzewuskiego i Kaczkowskiego śmiało stanąć może. Wydanie zupełne wszystkich powieści J. Dzierzkowskiego, uważamy za niemałą usługę dla literatury polskiej, gdyż wielu nie znalazłymi wcale, a znaczną część pojedynczo drukowana oddawna wyczerpaną została z obiegów księgarskiego. Publikacja ta jest już w naszych księgarniach.

— Dnia 30 października r. b. odbyło się w Akademii Umiejętności w Krakowie posiedzenie, na którym wybrano prezesem tej najwyższej naukowej instytucji na dalsze trzecie, jednomyślnie d-ra Józefa Majera. W wydziale historyczno-filozoficznym w miejsce ś. p. Józefa Kremera wybrano d-ra Józefa Zielenackiego, sekretarzem d-ra Józefa Szujskiego. Gmach akademii powiększonym zostanie przez budynek dwupiętrowy w dziedzińcu, mieszczący saly dzieł, przeznaczonych na bibliotekę, zbiory fizyograficzne i biura. Już do użytku będzie w jesieni 1876 roku. Zmarły niedawno w Dreźnie ś. p. Karol Hoffman, zapisał téż akademii swój zbiór obrazów, rycin i książek.

— Katedrę archeologii w Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie, zajmowaną przez profesora Józefa Łepkowskiego, dotąd (od chwili jej powstania w roku 1866) *nadzwyczajną*, cesarz austriacki podniósł obecnie do stopnia *zwyczajnej*, stałej. Przy niej istnieje gabinet archeologiczny uniwersytecki, który w krótkim przeciągu czasu stał się jednym z pierwszorzędných zbiorów w całym kraju. W nim to się mieszczą drogocenne zabytki przeszłości z hojnego daru ś. p. Edwarda Rastawieckiego znanego archeologa i zwolennika sztuk pięknych.

— Gdy Jan Matejko nie przyjął ofiarowanej sobie, korzystnej i zaszczytnej posady dyrektora Akademii sztuk pięknych w Pradze, nie chcąc porzucić Krakowa, powstała w tém mieście myśl uczczenia tego czynu, jak również i dotychczasowych zasług słynnego malarza, wybiciem medalu. Wielbiciele talentu Matejki poparli tę myśl, i d. 24 października r. b. deputacya złożona z kilkunastu osób, doręczyła artyście medal w trzech egzemplarzach: złotym, srebrnym i brązowym. Na jednej stronie medalu jest popiersie Matejki w profilu, otoczone napisem: „Jan Matejko w Krakowie rok 1875,“ na drugiej stronie wśród wieńca wawrzynowego napis: „Nową chwałą kraj przyozdobił,“ wokoło wieńca zaś: „Malarzowi historycznemu Rodacy.“

— Professor Łepkowski udał się listownie do króla saskiego z przedstawieniem, czyby nie uznał za właściwe przyczynić się do odnowienia grobowca przodka swego Augusta II Mocnego, który ze wszystkich 14 grobowców królewskich na Wawelu nietylko znajduje się w najgorszym stanie, ale nawet nie jest ozdobiony odpowiednim pomnikiem. W udzielonej na to odpowiedzi, król saski oświadczył, iż dołoży starań, aby w czasie jak najkrótszym słusznej téj potrzebie zaradzono kosztem prywatnej szkatuły J. K. Mości.

— Dnia 24 października r. b. nastąpiło uroczyste otwarcie Zakładu sierot i kalek w *Drochowyżu* w Galicyi. Podajemy o tym ważnym akcie w streszczeniu sprawozdanie Gazety Lwowskiej.

„W zarysach niewytwornych, ale poważnych i okazałych rozmia-rami, o strukturze oszczędnej i prostej, ale pełnej przyjemnej harmonii” przedstawia się gmach Skarbkowski bardzo korzystnie oku zwiedzających. Jestto długi jednopiętrowy budynek, o dwóch pawilonach trzypiętrowej wysokości, z podwórzem pełnym zieleni, obwiedzionem od frontu żelaznemi sztachetami. Na ganku, staropolskim zwyczajem, książę-kurator Jabłonowski w towarzystwie dyrektora Zakładu, p. Juliusza Starkla i otoczony urzędnikami witał przybywających gości.

Zaraz po pierwszym powitaniu gości odbyła się msza św., którą w kaplicy zakładowej odprawił ks. infułat Mossing w asystencyi obu kapelanów miejscowych. Mała kaplica przepełniona była gośćmi i ludem wiejskim ze wsi okolicznych; na chórach bieżących dokoła jęj ścian mieściły się sierotki płci obojęd, których Zakład liczy już dziś 120. Wśród mszy odezwał się śpiew biędnych dziełek, które od ośmiu dni dopiero znajdują się w Zakładzie, a nauczyły się już pieśnią chwalić Boga, najdobrotliwszego opiekuna sierot i nieszczęśliwych. Kiedy ozwał się chór sierotek i zaintonował ów psalm, który wieszcz czarnoleski splótł ojczystem słowem na zawsze z każdym pobożnym sercem, owo *Kto się w opiekę poda Panu swemu*, dziwnie rzewne uczucia owładnęły słuchaczów... Było coś do głębi przejmującego w wyborze téj pieśni, w jęj stosowności na takiem miejscu i w takich ustach.. Komuż jęj więcej potrzeba, téj opieki Bożęj, jak tym malutkim istotkom, co rosną bez tego cudownego

światła, jakim jest oko matki, bez tego ożywczego ciepła, jakie daje rodzinne ognisko, a którym tak daleka, ach! tak daleka i tak ciężka jeszcze droga do własnego bytu, do własnego kąta i dachu!

Od kaplicy rozpoczęli goście oglądanie rozmaitych urządzeń Zakładu. Na głównym korytarzu utworzyły szpaler chłopczyki malutkie, sznurkiem; w wojskowym ordynku ustawił się ten biedny drobiaz, ubrany w zgrabne siwe mundurki z czerwonymi wyłogami, w furazerkach francuzkich, czysty, wymyty. schludny... Ośm dni dopiero przebywają sierotki w Zakładzie, a już zachowują się z aplombem studenckim, i już widać, że z tych malutkich rekrucików będą kiedyś dzielni żołnierze pracy... Twarzyczki jeszcze nędzne i blade; jeszcze spoczywa na nich ślad niedostatku i zaniedbania; w oku niektórych przebija ów smętny spokój, jakim odznaczać się zwykło spojrzenie niepieszczonej może nigdy sieroty, na innych znać jeszcze trochę tęsknoty,.. po czém i za czém, któż wie? może za kątem wilgotnym jakiejś nędznej chatki, może za jakimś przyjacielem sieroctwa, za psem burkiem, który był jedynym towarzyszem igraszki chłopiędz?...

Każde z tych dzieci ma swoją historią, i jaką historią! godną rzewnej muzy Andersena lub serdecznego humoru Dickensa... Jedno z nich samutkie, z węzełkiem mizernym wyprawione zostało z zachodniej Galicyi do Drohowyża; samo przebyło daleką drogę, bez nikogo, z Aniołem-Stróżem tylko, i stanęło lekliwie u wrót gościunych. Drugie chore, badane przez lekarza, jakby mu chciało ułatwić wyśledzenie choroby, rzekło z naiwną szczerością, rozdzierającą serce:

— Choram, bom nigdy nic nie jadła...

Po nabożeństwie udali się zgromadzeni do auli Zakładu, ozdobionej zielonemi festonami. Na ścianach auli umieszczone są dwa obrazy, portrety Najjaśniejszego Pana i fundatora hr. Skarbka. Za gośćmi przybyły sierotki i ustawiły się wzdłuż ścian po obu stronach auli. Książę-kurator wystąpił na estradę i głosem, który drżał od szczerzego wzruszenia, powitał zgromadzenie, otwierając uroczyście Zakład. Podniósł książę, jak piękną i zarazem rzewną jest dla niego ta chwila, kiedy po długich, a długich przeszkodach może oddać nareszcie krajowi skończone dzieło, którego przeprowadzenie powierzył mu ś. p. fundator. Oddając cześć hr. Skarbkowi, któremu nie dano było oglądać spełnienia swych wspaniałomyślnych zamiarów, wskazał na cnoty tego znakomitego obywatela, który całe swe mienie oddał dla kraju, który będąc panem wielkiej fortuny, odmawiał sobie wszelkich przyjemności, wyrzekał się nawet dawnych nawyków, byle pozostawić po sobie wspaniały pomnik ofiarności. Mało który kraj może się poszczycić takim mężem, mało który poszczycić się może takim dziełem. Dopiero w 27 lat po śmierci wielkiego obywatela, po zwalczeniu rozmaitych trudności powiodło się oddać te mury na pożytek ojczyzny. Z tych 27 lat minęło osnaście pra-

wie bez robót około zamierzonego dzieła. Dopiero od r. 1866, od lat zatem dziewięciu, odkąd zarząd fundacyi przeszedł w wskazane statutami ręce, myśl Skarbka poczyniała się stawać ciałem, aż teraz zamieniła się w dzieło o trwałym bycie. Dochody fundacyi w najlepszym są stanie, budowę gmachu wykończono bez zaciągnięcia długów, co więcęj nawet bez naruszenia rezerwowych funduszków, a to głównie dzięki łasce Najjaśniejszego Pana, który uwalniając fundacyę od ciężarów teatralnych, uwolnił ją od ciężkich a nieobliczonych kosztów. W końcu podziękował książe członkom dodanym, którzy pracowali nad wewnętrzną organizacją Zakładu, a z osobna jęj prezesowi, dr. Euzebiuszowi Czerkawskiemu, i oddając Zakład na użytek publiczny wezwał, aby go wszyscy obywatele kraju otaczali udziałem i opieką.

Po księciu kuratorze zabrał głos dr. Juliusz Czerkawski, członek rady administracyjnej, i w dłuższem przemówieniu złożył hołd ceniom hr. Skarbka, wielbiąc ofiarność i cnoty obywatelskie, które natchnęły niezapomnianego fundatora myślą wzniesienia tego znakomitego pomnikowego Zakładu. Króciutko, pod widocznym wpływem głębokiego rozczulenia przemówił w końcu dyrektor Zakładu Juliusz Starkel, zapewniając, że tak on jak i jego pomocnicy wszystko uczynią, wszystkie siły wyteją, byle dopełnić trudnych zadań, jakie na nich spoczyły. Gdy p. Starkel skromnemi a pełnemi uczucia słowy polecił sobie i swych towarzyszy życzliwości publicznej, odpowiedzieli mu zgromadzeni przeciągłą salwą oklasków, witając tym sposobem pana Starkla na nowém a ważném stanowisku, i wyrażając mu prawdziwą sympatyą, na jaką zasłużył sobie dotychczas swoją działalnością publiczną.

Po tym uroczystym akcie inauguracyjnym w auli rozpoczęło się zwiedzanie Zakładu.

Sam książe kurator podjął się roli *cicero*. Z ujmującą grzecznością, z uprzejmą pamięcią o wszystkich i wszystkiém, niestrudzony mimo poważnego wieku, spełniał sędziwy książe obowiązki gospodarza. Dyrektor p. Juliusz Starkel i nauczyciele pomagają mu w tém zajęciu, i oto jeden szczegół domowych urządzeń po drugim zwraca na siebie zasłużoną i ciekawą uwagę gości. Gmach cały nie jest jeszcze gotowy, urządzenia wszystkie nie mogły być jeszcze wykończone, ale co już oddaném zostało do użytku, to jest doskonałym w swoim sposobie, obmyślaném umiejętnie i praktycznie, wykonaném podług najcelniejszych wzorów europejskich. Izby szkolne to prawdziwe modele, wywołujące zachwyt w starych pedagogach, czyste, jasne, pełne przestrzeni i powietrza, z ławkami według najnowszych i najlepszych przepisów nowożytnego szkolnictwa. Dormitarzyki małe i bardzo troskliwie a praktycznie urządzone, o łóżeckach zgrabnych żelaznych, z pościelą skromną ale wygodną, a obok każdego łóżka szafka dla każdego malca jako schowek na garderobę.

Dostojny gospodarz zapraszał uprzejmie, szliśmy dalej i dalej po długich, szerokich, wesołych korytarzach, do których dużemi ok-

nami wpada widok dalekiej zielonej równiny z sinemi Karpatami na kończyźnie horyzontu i obfita struga dziennego światła i lazur szerokiego nieba. Tu w razie zimna i niepogody bawią się sierotki, tu arena wesołej pustoty, jeśli powietrze nie pozwala przenieść igraszek w park świeżo założony przez p. Bauera ze Lwowa, park wielki a ożywiony przeszliczną jak kryształ jasną szybą jeziorka, które ma pewne podobieństwo do Morskiego oka.

Dobrze tu będzie sierotkom. Dobrze im będzie, bo i czegoż im braknie? Jest wszystko co tylko być mogło. Sala szpitalna, łaźnia parowa, wanny i kąpiele tryskowe; wszystko to urządzone jest wybornie. Urządzenia gospodarcze, o ile są już gotowe, nie pozostawiają nic do życzenia. Pralnia, spiżarnia, kuchnia olbrzymia z ogromnemi kotłami i kolosalnym angielskim piecem, piekarnia z czeluścią ziejącą skwarem, z której właśnie sypały się bez końca wonne bochenki świeżo upieczonego chleba.

— W témże piśmie czytamy: „W Rymanowie w Galicyi, w listopadzie 1874 r., założona została przez hr. Stanisławę Potocką szkoła snycerska dla dzieci wiejskich. Szlachetna pani powzięła piękną myśl dać biednej ludności górskiej, nie mogącej się utrzymać ze skąpej roli, zarobek, któryby nie odrywał jej od kółka rodzinnego i zajęć domowych i nie zmuszał włóczyć się po świecie za kawałkiem chleba. W tym celu założona została wspomniona szkółka, w której wiejskie chłopaki pod kierownictwem fachowego robotnika, uczą się kozikami i różnemi najprostszymi narzędziami wyrzynać z drzewa najrozmaitsze przedmioty, zaczawszy od łyżek, grabek i prostych krzyżyków, aż do rozmaitych przedmiotów ze sferą sztuki graniczących. Na tegorocznej wystawie Stanisławowskiej widziano ramki rzeźbione rozmaitej wielkości i różnych wzorów, krucyfiksy z muszlami na wodę święconą, kałamarze, podstawy do lamp, konsole i. t. p., a wszystkie te okazy ozdobione nieraz bogato misternie rzeźbionemi liśćmi, kwiatami i owocami, a niekiedy i figurami, świadczyły zarówno o guście tych, którzy dostarczali wzorów i poddawali pomysły młodym pracownikom, jak o niepospolitych, nieraz prawdziwie zadziwiających talentach tych ostatnich. Na każdym niemal przedmiocie wymieniono robotnika i czas jego nauki, nieraz bardzo krótki, gdyż sama szkoła istnieje od 10-ciu miesięcy dopiero, a szczegóły te stwierdzają ponownie przekonanie o zdolnościach spoczywających dotąd niestety, w zupełnym uśpieniu między ludem, o których przedsiębiorcy zakrajowi nieraz wyrażali się z wielkiem uznaniem. Roboty wystawione przez szkółkę Rymanowską, wykonywają uczniowie jej w domu lub na pastwiskach, strzegąc bydła, i zarabiają ze sprzedaży wyrobów w miarę zdolności 20—60 centów (24 grosze do 2½ złotych), a nawet i więcej na dzień. Hr. Potocka podając powyższe szczegóły o szkółce swojej, odzywa się zupełnie słusznie do kupców krajowych, aby składy swoje zaopatrywali w wyroby szkółki, nie ustępujące wyrobom drewnianym z Berchtesgadenu i innych okolic

Niemiec, a o wiele tańsze. Że wyroby szkółki téj będą pokupne i opłaci się utrzymywać je na składzie, można ztąd wnosić, że prawie wszystkie przedmioty nadesłane na wystawę stanisławowską, zostały w pierwszych dniach rozkupione. Szkołka Rymanowska przyjmuje chłopców zamiejscowych za opłatą 10 złr. miesięcznie na utrzymanie, i przy końcu 5 złr. za naukę dla starszego chłopca. Nauka trwa 3—6 miesięcy, stosownie do zdolności ucznia. Na przyszły rok ma być zaprowadzona w Rymanowie *nauka koronkarstwa* dla dziewcząt wiejskich. Dla chcących pójść za chwalebny przykładem hr. Potockiej, zarząd szkółki ofiaruje się służyć wszelkiemi informacjami. Czy znajdują się naśladowcy albo raczej naśladowczynie? nie śmiemy przepowiadać, lecz gorąco życzymy sobie, aby tak było. Założenie takiej lub podobnej szkółki w innym kierunku, nic prawie nie kosztując, oprócz utrzymania chłopaka starszego, będącego instruktorem, byłoby dla wielu okolic podgórskich prawdziwem dobrodziejstwem, a zarazem aktem szczerzej dobroczynności, która nie na tém zależy, żeby biédnemu dać na wyżywienie, lecz raczej na tém, aby go postawić w położeniu, żeby mógł sam sobie zarobić na nie, a żeby uczynić niepotrzebną dalszą jałmużnę i wydzwignąć bliźniego z poniżającego i demoralizującego w końcu położenia, jakim jest utrzymywanie się ciągle z łaski drugich. Więcej łez otrze niewątpliwie czyn chwalebny, jakiego przykład dała hr. Potocka, niż najhojniejsze jałmużny, czy to wprost dawane, czy zbierane przez składki, bale, koncerty i tym podobne środki."

— Z wydanego na rok szkolny bieżący programu odczytów na Uniwersytecie Lwowskim, podajemy następane szczegóły: Na wydziale prawniczym będą mieli odczyty pp. profesorowie zwyczajni, nadzwyczajni, supleni i prywatni docenci: Dr. Buhl zwyczajny profesor, z historyi niemieckiego prawa państwowego, z niemieckiego prawa prywatnego, z europejskiego prawa narodów i z austriackiej ustawy skarbowej, wszystko w języku niemieckim; zwyczajny prof. dr. Żródłowski będzie miał odczyty: z instytucji i historyi prawa rzymskiego i z rzymskiego prawa familijnego, w języku polskim; nadzwyczajny profesor dr. Piętak będzie miał odczyty: z historyi źródeł i procesu cywilnego rzymskiego, o zapisach według prawa rzymskiego i o austriackiem prawie handlowém, wszystko w języku polskim. Prawo kanoniczne i historyę ślubów cywilnych wykładać będzie w języku polskim nadzwyczajny profesor dr. Rittner. Zwyczajny prof. dr. Fangor wykładać będzie po polsku: powszechne prawo cywilne austriackie i polskie prawo prywatne; docent prywatny dr. Ogonowski wykładać będzie po rusku austriackie powszechne prawo prywatne; zwyczajny prof. dr. Biliński będzie miał wykłady z ekonomii społecznej, w języku polskim; nadzwyczajny profesor dr. Gryziecki będzie wykładał po polsku austriackie prawo karne i zasady prawa państwowego; prywatny docent dr. Jan Dobrzański wykładać będzie po rusku austriackie prawo karne; zwyczajny prof. dr.

Kabat będzie miał wykłady w języku polskim o ustawie sądowej z uwzględnieniem reform w tej gałęzi prawodawstwa; prywatny docent dr. Balasits wykladał po polsku postępowanie cywilno-sądowe w sprawach spornych; nadzwyczajny prof. dr. Pilat naukę administracji i prawo rolnicze; suplent dr. Weigel medycynę sądową, część biologiczną; suplent p. Koźma system umiejętności rachunkowej z zastosowaniem do gospodarstw rządowych, system rachunkowości pojedynczej i podwójnej kupieckiej z zastosowaniem do gospodarstw zarobkowych, historią i literaturę umiejętności rachunkowej; nareszcie prywatny docent p. Kulczycki będzie wykladał zasady rachunkowości ogólnej. Prócz tego odbywać się będą publiczne ćwiczenia seminaryjne pod kierownictwem profesorów pp. Buhla, Bilińskiego, Pięta i Pilata.

Na wydziale filozoficznym wykladać będą przedmioty filozoficzno-historyczne: zwyczajny professor dr. Czerkawski: etykę, zasady dydaktyki i o poetyce Arystotelesa po polsku; zwyczajny prof. dr. Liske: historią powszechną od połowy XV wieku, dyplomatykę, ćwiczenia z dziejów powszechnych, po polsku; zwyczajny prof. dr. Szarauńewicz wykladać będzie po polsku historią austriacko-węgierskiej monarchii, a po rusku historią Rusi Czerwoną z XVII stulecia. Z przedmiotów filologicznych będą wykladać: zwyczajny prof. dr. Węclewski encyklopedyą i metodologię filologii klasycznej i literaturę rzymską, a w seminaryum filologicznym będą objaśniane „chóry z Sofoklesa Elektry,” tudzież odbywać się będzie wykład Cyceronu mowy *Pro Archia poeta*. Wszystko po polsku. Dr. Pilat historią literatury polskiej od roku 1650—1740 i o najdawniejszych pomnikach języka polskiego. Dr. Ogonowski wykladać będzie po rusku: Objasnienia kroniki Nestora, historią literatury ruskiej w XI i XII stulecia, i słowiańską mitologię; zwyczajny prof. dr. Janota wykladać będzie po niemiecku historią literatury z XVII stulecia a w niemieckim seminaryum: *Hartmann von der Aue*.

Z przedmiotów matematycznych i przyrodniczych będą wykladać po polsku: zwyczajny professor dr. Zmurko: O rachunku różniczkowym i całkowym; o zastosowaniu rachunku infitymalnego do geometrii; zwyczajny prof. dr. Stanecki: o galwanizmie; o zasadniczych prawach mechaniki; fizykę doświadczalną dla farmaceutów; nadzwyczajny prof. dr. Fabian: mechanikę ogólną, optykę teoretyczną, teorią zasadniczych działań algebraicznych z zastosowaniem do rozwiązania równań; zwyczajny prof. dr. Kreutz: mineralogią ogólną i szczegółową; zwyczajny prof. dr. Ciesielski: o roślinach skrytopłciowych, ćwiczenia w mikroskopowaniu; kurs mikroskopijny dla farmaceutów; dysputatoryum botaniczne; anatomią pszczoły; prywatny docent dr. Tangl: ogólną anatomią roślin cewkowych i patologię roślin; zwyczajny prof. dr. Radziszewski: chemię ogólną nieorganiczną, historią pojęć chemicznych od czasów Lavoisiera i chemię farmaceutyczną; prywatny docent dr. Grabowski chemię ogólną

i analityczną. Prócz tego udzielać będzie na wydziale filozoficznym p. Olewiński nauki stenografii polskiej i ruskiej; p. Kropiwnicki nauki języka angielskiego; p. Amborski nauki języka francuzkiego; dr. Piasecki wykładać będzie teorią i historią gimnastyki.

W półroczu letniem 1875 roku było na wydziale teologicznym przy wszechnicy lwowskiej ogółem 210 słuchaczy, a mianowicie: 186 zwyczajnych a 24 nadzwyczajnych; 42 Polaków a 168 Rusinów; 63 służyło w wojsku. Na wydziale prawniczym było ogółem 522 słuchaczy; 503 zwyczajnych a 19 nadzwyczajnych: 328 Polaków, 141 Rusinów, 43 Niemców (izraelitów); 33 służyło w wojsku jako jednoroczni ochotnicy. Na wydziale filozoficznym było ogółem 158 słuchaczy; 132 zwyczajnych, 2 nadzwyczajnych i 24 farmaceutów; 105 Polaków, 49 Rusinów, 3 Niemców i 1 Ormianin; 12 służyło w wojsku. Na wydziale prawniczym było 67 a na wydziale filozoficznym 33 stypendystów. Wszechnica lwowska liczyła w letniem półroczu 1875 roku ogółem 890 słuchaczy; z tych służyło 108 w wojsku.

— Biblioteka uniwersytecka we Lwowie. Uniwersytet lwowski wraz z biblioteką założył cesarz Józef II w roku 1784. Pierwszy związek téjże biblioteki stanowi dar biblioteki Garellego. Pius Miokołaj Garelli rodem z Rumunii, z zawodu lekarz, był prefektem biblioteki nadwornój, i sam znakomity zbiór książek posiadał, których część (2314 tomów) darował bibliotece nadwornój; resztę zaś odziedziczył syn jego, i przekazał na użytek publiczny. Marya-Teresa oddała wspomniony zbiór (11,000 dzieł) do akademii terezyańskiej, a cesarz Józef następnie przeznaczył go dla nowo założonej biblioteki uniwersyteckiej we Lwowie. Z bibliotek po zniesionych klasztorach w Galicyi za cesarza Józefa II-go, zwieziono do Lwowa około 40,000 tomów. Jedną część tych książek przeznaczono dla biblioteki nadwornój w Wiedniu, inną dla liceów, najważniejszą dla biblioteki uniwersyteckiej lwowskiej. Dublety zaś i dzieła podrzędnej wartości sprzedawano przez licytacją publiczną. Jak wielką ilość cennych dzieł w tych bibliotekach znaleziono, dowiadujemy się z katalogów licytacyjnych. Januszowskiego statut (Kraków, 1600) poszedł za 2 złr. 1 kr.; Okólskiego: Orbis Polonus (Crac. 1641—45) tomów 3 za 15 złr. Z darów znakomitszych wypada tu wymienić dar rodziny Treterów i dar Józefa hr. Kuropatnickiego z r. 1832 i 1833. Dotyczy stałej do r. 1826 na zakupno książek, oprawę i wydatki kancelaryjne, było 426 złr., w którymto roku podniesioną została do 1,000 zł. reńskich.

Tym sposobem nowo powstała biblioteka wzrastała szybko; w r. 1818 liczyła już 36,000 tomów, a w październiku 1848 r. 51,082 i została umieszczoną w kościele trynitarским, a uniwersytet w zabudowaniach klasztornych tegoż zakonu. Podczas bombardowania d. 2 i 3 listopada 1848 r. spaloną została i biblioteka, a z owój liczby 51,082 tomów, pozostała zaledwie czwarta część, bo około 13,000 tomów. Z 2,230 numerów zbioru artystycznego, pozostało po spale-

niu tylko 115; gabinet numizmatyczny liczący 12,000 monet i medali, stracił 2,525 sztuk. Pozostałą resztę przeniesiono do gmachu namiestnikowskiego, później do klasztoru Dominikanów, zkąd przeniesiono ją nareszcie w r. 1852 do gmachu uniwersyteckiego, gdzie dotąd pozostaje. Ówczesny bibliotekarz, dr. Stroński, i terażniejszy dr. Urbański, nadludzkim prawie wysiłeniem przeprowadzili w krótkim stosunkowo czasie organizację biblioteki. Rząd, kraj i osoby prywatne, otaczają odtąd pieczołowitością tę instytucję. Rząd zaraz po spaleniu, wyznaczył nadzwyczajną dotację na pięć po sobie następujących lat po 3,000 złr. rocznie, a od 1870 podwyższono dotację bibliotekom uniwersyteckim na 4,000 złr. Do stałej dotacji należą także i taksy immatrykulacyjne, co rocznie około 600 złr. wynosi. Zaraz po spaleniu, zakupił rząd dla téżej biblioteki księgozbiór Kurzmeyera w Wiedniu, a nadworna biblioteka i Zakład narodowy Imienia Ossolińskich darowały swe duplikaty.

Z osób prywatnych znacznieszemi darami wzbogacili bibliotekę: Filip Kulik, prof. uniwersytetu prazkiego (498 dzieł w 1,000 tomach, przeważnie treści matematycznój); hr. Stanisław Dunin, autor dziełka „o obowiązkach bibliotekarza“ (5,000 tomów treści przyrodniczój, historycznój, bibliograficznój i literatury klassycznój, w językach: angielskim, francuzkim i niemieckim). W ostatnich czasach biblioteka otrzymała cenne księgozbiory po Wernickim i od p. Młockiego Alfreda. Przy bibliotece znajduje się gabinet numizmatyczny, liczący 10,350 sztuk monet, przeważnie starożytnych. Z końcem r. z. liczyła biblioteka uniwersytecka 63,164 tomów.

— Dr. Izydor Szaraniewicz wydał we Lwowie zajmującą i ważną pracę naukową p. n. „Rzut oka na beneficjya kościoła Ruskiego za czasów Rzeczypospolitój polskiej.“ Jest to rzecz napisana z głęboką erudycją, z szeroką znajomością źródeł, z których wiele dopiero autor pierwszy odkrył i użytkował, a do tego ze spokojem beznamiętnym, jak przystało poważnemu badaczowi.

— Towarzystwo przyjaciół nauk w Poznaniu. Na posiedzeniu wydziału historycznego w październiku r. b., na wniosek prezesa p. Koźmiana, uchwalono odnieść się do zarządu Towarzystwa z prośbą aby się zajął uczczeniem ś. p. Ignacego Krasickiego, przez postawienie mu pomnika, lub umieszczenie tablicy w Katedrze gnieźnieńskiej gdzie zwłoki jego spoczywają. Dalej, uchwalono także odnieść się do zarządu, o uczczenie pamięci Stanisława Staszica, przez umieszczenie odpowiedniej tablicy, w kościele w Pile, jako miejscu jego rodzinném. Poczém wybrano na rok przyszły na prezesa wydziału historycznego p. Stanisława Koźmiana, a na sekretarza dr. Szulca. Następnie ks. Chotkowski czytał swoją rozprawę o Wacławie Potockim i pismach jego, w której naszkicował stan ówczesnej literatury w Polsce, podał wiadomość o życiu Potockiego, i treść oraz charakterystykę pism jego. W końcu wybrano komisję do oceny prac, które wejść mają do przyszłego Rocznika Towarzystwa.

— Stefan Remak, rodem z Poznania, w bardzo młodym wieku przybył do Ameryki; dzięki zdolnościom, pracy i wytrwałości, doszedł do tego, że został mianowany, za Lincolna, konsulem Stanów Zjednoczonych w Tryeście. Będąc na téj posadzie, wydał we francuzkim języku, w Paryżu, w r. 1865 bardzo cenne dzieło: *La paix en Amérique*. Obecnie jest on jednym ze znakomitych adwokatów Filadelfii i członkiem komisyi przygotowującej wystawę powszechną.

— Z powodu obchodu w Ferrarze, 400 rocznicy urodzin Ariosta, p. Matakiewicz sędzia powiatowy w Niepołomicach, pragnąc przypomnieć Włochom jak literatura ich była niegdyś w Polsce cenioną, przesłał za pośrednictwem poselstwa włoskiego w Wiedniu, Komitetowi obchodu jubileuszowego, przekład „Orlanda szalonego“ dokonany przez Piotra Kochanowskiego, który przy przekładzie 25-téj pieśni życia dokonał. Komitet umieścił nadesłany sobie przekład w bibliotece miejskiej w Ferrarze.

— We Florencyi pan Artur Wołyński wynalazł 150 całkiem nieznanymi dokumentów o Galileuszu, a przytém oprócz gotowego już do druku obszernego dzieła w dwóch tomach in 8-vo: *Jan Kazimierz i Medyceusze jako kandydaci do tronu polskiego*, wykończy następnę monografię: *Stosunki Władysława IV ze Stolicą Świętą; Jan Ciampoli, historyk Władysława IV; Ojciec Valeriano Magni, dyplomata Zygmunta III i Władysława IV*.

— W Paryżu, znany autor Lacroix, piszący pod pseudonimem: *Le bibliophile Jacob*, wydał książkę p. n. „*Mystificateurs et mystifiés*“, w której opowiada komiczne figle dwóch sławnych, nałogowych dowcipnisiów: oficera hr. de Piles i bogatego fantasty Grimod de la Reyniere, którzy złośliwością swych conceptów i zuchwalsstwem w mistyfikowaniu najrozmaitszych ludzi, rzucali postrach formalny na paryzkie towarzystwo. Lacroix poświęca swoją zabawną książkę Polce, pani Aleksandrynie Ciechanowieckiej, wyrażając w pochlebnych słowach dla niej swoje uwielbienie.

— W Pradze Czeskiej wyszła pierwsza część czwartego tomu „Dziejów Austrii od upadku powstania wiedeńskiego w październiku 1848 roku“ przez barona Józefa Aleksandra Helferta. Pierwszy tom tego dzieła, rozpoczętego na wielką skalę, ukazał się w roku 1869. Część obecnie wydana, obejmuje trzy główne działy: 1) Ogólne położenie międzynarodowe i dyplomatyczne stosunki Austrii pod koniec 1848 roku. 2) Kwesya węgierska w przededniu rozwiązania. 3) Wkroczenie wojsk cesarskich do Węgier. Autor był docentem przy wydziale prawnym Uniwersytetu Jagiellońskiego; nieznalazłszy uznania jakiego się spodziewał i pragnął, powziętą ztąd niechęć do Polaków w swoich pismach dobitnie wykazuje. Krytyka zarzuca mu wiele niedokładności i brak wyższego poglądu historyka, ale zarazem przyznaje, iż zawiera niemało ważnych przyczynków do nowoczesnych dziejów Austrii, a czerpanych z niedostępnych dotąd źródeł.

— Znany zaszczytnie dyrektor archiwum państwa austriackiego i historyk, Alfred von Arneth, wydał jako dalszy ciąg swych: *Dziejów Maryi Teresy*, w dwóch tomach, *Historję wojny siedmioletniej*, wzór sumiennosci pod względem badań historycznych, stanowiska, z jakiego autor ludzi i wypadki ocenia. Historyograf ten austriacki, oddaje najzupełniej sprawiedliwość energii i talentom Fryderyka II, co naturalnie nie przeszkadza prawdzie, że zła wola i niezdolność generałów koalicyjnych, w ostatecznym powodzeniu Fryderyka II, równą prawie co geniusz jego wojenny i polityczny, odgrywają rolę.

Równocześnie ogłosił w dwóch wydanych dotąd tomach hanowerski historyk, Onno Klopp, na podstawie papierów po słynnym Leibnitz'u, *Historję upadku Stuartów i wyniesienia domu hanowerskiego na tron angielski*. Opowiadanie autora, mające zasługę, iż nie ograniczając się jedynie tylko na sprawach samej Anglii, wciąga w swój zakres współczesne dzieje całej Europy, sięga w dwóch tomach aż do zgonu Karola II, czyli aż do roku 1685, nie obejmuje więc jeszcze katastrofy Jakóba II. Autor stoi na stanowisku katolickim i sympatycznym rodzinie Stuartów.

— Bezimienny autor wydał w Bonnii ważną dla dziejów Rosyi w XVIII wieku broszurę, pod tytułem: *Die Kronprinzessin Charlotte von Russland*. Jest to życiorys żony Wielkiego Księcia Aleksego, syna Piotra Wielkiego, podług jej własnych, w archiwum brunświckiem zachowanych listów, a rzuca ciekawe światło na stosunki dworu petersburskiego między rokiem 1707 a 1715.



Dnia 27 października r. b. umarł w Warszawie *August Jeske*, autor wielce pożytecznego wydawnictwa p. n. *Systematyczny kurs nauk, przeznaczony do pomocy w wychowaniu domowem dlu dzieci od lat trzech do 15*. Wartość tych jedenastu książeczek, oprócz prasy krajowej, oceniły należycie matki polskie i nauczycielki, całe bowiem wydanie w 2000 egzemplarzy w krótkim czasie wyczerpane zostało. W nich mieści się i większych rozmiarów *Pedagogika*.

Jeske urodził się d. 6 września 1836 r. w Trzemesznie w Wielkiem Księztwie Poznańskim, w tém rodzinném mieście ukończył szkołę, a wyższe pobierał nauki na Uniwersytecie Berlińskim, poświęcając się studjom filologiczno-historycznym. Obok tego zwracał pilną uwagę na pedagogikę w zastosowaniu do praktycznego wykładu. Z myślą o poprawie wychowania pierwotnego w r. 1865 przybył do Warszawy, i szczęśliwie natrafił na Stanisława Arcta księgarza lubelskiego, który dorazu, oceniając całą ważność pomysłów Jeskego, nie tylko gorąco je popierał, ale i materyalnie dopomógł, ażeby doprowadzić do skutku.

Oddawna autor trawiony chorobą piersiową, zapadł ciężko w r. b.; pomimo to na łożu śmiertelném ukończył nowy *Elementarz polski*, znajdujący się obecnie w druku. Praca ta, wraz z *Pedagogiką* stanowi w *systematycznym kursie nauk* główną podstawę wychowania rodzinnego i dalszych jego reform niezbędnych. Zwłoki zacnego pracownika spoczęły na Cmentarzu Powązkowskim.

— Dnia 6 listopada r. b. w Warszawie zakończył życie **Wojciech Korneli Stattler**, artysta malarz, b. professor Uniwersytetu Jagiellońskiego i Szkoły Sztuk Pięknych w Krakowie. Liczył lat 75 wieku.

W pierwszej połowie naszego stulecia, Stattler zajmował znakomite stanowisko w Krakowie i niemałe oddał usługi sztuce krajowej. O tych zasługach zgasłego artysty wspomniało już nasze pismo (zeszyty z września i października r. b.) drukując rozprawę profesora Wł. Łuszczkiewicza: „Przegląd krytyczny dziejów Szkoły Sztuk Pięknych w Krakowie.“ Żył w bliskich stosunkach przyjaźni z Mickiewiczem i Słowackim, jak wielu znakomitemi mężami z upływnego okresu. Od r. 1862 stale zamieszkiwał w Warszawie i w sędziwych latach spisywał swoje wspomnienia, z których ustępy drukowało czasopismo *Kłosy*. W *korrespondencji Mickiewicza* ogłoszonej znajdujemy kilka listów wielkiego poety pisanych do W. K. Stattlera. W dziejach sztuki krajowej, trwałe on po sobie zostawia wspomnienia. Spoczywa także na pomienionym cmentarzu.

Zestawienie przedmiotów zawartych w 136 tomach Biblioteki Warszawskiej z lat 1841—1874. Przez Karola Estrejchera. W Krakowie, w drukarni Leona Paszkowskiego. (W 8-ce str. VII, 319). Na czele redakcyja w treściwym zarzysie podaje w tym spisie bibliograficznym, wiadomość o pierwotnym związku swego pisma i pierwszych założycielach, a zarazem o powiększoném gronie współredaktorów aż do roku bieżącego. Wydanie całe odbito w 500 egzemplarzach. Autor tak mozolnego dzieła w przedmowie pisze o swój pracy: „Oddawała mi ona od lat dziesiątka nieustanną przysługę, a widząc jej praktyczną dogodność, oddałem ją chętnie na użytek redakcyi Biblioteki, wyrażając tém życzliwość moją pismu, które uznają za stojące na czele wszystkich publikacyi literackich polskich, dzierżące zawsze z godnością pióro dla pożytku oświaty krajo-

wój, najstarsze w dzisiejszej rzeszy pism, a zarazem najchętniejsze w przygarnianiu mężów istotnej pracy i talentu.”

Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa. Cena egzemplarza rs. 1, kop. 50 (złotych 10).

OD REDAKCYI.

Biblioteka Warszawska, pismo poświęcone naukom, literaturze, sztuce i przemysłowi, rozpoczynając rok trzydziesty piąty swego istnienia, wychodzić będzie jak dotąd i w roku 1876, raz na miesiąc zeszytami, obejmującemi najmniej dziesięć arkuszy druku.

Wobec ożywionego ruchu prassy krajowej i potrzeb społecznych, redakcyja dla nadania odpowiedniego rozwoju swemu organowi, przybrała nowe siły do grona współpracowników, z którymi dążąc stale, jak zawsze za postępem wiedzy, pozostanie wierną zasadom i tradycyom, wpośród których jój pismo powstało, prowadzoném było i będzie.

Redakcyja Biblioteki Warszawskiej.

Redaktor odpowiedzialny **K. Wł. Wójcicki**.

Wydawca *Józef Berger*.

SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE CZWARTYM.

Z R. 1875.

stron

Historya.

Społeczność Warszawy w początkach naszego stolecia. (1800—1830)
Przez K. Wł. Wójcickiego. 161, 385

Dawne prawo polskie.

Prawo polskie w wieku XIII, przedstawił i objaśnił ze źródeł współczesnych Romuald Hube. Przez Michała Bobrzyńskiego. 1

Literatura.

Obrazy ze współczesnej literatury niemieckiej. Przez Feliksa Jezierskiego. 45, 231, 372

KRONIKA ZAGRANICZNA LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Korrespondencya Stanisława Augusta z panią Geoffrin, wydana z archiwów, przez p. Mony.—Nowe utwory poetyczne: poezye Armanda Sylwestre z przedmową p. Georges Sand.—Loeta-moesta (smutno-wesołe) p. Darasse.—Illusions p. Cosalis.—Dyonizya p. Andreani.—Poezye nowe p. Millieu.—Grób Micheleta.—Teatr: Jan Bosy (Jean-nu-pied) dramat czteroaktowy wierszem, p. Alberta Delpit.—Hanz Christian Andersen. 107

Nowe dzieło Wiktora Hugo: Avant l'Exil.—Mowa akademicka: pochwała Lemerciera.—Listy Merimego do nowej nieznajomej.—Pani Delfina Girardin, jako publicystka i poetka, przez Imbert de Saint Amand.—Konferenoya pana Leouzon le Duo, o kobietach skandynawskich i finlandzkich.—Sąd p. Cuviller Fleury,

o korespondencji Stanisława Augusta z panią Geoffrin.—Obyczaje Bearnów, przez p. Raimond.—Czarownice z Bearnu p. Lespy.—Uroczystości pamiątkowe na cześć Chateaubrianda, Argota, Michała Anioła i t. d.—Pomnik wzniesiony we Florencyi Michałowi Aniołowi.—Obrazek dramatyczny, odegrany w paryżkiem Wodewillu: Madame Lilli, przez p. Marc Monnier.	246
Tyrol i Tyrolczyki: Andreas Hoffer.—Słowianie tureccy: Bośnia i Hercegowina, według Geografii Powszechnój Elizeusza Reclus.—Dzieło p. Dozon: Pieśni ludu Bułgarskiego, wydane w Wiedniu z tekstem oryginalnym.—Rozboje we Włoszech, od najdawniejszych czasów aż do dni naszych, przez Armanda Dubarry.—Pornokracya, czyli kobiety nowoczesne, dzieło pośmiertne Prudonia.—Psychologia ludów nowożytnych, dzieło pośmiertne Filareta Chasles.—Pieniężna piekareczka, komedyo-opera pp. Meilhac i Halevy, z muzyką Offenbacha.—Nowe powieści Georges Sand: Flamarande i Dwaj Bracia.—Poszukiwania Stanleya w Afryce Środkowej.—Dwa dzieła alegoryczne: Republika Marcina p. Rambaud, i Podróż Lorda Humour do kraju Retrogradów p. Thian-diere.—Pomnik Roberta Bruce w Stirlingu.—Dykcjonarz Litrego, w jednym tomie, skrócony przez profesora Beaujeau.—Dykcjonarz starożytności greckich i rzymskich.—Zmarły rzeźbiarz Jan Carpeaux.—Posiedzenie doroczne pięciu Akademii, składających Instytut Francuzki.	431
Literatura zagraniczna.	298
O szkołach i szkolnictwie polskiem. Rzeoz czytana w Towarzystwie pedagogicznem lwowskiem. Przez Władysława Zawadzkiego.	357
Postępy wiedzy o Słowiańszczyźnie w Rossyi w latach 1860—1872. Wedle sprawozdania prof. Kotlarewskiego.	403

Biografia.

Łukasz Górnicki. (Kilka szczegółów nieznanych). Przez Aloksandra Wejnerta.	422
--	-----

Sztuki piękne.

Przegląd krytyczny dziejów szkoły sztuk pięknych w Krakowie. Przez Wł. Łuszczkiewicza. (Dokończenie).	45
---	----

Powieść.

Z siedmioletniej wojny Opowiadanie historyczne. Przez J. I. Kraszewskiego. (Dokończenie).	78, 187, 315
---	--------------

Pamiętnik z pobytu w Ameryce. Przez Krytykę Narbuttównę. (Do- kończenie).	20
O zasłudze naukowej ziomka naszego Kubarego. Przez A. W.	226

Nauki przyrodzone.

Z dziedziny przyrodoznawstwa. Fotografia i jej stosunek do astrono- mii.—Prace dokonane na polu fotografii astronomicznej. Obser- watoria astronomiczne w Stanach Zjednoczonych i Ameryce Po- łudniowej.—Obserwatoria europejskie. Przez T. Skomorow- skiego.	276
Z dziedziny przyrodoznawstwa. „Księżyc uważany jako planeta,” dzieło Nasmytha i Carpentera.—Ostatnie rezultaty naukowe dotyczące budowy i natury towarzysza ziemi.—Budowa fotosfery słonecz- nej.—Obrot planet.—Planetoidy odkryte w latach 1873/4.— Nowa klasyfikacja komet Proctora.—Komety 1874.—Świetna kometą Coggia.—Miscellanea. Przez T. Skomorowskiego.	456

*Rozbiory krytyczne i sprawozdania z ważniejszych dzieł wszel-
kiej treści, tak krajowych jak zagranicznych.*

Symbolical Centenary Chart of American History. Published by J. Horain et comp. 116 Fulton N(ew)Y(ork). Przez Ernesta Świeżawskiego.	187
Teorya stylu polskiego, napisana przez Józefę Kamocką b. nauczyciel- kę gimnazjum żeńskiego. Warszawa 1875 r. Przez F. J.	147
Obrazki Syberyi, przez Ludwika Niemojewskiego. Illustrował M. Andriolli. Warszawa, nakładem i drukiem J. Ungra 1875 r. (w 8-ce str. 497). Przez W.	150
Słowniczek łacińsko-polski wyrazów prawa magdeburskiego z wieku XV, przedruk homograficzny z kodeksu Kórnickiego objaśnił dr. Zygmunt Celichowski. Poznań, nakładem biblioteki Kórnickiej. 1875, (w 8-ce str. 16 i 12 podobizny). Przez R.	155
Kilka kwestyi, jako uzupełnienie zagadnień i kierunków, przez L. Szczerbowicza-Wieczora. Warszawa. Część I, 1874, część II, 1875 rok Przez A.	286
Illustrowany Przewodnik po Krakowie i jego okolicach, z dodaniem wszelkich wiadomości i objaśnień potrzebnych dla podróżnych, oraz opisu wszystkich znaczniejszych zdrojowisk w Galicyi, ozdo- biony 30 rycinami oraz planem miasta Krakowa. W Krakowie, nakładem księgarni i wydawnictwa „Czytelnia ludowej“ A. Nowo- leckiego, 1875 r. (w 16-ce str. XLVI, 174—88). Przez W. W.	291

Geografia Galicyi, podręcznik dla uczniów seminaryjów nauczycielskich i dla nauczycieli szkół ludowych i wydziałowych. Ułożył Lucyan Tatomir starszy nauczyciel Seminarjum męzkiego we Lwowie. We Lwowie 1874 r., nakładem Karola Wilda, z godłem na czele: „Cudze wiedzieć rzeczy ciekawość jest: a swoje potrzeba.“ Fredro, przysłowia. (W 12-ce str. XVI,—262). Przez W.	292
Julian odstępcą tragedia w pięciu odsłonach, napisał R. S. Odessa, ozcionkami drukarni słowiański, 1875 r.	295
Stosunek mego „Zarysu dziejów literatury polskiej“ do badań i pomysłów dra. Antoniego Maleckiego. Rzecz z powodu artykułu „Tygodnia“ w osobistej obronie napisana przez Adama Kulickowskiego. We Lwowie, nakładem Karola Wilda 1875 r. (w 8-ce stron. 32). Przez R.	297
Pamiętnik akademii umiejętności w Krakowie, wydział filologiczny i filozoficzno-historyczny. Tom drugi, Kraków 1875 r. Przez A.	470
Listy z Czech przez Adolfa Smorczewskiego. Nakład redakcyi Gazety Polskiej, (Warszawa 1873 rok. w 12-ce str. 299). Przez K. Wł. W..	477
Akta grodzkie i ziemskie z czasów Rzeczypospolitej Polskiej i t. d. Tom V, we Lwowie 1875 r. Przez F. Z.	484
Schiern Ueber den Ursprung der Sage von den goldgrabenden Ameisen, przekład z Rozpraw Towarzystwa Naukowego Duńskiego. Lipsk i Kopenhaga 1873. (str. 53). Przez J. K.	487
Czytania Religijno-Moralne dla młodych osób, przez Feliksę Eger, autorkę Katechizmu dogmatyczno-historycznego. Warszawa. (Nakładem autorki). W drukarni Instytutu Warszawskiego Głuchoniemych i ociemniałych, 1875 rok. (W 12-ce str. 165). Przez W.	491
„Podarek dla grzecznych i pilnych dzieci.“ Książeczka abecadłowa, przez Teofila Nowosielskiego ułożona i zawierająca początki nauki czytania, oraz świątek dziecięcy w powiastkach, bajeczkach i piosenkach. Z 60 drzeworytami w teksoie. Warszawa. Nakład i druk S. Orgelbranda synów. 1876, (w 4-ce str. 128). Przez K.	492

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE, NAUKOWE, LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.	156, 301, 493
NEKROLOGIA.	160, 313, 508
OD REDAKCYI.	313, 510
SPROSTOWANIE.	313